

WZRUSZAJĄCA POWIEŚĆ O KOBIECIACH,
KTÓRE POŁĄCZYŁA TAJEMNICA Z PRZESZŁOŚCI

Joshilyn Jackson
**PRAWIE
SIOSTRY**

*Ile możesz zaryzykować,
by chronić swoich bliskich?*

Joshilyn Jackson

PRAWIE SIOSTRY

Z języka angielskiego przełożyła

MONIKA WIŚNIEWSKA



Dla Jacques'a de Spoelbercha

Mój syn Digby zaczął istnieć dokładnie o trzeciej dwie nad ranem w pierwszy piątek czerwca. Nie chodzi mi o moment jego poczęcia czy narodziny. Chodzi mi o chwilę, w której zaczął istnieć dla mnie, co stało się pomiędzy tymi dwoma ważnymi zdarzeniami. Jego początek był tak nieśmiały, że niemal go przeoczyłam. Byłam bardzo, ale to bardzo zajęta panikowaniem z powodu pracy.

Zdażyłam skończyć rysowanie i wypełnianie tuszem limitowanej serii dla DC Comics, co stanowiło ostatnie zlecenie stojące pomiędzy mną a prequelem mojej powieści graficznej zatytułowanej *Violence & Violet*. Każde słowo i każda kreska zostały napisane, narysowane i pokolorowane przeze mnie. Dumna z niej byłam jak nie wiem co, ale nie stworzyłam kontynuacji. Nie mogłam. *V & V* zakończyła się apokalipsą. W świecie *Violence* nie mogło się wydarzyć dosłownie nic, ponieważ niczego już w nim nie było. Nastąpił koniec i trwał, dopóki wydawnictwo Dark Horse Comics nie zgłosiło się do mnie z propozycją stworzenia tego prequela. Chcieli poznać historię pochodzenia *Violence*.

Tak się dzieje z każdym superbohaterem. Peter Parker zostaje ukąszony przez radioaktywnego pająka, Bruce Banner ma do czynienia z promieniowaniem gamma. Dark Horse chciało ode mnie historii wyjaśniającej, skąd się wzięła *Violence*.

Zgodziłam się niemal od razu, podekscytowana perspektywą nowego projektu. Tym sposobem mogłam wejść tylnymi drzwiami do wymyślonego przez siebie świata i mieć okazję do ponownej pracy ze swoimi bohaterami. Po raz pierwszy miałabym też pełną twórczą kontrolę zarówno nad scenariuszem, jak i rysunkami. Byłam wręcz uradowana. Do czasu, kiedy rzeczywiście musiałam się do tego zabrać.

Kochałam *Violence* – na tyle, na ile da się kochać fioletową samozwańczą obrończynię prawa i kanibalkę – ale nigdy nie wyjaśniłam, czym była ani skąd się wzięła, nawet samej sobie. Była po prostu piersiastym żywiołem z szalonym wzrokiem i srebrnymi kozakami do ud, mszczącym się krwawo w imieniu wszystkich, którym wyrwano serce i zdeptano je bez pardonu. Teraz musiałam się dowiedzieć, skąd się wzięła. Podpisałam umowę, w której zobowiązałam się, że to wyjaśnię, a dla rysowników komiksów deadline to świętość.

Najlepsze pomysły przychodziły mi do głowy wieczorami, kiedy balansowałam na granicy jawy i snu. W mojej branży historię tworzyły obrazki i to od nich zawsze zaczynałam. Zamykałam oczy i czekałam, aż bezimienne kolory rozleją się w konkretne kształty pod moimi powiekami i stworzą obrazy, które staną się sekwencją scen. Tym razem nie potrafiłam zapaść w ten stan przypominający sen, podczas którego rodziły się najlepsze pomysły. Kiedy zamykałam oczy, widziałam jedynie deadline. Miałam wrażenie, że zbliża się stanowczo za szybko. Że na mnie naciera i wcale nie ma dobrych zamiarów.

Walnęłam pięścią w poduszkę, przekręciłam się na bok i oto się stało. Zaczął istnieć Digby.

Oczywiście wiedziałam już o nim tamtego późnego czerwcowego wieczoru. Pierwsze podejrzenia miałam w marcu, kiedy nie dostałam okresu. Dwa tygodnie po tym, jak wzięłam udział w zlocie fanów komiksów w Atlancie, i doszło do tej całej klapy

z Batmanem. W zasadzie było to więc możliwe. W zasadzie.

Miałam już jednak trzydzieści osiem lat, nie byłam hiperpłodną dwudziestoparolatką, która może zaciążyć równie łatwo, jak zarazić się grypą. Kiedy okres spóźniał się dziesięć dni, tłumaczyłam sobie, że powinnam przywyknąć, iż mój cykl nie będzie już regularny. I tak musiałam wyskoczyć do sklepu po maszynki do golenia, więc dorzuciłam do koszyka colę i test ciążowy. Tę pierwszą wypiliśmy w drodze do domu, gdzie wykonałam ten drugi.

Oparta o umywalkę czekałam, aż minie odpowiednia liczba minut. Test leżał na zamkniętej desce sedesowej, na widoku, na chusteczce, jednak na niego nie zerkałam. Wzrok miałam utkwiony w dwóch steampunkowych rybach, które powiesiłam na ścianie nad wanną. Miejscowy artysta wykonał je z „przedmiotów znalezionych”, czyli krótko mówiąc, ze śmieci. Pordzewiały sprzęt elektroniczny, gwoździe, sprężyny i fragmenty uszkodzonych narzędzi dostały drugie życie. Te ryby zawsze mi się podobały, ale teraz miałam wrażenie, że się we mnie wpatrują. Miały okrągłe oczy z fragmentów starych teleskopów i grube usta z gumowych rur.

– Och, zamknijcie się – rzuciłam. Nie miałam pojęcia, że ryby mogą być tak krytyczne.

Dwie minuty później zobaczyłam różowy plusik.

Stałam tam i mrużyłam oczy, jakby coś się z nimi stało i raptem przestały działać. Znajdowałam się w wielkiej, przylegającej do sypialni łazience, która razem z wyposażonym w świetlik gabinetem na piętrze sprawiła, że zakochałam się w tym domu w stylu georgiańskim. Teraz to pomieszczenie wydawało się ogromne; gdybym krzyknęła, mój głos mógłby się odbić echem od ścian. Różowe opakowanie po teście, leżące na zlewie, wyglądało niepoważnie i stanowczo zbyt błaho jak na zwiastuna tak istotnych wieści.

Nie chciałam się umawiać na wizytę do ginekologa, u którego bywałam zazwyczaj, jakby chodziło o zapalenie dróg moczowych czy cytologię. Zamiast tego zadzwoniłam do przyjaciółki, Margot Phan.

– Mogłabyś mnie pilnie przyjąć? Teraz? – zapytałam.

Ona i jej mąż od dwunastu lat należeli do mojego kręgu wtorkowych graczy, ale nie chodziłam do niej po poradę. Była pediatrą.

– Poczekalnię mam pełną kilkulatków z katarem. Mamy tu żółty alert, Leia – odparła.

– U mnie żółty był już dawno temu. Teraz jest ogniście czerwony – oświadczyłam. – Leczysz nastolatki, prawda? Dasz radę sprawdzić, czy jestem w ciąży?

– O w mordę! – zawołała Margot. – Batman? Jaja sobie robisz? Natychmiast przyjeżdżaj!

Zainstalowała mnie w maleńkim gabinecie wyklejonym tapetą w leśne zwierzątka. Jeszcze raz nasiusiałam; oczywiście wynik okazał się pozytywny, a potem, na skutek moich nalegań, ze skrępowaniem obejrzała moją szyjkę macicy.

– Leia, kotku. Zaciążyłaś – rzekła.

– Tak na sto procent? – zapytałam, choć przecież Margot należała do moich najbliższych przyjaciół. Nie wkręcałyby mnie, niemniej odnosiłam wrażenie, że cała ta

historia to jeden wielki psikus. – Może powinnaś mi zrobić badanie krwi?

– To niepotrzebne – rzuciła Margot, po czym wstała i ruszyła w stronę drzwi. Usiadłam i okryłam się prześcieradłem.

– Ubierz się, a potem przyjdź do mojego gabinetu, dobra? Pogadamy. Nie jesteś sama.

Tak mnie zatkało, że w pierwszej chwili sądziłam, że chodzi jej o to, iż mam u boku Batmana. Tego prawdziwego. Nie jednorazowego superbohatera w kominiarce, który ma na imię Matt albo Mark. Albo Marcus. Nie mogłam sobie przypomnieć.

Pamiętałam za to, że pochodził z jakiegoś miejsca kończącego się na literę a. Floryda? Filadelfia? A może Kanada, tak jak kraj pochodzenia tego piwa, które piliśmy pomiędzy shotami tequili. Był wyższy ode mnie, ale to nic wyjątkowego. Możliwe, że był naprawdę zabawny; wtedy taki mi się z całą pewnością wydawał. Był ciemnoskóry – akurat co do tego mam pewność – i miał przepiękne uśmiech oraz linię żuchwy. W pewnym momencie musiał zdjąć tę swoją maskę ze spiczastymi uszami, bo mętnie pamiętam duże, brązowe oczy, mrugające i nieśmiałe, okolone firanką rzęs. Dzięki nim jego twarz wyglądała uroczo.

Pamiętałam także, że uwielbiał *Violence & Violet*. Rozpoznał mnie w hotelowym barze i podszedł, aby opisać wszystkie swoje ulubione sekwencje. Wypatrzył ptaki i małe zwierzęta, które poukrywałam na rysunkach jako cienie lub loki Violence. Zapytał, kiedy ukaże się prequel, i oświadczył, że nie może się doczekać. Jego podziw był jak balsam na moją duszę. Balsam, którego bardzo potrzebowałam. Wcześniej tego dnia cholernie się sparzyłam. Poza tym tequila nigdy nie okazywała się pomocna w podejmowaniu właściwych decyzji. Zaprosiłam go do swojego pokoju.

Całować zaczęliśmy się już w windzie; chwycił moje długie włosy i odchylił mi głowę w sposób, który bardzo mi się spodobał. Pamiętałam, że moje dłonie wślizgnęły się pod górną część jego kostiumu w poszukiwaniu ciepła. Pamiętałam jego nagie ciało rozciągnięte na hotelowym dywanie obok mojego, także nagiego, piwo lejące się strumieniami, siebie w pozycji na jeźdźca z odchyloną głową. Czy miałam na sobie jego batmańską pelerynę i nakrycie głowy?

Tak. Ze wstydem przypominałam sobie, jak zakładałam jedno i drugie, śmiejąc się przy tym jak szalona.

Obudziłam się skacowana i sama. Batman zostawił na poduszce liścik – „Jesteś niesamowita. Czekam z niecierpliwością na prequel” – wraz z numerem telefonu, którego prefiks z całą pewnością nie był z Wirginii. Pewnie go zmyślił, zresztą za kilka godzin czekał mnie lot powrotny do Norfolk. Nie mogłam zadzwonić i spróbować jakoś odkręcić tę przygodę na jedną noc. Wyrzuciłam liścik, a razem z nim potencjalną szansę na odnalezienie tego faceta. Tożsamość Batmana pozostanie niewiadomą.

Ubrałam się, ale nie poszłam do gabinetu Margot. Siedziałam ze wzrokiem wbitym w ścianę, z której uśmiechały się króliczki i sarenki w pastelowych kolorach. Szopy pracze patrzyły triumfująco, jakby się ze mnie śmiały.

No bo czemu miałyby być inaczej? Nieplanowana ciąża to tragedia, kiedy mama sama jest dzieckiem. W moim wieku to wszystko zahaczało o komedię. Czy nie powinnam była wykazać się większym rozsądkiem i nie zaciągać do pokoju

anonimowego Batmana? Co jak co, ale chyba powinnam już rozumieć zasadę działania prezerwatywy... Ludzie może i nie będą mówić mi tego w twarz, ale między sobą na pewno. Głośno.

I jeszcze rodzice! Ukryłam twarz w dłoniach i wzdrygnęłam się na myśl o ich reakcji. Byli drobnomieszczańskimi metodystami pochodzącymi z małych miejscowości. Już widziałam, jak matka cmoka z niezadowoleniem i wykręca ręce, gdy tymczasem mój ojczym, Keith, stoi zakłopotany za nią i próbuje mi jakoś wcisnąć pieniądze. Poza tym poinformowanie Keitha jest równoznaczne z poinformowaniem Rachel, a to było najgorsze.

Moja przyrodnia siostra nigdy nie miała nawet stłuczki, nie mówiąc o wpadce związanej z reprodukcją. U niej wszystko działo się w odpowiedniej kolejności, jak w tej piosence dla dzieci: „Najpierw miłość, potem wesele, a potem dzidzius w wózku się śmieje”. Nie tak jak u mnie.

Ostatnie, czego chciałam, to aby Rachel dowiedziała się o mojej wpadce. Tak cholernie irytująco by się nade mną litowała. Usprawiedliwiałaby mnie przed rodzicami: „Nie możemy winić Lei. Na pewno jest bardzo samotna. W przeciwnym razie nie doszłoby do tego desperackiego, żalosego incydentu z niemożliwym do odnalezienia Batmanem”. Niemal słyszałam, jak to mówi. A najgorsze, że naprawdę próbowałaby mi pomóc. Rachel zawsze mi pomagała, czasami tak niepowstrzymanie, że żałowałam, iż nie ustaliłyśmy jakiegoś hasła, którym mogłabym to skończyć.

Rozległo się szybkie pukanie do drzwi i pojawiła się w nich głowa Margot.

– Założyłaś już majtki? Długo nie wychodzisz.

Przed uchylone drzwi było słyhać dzieci bawiące się w poczekalni. Piski. Dudniące odgłosy biegania. Gdy tu przyszłam, musiałam się przedrzeć przez tłum małych zasmarkanych ludzi i ich matek. Tylko matek, choć przypuszczalnie każde dziecko miało ojca. Gdzieś tam. Wtedy ledwie zwróciłam na nie uwagę, bo spieszyłam się do gabinetu i Margot, by naprawiła oczywisty błąd domowego testu ciążowego. Teraz jednak zaczęłam je słyszeć.

Dziecko w sąsiednim gabinecie wybuchło głośnym, zawodzącym płaczem.

– Co tam się dzieje? – zapytałam.

Margot wzruszyła ramionami i zatknęła pasma atramentowych włosów za ucho.

– Biedaczek jest szczepiony.

Zamknęła drzwi, ale ja i tak go słyszałam. W jego płaczu pobrzmiwało tyle oburzenia. Trzydzieści sekund temu był równie niewinny jak te różowe króliczki na tapecie. Nie miał pojęcia, że coś może sprawić mu ból. Ktoś powinien był go ostrzec, że świat jest pełen kłujących przedmiotów i że dorośli będą mu je aplikować w dotąd niczym nieskalane uda. Z premedytacją.

Szybko jednak się uspokoił. Wtulony w matkę, pewnie zaczynał już zapominać. Prawdziwe, żywe ludzkie dziecko. Położyłam dłoń na brzuchu. Był miękki, nieco okrągłszy, niżbym sobie życzyła, dokładnie taki jak zawsze. Mimo to w środku nie było już tak samo. W tym pełnym zawstydzienia szoku, jakiego doznałam na wieść o ciąży, w ogóle nie pomyślałam o dziecku. Ale tak się przecież kończy każda ciąża.

– Będzie dobrze – zapewniła mnie Margot, po czym usiadła obok i mnie objęła.

– Niesamowicie dziwnie jest myśleć, że seks rzeczywiście ma konsekwencje – stwierdziłam.

„Reprodukcja” była słowem z licealnego podręcznika, jak fotosynteza i utlenianie. Po prostu kolejny proces, który musiałam zapamiętać, żeby zaliczyć biologię. A teraz biologia, ta prawdziwa i istotna, odprawiała swoje czary w czeluściach mojego ciała. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, na świecie pojawi się nowy, całkiem niezależny człowiek. Maleńki człowiek, który powstał w moim ciele. Mój człowiek. Mój syn albo moja córka.

– Chcesz porozmawiać o tym, jakie masz możliwości? – zapytała Margot, ale ja od razu pokręciłam głową.

– Mam trzydzieści osiem lat – odpowiedziałam, powoli i z powagą. – Nie jest tak, że kończą mi się możliwości?

Margot była moją przyjaciółką. Widziałam, że chce mi powiedzieć, iż to nieprawda. Ale była także lekarzem, a ja singielką, której za rok z hakiem stuknie czterdziestka. Odeszłam od każdego mężczyzny, z którym mogłam wziąć ślub. Nie, uciekłam. Znowu usłyszałam w głowie dziecięcą piosenkę: „Najpierw miłość, potem zdrada, a po niej bezkresny smutek wymagający kosztownej terapii”. Beznadziejny kawałek. Nawet się nie rymował, ale był mój. Nie założyłam rodziny, mimo że tego pragnęłam.

To nie uległo zmianie. Nadal chciałam się zakochać, poślubić idiotę mojego pokroju, wyprodukować kolejnych idiotów. Marzyły mi się wieczory z planszówkami, wypadki na letnie festyny i do Orlando, pieczenie muffinów z lepszego powodu niż własne łakomstwo. Wyobrażałam sobie, jak by to było dzielić z kimś życie. Robić dzieci, które są połączeniem nas dwojga. Czymś magicznym byłoby stworzenie potomka z nosem męża i moimi głęboko osadzonymi oczami.

A to dziecko? Może i przyjdzie na świat z nosem Batmana, ale skąd będę to wiedzieć? Nie pamiętam, jaki miał nos. Będzie dwurasowe; może i odziedziczy po mnie głęboko osadzone oczy, ale dla rasistowskiego sąsiada i tak nie będzie wyglądać jak moja rodzina. Albo dla czyjegokolwiek rasistowskiego sąsiada, jako że świat jest ich pełen. Poza tym będę je wychowywać zupełnie sama. Trudno w takim przypadku mówić o spełnieniu marzeń.

Nie miało to znaczenia. Bez względu na to, jak żenująca historia łączyła się z jego poczęciem, bez względu na potencjalne ryzyko, w mojej macicy pojawił się załazek rodziny.

– Rośnie we mnie dziecko – powiedziała przerażona do Margot, jednak oprócz strachu usłyszałam w swoim głosie radość. Ona najwyraźniej także, gdyż uśmiechnęła się szeroko i mocno mnie przytuliła.

– No tak, mamuśko – rzuciła i wypisała mi receptę na suplementy dla ciężarnych.

Przez kilka pierwszych miesięcy był to sekret dzielony z Margot i moim ginekologiem. Kupiłam książkę *Późne kwiaty: poradnik dla kobiet w ciąży po 35. roku życia*, w której sugerowano, aby dobrą nowiną zachowywać dla siebie przynajmniej do końca pierwszego trymestru. Uznałam, iż ma to sens, i to nie tylko dlatego, że na myśl o powiedzeniu o ciąży siostrze ogarniał mnie strach. Miałam jeszcze jeden, ważniejszy powód. W moim wieku ciążę kwalifikowano jako tę o podwyższonym ryzyku. Chodziłam

na dodatkowe wizyty lekarskie, robiono mi więcej badań, a w głębi duszy żywiłam przekonanie, że to się nie uda. Że to nie jest coś, co będzie mi dane.

Tak więc pracowałam, spotykałam się z przyjaciółmi, wykladałam jedzenie dla nieufnego bezpańskiego kota, który mieszkał w moim ogrodzie. Chodziłam do kościoła i organizowałam u siebie wtorkowe wieczory z planszówkami. Segregowałam śmieci. Wszystko wydawało mi się dokładnie takie samo, jak podczas tych tysięcy razy, kiedy nie byłam w ciąży. Brakowało mi kieliszka wina do kolacji, ale nie licząc nocy z Batmanem, nie byłam jakąś wielką fanką alkoholu. Nie dokuczały mi mdłości ani nie stałam się bardziej humorzysta niż zazwyczaj. Nie soliłam lodów ani nie wcinałam kredy. Po kilku tygodniach musiałam wyciągnąć z dna szafy większe dzinsy, ale nie było to niczym nadzwyczajnym – działo się tak po każdym Bożym Narodzeniu.

Podczas czwartej wizyty krwinki płodowe powiedziały nam, że moje dziecko jest genetycznie zdrowe i że to z całą pewnością chłopiec. Oficjalnie rozpoczął się drugi trymestr.

Według *Późnych kwiatów* to właśnie teraz to cholerstwo stawało się realne. Może nie użyto konkretnie tych słów, niemniej autorzy poradnika i zdrowy rozsądek zgadzali się co do tego, że pora przerobić sypialnię dla gości na pokój dla dziecka, kupić trochę pieluch oraz przeznaczony na nie kosz i hej, może napomknąć o ciąży rodzinie i znajomym. Nie zrobiłam tego. Nosiłam w sobie prawdziwego, zdolnego do życia człowieka, tyle że dla mnie wciąż wydawał się niematerialny. Był niczym rysunek, który miałam już w głowie, ale którego nie zdążyłam jeszcze naszkicować.

Nie powiedziałam nawet babci, jedynej żyjącej krewnej ze strony ojca. Dzieliło nas ponad tysiąc kilometrów, bo mieszkała w Birchville w stanie Alabama. Była zajęta dbaniem o to, aby jej klomby z bratkami wyglądały perfekcyjnie, odnoszeniem się z dezaprobatą do młodych ludzi i własną rasistowską sąsiadką. W sumie powinnam zacząć od niej, bo po pierwsze, nie doniosłaby na mnie mamie, Keithowi i Rachel, a po drugie, cholernie mnie kochała.

Przypominałam jej mojego tatę, który był niski, miał ciemne włosy i kręłą budowę, zupełnie jak ja. I jak ja uwielbiał buszować w antykwariatach, był fanem sera topionego w tubce i planszówek. Na moim ulubionym zdjęciu, tym, które noszę w portfelu, miał uszy Spocka. Imię dla dziecka wybrał, kiedy byłam zaledwie kilkucentymetrowym płodem, ale nigdy się nie dowiedział, czy jestem Leią czy Solo. Trzy tygodnie przed moim przyjściem na świat zabił go pijany kierowca, co stało się największym nieszczęściem w i tak niełatwym życiu babci.

Zasługiwała na to, aby się dowiedzieć, że niedługo zostanie prababcią, ale chociaż dzwoniłam do niej co najmniej dwa razy w tygodniu, nie pisnęłam na ten temat słowa. Poród – taki, którego efektem końcowym jest dziecko – wydawał mi się mało prawdopodobny i odległy. Powiedzenie o nim babci oznaczało dla mnie złożenie obietnicy, której mogłabym nie dotrzymać. Nie wierzyłam w niego – w Digby'ego – aż do tego pierwszego piątku czerwca, trzeciej dwie nad ranem, kiedy cierpiałam na bezsenność i nie przychodził mi do głowy ani jeden pomysł na prequel do *Violence & Violet*.

Może dlatego, że *V & V* napisałam tak dawno temu? Pierwsze szkice zaczęłam

tworzyć przed dwiema dekadami, w ostatniej klasie liceum, kiedy właściwie sama byłam jeszcze płodem. Dzięki tym rysunkom dostałam się do Akademii Sztuk Pięknych w Savannah, a kompletna powieść graficzna była moją pracą zaliczeniową na tytuł licencjata sztuk pięknych o specjalizacji sztuka sekwencyjna.

Powieść zabrałam ze sobą na nieduży zlot w Memphis, gdzie pokazałam ją facetowi, który zatrudniał rysowników. Spodobał mu się mój styl cieniowania i zaproponował mi pracę. *V & V* schowałam do pudełka i wzięłam się do roboty, a dzięki tej pierwszej posadzie krok za krokiem zbliżałam się do kariery wolnego strzelca. Byłam dobra w swoim fachu, sukcesywnie poprawiałam warsztat i zawsze dotrzymywałam terminów. Na przestrzeni lat pracowałam dla każdego większego wydawcy, szkicując i wypełniając tuszem przeróżne postacie, od Ant-Mana do Generała Zoda.

Sześć lat temu, kiedy aktualizowałam swoją witrynę internetową, zeskanowałam i wgrałam kilka pierwszych stron *V & V*. W ciągu pierwszego miesiąca pobrano je dwieście razy. W ciągu dwóch kolejnych – tysiąc. Nim lato dobiegło końca, miałam ponad dwadzieścia tysięcy udostępnień i podlinkowań, a serwer nie radził sobie z ruchem na stronie. Moje konta w mediach społecznościowych zaląła fala próśb o całą historię.

Wydałam ją własnym sumptem jako e-book, a w papierowej wersji jako tak zwany druk na żądanie. Tylko w pierwszym roku kupiono ponad sto tysięcy egzemplarzy. *V & V* nadal dobrze się sprzedawała i teraz otrzymywałam honoraria za wygłaszanie prelekcji na organizowanych w całym kraju zlotach dla wielbicieli komiksów oraz literatury fantasy i science fiction. Kiedy brałam udział w rysowaniu innych serii, moje nazwisko na okładce gwarantowało świetną sprzedaż; w końcu Dark Horse złożył mi naprawdę motywującą propozycję narysowania prequela. Jedynym problemem było to, że nie miałam na niego pomysłu.

Walnęłam pięścią w poduszkę i próbowałam się skupić na swojej antybohaterce. Jak to się stało, że Violence nauczyła się latać, gryźć, sprytnie się posługiwać zakrzywionymi nożami? Kiedy dwadzieścia lat temu zaczęłam tworzyć tę powieść graficzną, skoncentrowałam się na Violet, załamanej dziewczynie, którą bierze pod swoje skrzydła Violence. Jej postać wzorowałam na sobie, znałam więc jej charakter na wylot. Violence była jedynie środkiem prowadzącym do celu. Do bardzo krwawego celu, jeśli mam być szczerą, i nigdy nie wychylałam się ponad to. Teraz musiałam wypełnić puste strony jej historii. Zatopiłam się jeszcze głębiej w swoim mrocznym wnętrzu i czekałam na początek opowieści, na kolory i kształty, które mi go zaprezentują. Niemal już drzemiąc, przekreśliłam się na bok.

Kiedy w końcu znieruchomiałam, jakaś maleńka część mnie nie przestawała się wiercić w środku. Czułam to. To było niczym bezgłośne trele czegoś na kształt dźwięku. Maleńki kluczyk przekraczający się w zamku, o którego istnieniu nie miałam dotąd pojęcia.

Czułam ten ruch w sobie, ale to nie byłam ja. To było coś innego, ktoś inny, uparcie wymachujący płetwokatymi rękami albo tym, co już się w nim rozwinęło. Czułam to w sobie, należało do mnie, ale nie miałam nad tym kontroli.

W tym momencie zaczął istnieć mój syn. Stał się realny w sensie, w jakim nie było go jeszcze pięć sekund wcześniej. Znacznie bardziej realny niż przed niemal czterema

miesiącami, kiedy podczas sprzątanía hotelowego pokoju w Atlancie znalazłam tylko jedną zużytą prezerwatywę, a w pamięci miałam dwa numerki. Druga gumka leżała na stoliku obok łóżka, pełna dobrych zamiarów, ale ciągle w foliowej paczuszce. Teraz czułam, jak syn podejmuje w moim ciele własne małe decyzje, no i znałam już jego imię. Skojarzenie było tak niemądre i niejasne, że tylko ja mogłam je pojąć.

– Hej, Digby? To ty? – zapytałam, nasłuchując tego przedziwnego dźwięku, który wcale nie był dźwiękiem.

Znowu się pojawił, jakby w odpowiedzi na pytanie. W innych okolicznościach w ogóle nie zwróciłabym na niego uwagi.

– Och, rzeczywiście tu jesteś – oświadczyłam, mimo że w *Późnych kwiatach* twierdzono, iż zacznę mnie słyszeć dopiero za kilka tygodni.

W książce nazywano to przyspieszaniem, co doskonale oddawało stan rzeczy, bo kiedy on przyspieszał, działo się tak z całym moim życiem. Byłam w ciąży, a to dziecko nie dostało nawet swojego łóżeczka. W tej chwili miało tylko mnie. Musiałam przekazać innym wielką nowinę. W mojej grupie wtorkowych graczy przyjęło się, że obdarzaliśmy jedzeniem tych, którym urodziło się dziecko albo którzy zachorowali. Na przestrzeni lat przyrządziłam niezliczoną ilość zapiekanek i zup; teraz mogłam liczyć na rewanż.

Przede wszystkim musiałam jednak powiedzieć rodzinie, i to szybko. Rodzicom jest potrzebny czas na otrząśnięcie się z szoku, tak żeby mama nauczyła mnie, jak się karmi piersią, a Keith pokazał, jak zamontować fotelik samochodowy, którego jeszcze nie miałam.

W każdą niedzielę po kościele Rachel urządzała u siebie uroczysty rodzinny obiad. Gościłam u niej kilkanaście razy, odkąd zaszłam w ciążę, jedząc za dwoje krewetki czy wołowe medaliony i nie puszczając pary z gęby. Postanowiłam, że w najbliższą niedzielę po prostu o wszystkim powiem.

„Mmm, pięknie pachnie, i wiecie co? Zaciążyłam”. I już.

Z góry wybaczyłam mamie i Keithowi ich niezbyt wymarzone pierwsze reakcje. Na pewno poczują się zażenowani. Przedstawię im wszystko w pozytywnym świetle, zapewnię, że jestem zdrowa i szczęśliwa, i przypomnę, iż po raz drugi zostaną dziadkami. Skończy się tak, że nie będą kochać Digby’ego mniej za to, że nie ma ojca albo ma ciemniejszą karnację, ale od tego dzieli mnie jeszcze długa droga.

Rachel będzie mnie wspierać, ale kiedy zostaniemy same, ona także natrze mi uszu. Będzie wkurzona za dawanie złego przykładu jej trzynastoletniej córce. Jej mąż pewnie też, ale pieprzyć go. Ze wszystkich stąpających po Ziemi durni Jake Jacoby jest ostatnim, któremu wolno wyrażać opinię na mój temat.

Przełknę wszystko, co będą mi musieli przekazać, a potem zapewnią mi wsparcie. Nam. Nie mają innego wyjścia: Rachel ich do tego zmusi. Ona sama potrafi zapewnić tyle wsparcia, że na to także muszę się przygotować. Do niedzieli muszę zamówić przez internet wszystko, co jest potrzebne do urządzenia błękitnego pokoju małego Supermana, nim Rachel wyskoczy z modnymi kolorami neutralnymi, surowym drewnem i tymi potwornymi szwedzkimi pluszowymi zwierzętami z Goop.

W niedzielę wieczorem zadzwonię do mieszkającej w Alabamie babci. Gdyby Birchie była typową dziewięćdziesięciolatką z małego miasteczka na Południu, pewnie

wzdrygałabym się już na samą myśl o tym, że muszę jej powiedzieć o ciąży, ale ona to egzemplarz jedyny w swoim rodzaju. Zgoda, Birchie przestrzegała w życiu całej listy zasad, ale to była lista, którą sama stworzyła. Telefon do niej postrzegałam bardziej jako nagrodę za stawienie czoła Rachel i rodzicom.

Wiedziałam, że kiedy powiem Birchie o Digbym, moja sztywna i pruderyjna babcia będzie uradowana. Uradowana faktem, że linia rodziny Birchów nie zakończy się na niej i na mnie. Uradowana w ten sam niesamowity, sekretny sposób jak ja, kiedy czułam – teraz także? – jak mój syn się porusza. Przyprawiało mnie to niemal o zawrót głowy. Leżałam w ciemności, upajając się trzepotaniem tego maleńkiego, kającego na siebie długo czekać, niedoskonałego czegoś, czego zawsze pragnęłam.

Właściwie to nie mogłam się już doczekać, kiedy zadzwonię do babci. Jej życie wyglądało trochę podobnie: jeden syn, który przyszedł na świat, kiedy była już po trzydziestce, i którego wychowywała sama. Zgoda, młodo owdowiała, a w poczęciu brał udział prawowity mąż, niemniej jednak Birchie zrozumie lepiej niż ktokolwiek inny, że mam wrażenie, jakby wraz z początkiem istnienia mojego syna moje życie także dopiero się zaczynało.

Tym, o czym nie miałam bladego pojęcia, gdy nie mogłam się doczekać rozmowy z babcią, od której dzieliło mnie ponad tysiąc kilometrów, był fakt, że jej życie nieuchronnie zbliża się ku końcowi.

Historia Birchville w stanie Alabama była tak nierozdzielnie związana z historią mojej babci, że nie da się opowiedzieć jednej bez drugiej. Samo miasteczko zostało założone przez dziadka Birchie, Ethana, najstarszego syna starej charlestońskiej rodziny, zajmującej się przewozem morskim, której okrętom udało się w czasie wojny secesyjnej przedrzeć przez blokadę. Swoje pieniądze ulokowali bezpiecznie poza granicami kraju, dzięki czemu ich majątek, w przeciwieństwie do reputacji, przetrwał wojnę bez szwanku. Kręgi ich znajomych zostały zdecydowanie uszczuplone, jako że mało który południowiec bardziej cenił roztropność od patriotyzmu.

W 1874 roku Ethan, który w czasie wojny był jeszcze dzieckiem, cieszył się co prawda dobrami materialnymi, ale musiał się mierzyć z potępieniem ze strony starej gwardii. Miał ochotę zacząć od nowa i nie był jedynym młodym człowiekiem w Charleston, który tego pragnął. Wyjechał, a razem z nim kilku synów starych rodzin: Darian, Alston oraz dwóch zubożałych chłopaków od Macka. Mackowie utopili cały majątek w obligacjach rządu Konfederacji i czuli ogromne rozgoryczenie.

Ethan założył Birchville na zgliszczach jednego z miasteczek, które wojna pozbawiła praw miejskich. W pierwszej kolejności zajął się odbudową kościoła, a zaraz potem na wzgórzu po drugiej stronie drogi wznosił wielki biały dom w stylu wiktoriańskim. Kiedy oba budynki były gotowe, posłał do Charleston po swoją dziewczynę, aby poślubić ją w jednym i zamieszkać razem z nią w drugim. W tym domu przyszedł na świat mój pradziadek Ellis Birch. A później także moja babcia.

O dziewiątej rano w każdą niedzielę Birchie siadywała w tym właśnie domu w wytwornej jadalni i przez duże okno wykuszowe obserwowała, jak jej miasteczko budzi się ze snu. Za plecami miała portrety dziadka i ojca, którzy także obserwowali swoje miasto, poważni, acz dobrotliwi. Na twarzy Ethana malowała się duma, co stanowiło cechę charakterystyczną ówczesnych portretów. Ellis wyglądał na jeszcze bardziej dumnego, do tego miał przyprawiające o gęsią skórkę oczy Wuja Sama, które zdawały się omiatać całe pomieszczenie. Nigdy nie lubiłam jeść posiłków w jadalni pod jego namalowanym spojrzeniem, no ale to był dzień pański. Birchie w niedzielę nie korzystała z przytulnej wnęki jadalnej, tak samo jak nie uprawiała prancercise¹. Oczami wyobraźni widziałam, jak siedzi wyprostowana, nogi ma skrzyżowane w kostkach i raczy się jajkiem i kawą w towarzystwie Wattie Price.

Nie musiałam wyobrażać sobie tych okropnych wydarzeń, które tego akurat ranka czekały na nie po drugiej stronie ulicy, w Pierwszym Kościele Baptistów. Całą historię mogłam poznać pod każdym możliwym kątem, jako że wszyscy parafianie, którzy byli obecni – a także kilku, których tam w tym czasie nie było – zapoznali mnie potem z drastycznymi szczegółami.

Kiedy kościelne dzwony oznajmiły, że jest kwadrans po dziesiątej, Birchie i Wattie ostrożnie zeszły po szerokich schodach, które prowadziły na werandę. Te dwie staruszki, korpulentne, niskie i wątle, wyglądały jak solniczka i pieprzniczka z tego samego kompletu, kiedy tak niepewnie dreptały w dół wzgórza, kierując się ku świątyni, równie punktualne jak przypływ i odpływ.

Populacja Birchville była nieco mniejsza, a średnia wieku wyższa niż za czasów mojego dzieciństwa, nadal mieszkali tu jednak Darianowie oraz całe mnóstwo Alstonów i Macków. Moja babcia była jedynym żyjącym Birchem, a wszystkie rodziny noszące stare nazwiska należały do Pierwszego Kościoła Baptystów. Kiedy Birchie i Wattie dostojnie mijaly rzędy ławek po lewej stronie nawy, wierni rozstępowali się, obdarzając je uśmiechami i pozdrowieniami. Birchie traktowała to jako coś, co jej się należy, i zatrzymała się, by wymienić znaczące spojrzenie z Wattie, tylko wtedy, gdy Martina Mack wparowała do kościoła w swoim ogromnym niedzielnym kapeluszu. Zasłaniał innym widok i krzyczał czerwienią ponad pierzastymi siwymi włosami właścicielki, ale ta nie zamierzała go zdjąć ani usiąść gdzieś z tyłu. Musiała siedzieć w drugiej ławce, dokładnie po przeciwnej stronie niż Birchie.

Wattie miała problemy z kolanami, więc Birchie najpierw pomogła jej zająć miejsce, a dopiero potem sama usiadła. Kilkoro parafian odwróciło na ten widok wzrok. Zdawali się nie pamiętać o tym, że Wattie wcale nie pracuje dla Birchie. Właściwie to nigdy dla nas nie pracowała. Robiła to matka Wattie, Vina. To ona była gospodynią Birchów. Kiedy matka Birchie zmarła tuż po porodzie, Vina kołysała małą, uczyła ją piosenek i układała do drzemki w kojcu ustawionym w kuchni. Miała jeszcze mleko po najmłodszym synu, karmiła więc Birchie własną piersią. Mniej więcej rok później urodziła Wattie, która dla Birchie stała się jak siostra. Obie każdego sierpnia brały udział w produkcji dżemów: jako przyglądające się oseski, zbyt małe, aby stanowić rzeczywistą pomoc, potem jako młode dziewczęta, mężatki i w końcu jako mistrzynie zapraw, regularnie zdobywające nagrody podczas dorocznego jarmarku.

Dwanaście lat temu zaczęłam się martwić tym, że Birchie – która miewała problemy z utrzymaniem równowagi, a do tego pogarszał jej się wzrok – mieszka sama w tym wielkim domu pełnym schodów. Chciałam, żeby przeprowadziła się do Wirginii i zamieszkała w prywatnym ośrodku opieki niedaleko mnie, ale ona nie chciała nawet o tym słyszeć.

Tymczasem umarł mąż Wattie, a obaj jej synowie mieszkali daleko: Stephen w Chicago, Sam w Houston. Oni także się martwili. Dom Wattie stał przy odludnej drodze za miastem. Niemal codziennie jeździła do Birchville, coraz mniejszą uwagę zwracając na to, na którym pasie znajduje się jej samochód. Ona i Birchie przesiadywały na werandzie podczas dobrej pogody, a kiedy padało, zajmowały fotele naprzeciw dużych okien w salonie. Robiły na drutach, rozmawiały i nadzorowały życie miasteczka. Wszystkim ulżyło, kiedy Wattie oblała testy dla kierowców i przeprowadziła się do domu Birchie. Spacerkiem chodziły razem do salonu piękności, biblioteki, trzech restauracji i pasmanterii. W Piggly Wiggly nie oferowano dostawy, ale dla Emily Birch Briggs? Artykuły spożywcze wędrowały prosto do jej domu.

Im dłużej razem mieszkały, tym większa stawała się ich symbioza. Ostatnim spoiwem okazał się Kościół. Na papierze Wattie nadal pozostawała członkiem Kościoła pod wezwaniem Chrystusa Odkupiciela, a niedaleko jej dawnego domu stał zbór. Birchie także nie wypisała się z Pierwszego Kościoła Baptystów, ale od lat razem uczęszczały na nabożeństwa, raz do baptystów, raz pozwalając, aby jeden z diakonów zawoził je do Odkupiciela. Ten akurat tydzień należał do baptystów i obie siedziały teraz pochylone nad

parafialnym biuletynem.

Birchie robiła staranne notatki na marginesie planu nabożeństwa, wyprostowana i uważna, z godnością kiwając głową Wattie, kiedy pastor postąpił zgodnie z planem, marszcząc zaś lekko brwi, kiedy tego nie zrobił. Skinień głową było dzisiaj doprawdy niewiele.

Wattie zachowywała stoicki spokój. Jej duże oczy z ciężkimi powiekami zdawały się ledwie mrugać, ale bystry obserwator dostrzegłby, że pełne usta zaciska za każdym razem, kiedy Birchie kręci głową. Wielebny Richard Smith był młody, służył w parafii od niedawna i miał skłonność do gadania o ośmiu błogosławieństwach. Kazał się nazywać pastorem Rickiem, a czasami, kiedy wspominał o piekle, niemalże czynił w powietrzu cudzysłów. Gorzej, że nie robił tego, gdy napomykał o dinozaurach. Ani Birchie, ani Wattie nie pochwalały takiego zachowania.

Stary pastor – należycie zasuszony przedstawiciel ich pokolenia – zmarł. Zamiast awansować Jima Campbella, nudnie przystojnego pastora w średnim wieku, władze kościelne oddelegowały do Birchville tego nowego chłopaka. Co prawda urodził się w Alabamie, jak należy, ale do seminarium uczęszczał w Kalifornii.

Z tego, co mi było wiadomo, wrócił wciąż przepełniony doktrynami baptystów z Południa, ale miał także sandały, no i nie jadał czerwonego mięsa. Co gorsza, nakłaniał parafian do założenia konta na Facebooku. Zrobiły to nawet Birchie i Wattie, z czystej grzeczności. Parafialny newsletter zaczął się ukazywać wyłącznie w wersji elektronicznej. Pastor Rick twierdził, że to dlatego, by ratować drzewa, to jednak oznaczało, iż musiały się nauczyć uruchamiać sprezentowany przeze mnie komputer. Dla mojej babci to wszystko świadczyło o tym, że pastor jest teraz z Kalifornii, czyli właściwie z Babilonu – miejsca akcji tysięcy filmów o cudzołóstwie, przed których oglądaniem zdecydowanie się wzbraniała.

– No i poci się podczas modlitwy – powiedziała mi kiedyś przez telefon. W jej małych, zaciśniętych ustach brzmiało to jak przekleństwo.

– Jestem pewna, że nic nie może na to poradzić – odparłam.

– A właśnie, że może. W kościele jest klimatyzacja.

Kto jak kto, ale Birchie doskonale o tym wiedziała, jako że w latach siedemdziesiątych sama za nią zapłaciła.

– Ambona stoi tuż pod nawiewem, ale on nie stamtąd głosi Słowo Boże – wtrąciła Wattie. Miały włączony głośnik. Zawsze lubiły towarzyszyć sobie wzajemnie w rozmowach, ale przez dwa ostatnie lata coraz częściej używały głośnika. Obecnie razem odbierały każdy telefon. – Zakłada takie słuchawki z mikrofonem, jak jakaś gwiazda pop, wymachuje rękami i skacze tam i z powrotem.

– To prawda! – potwierdziła Birchie. – Kiedy się wygina na tych... ekranach, czuję się tak, jakbym oglądała komunistkę Fondę na jednej z tych tandetnych kaset z aerobikiem.

– Wszyscy korzystają teraz z monitorów – oświadczyłam. – I nikt nie ogląda kaset. Ani nie ćwiczy aerobiku.

Usłyszałam sceptyczne „hmm”, ale nie wiedziałam, czy to Birchie, czy Wattie.

– Na tym ekranie wyświetlają tylko słowa – rzekła Wattie. – Jak można śpiewać

bez nut?

– Od czasu, kiedy wprowadzili te ekrany, Lois Gainey strasznie fałszuje. Twierdzi, że to wina zniszczonych śpiewników, ale zaproponowałam, że kupię nowe. Dwa razy. – Z jej tonu wywnioskowałam, że Birchie nie skorzystała ze swoich zasobów finansowych, aby pomóc w zainstalowaniu ekranów.

Mimo tych wszystkich zmian ciągle lubiła siedzieć w swojej ławce. Dzisiaj w parafii organizowano Piknik Rybny na początek lata. Była to tradycja równie stara i otoczona niemal taką czcią jak sama Birchie.

Gdy byłam małą, co roku brałam udział w pikniku. Każde wakacje spędzałam w Birchville. Nie byłam fanką futbolu ani ryb, ale i tak uwielbiałam rodzinne miasteczko babci. Birchie kupowała mi kolorową kredę; rysowałam nią na chodniku komiksy, a każda płyta stanowiła osobną scenę. Na papierze milimetrowym babcia kreśliła motywy graficzne z *Batmana* i *Gwiezdnych wojen*, by nakłonić mnie do nauki haftowania, i nie potrzebowałam innej nagrody oprócz ciasta, żeby chcieć, aby Wattie nauczyła mnie piec swój perfekcyjny kruchy placek. Co roku szyły mi nowy kostium Wonder Woman. Wolno mi było biegać w nim po miasteczku i odgrywać z miejscowymi dziećmi scenki z *Super Friends*, dopóki Birchie nie wezwała mnie wiszącym na werandzie dzwonkiem na kolację. W Norfolk mogłam nosić ten strój tylko w domu. „To krępuje Rachel”, tak mi powiedziała mama, a rumieniec na jej policzkach stanowił potwierdzenie tego, że nie tylko Rachel czuła się skrępowana.

Dla mnie lato zaczynało się smakiem sumy obtoczonego w mące kukurydzianej i gruboziarnistej soli, chrupiącego i gorącego, serwowanego na papierowych talerzykach. Do tego słodka herbata w papierowych kubkach. Sałatka z sałaty lodowej i pomidorków koktajlowych, hojnie skropiona domowym dressingiem. Smażona okra. Duże kawałki ciasta na deser. Do dzisiaj właśnie tak smakuje dla mnie wolność.

W tym roku mżyło – do czego przez wiele dekad nie dopuszczały tego dnia modlitwy Birchie (pewnie Bóg wziął pod uwagę zachowanie pastora Ricka) – nie było jednak mowy o odwołaniu czy przełożeniu pikniku. Grupa młodzieży porozstawiała stoły w sali parafialnej. Kiedy jej próg przekroczyły Birchie i Wattie, od razu przywitał je pastor Rick.

– Drogie panie, nie będziecie przecież czekać w kolejce. Proszę, siadajcie. Zaraz wam wszystko przyniesiemy.

To akurat robił jak trzeba. Podczas kościelnych imprez w kolejce nie musiały stać żadne staruszki ani kobiety w ciąży. Pastor Rick zaprowadził Birchie i Wattie do swojego stołu, przy którym siedzieli już diakoni, pastor Campbell i jego żona Myrtle. Birchie zajęła miejsce naprzeciw Franka Dariana, swojego prawnika, który mieszkał i pracował w dużym niebieskim domu niemal po sąsiedzku. Był jedynym mężczyzną przy tym stole, który nie sprawował żadnej funkcji kościelnej. Jeannie Anne, jego żona, zajmowała się duszpasterstwem dziecięcym. Była to praca w niepełnym wymiarze godzin, wymagająca częstej zabawy z pacynkami, dlatego można ją było powierzyć kobietom.

Pastor Rick położył przed staruszkami papierowe talerze i powiedział:

– Proszę bardzo! Smacznego!

Tuż za nim pojawiła się jego żona z herbatą i serwetkami.

Coś się jednak nie zgadzało. Na talerzach nie było suma. Ani smażonej okry. Ani sałaty lodowej. Zamiast tego leżało na nich coś, co według Birchie wyglądało jak paczuszka gotowa do wysłania pocztą – kwadrat pergaminu przewiązanego sznurkiem.

– A co to takiego? – zapytała Wattie.

– Łosoś. Gotowany na parze, ze świeżymi ziołami i wiosennymi warzywami – wyjaśnił pastor Rick.

Cisza. Wattie odwróciła głowę i coś szepnęła, a jej usta niemal dotknęły ucha Birchie. Wiele rozmów odbywało się w taki sposób, że ona szeptała, a jej oddech poruszał śnieżnobiałymi kosmykami, które wymykały się z koka Birchie. Ostatnimi czasy ten widok był tak częsty, że nikt nie zwrócił na nie większej uwagi. To znaczy nie w tamtym momencie.

– Ale to piknik ze s m a ż o n y m i rybami – oświadczyła Birchie, kładąc nacisk na słowo „smażonymi”.

– Ta potrawa nazywa się łosoś *en papillote* – rzekł pastor Rick.

– Brzmi z francuska – stwierdziła ponuro Birchie, ale biedny Rick nie wyłapał jej tonu.

– Tak! To danie francuskie – przytaknął radośnie. – I znacznie zdrowsze.

Birchie wyglądała, jakby miała ochotę coś dodać, ale uspokajająco podział na nią cichy głos Wattie. Po chwili spuściła wzrok i rzuciła:

– Cóż, wobec tego spróbujmy.

Wattie popatrzyła na swoją paczuszkę. Pełne usta zacisnęła w cienką linię. Co prawda uspokoiła Birchie, ale sama nie zrobiła nic, aby posmakować tego niewłaściwego jedzenia.

Birchie rozwinęła papier, a jej oczom ukazały się intensywnie zielone szparagi i kilka pomidorków koktajlowych ze skórką pomarszczoną od pary. Złożyła usta w dziubek. Jej mina wyrażała to samo co zaciśnięte usta Wattie.

Pastor Rick zwrócił się do Jeannie Anne Darian:

– Udało się pani znaleźć dwóch ostatnich ochotników do wakacyjnej szkółki niedzielnej?

Jeannie Anne zaczęła coś mówić, ale w tym momencie wtrąciła się Birchie.

– Nie ma chleba kukurydzianego?

– Cóż, nie... uznaliśmy... Węglowodany są... – dukał pastor Rick, ale także jemu Birchie weszła w słowo.

– I herbatników też nie?

– Możliwe, że w spizarni znajdują się jakieś krakersy.

– Co za bzdura – oświadczyła Birchie, a Wattie ponownie nachyliła się ku niej i coś szepnęła. Brak herbatników okazał się jednak kroplą, która przelała czarę goryczy, bo Birchie odwróciła się do niej i rzekła: – Nie, Wattie, tak być nie może.

Przy stole zapadła cisza. Pastor Rick był tu nowy, ale nawet on rozumiał potęgę tych słów, wypowiedzianych przez Bircha panującego w Birchville. Niemal się wzdrygnął.

– Powinna pani najpierw spróbować! To takie zdrowe. I pyszne. Wiem, że będzie pani smakować.

Birchie odsunęła głowę od uspokajających szeptów Wattie. Plastikowym widelcem rozsunęła warzywa i jej oczom ukazał się łosoś. Błyszczał od oliwy i soku z pomidorków; był posypany czarnym pieprzem i ziołami.

– Och, mój drogi, w żadnym razie tego nie zjem – rzekła, a ton jej głosu stał się niebezpiecznie słodki. Słodki jak ciasto. Słodki niczym herbata. Wattie nachyliła się bardziej, jej szepty stały się ponagląjące, ale Birchie nie zwracała na nią uwagi. Jej niebieskie oczy błyszczały na tle upudrowanej twarzy. – Wygląda jak penis pastora Campbella, cały różowy i piegowaty.

Powiedziała to tonem tak pogodnym i rzeczowym, że do zgromadzonych dopiero po kilku sekundach dotarło znaczenie jej słów. Diakon Lester aż się zakrztusił. W tej zaszokowanej ciszy starał się kaszleć jak najciszej. Anna Gentry oblała sobie bluzkę herbatą i nawet nie pisnęła. Jeannie Anne Darian znieruchomiała z kęsem ryby w połowie drogi do ust, wybałuszając przy tym oczy.

Nie wydawało się możliwe, aby Emily Birch Briggs wypowiedziała na głos słowo „penis” czy choćby uznała istnienie czegoś takiego. Gdyby po przykościelnym trawniku zaczął biegać dwumetrowy penis, wszyscy by się spodziewali, że panna Birchie pozostanie na niego zupełnie ślepa. „Śliczny zachód słońca”, tak mogła to skomentować, patrząc przez niego na boską panoramę. Teraz jednak w sali parafialnej potwierdziła istnienie męskich genitaliów; co więcej, głośno powiedziała, że pastor Campbell też je ma. Opisała je z takimi szczegółami, że mogło się wydawać, iż rzeczony członek miała okazję poznać osobiście, co było przecież zupełnie nieprawdopodobne. Na czoło pastora Ricka wystąpiły krople potu, a wszyscy diakoni mieli oczy wielkie jak spodki. Pastor Campbell, słysząc to szkalowanie tak ważnej części swojej anatomii, otwierał i zamykał usta, ale nie wydostawały się z nich ani żadne słowo, ani nawet oddech.

Wattie, jedyna niezaszokowana osoba na sali, wstała i powiedziała:

– Birchie, musimy wracać do domu. Ale już.

Babcia pogardliwym gestem wbiła plastikowy widelec w rybę i oświadczyła:

– No ale przecież tak wygląda, Wattie! Zapytaj Jeannie Anne. Ona widuje ten penis ze znacznie mniejszej odległości. Raczej nie tak należy wykorzystywać schowek na stroje dla chóru, choć pewnie nie ja powinnam się wypowiadać na ten temat.

Atmosfera na sali, i tak już pełna iskier, nagle ożyła od elektryczności. Zapadła taka cisza, że osoby siedzące najbliżej usłyszały, jak Wattie szepcze gorączkowo do Birchie:

– Wstawaj! Wstawaj! Wychodzimy!

Do zgromadzonych na sali w końcu dotarło, o czym mówiła Birchie, i teraz wszyscy z przerażeniem wpatrywali się w moją babcię. Birchie знаła co prawda wszystkie grzechy tego miasta, ale plotkarzy słuchała tak jak królowa wysłuchuje pokornych suplikantów. O tym, co w miasteczku określano mianem „wieści”, nie rozmawiała z nikim oprócz Wattie, natomiast do grzeszników z Pierwszego Kościoła Baptistów udawała się sama, niczym apostoł Piotr, tyle że z domową zupą. Jej surowe nakłanianie do tego, aby odrzucić gniew, odpowiednio się ukorzyć albo przestać pożądać żony bliźniego swego odbywało się za zamkniętymi drzwiami. Birchie stanowiła uosobienie dobrych obyczajów i słowa, które przed chwilą wydostały się z jej ust, okazały się równie szokujące jak samo cudzołóstwo. Wtedy Jeannie Anne się zarumieniła.

Nie był to delikatny rumieniec, który mógłby się pojawić na policzkach damy po usłyszeniu tak obrazowego języka. Ten akurat był szkarłatną oznaką wstydu; zaczynał się od czoła, a kończył nawet nie na szyi, bo dekolt widoczny w wycięciu dzianinowej bluzki także zrobił się czerwony. Jej skóra stała się szkarłatnym tłem dla kawałka ryby błyszczącego różowością i posypanego pieprzem.

W tym momencie dostrzegła, jak niewiele dzieli ten kęs od jej ust, i gwałtownym gestem odsunęła go od siebie. Najpierw na stole wylądował z hałasem plastikowy widelec, a zaraz po nim nieszczęsny łoś. Przy sąsiednich stołach rozległy się szepty i przemieszczały się coraz dalej i dalej, niczym szeleszcząca fala odpływu.

Franka Dariana oświeciło jako ostatniego. Dopiero kiedy jego żona odsunęła się z krzesłem i wstała od stołu, szok malujący się na jego twarzy zastąpiło coś okropnego. Niedowierzanie. Zdumienie, po którym przyjdzie pora na ból.

– Jeannie Anne? – zapytał, a ona zaczęła się oddalać. – Jeannie Anne?

Nie odwróciła się ani nie zatrzymała; lawirowała między stolikami, gdy tymczasem otaczały ją coraz głośniejsze szepty.

Birchie przyglądała się jej wyjściu z osobliwym uśmiechem i błyszczącymi oczami. Obserwowała, jak wypowiedziane przed chwilą słowa miażdżą dwa kluczowe kościelne małżeństwa. Wattie stała bezradnie u jej boku. Już nie szeptała ani nie ponaglała. Sprawiała wrażenie dziwnie zrezygowanej i przeczesywała palcami krótkie siwe włosy, jakby jej głównym zmartwieniem było przywrócenie ich do porządku.

– Jak pani mogła? – wychrypiął pastor Campbell, po czym wstał i mocno uderzył dłońmi w stół. Nachylił się ku niej, niemal groźnie, i powtórzył z wściekłością: – Jak pani mogła!

– Jak ty mogłeś? – szepnęła jego żona, ale zdawał się jej nie słyszeć.

– Birchie – powiedziała spokojnie i stanowczo Wattie. – Potrzebna mi twoja pomoc.

Ale Birchie już się odsuwała razem z krzesłem, następnie wstała, wyprostowała swoje całe metr pięćdziesiąt i spiorunowała wzrokiem Campbella.

– Nie podnoś na mnie głosu, ty jurny capie. Przełożę cię przez kolano i spiorę ci to obwisłe dupsko – oświadczyła.

Ton jej głosu był lodowaty i władczy. Ale te słowa! To nie były słowa, które mogłyby zostać wypowiedziane przez Emily Birch Briggs, a do tego po nich rozległ się szaleńczy chichot.

Pastor Campbell zrobił krok w tył, by odsunąć się od tego dezorientującego dźwięku, a na jego twarzy wściekłość walczyła o palmę pierwszeństwa z niedowierzaniem. Niemał w tym samym momencie zwrócił uwagę na żonę, płaczącą na sąsiednim krześle.

Kiedy Birchie w końcu przestała rechotać, Wattie dotknęła jej ramienia, a moja babcia odwróciła się do niej, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jej obecności.

– Widziałas jego obwisły tyłek, Wattie? Widziałas? – zapytała, po czym udała, że kopuluje ze stołem.

Trzystu wiernych siedziało bez ruchu i patrzyło, jak Emily Birch Briggs przeżywa załamanie nerwowe. Odezwała się tylko Wattie:

– Pewnie, że widziałam, ale, Birchie, Mercy Lester kroi paprykę obok masy na kukurydziane ciasteczka.

Na twarzy Birchie pojawiła się konsternacja. Przestała obscenicznie kołysać biodrami. Kilka lat temu Mercy Lester sprawiła, że Piknik Rybny znalazł się na drodze ku apostazji, kiedy próbowała dodać do masy ser i papryczki jalapeño. W porę zauważyła to Birchie. Wattie szybko zgarnęła z wierzchu te obraźliwe składniki, a ona sama wybaczącym gestem objęła drżące ramiona Mercy, niczym Jezus rozgrzeszający kobietę przyłapaną na cudzołóstwie. Zamiast kazać temu, który jest bez winy, rzucić kamieniem, Birchie przypomniała oburzonym wiernym, że nim Mercy wyszła za Daveya Lestera, wychowywała się w rodzinie prezbiteriańskiej. Czy można było od niej oczekiwać czegoś lepszego?

Wspomnienie o tym teraz było takim *non sequitur*, że można by sądzić, iż razem z Birchie rozum traci Wattie, ale moja babcia powiedziała:

– Dobry Boże, ta dziewczyna! Chodźmy ją powstrzymać.

Tak jakby Mercy i Davey nie przeprowadzili się przed trzema laty do Montgomery.

Z kamienną twarzą, z której nie dało się nic wyczytać, Wattie zaczęła wyprowadzać Birchie z sali.

– No dobrze. No dobrze. Cóż. No dobrze – plątał się pastor Rick.

Kiedy dwie staruszki powoli wychodziły z sali parafialnej, wierni uświadomili sobie jedno: uspokajające szepty Wattie i jej uwagi na stronie od dawna ukrywały stan Birchie.

To było nieprawdopodobne. Panna Birchie, jak ją wszyscy nazywali, pachniała płatkami róż i historią. Była ostatnim Birchem żyjącym w Birchville, miała dziewięćdziesiąt lat, ale trzymała się prosto, interesowała życiem dookoła i miała starą jak świat kolekcję Bardzo Ładnych Torebek. Dla wielu mieszkańców to Birchie była miasteczkiem, uosobieniem miasta takiego, jakim było kiedyś, w utopii Starego Południa, która istniała, jeśli się było białym i zamożnym baptystą, niezwracającym uwagi na innych ludzi. Esemesy do mnie zaczęli wysyłać jeszcze przed opuszczeniem sali, a kiedy zamknęły się za nimi drzwi, zaczęli także wydzwaniać.

Nie odbierałam. Zdążyło minąć południe, a ja jechałam właśnie do domu Rachel. Telefon był wyłączony, decyzja podjęta. Zdecydowałam się zrzucić bombę i szykowałam się na wielkie bum.

Zajechałam pod należący do Rachel nieskazitelny dom w stylu kolonialnym przy East Beach. Miał czarne okiennice i brzydkie jak noc kolumny w stylu Tary. Zjawiłam się jako pierwsza, ale i tak zaparkowałam na ulicy. Jeśli zostawiłabym auto na podjeździe, możliwe że mama i Keith by mnie zablokowali; znalazłabym się wtedy w pułapce bez drogi ucieczki, gdyby przesłuchanie zrobiło się nie do zniesienia. Upiekłam ciasto biszkoptowe z pekanami, żeby wszyscy przystąpili do rozmowy zadowoleni i zacukrzeni. Nie miałam złudzeń, i tak będą się chcieli dowiedzieć, kiedy, gdzie i jak do tego dopuściłam. Zwłaszcza Rachel. Ona potrafi być naprawdę namolna.

Zdecydowanie za długo rysowałam i kolorowałam, scenariusze zostawiając innym. Nie potrafiłam wymyślić porządnego początku Digby'ego, tak samo jak Violence. Sam Digby, choć bardzo młody, może nawet ucieszyłby na wieść o tym, że jest owocem nocnej schadzki z Batmanem. Ale co z jego starszą wersją? Nie chciałam mówić rodzicom, Rachel i przede wszystkim mojemu dziecku, że nie znam imienia jego ojca. Ani zawodu. Ani historii medycznej. Ani nawet nie wiem, czy jest przyzwoitym człowiekiem.

Miał dobry gust, jeśli chodzi o komiksy, to mogłam powiedzieć. No i świetnie całował się z jęczyczkiem.

Gdy wchodziłam po schodach wiodących na dużą białą werandę, w drzwiach pojawił się Jake, mąż Rachel. Wpadł na dwór, trzasnął drzwiami, po czym niemal mnie stratował. Próbowałam się uchylić i się potknęłam. Upuścił torbę trzymaną w ręce i złapał mnie, żebym razem z pojemnikiem z ciastem nie spadła ze schodów.

– Do cholery, Lay! – rzucił.

Oblałam się rumieńcem, a on znieruchomiał z dłońmi na moich ramionach. Od lat tak mnie nie nazywał.

Zdażyłam już odzyskać równowagę, zrobiłam więc krok w bok, by uniknąć jego uścisku. Nie podobało mi się, że mnie dotyka. Na ogół traktowałam go jako dodatek do Rachel, używany codziennie, ale w sumie mało istotny, jak zegarek.

Przez chwilę jego dłonie wisały w powietrzu, puste i zakłopotane, po czym opuścił je wzdłuż tułowia.

– Do cholery, JJ – odezwałam się w końcu, także przywołując jego dawną ksywkę, na tyle lekkim tonem, na ile zdołałam.

Te dwie literki sprawiły, że w ustach poczułam gorzki smak i niełatwo mi było połączyć je ze stojącym przede mną mężczyzną. Myślałam o nim jako o Jake'u albo panu Rachel. Lay i JJ'em nie byliśmy dla siebie od dzieciństwa. Od trzeciej klasy popołudnia spędzaliśmy u mnie, w pokoju rekreacyjnym w piwnicy, dosłownie pożerając nowe komiksy. Jedliśmy karmelowy popcorn i snuliśmy domysły, czy nasi ulubieńcy przeżyją zakończenia trzymające w napięciu. Każdy komiks wkładaliśmy do plastikowej koszulki, którą umieszczaliśmy w odpowiednim kartonie. Ciągłe rozprawialiśmy o tym, jaką chcielibyśmy mieć supermoc: błyskawiczne przemieszczanie się czy latanie, teleportację czy telekinezę.

Nigdy o tym nie mówiłam, ale jak większość dziewcząt chciałam być superładna. Ta moc była jednak zarezerwowana dla Rachel. W jej obecności każdy znany mi chłopak

zaczynał się jąkać, nawet JJ. A może zwłaszcza JJ, który się rumienił za każdym razem, kiedy pojawiała się w piwnicy. On sam najbardziej chciał być Superdzieciakiem, Który Wcale Nie Jest Gruby, choć też nie mówił o tym głośno. Takie rzeczy wiedzieliśmy o sobie bez słów.

Kiedy chodziliśmy do ostatniej klasy liceum, jego ojciec przeszedł udar i zmarł. W rezultacie wszystko się między nami poplątało, a on rzucił szkołę, żeby pomóc mamie w prowadzeniu Jacoby Motors, komisji z używanymi samochodami. Od tamtej pory nasze ścieżki już się nie skrzyżowały. Ani razu. Nasze domy dzieliła odległość, którą dało się pokonać rowerem, więc musiał to robić celowo.

Cztery lata później zjawił się na dorocznej imprezie bożonarodzeniowej organizowanej przez mamę i Keitha. Miałam dyżur przy drzwiach, ale go nie poznałam. Był wysokim, jasnowłosym nieznanym, który wręczył mi z uśmiechem butelkę rieslinga.

– Wesołych świąt! – powiedział.

Nachylił się, aby cmoknąć powietrze obok mojego ucha, i w tym momencie go sobie przypomniałam. Po zapachu. Był o niemal dziesięć centymetrów wyższy, miał ciało wyrzeźbione na siłowni, delikatne pasemka, a możliwe, że nawet nowy nos. A już na pewno zrobił coś z zębami, jak ci wszyscy aktorzy. Równe i przesadnie białe sprawiały, że jego uśmiech wydawał się nieszczerzy. Mimo subtelnej wody toaletowej wyczułam zapach dawnego najlepszego przyjaciela.

– JJ? – zapytałam w osłupieniu.

– Teraz używam imienia Jake – odparł i klepnął mnie w ramię. Serdecznie, jakbym była jego kumplem w reklamie piwa. – Dobrze cię widzieć, Leia! Musimy nadrobić zaległości.

Wcisnął mi w dłonie schłodzone wino i ruszył prosto ku Rachel. Towarzyszył jej przez cały wieczór, opierając się o ścianę i opowiadając o tym, jak uratował rodzinny biznes, a za trzy lata planuje otworzyć salon nissana. Był zawdzięczającym wszystko sobie Kenem, zwracającym w głowie upojonej szampanem Barbie.

Nazwał mnie Leią, bo nie zwraca się ksywką z dzieciństwa do pierwszej dziewczyny, z którą uprawiało się seks. Nie, kiedy ta ksywka brzmi Lay². Nie, kiedy zawsze się kochało w jej przyrodniej siostrze.

Teraz stałam, przyciskając do piersi pudełko z ciastem i wyczuwając w powietrzu dziwny, nieprzyjemny zapach. Jake przykucnął i do upuszczonej torby wcisnął rozrzucone ubrania. To była jedna z tak lubianych przez Rachel toreb z Whole Foods.

– Wybierasz się do sklepu Goodwill³? – Głupie pytanie, ale jedyne, które mi przyszło do głowy.

– Nie. Co tu robisz? – Odgarnął z czoła pasmo jasnych włosów i się wyprostował.

– Jest niedziela – odparłam. – Gdzie indziej miałabym być?

Uniósł brwi.

– Rachel odwołała obiad. Wysłała ci e-mail.

Z torby wystawała nogawka spodni w kolorze khaki z idealnie zaprasowanym kantem. Wsunęłam ją z powrotem i dostrzegłam niebieską koszulę w prążki. To był właściwie uniform Jake'a. Nagle uświadomiłam sobie, że to coś szare na wierzchu to

bokserki. Zarumieniłam się i zmusiłam, aby przyjrzeć się jego twarzy. Tak na serio.

Miał cienie pod oczami i napuchniętą twarz. Przez chwilę odniosłam wrażenie, że widzę okrągłą, smutną buzię mojego dawnego przyjaciela JJ'a. Twarz widma, przezroczystą i bladą, nałożoną na regularne rysy szwagra.

– Co ty robisz? – zapytałam jak człowiek człowieka.

Skrzywił się i odparł:

– Nic. Muszę lecieć.

Minął mnie, zszedł po schodach i ruszył spiesznie w stronę czerwonego nissana armady.

– Lecieć dokąd? – zawołałam za nim.

Nawet się nie obejrzał. Wrzucił torbę do SUV-a i usiadł za kierownicą.

Stałam niepewnie na werandzie, z pudełkiem z ciastem w ręce, a moją misję diabli wzięli. Część mnie miała ochotę wrócić do domu, ale po tym dziwnym zachowaniu Jake'a musiałam sprawdzić, co z Rachel i Lavender. Nacisnęłam klamkę. Drzwi były otwarte.

Weszłam do holu ze sklepieniem sufitem i w tym samym momencie moja siostra wybiegła z kuchni z krzykiem:

– Kazałam ci się wynosić, ty skurwyyyyyy...

Urwała w połowie przekleństwa, kiedy zobaczyła, że to ja. Stała boso, co było anomalią. Tak samo jak potargane włosy. I podbite oczy.

– Rachel!

Serce waliło mi jak młotem. Nie zdążyłam przyswoić jeszcze tej nagłej, alternatywnej rzeczywistości, w której Rachel bluzga na męża słowem na „s”, a ja znalazłam się w zupełnie niewiarygodnym wszechświecie, takim, w którym JJ miałby uderzyć moją przyrodnią siostrę.

Rachel zamrugła i choć oczy miała spuchnięte, dotarło do mnie, że te czarne obwódki to tylko rozmazany tusz i eyeliner. Znowu mogłam oddychać. Ale ledwo, ledwo. Biedny Digby, na pewno oszołomiły go wyrzucone do mojego krwiobiegu substancje chemiczne wywołane paniką. Zatrzepotał niczym kieliszek wypełniony 7 Upem.

Po pełnej napięcia chwili dłonie Rachel uniosły się ku włosom. Ciężko oddychając, starała się je przygładzić. Na swój okropny sposób było to zabawne, bo fryzura to ostatnie, czym się powinna przejmować. Gdziekolwiek spojrzałam, coś było nie tak. Wielkie lustro było roztrzaskane, a na jego odłamkach leżały kawałki zielonego szkła i czegoś, co wyglądało jak czerwone wino. Jedno z krzeseł w jadalni leżało na podłodze, pozostałe stały w nieładzie. Zazwyczaj cała ósemka z matematyczną precyzją okalała stół.

Rachel dała sobie spokój z fryzurą i podeszła do mnie. Wzięła pudełko z ciastem, odwróciła się, postawiła je na stole i zdjęła pokrywkę.

– Z przepisu twojej babci? – zapytała.

Kiedy przytaknęłam, wsadziła rękę do pudełka i odłamała spory kawałek. Z niedowierzaniem przyglądałam się tej dziwnej osobie z czarnymi obwódkami wokół oczu, która zastąpiła moją przyrodnią siostrę. Zaczęła metodycznie jeść ciasto, jakby to była jakaś kara.

Wtedy już wiedziałam, że Jake ją zdradza.

Nie do pomyślenia. Rachel była cenną zdobyczą, upragnioną, wyczekaną, w końcu w zasięgu ręki. Szesnaście lat po ślubie, a nie dalej jak tydzień temu Jake wciąż błędził za żoną wygłodniałym wzrokiem. Patrzył na nią tak, jakby w każdej chwili miał chwycić jej smukłą kibić, unieść i postawić na gzymsie kominka – w centralnym miejscu, jako największe dzieło sztuki. Ale ją zdradzał. Gotowa byłam się założyć o milion dolców.

Być może tylko dlatego, że nazwał mnie Lay. Wraz z tą jedną sylabą wróciła historia tak zamierzchła, że wydawała się mitem. Wiedzy dostarczył mi ten jeden spocony, szybki numer, do którego kiedyś między nami doszło.

Dzień po śmierci swojego taty zapłakany JJ przyszedł do mnie do piwnicy. Wzięłam go w ramiona, a on wtulił gorącą, mokrą od łez twarz w moją szyję. Był smutnym, miękkim zwierzęciem, posapującym i lgnącym do mnie, przepelnionym zaszokowanym bólem. Przytuliłam go jeszcze mocniej, tak mocno, jakbym próbowała przejąć od niego całą rozpacz i zapewnić mu ukojenie. Bez względu jednak na to, jak silnie oplatałam go ramionami i nogami, jego niezgrabne ciało przelewało się przez nie, a ból był zbyt dojmujący, aby dało się sprawować nad nim kontrolę. I wtedy zaczęliśmy się całować. Twarz miał mokrą od łez i smarków, ale mnie to nie przeszkadzało. Moje serce przepelniała wielka, coraz większa miłość.

Część ubrań podciągnęliśmy, część odsunęliśmy na bok, napierając na siebie coraz mocniej, aż w końcu wsunął się we mnie. Trochę bolało, ale czułam spokój i coś jeszcze. Czułam, że mam władzę. Władzę, ale nie przewagę. Nie nad nim.

Odniosłam wrażenie, że przekroczyłam krawędź klifu i znalazłam się w powietrzu. Jakbym zawsze miała w sobie tę sekretną moc i korzystała z niej bezwiednie, nie mając świadomości, że to robię. Pomyślałam, że wykorzystam ją w dobrym celu, aby pomóc cierpiącemu przyjacielowi.

Nie było w tym nic romantycznego. Nigdy się w nim nie durzyłam w taki niemądry, dziewczęcy sposób. Ja go po prostu kochałam, całego. Był moim najlepszym przyjacielem. Znał moje wszystkie tajemnice i zdradził mi swoje. To znaczy wszystkie oprócz jednej. To jemu się wyplakiwałam po śmierci mojego kota. To on był ostatnią osobą, z którą co wieczór rozmawiałam przed pójściem spać, i pierwszą, którą miałam ochotę widzieć co rano; prowadziliśmy niemające końca rozmowy w autobusie, na przerwach między lekcjami, w szkolnej stołówce i po szkole w moim domu. A teraz był w mojej piwnicy, załamany, a ja obejmowałam go opiekuńczo, kiedy tak wtulał się we mnie, napierał i szlochał.

W pewnym momencie wciągnął głośno powietrze i zeszywniał, a ja poczułam, że wszystko z niego wychodzi. Cały dojmujący żal przemieścił się z jego ciała do mojego. Napięcie przekształciło się w rozluźnienie, a mnie rozpierała duma, że mogłam to zrobić dla przyjaciela.

Przez kilkanaście uderzeń serca leżeliśmy w bezruchu w swoich ramionach. W tamtej ciszy poczułam, że coś się zaczyna, że to początek mnie i JJ'a.

Chwiałam się na duchowej krawędzi, czując, że zmierzamy ku początkowi czegoś kompletnego, prawdziwego życia. Pierwsza przychodzi miłość, pomyślałam, i choć miałam zaledwie siedemnaście lat, wiedziałam, co pojawi się potem. Oczami wyobraźni widziałam nas na studiach, w pracy, na naszym ślubie – tę całą drogę prowadzącą do

dziecka, które stworzymy w taki właśnie sposób. Dziecko z jego nosem i moimi głęboko osadzonymi oczami. Te wszystkie etapy nastąpią jeden po drugim, w sposób tak prosty i oczywisty, że nie było po co się spieszyć. Wszystko na nas czekało, a my byliśmy w stanie zawieszenia, złączeni ze sobą, na skraju naszego początku.

A potem on wyplątał się z moich objęć i zaczął poprawiać ubranie. Kiedy na wewnętrznej stronie mojego uda dostrzegł krew, jego policzki oblał jeszcze ciemniejszy rumieniec. Mruknął coś o tym, że musi wracać do domu. Nie patrzył mi w twarz.

Większość mojego ciała nadal zakrywał standardowy uniform – sukienka z lumpeksu, a do niej wojskowe buty – ale poczułam się bardzo naga. Musiałam usiąść, przełożyć lewą nogę przez nogawkę majtek, zapiąć górne guziki, zawiązać lewy but, obciągnąć sukienkę. Kiedy podniosłam głowę, jego już nie było. Nazajutrz nie zjawił się w szkole. Nigdy do niej nie wrócił, nie odbierał także moich telefonów. Byłam w jego domu cztery razy, ale do mnie nie wyszedł. Nie dawał znaku życia do czasu tamtej świątecznej imprezy, na której się zjawił z powodu Rachel.

Nie zaszłam wtedy w ciążę, więc jeśli chodzi o seks bez zabezpieczenia, mój życiowy wynik to jeden do jednego. Nikomu nie powiedziałam o sobie i JJ'u. Ani Rachel, ani mamie i Keithowi, ani małej grupce dziewczyn przy moim stole w szkolnej stołówce. Zbyt wielki czułam ból; najlepszy przyjaciel zdegradował mnie do roli chusteczki.

To wydarzenie coś we mnie zniszczyło. Zresztą to właśnie tego roku zaczęłam rysować Violence. Zaczęło się od zabawnego komiksu z bohaterką o imieniu Violet, która wyglądała jak ja i niechący psuła szyki przestępcom. Po tej historii z JJ'em gdzieś na marginesie zaczęły się ukrywać prototypy Violence. Violet także się zmieniła i przekształciła w wersję mnie, której siłą stało się bycie superładną, a każdy, kto z nią zadarł, miał do czynienia z Violence. Ona pożerała mężczyzn, jakby to były krakersy, i nigdy, ale to nigdy nie dręczyły jej wyrzuty sumienia. Tak właśnie wyglądała prawdziwa historia narodzin Violence. Pojawiła się, kiedy w niecałe siedem minut zdeptano mi serce, ale nie była to opowieść, którą mogłam się podzielić z Dark Horse.

Później, kiedy JJ na nowo pojawił się w moim życiu, a Rachel zaczęła poważnie o nim myśleć, nakazałam sobie wierzyć, że to zupełnie nowy facet – ktoś, kogo dopiero co poznałam. Zwłaszcza po tym, jak wzięli ślub, a na świat przyszła Lavender. Rozdzieliłam Jake'a i JJ'a, dawnego najlepszego przyjaciela, który kiedyś mnie wykorzystał, przelewając swoje smutki do mojego ciała, a serce zostawiając na później dla Rachel. To był tego rodzaju fragment nefajnej historii, dzięki któremu teraz miałam pewność, że Jake jest zdolny do beznadziejnego zachowania, jeśli chodzi o seks.

– To ciasto jest niesamowite – powiedziała Rachel z pełnymi ustami. I wzięła jeszcze jeden kęs.

– Gdzie Lavender? – zapytałam.

Posłała mi spojrzenie pełne irytacji; usta miała zbyt pełne, żeby udzielić odpowiedzi. Stała do mnie bokiem, przeżuując i głośno oddychając przez nos. Kiedy przełknęła, resztę kawałka ciasta rzuciła na podłogę i otrzepała dłonie.

– Poszła do Olivii. Chyba nie sądzisz, że pozwoliłabym dziecku być świadkiem tego wszystkiego.

Powiedziała to spokojnie, wręcz beznamiętnie, ale po ostatnich pięciu minutach

niczego już nie byłam pewna. Nigdy wcześniej nie widziałam jej w takim stanie. Nigdy. Nie było mi wolno. Nawet kiedy mogłam się okazać pomocna. Jako dziecko wyplakiwała sobie oczy w pralni, gdzie jedynym świadkiem jej łez był Thimble, pluszowy królik. Wtedy jednak przynajmniej wiedziałam, kiedy cierpi. W milczącej solidarności siadywałam pod drzwiami pralni, a kiedy wychodziła, starałam się być wyjątkowo miła. Kiedy dorosłam, nie mogłam robić nawet i tego. Nigdy nie widziałam u niej rozmazanego tuszu. Ani razu.

– Co on zrobił? – zapytałam.

Miałam na myśli to, w jaki sposób Rachel o wszystkim się dowiedziała. I czy to był prawdziwy romans? Przygoda na jedną noc? Dziwka?

W zasadzie to było bez znaczenia. Stałam po jej stronie, kropka, dlatego że „przyrodnia” była dla mnie tylko z nazwy. Obie miałyśmy ledwie po trzy lata, kiedy mama i Keith wzięli ślub. Właściwie to nie miałam żadnych konkretnych wspomnień z życia przed nią. Była rodziną, a Jake jej szopą w ogrodzie, wyprodukowaną zupełnie gdzieś indziej, a potem tu postawioną. A chłopak, którym kiedyś był? JJ? To kula, przed którą przed laty się uchyliłam.

Rachel się wyprostowała. Była ode mnie wyższa o ponad dziesięć centymetrów, nawet na bosaka. Przyglądałam się, jak próbuje zebrać do kupy okrucy swojej chłodnej godności. Nie bardzo jej wychodziło. Przeszkadzały jej w tym oczy pandy i trzęsące się ręce.

– Co tu w ogóle robisz, Leia? Nie dostałaś mojego e-maila? – Drzenie głosu zagłuszyło nutkę rozdrażnienia.

Próbowała udawać, że jej jadalnia nie jest wcale pełna potłuczonego szkła i wywróconych mebli. Jakby problemem była moja niemożność sprawdzania skrzynki mailowej.

– Zaraz zerknę – powiedziałam i poczułam ulgę, kiedy mogłam odwrócić wzrok od rozstrojonej Rachel. Wyjęłam z torebki telefon i go włączyłam. – Właśnie o tym chcesz ze mną rozmawiać?

– W ogóle nie chcę rozmawiać – warknęła, a w jej głosie pojawiła się nuta takiej zaciekłości, że odruchowo uniosłam głowę. Palce zaciskała na potarganych włosach.

Telefon w moich dłoniach zawibrował i piknął. Dostałam esemes. I kolejny. I jeszcze jeden. W pełnej napięcia ciszy rozległ się wesoly motyw przewodni z filmu *Ultrapies*. Polly Fincher, członkini Pierwszego Kościoła Baptistów z Birchville. Pozwoliłam, aby włączyła się poczta głosowa, i zaczęłam pytać Rachel, czy mogę jej przynajmniej pomóc w ogarnięciu tego bałaganu przed powrotem Lavender. Wypowiedziałam zaledwie dwa słowa, kiedy rozległy się sygnały kolejnych esemesów. Chwilę później mój telefon się rozdzwoił.

– Co się dzieje? – zapytała Rachel.

Uruchomiłam Messenger i zobaczyłam znajome nazwiska. Lois Gainey, Chester Beckworth, Alston Rhodes, pastor Rick i wiele, wiele innych. Sami mieszkańcy Birchville. Z sercem w gardle zaczęłam odczytywać wiadomości. Wszystkie stanowiły wariację tego samego:

„Co się dzieje z panną Birchie?”

„Och, skarbie, strasznie się martwimy!”

„Co mówi lekarz?”

„Od jak dawna to się dzieje?”

A od Martiny Mack, tej złośliwej więdźmy: „Twoja babcia dała dziś rano popis w kościele...”

Spojrzałam z lękiem na Rachel.

– No co? – zapytała. – Leia, co się dzieje?

– Birchie – odparłam. – Coś się stało z Birchie.

Coś niedobrego, bo telefon znowu zaczął dzwonić. Pastor Rick, ale nie chciałam z nim teraz rozmawiać. Musiałam skontaktować się z Wattie. Ponownie pozwoliłam, aby nagrał się na pocztę głosową. Tymczasem przychodziły kolejne esemesy.

Nie licząc wakacji, nigdy nie mieszkałam w Birchville. Od czasu ukończenia liceum nie jeździłam tam na dłużej niż tydzień. Ale byłam Birchem. Ostatnim Birchem, z tego, co im było wiadomo. Oto, jak brzmiała dalsza część wiadomości:

„Przyjedź tutaj”.

„Przyjedź do domu”.

„Musisz tu przyjechać”.

Zrobiłam krok w stronę Rachel, a ona w jednej chwili zapomniała o własnym dramacie. Było tak, jakby teleportowała się znad tego całego bałaganu, gotowa, aby mi pomóc, naprawić i przejąć kontrolę nad tym, co się stało. Właśnie na tym od zawsze polegała jej rola. Reszta nas była zwykłymi śmiertelnikami brnącymi przez grząskie błoto. Bywało to wkurzające, ale okazywało się bardzo, ale to bardzo pomocne, kiedy świat wypadał ze swojego toru.

– Przewróciła się? – zapytała teraz, obejmując mnie pocieszająco ramieniem i zerkając razem ze mną na ekran telefonu.

Upadkiem martwiłam się już od wielu lat. Te cholerne schody w całym domu!

– Nie wiem, nie wiem – odparłam.

Otworzyłam pocztę i okazało się, że czekają już na mnie pierwsze wersje dzisiejszych wydarzeń. Przeczytałyśmy je razem. Byłam zbyt przerażona, żeby poczuć ulgę, że Birchie nie złamała kości biodrowej. To byłoby gorsze. Tak wiele udało jej się przetrwać. Była uparta, miała swoje zdanie, które często przeczyło jej wizerunkowi nobliwego bastionu Starego Południa. Ale teraz z otrzymanych wiadomości mogłam wywnioskować jedno: że dopadła ją demencja starcza albo choroba Alzheimera.

– Muszę tam jechać. Muszę!

To mnie teraz trzęsły się ręce i nie mogłam utrzymać telefonu. Birchie nie zgodziła się opuścić miasteczka, nie mówiąc o swoim domu, a zanim wprowadziła się do niej Wattie, przepędziła całą armię zatrudnionych przeze mnie pielęgniarek. Wyrzuciła brelok Life Alert⁴, bo twierdziła, że tylko psy noszą obroże; do tego rzadko pamiętała o naładowaniu telefonu komórkowego, który jej kupiłam. Jej jedynym wsparciem była równie wiekowa Wattie.

– Oddychaj, skarbie. Dopóki tam nie pojedziesz, nie możemy mieć pewności, co konkretnie się dzieje. Zajmij się pakowaniem, a ja zarezerwuję ci bilet – rzekła Rachel.

Kochałam ją za tych „nas”. Była to wypowiedziana szybko, nieświadoma

deklaracja tego, że moje zmartwienia są także jej zmartwieniami.

– Ale ty też masz sporo na głowie. Z Jakiem – powiedziałam. Ja także chciałam dzielić jej troski. – Nie chcę...

– Ćśś, mną zajmiemy się później.

Nie protestowałam. Moja kochana, stara Birche przebiła to, co Jake wyprawiał ze swoim penisem.

Otwierałam kolejne e-maile i im więcej wersji czytałam, tym większa ogarniała mnie złość. Te dwie sprytne staruszki kryły się nawzajem przed całym miastem Bóg jeden wie od jak dawna, uśmiechając się, robiąc frywolitki i pojawiając się na kościelnych festynach. Nie chciały, aby ich życie uległo zmianie, z premedytacją ukrywały więc prawdę – och, ależ byłam wkurzona! A ostatnie wiadomości tylko spotęgowały moją złość.

Tak wielu przyjaciół naszej rodziny zakładało, że ja wiem. Pytali, co mówią lekarze, od jak dawna to trwa i co planuję zrobić. Tylko Martina Mack słusznie uznała, że o niczym nie mam pojęcia. W ostatniej wiadomości nazwała mnie „nieodpowiedzialną i albo ślepa, albo bardzo głupią” za to, że zostawiłam „biedną, obłąkaną staruszkę” pod „fatalną opieką starej, kolorowej służącej”. Początkowo nie miałam pewności, która część jej wywodów zdenerwowała mnie najbardziej, ale chwilę później już wiedziałam.

Ta pierwsza. Wycelowana we mnie. Dlatego że w tym akurat oskarżeniu tkwiła nutka prawdy. Byłam odpowiedzialna. Byłam i ślepa, i głupia.

Wina nie leżała po stronie miasteczka ani nawet obłudnych staruszek. Powinnam była to dostrzec. Powinnam była coś zauważyć. Byłam najbliższą krewną Birchie. Jediną krewną. Kto jak kto, ale ja nie mogłam się dać oszukać.

– Powinnam była ją zabrać tutaj, blisko mnie, gdzie zdołałabym jej pomóc – powiedziałam i pożałowałam tych słów od razu, kiedy spojrzenia moje i Rachel się skrzyżowały.

Mogła mnie teraz uraczyć tysiącem „a nie mówiłam”. Od dawna była zdania, że moja babcia nie powinna mieszkać w miasteczku, które nazywała „zaściankiem mającym tylko punkt medyczny i wiejskiego weterynarza”. Widziałam, że stara się właściwie dobrać słowa, które najlepiej wyrażą to, jak wielką miała przez cały czas rację. Jak zawsze. I w tym momencie to usłyszałyśmy. Cichy, stłumiony dźwięk, dochodzący gdzieś z góry.

Podniosłyśmy głowy i naszym oczom ukazała się Lavender. Siedziała skulona na balkonie nad holem. Dłonie miała zaciśnięte na białych szczebelkach i wyglądała, jakby była w więzieniu. Kiedy skończyła trzynaście lat, Rachel zabrała ją do stoiska Clinique, aby poznała tajniki makijażu i pielęgnacji cery. Teraz wokół jej oczu widniały takie same ciemne obwódki jak u matki.

To, co Rachel miała mi powiedzieć, uwięzło jej w gardle. Wciągnęła głośno powietrze.

– Olivii nie było w domu – odezwała się Lavender.

– O nie – powiedziała cicho Rachel.

W tym momencie przekonałam się, że mam matczyne dłonie. Odruchowo dotknęły mojego brzucha, by ochronić Digby’ego przed całym złem, jakie może go kiedyś zranić.

Później, kiedy już wydostanie się ze mnie i stanie się osobnym istnieniem. Dłonie Rachel także się poruszyły i uniosły w kierunku Lavender. Dostrzegłam potrzebę przytulenia dziecka, zasłonięcia mu oczu i uszu.

Za późno. Bez względu na to, co potwornego rozegrało się między JJ'em a Rachel, świadkiem tego stała się moja siostrzenica. Lavender widziała i słyszała to wszystko.

Zaczyna się od Violence.

Bez przyczyny, bez powodu, bez wyjaśnienia. Ona jest i już. To ta zła.

Na studiach pierwszą stronę narysowałam jako pojedynczy panel: Violence w stroju superbohaterki, dająca susa ponad szarymi dachami wielkiego miasta. Kolorowa plama na tle ciemności. Czarno-fioletowy trykot był wysoko wycięty na udach i miał bardzo głęboki dekolt w kształcie litery V. Wyglądała niczym litera „s” u Supermana, tyle że wylewały się z niej piersi. Do nagich ud, tuż nad wysokimi kozakami, miała przytwierdzone długie noże. Za nią powiewała grzywa fioletowych włosów, które w miejscu, gdzie nachodziły na wielki, okrągły księżyc, stawały się czarnymi błyskawicami. Jej uśmiech odsłaniał lekko spiczaste zęby.

W tej pierwszej scenie narodził się mój styl. Widać go było w tym, jak odbijało się światło, w rozszalałej kobiecej sylwetce nad statycznym tłem, wykorzystaniu ograniczonej palety barw, aby przyciągnąć spojrzenie czytelnika dokładnie w to miejsce, w które chciałam.

Kiedy opuściłam lotnisko i Birmingham, obracałam w myślach ten właśnie obraz Violence. Do Birchville mogłam jechać na autopilocie, jako że pokonywałam tę trasę co najmniej dwa razy w roku od czasu, kiedy skończyłam sześć miesięcy i mama przeprowadziła się ze mną do Virginii. To Birchie dała na to pieniądze. Na to i na studia mamy na Old Dominion. To ostatnie, czego pragnęła – aby jedyna wnuczka mieszkała tak daleko od niej – ale mama nie pochodziła z Birchville. Dorastała niedaleko Jackson's Gap. Moją tatę poznała w Dairy Queen⁵ zaraz po ukończeniu liceum, tego pierwszego lata ich życia, kiedy łatki typu „cheerleaderka” i „kujon” straciły swoją moc. Zakochali się w sobie i szybko wzięli ślub, jak często robili mieszkańcy małych miasteczek. Po śmierci taty mama chciała zacząć wszystko od nowa. Umożliwiła jej to Birchie, więc w zamian mama i ja oddaliśmy jej wszystkie wakacje i Święta Dziękczynienia.

Zwykle podobała mi się ta podróż przez Alabamę. Niezbyt zatłoczoną czteropasmówką jeździłam w stanie nieco zbliżonym do popołudniowej drzemki, podczas której w mojej głowie formowały się różne obrazy.

Za nic nie chciałam teraz myśleć o stanie zdrowia Birchie. Byłam na siebie zła, martwiłam się, jednak dopóki nie dotrę na miejsce, nie będę znała zakresu szkód. Oczami wyobraźni uczepliłam się tego pierwszego obrazu Violence i starałam się wybadać, jak to się stało, że była taka, a nie inna, tak żebym mogła napisać prequel. Ten, którego nawet jeszcze nie zaczęłam.

Byłam przyzwyczajona do pracy pod presją czasu, ale jako część grupy. Poza tym wszystkie moje zespoły miały dostęp do szczegółowych historii i złożonych światów, które przed laty wymyśliły inne ekipy.

W przypadku *V & V* było inaczej. To jedyny tytuł, który w całości stworzyłam sama.

Musiałam sobie przypomnieć, jak to jest pracować w pojedynkę. I w tym samym czasie nosić pod sercem małego człowieka. I dowiedzieć się, co się dzieje z Birchie. I postanowić, co dalej. I zapewnić wsparcie Rachel, co było niczym próba przytulenia

kota, który wcale nie ma na to ochoty, w dodatku takiego, od którego dzieli mnie odległość trzech stanów.

Musiałam jednak spróbować. Byłam jedyną osobą na tej planecie, która w ogóle wiedziała o tym, że Rachel ma kłopoty. Z wyjątkiem Lavender, która prawie się do mnie nie odzywała. Moja siostrzenica była skuloną kupką jasnowłosego nieszczęścia, uparcie wyglądającą przez boczną szybę. Od czasu, kiedy wczesnym rankiem odebrałam od Rachel ją oraz ten niedorzeczny trzyczęściowy zestaw walizek od Louis Vuittona, mogłam liczyć jedynie na ponure skinięcia głową, wzruszenia ramionami i jednowyrazowe odpowiedzi na moje pytania.

Była taka drobna, że aż się zastanawiałam, czy wolno jej siedzieć na przednim fotelu. Nie zapytała jednak o pozwolenie, po prostu wsiadła, a Rachel w ogóle tego nie skomentowała. Lavender po wakacjach zaczynała naukę w ósmej klasie i moja siostra musiała w końcu dać spokój z argumentem, że „trzeba ważyć pięćdziesiąt kilo”. Lavender urodziła się jako wcześniak i możliwe, że nigdy nie osiągnie takiej wagi. Boże, jeśli dojdzie do wypadku, poduszka powietrzna może ją zabić. Głowa siostrzenicy była wielkości małej kantalupy, a dłonie miała jak u lalki. Splotła je pod niedawno wyrosniętymi piersiami, które napierały na materiał koszulki.

– Cieszę się, że jedziesz ze mną – powiedziałam i tylko częściowo było to kłamstwem. Na ogół lubiłam podróżować w towarzystwie Lavender, która była fanką mangi i gry *Magic: The Gathering*. – Poza tym czasem dobrze wyrwać się z domu – dodałam, co już w całości było prawdą.

– Maya pojechała na wycieczkę do Paryża – odezwała się Lavender.

To najdłuższe zdanie, jakie dzisiaj wypowiedziała.

– Wolałabyś być teraz w Paryżu? Ja też, mała.

To urocza perspektywa: raczenie się bezami i makaronikami, włóczenie się po Luwrze z moją zazwyczaj bardzo fajną siostrzenicą. W świecie Jedziemy Prosto Do Paryża Birchie była zdrowa i silna i razem z Wattie chodziła na targ, gdzie sprawdzała twardość pomidorów.

– Nie chcę być w Alabamie – kontynuowała Lavender. – Babcia Mai zabrała ją na dwa tygodnie, a kiedy ta wróciła do domu, wszystko już było załatwione.

– Co było załatwione? – zapytałam i zaraz pożałowałam tego głupiego pytania.

– Wszystko związane z rozwodem – powiedziała Lavender do mijanych krzaków. – Maya wysiadła z samolotu i odebrała ją mama. Tato czekał na nie w lodziarni. Kupili jej największy czekoladowy deser lodowy, mimo że jej mama zawsze twierdziła, iż cukier to samo zło. Jej tata zdążył się już wyprowadzić z domu. Mama spakowała połowę jej rzeczy, aby zawieźć je do jego nowego mieszkania. Usłyszała od nich coś w tym rodzaju: „No dobrze, stało się. Pogódź się z tym i jedz lody. Masz już pięć lat”. Teraz Maya ma na twarzy jakiś milion pryszczycy, bo tata, żeby wkurzyć mamę, podczas weekendów pozwala jej jeść wszystko, na co ma ochotę. Mamy nigdy nie ma w domu, bo umawia się z każdym zbokiem dostępnym na portalu randkowym JDate, co jest ohydne, a do taty wprowadziła się jego dziewczyna, która ma dwadzieścia sześć lat, i to jest jeszcze ohydniejsze. Maya próbowała już trawki, pomalowała włosy na zielono i wszystkich nienawidzi. Nawet ze mną już się nie przyjaźni, bo teraz trzyma się

z trawkowiczami.

Najsmutniejszy wydawał się ten jej beznamiętny ton, jakby to było coś najnormalniejszego pod słońcem i teraz nadeszła kolej na nią. Można powiedzieć, że do tej pory żyła pod kloszem, bez świadomości, że dorastaniu towarzyszą bolesne razy od życia. Czułam się okropnie jako świadek tego pierwszego ciosu, gdy słyszałam, jak jej wiara pęka i zaczyna się kruszyć.

– Lavender, z tobą tak nie będzie. – Nie mogłam uchronić jej przed bólem, ale nie zamierzałam pozwolić, aby ją zniszczył.

– Nie zacznę palić trawki ani nie wyskoczą mi pryszcze? – zapytała. – Czy też mama i tata się nie rozwiodą?

Odpowiedź na drugie pytanie знаła lepiej ode mnie. Zresztą i tak nie czekała na to, co jej powiem. Odwróciła się znowu w kierunku bocznej szyby, a do uszu wsunęła słuchawki. Muzykę w telefonie puściła tak głośno, że nawet ja słyszałam cichy szept jakiegoś chłopaka zawodzącego falsetem o miłości.

Wzięłam oczyszczający oddech i ponownie skupiłam się na Violence, która dawała susa nad szarym miastem.

Teraz patrzy w dół, a na twarzy ma ten swój dziki uśmiech. Na pierwszej stronie widnieje tylko jedno słowo, wklejone w nieduży biały kwadracik, aby pokazać, że to myśl Violence, a nie dialog;

„Witaj”.

Dostrzega Violet biegnącą wąską, zaśmieconą uliczką. Na drugim panelu – oraz na każdym innym, gdzie na Violet patrzymy oczami Violence – w ślad za jej krokami pojawiają się kwiaty, winorośle, motyle i małe króliczki. Poczułam lekkie zakłopotanie na myśl o tym, jak ślicznym i niewinnym uczyniłam ten swój awatar. Violence, która zdążyła już wylądować na dachu, spogląda prosto na nią i myśli: „Jesteś promykiem słońca w tym mrocznym i plugawym miejscu”.

Na kolejnej stronie z cieni wyłaniają się kształty i łączą w bandę podążającą za Violet. No cóż, byłam młoda i tak bardzo zraniona, że zamieniłam jednego smutnego i egoistycznego JJ’ a w grupę złych chłopaków, szukających guza. Violence, obserwując, jak depczą po piętach temu uosobieniu niewinności, myśli: „Przyciągasz ich niczym światło w ciemności”.

Podąża za bandą, pełznąc po dachach.

Chłopcy wołają coś do Violet. Ona przyspiesza i rozgląda się za jakąś uczęszczaną ulicą, oświetlonym sklepem. Ale wcześniej skręciła nie tam gdzie trzeba. To ślepa uliczka i chwilę później ją otaczają, blokując sporą część emitowanego przez nią żółtego światła. Trzyma przed sobą torebkę, jakby chcieli od niej czegoś tak prostego, tak łatwego do oddania jak portfel. Oczy ma pełne łez.

Violence przygląda się temu wszystkiemu z góry; w jej odbiorze ci chłopcy są garbaci i mają wydłużone twarze. To bardziej hieny niż ludzie. Zaczyna zsuwać się za nimi po murze.

„Twoje światło przywołało te zdziczałe dzieci. I nie tylko je...”

Jeden chłopak wytrąca Violet torebkę z rąk, drugi zrzuca jej kapelusz. Trzeci chwytą dziewczynę za ramię i urywa ramiączko letniej sukienki.

„Twoje światło przywołało mnie”.

Violet upada na kolana. Kiedy zasłania dłońmi oczy, z tyłu pojawia się Violence. Uwagę napastników przykuwa odgłos wyciągania przez nią długich noży. A potem dochodzi do jatki, bo to właśnie oznacza pojawienie się Violence. Tnie, gryzie i zadaje ciosy, które zmieniają bandę złych chłopców w krwawą miazgę.

„Żyj, promyczku słońca. Żyj, aby mnie ogrzewać”.

Gdy Violence pełźnie z powrotem do góry, ogląda się po raz ostatni. Violet klęczy z zasłoniętymi oczami. Króliczki ukrywają się w fałdach jej sukienki, która jest żółto-czerwona i wygląda jak test Rorschacha. Przestraszony ptaszek na jej ramieniu przytrzymuje urwane ramiączko.

Kiedy Violet odsuwa dłonie od oczu, po Violence nie ma już śladu. To znaczy niezupełnie: jej kolory, jej cień i kształty czają się gdzieś na obrzeżach scen, aż do następnego razu, kiedy Violet znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Oczami wyobraźni cofnęłam się do początku. Do miejsca, w którym Violence mówi, że przywołało ją światło Violet. A jeśli kłamała? Albo po prostu nie miała racji? Czy Violence wiedziała, skąd się w ogóle wzięła? Poczułam delikatny dreszcz. Dreszcz towarzyszący początkowi historii. A co, jeśli...

– To ciąża spożywcza czy prawdziwa? – zapytała Lavender, czym wyciągnęła mnie z komiksowej uliczki.

Tak mnie zaskoczyła, że odwróciłam się do niej, skręcając także kierownicą. Gdy zahaczyłyśmy kołami o pobocze, dotarło do mnie, że prowadzę jedną ręką. Druga w nowo odkrytym matczynym geście spoczywała na brzuchu.

Chwyciłam kierownicę w obie dłonie i po chwili samochód znalazł się na właściwym pasie. I wtedy dostrzegłam, że Lavender jest równie zaskoczona jak ja.

– O mój Boże, jesteś w ciąży? – zapiszczała, po czym wyszarpnęła z uszu słuchawki. – Ja tylko żartowałam.

Policzki mi płonęły. Miałam ogromną ochotę powiedzieć: „Ha, ha, masz rację, głaszczę się po brzuchu tylko z powodu zjedzonej niedawno kanapki!”. Ale to był już szesnasty tydzień. Za jakiś miesiąc nie będę musiała nic mówić, bo zrobi to za mnie Digby. Poza tym od zawsze wyznawałam zasadę: nie wciskać kitu Lavender. To jeden z powodów, dla których byliśmy ze sobą tak zżyte.

– Naprawdę jesteś w ciąży? – powtórzyła.

– Tak trochę – odparłam.

Zerknęłam na nią ukradkiem i ku swemu zdziwieniu zobaczyłam, że dłonie ma zaciśnięte w pięści, a w jej oczach widać łzy wściekłości.

– Nikt mi nic nie mówi – oświadczyła. – Wszyscy postępujecie, jak chcecie. Dorośli. Ze wszystkiego robicie wielką tajemnicę. Nie wiem o niczym ważnym, chyba że usłyszę o tym przez przypadek.

– Och, skarbie – powiedziałam, od razu łagodniejąc, bo jednak nie chodziło o mnie, a już na pewno nie o Digby’ego. Ani trochę. – Nie mam pojęcia, co się dzieje między twoimi rodzicami, ale wiem, że oboje cię kochają.

Prychnęła.

– Chcesz o tym porozmawiać? – Boże, jak bardzo ja tego chciałam.

Chciałam się dowiedzieć, co wie. W niedzielę po południu Rachel poszła na górę i zamknęła się z córką w jej pokoju. Pół godziny później zeszła na dół, ale ja rozmawiałam wtedy przez telefon z Birchie.

Do tego czasu zdążyłam wysłuchać i odczytać wystarczająco wiele relacji naocznych świadków tego, co się wydarzyło podczas Pikniku Rybnego, i byłam przekonana, że jak najszybciej muszę jechać do Birchville. Zadzwoiłam bezpośrednio do Birchie i oświadczyłam, że przyjeżdżam. Rachel usiadła pośrodku zdewastowanej jadalni i ze spokojem uruchamiała laptop, ja natomiast odpowiadałam na ciche pomruki Birchie i milczenie Wattie:

– Powinłam się zjawić najpóźniej we wtorek.

Nie znośłam być na głośniku. Miałam wtedy wrażenie, że moje słowa dziwnie się rozmywają, jakby odbijały się echem od mrocznego kanionu, zamiast docierać do wytwornego salonu z adamaszkowymi zasłonami i wiktoriańskimi kanapami.

– I po co tyle zamieszania – powiedziała Birchie.

– Nic nam nie dolega, Leia – dodała Wattie, co było tak kolosalnym kłamstwem, że aż mi na chwilę zaparło dech.

– Cieszy mnie to bardzo, Wattie. – W moim głosie pojawiła się ostra nuta. Birchie nigdy nie udałoby się tak długo ukrywać swojego stanu, gdyby nie jej pomoc. A teraz obie zachowywały się w sposób lekceważący i nie wyrażały skruchy, jakby były jedynie niesfornymi dziećmi chowającymi po kątach czekoladę. – Żadnej z was nic nie dolega?

Odpowiedzi udzieliła Birchie. Spokojnie, niemal konwersacyjnie.

– No cóż, muszę ci powiedzieć, że Wattie dokuczają ostatnio kolana.

Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować. Może przebywała tak głęboko w odmętach swojego trawionego chorobą umysłu, że zdążyła już zapomnieć o tym, co się dzisiaj stało. A może była Wytworną Damą z Południa, która postanowiła ignorować to wszystko, do czego doszło w sali parafialnej. Nie dowiem się tego, dopóki nie pojadę do Birchville.

Od razu po zakończeniu rozmowy z nieznosnymi starszuchami zadzwoniłam do rodziców. Kiedy Rachel usłyszała: „Hej, mamó”, podniosła wzrok znad listy lotów i cen wynajmu samochodów.

– Sporo bierzesz na swoje barki – powiedziała mama, kiedy pokrótce zapoznałam ją z sytuacją. – Myślisz, że powinnam jechać z tobą?

– Nie – odparłam niemal natychmiast.

Moja matka miała silne poczucie odpowiedzialności i lubiła robić to, co należy – i to, czego się od niej oczekiwało – ale jej obecność tylko by wszystko skomplikowała. Odkąd ponownie wyszła za mąż, rozluźniła się relacja łącząca ją i Birchie. Moja babcia nie miała nic przeciwko; tata nie żył wtedy od trzech lat. Do rozdźwięku doszło dlatego, że mama chciała zmienić mi nazwisko i pozwolić, aby Keith mnie adoptował. Uznała, że czułabym się odrzucona, gdybym dorastała jako Leia Birch Briggs, gdy tymczasem ona stała się Clarą Simpson. Birchie ostro się temu sprzeciwiła, co zaowocowało zdecydowanym ochłodzeniem stosunków między nimi. Od tamtej pory, kiedy mama przywoziła mnie na wakacje, nie zostawała w Birchville ze mną tak jak wtedy, gdy byłam mała.

Teraz, jako osoba dorosła, cieszyłam się, że Birchie wygrała. Czułabym się odrzucona bez względu na nazwisko: dziwaczka, która miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt, jasną cerę Briggsów, ciemne włosy Birchów i jasnoniebieskie oczy. Moja wysoka, szczupła matka wyglądała tak, jakby pojawiła się w moim życiu razem z Keithem i Rachel. Cała trójka była wysoka, smukła, miała cerę w odcieniu miodu i żadne z nich nie widziało ani jednego odcinka *Xeny: wojowniczej księżniczki*.

– Zajmę się wszystkim, mam – rzekłam teraz. Choroba mojej babci to problem Birchów. – Zresztą Rachel pomaga mi właśnie zarezerwować...

Siostra zerwała się z krzesła i zaczęła szaleńczo machać rękami, kręcąc przy tym głową.

Urwałam, a mama zapytała:

– Rachel? Myślałam, że dopadła ją grypa żołądkowa?

Przypomniałam sobie, że przecież odwołała lunch.

– Owszem, ale i tak do niej zadzwoniłam. Znasz Rachel. Pewnie siedzi z laptopem na podłodze w łazience.

Rachel podniosła kciuki i ponownie usiadła przed komputerem. Zakończyłam rozmowę z mamą myślą, że dziwnie być po tej samej stronie co moja siostra. Żadna z nas nie była gotowa, aby podzielić się z rodzicami swoimi nowinami, ale ja wiedziałam o Jake’u, natomiast ona nie wiedziała o Digbym. Dziwna odmiana. Kiedy stanęłam za nią, myśląc o tym, że powinnam ją nakłonić do poszukania wsparcia u Keitha i mamy, zobaczyłam, że do koszyka w Delcie dołożyła drugi bilet. Na nazwisko Lavender Marie Jacoby.

– Nie ma mowy... – powiedziałam, ale Rachel weszła mi w słowo.

– Leia, będziesz miała ręce pełne roboty. Przyda ci się ktoś do pomocy – rzekła takim tonem, jakby oddawała mi przysługę. – Dla Lavender to może być frajda, ten stary, wielki strych pełen mebli i listów i, och, ubrań! Kiedyś strasznie ci zazdrościłam, gdy oglądałam na zdjęciach z wakacji, jak się przebierasz w suknie z lat dwudziestych, turniury, rozkloszowane spódniczki, no i w tę suknię ślubną...

– Jasne, kiedy miałam dziewięć lat – powiedziałam. W wieku Lavender strych traktowałam jako miejsce, gdzie można dostać udaru cieplnego i dać się pogryźć pająkom. Tak bardzo mi brakowało Super Nintendo JJ’a, że Birchie pojechała do Montgomery i kupiła mi je, żeby tylko wytrzymała u niej przez cały lipiec. Jako nastolatka Rachel wakacje spędzała u rodziców Keitha w Myrtle Beach, nabierając opalenizny i całując się ze wszystkimi przystojnymi chłopakami w Karolinie Południowej. – Żadna trzynastolatka nie marzy o wakacjach w Birchville w stanie Alabama. – Poza tym muszę się skupić na Birchie.

– Otóż to – przytaknęła Rachel. – Ale musisz także zdecydować, co zostawić, a co spakować dla Goodwill. Sama sobie z tym nie poradzisz.

– Wcale nie wiem, czy zabiorę stamtąd... – zaczęłam, ale siostra mi przerwała.

– Ależ wiesz. – Mówiąc to, wstukiwiała do odpowiednich rubryk datę urodzenia Lavender i adres zamieszkania, jakby decyzja już została podjęta. – Przykro mi, ale to konieczne. Musisz przywieźć Birchie tutaj, do domu opieki. I tak odkładałaś to dłużej, niż powinnaś.

– Może i tak, ale Birchie będzie miała w tej kwestii własne zdanie. – Było to tak wielkie niedomówienie, że aż się zdziwiłam, że nie trafił mnie piorun.

– Musisz być stanowcza. W pewnym momencie trzeba przejąć kontrolę. W przypadku babci powinnaś to była zrobić już wiele lat temu. – Wybierała właśnie dwa sąsiednie miejsca w samolocie. W pierwszej klasie, co było doprawdy niedorzeczne. Dodatkowy tysiąc dolców za gorący ręcznik, więcej miejsca na nogi i darmowe drinki, których Digby i tak nie pozwoli mi skosztować. – Lavender może ci pomóc. To urodzona organizatorka.

To prawda, że odziedziczony po Rachel gen porządku ujawniał się u mojej siostrzenicy w książkach ułożonych alfabetycznie według nazwisk autorów i swetrach posegregowanych według kolorów. Ale Rachel nigdy nie była w domu rodzinnym Birchie. Ten dom to sto pięćdziesiąt lat historii, z których większość przybrała formę rupieci gromadzonych na strychu. Przekopanie się przez to wszystko czterem silnym mężczyznom zajęłoby tydzień. Lavender nie okazałaby się bardziej użyteczna niż Sierżant Stripes, kocur, który mieszkał w moim ogrodzie. Zaczęłam to mówić, ale Rachel mnie przegadła.

– Dzięki temu ja będę miała czas na to, aby poszukać jakiegoś miejsca dla Birchie. W najlepszych ośrodkach jest zawsze długa lista oczekujących, pewnie o tym wiesz, ale mnie powinno się udać umieścić ją niemal wszędzie. Sporo osób w tym mieście wisi mi przysługę. – Chyba nadal widziała w wyrazie mojej twarzy wielkie i stanowcze „nie”, bo przestała stukać w klawiaturę, popatrzyła na mnie i dodała: – Proszę, Leia. Potrzebuję teraz spokoju, żeby wszystko przemyśleć.

Proszę?

Rachel mnie o coś prosiła. Sytuacja bezprecedensowa, choć sama od trzydziestu pięciu lat zasypywała mnie swoją pomocą. Nawet w zerówce „pomagała” mi kolorować. Jedno z moich pierwszych wspomnień to Rachel pouczająca: „Lala nie jest brązowa. Lala jest taka”, wyrywająca mi z ręki brązową kredkę i zastępująca ją cielistą.

Gdy dorosła, pomagała mi wybierać wszystko, począwszy od samochodów, a skończywszy na choinkach i błyszczkach do ust. To ona udzielała mi wsparcia, gdy zostałam porzucona przez JJ’a, choć nie знаła wtedy przyczyny mojego stanu. Na towarzyskiej drabinie społecznej JJ plasował się tak nisko, że ledwie dostrzegała jego obecność, nie mówiąc o nieobecności. Wiedziała jedynie, że przestałam jeść i myć włosy. Nawet moje komiksy z Wonder Woman leżały nieczytane. Wkroczyła do akcji i oświadczyła mi, że jeśli nie ruszę się z łóżka, to zgnuśnieję. Siłą zaciągała mnie na spotkania z przyjaciółmi i zmuszała do oglądania, jak jej chłopak wykonuje jakieś sportowe sztuczki. Kiedy spędzałam czas na wpatrywaniu się przed siebie tępym wzrokiem, zmieniła taktykę. Przemogła się i poszła ze mną na *Facetów w czerni* i *Piąty element* oraz na lokalny zlot fanów *Star Treka* – robiła wszystko, co mogło wzbudzić moje zainteresowanie. Zabrała mnie nawet na sesję doboru kolorów odpowiednich do mojej cery, bo twierdziła, że przed pójściem na studia muszę przejść metamorfozę, a następnie wzięła od Keitha kartę kredytową i kupiła całe mnóstwo kolorowych apaszek, które miały ożywić moją ponurą zimową garderobę.

– Noś tę różową albo turkusową – powiedziała.

Wkurzające było to, że dzięki kolorom wiosny moja cera rzeczywiście wydawała się świeższa, a oczy bardziej błyszczące. Wyglądałam lepiej. Dwadzieścia lat później nadal owijałam szyję apaszkami w odpowiednich kolorach, dzięki czemu przekształcałam swój uniform – czarny top, dzinsy o prostym kroju i converse’y – w prawdziwy strój. Jej szczerą intencję w połączeniu z przekonaniem o własnej racji czyniły tę pomoc zarówno irytującą, jak i niemożliwą do odrzucenia.

A co ja zrobiłam, żeby pomóc jej? Nic. Nigdy na to nie pozwalała. Nawet podczas tych rzadkich okazji, kiedy jakiemuś wirusowi udało się przedrzeć przez witaminową barierę Rachel, miała w zamrażarce rosół, który ugotowała na bulionie z kości i warzyw korzeniowych zawierających najwięcej antyoksydantów.

– No cóż, nie zaszkodzi poszukać ośrodków, które Birchie mogłaby obejrzeć, ale tylko takich, gdzie są dostępne dwa pokoje. Wattie i Birchie najpewniej będą chciały zamieszkać razem. Muszę zapewnić im taką możliwość – powiedziałam, wyjmując z portfela kartę kredytową. Rachel przeszła już na stronę z płatnościami. – I zamień klasę na turystyczną. Te fotele są tak wielkie, że zmieściłyby się na nich dwie Lavender.

Zawahała się, lustrując mój tyłek, większy z powodu Digby’ego. Zawsze zauważała, kiedy przybywało mi parę kilo. Obdarowywała mnie wtedy kosztami owoców i karnetami na jogę, aż moje dzinsy w końcu znowu robiły się luźne. Sięgnęła po portfel – i ten gest także znałam. Zamierzała wyciągnąć własną kartę kredytową i usadowić mnie tam, gdzie ma ochotę.

– Chcesz, żebym zabrała Lav? – zapytałam.

– Niech ci będzie – odpowiedziała i użyła mojej karty.

I tak oto Lavender i ja znalazłyśmy się pod różnego rodzaju przymusem ze strony Rachel. A ja tylko podejrzewałam, co się wydarzyło między moją siostrą a jej mężem.

– Nie chcę o tym rozmawiać – oświadczyła mi teraz Lavender. – Nikt mi o niczym nie mówi, więc czemu ja miałabym to robić? Jesteś taka sama jak oni, gdy ukrywasz przede mną tę swoją ciążę. Ja jestem tylko głupim dzieciakiem, który o wszystkim dowiaduje się ostatni. Jeśli w ogóle.

Tak bardzo była zła, tak bezradna wobec tego, co się działo w jej rodzinie, że aż trzęsły jej się ręce.

– Lav – powiedziałam miękko – nie dowiadujesz się ostatnia. Jesteś pierwsza. Nie licząc lekarzy, absolutnie nikt nie wie, że jestem w ciąży.

Na chwilę znieruchomiała, po czym zapytała:

– Babcia i dziadek nie wiedzą?

Pokręciłam głową.

– Mama nie wie?

– Nie. I jeśli nie masz nic przeciwko, to chciałabym sama jej o tym powiedzieć. Wszystkim, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila. – Spojrzałam jej w oczy, aby wiedziała, że mówię poważnie. Pokiwała głową, a ja ponownie skupiłam się na prowadzeniu auta.

Po chwili Lavender zapytała:

– No a co z tatą? Tatą dziecka. On wie? – Była już spokojniejsza, co mnie cieszyło, ale, och, cóż za skomplikowane pytanie.

Zamiast odpowiedzieć wprost, rzuciłam:

– Ojciec nie będzie zaangażowany w jego wychowywanie.

– Ale wie o nim? – Lavender była równie nieustępliwa jak jej matka.

Pokręciłam głową. Żałowałam, że nie jestem trzynastolatką, która powie: „Nie chcę o tym rozmawiać”. Nie chciałam wyjaśniać decyzji podjętych po alkoholu gimnazjalistce, która jeszcze nawet się nie całowała. Nagle poczułam w samochodzie obecność Rachel, która chciała, abym postępowała rozważnie. Lavender mnie podziwiała. Nie pomagał fakt, iż przepelniał ją świeżutki estrogen i dopiero co była świadkiem, jak jej ojciec wypada z domu z torbą z Whole Foods pełną skarpetek i bokserów. Hormony i problemy z ojcem, klasyka zbyt wcześnie popychająca dziewczęta w ramiona chłopców.

– Co matka ci mówi o seksie? – zapytałam.

– O Boże, no w sumie nic – odpowiedziała i oblała się rumieńcem. – To znaczy dała mi książkę. I nie kazała go uprawiać.

– Doskonała rada – stwierdziłam. – Reprodukacja to nie jest mit, Lav. Wystarczy jeden raz i możesz zajść w ciążę, nawet jeśli ci się wydaje, że jesteś ostrożna.

– Więc wy mieliście tylko jedną randkę?

– Nie – odparłam. – Nie tak to wyglądało.

– A jak?

Bez randki, no i nie pamiętałam, jak ma na imię. W mojej głowie pojawiło się wspomnienie Batmana, jego pewnego siebie uśmiechu, zaskakująco umięśnionych rąk i ramion – wcześniej sądziłam nawet, że te mięśnie to kostium – i pomyślałam: „To była niezła sztuka”. Ta myśl pojawiła się tak szybko, że bez namysłu wypowiedziałam ją na głos. W ostatniej sekundzie słowo „sztuka” zamieniłam na inne.

– To była niezła głupota.

Nawet nie skrzyżowałam palców. Przecież nie kłamałam. To było głupie. Ale także, co musiałam przyznać, bardzo podniecające.

– Chcę wiedzieć, co się stało – upierała się Lavender.

Nic w tej historii nie nadawało się dla trzynastolatki, ale czasami tak było z całym światem. Duch Rachel wydawał się teraz niemal namacalny; czym innym jest szczerść, a czym innym – zbyt szczerść.

– Pojechałam na zlot fanów komiksów do Atlanty. Miałam okropny dzień, więc zeszedłam do baru, co okazało się kiepskim pomysłem. Podszedł do mnie mężczyzna i zapytał, czy może mi postawić drinka.

– Jak miał na imię?

– Nieważne.

– Jak wyglądał?

To także nie miało żadnego znaczenia.

– Nie wiem. Miał na sobie strój Batmana – wyjaśniłam. – No więc...

– Batmana? – przerwała mi Lavender i parsknęła. Był to niemal śmiech. – Ty przecież uwielbiasz Batmana! Przystojny był z niego Batman?

– Nie wiem. Nieważne – powtórzyłam, ale kiedy zerknęłam na nią z ukosa, przekonałam się, że dla niej jest to jednak ważne. Cóż, przynajmniej na to pytanie mogłam udzielić odpowiedzi. – Eee, był mniej więcej w moim wieku. Afroamerykanin. Niski głos...

– Był czarny? Urodzisz czarne dziecko? – Lavender znowu weszła mi w słowo.

– No cóż, w połowie to moje dziecko, Lavender. Będzie dwurasowy, więc nie wiem, jak będzie wyglądał ani za kogo się będzie uważał.

Milczała, patrząc się na mnie szeroko otwartymi oczami.

– No co?

– Boże, ciociu. Jesteś po prostu... taka ekstra.

Rachel mnie zamorduje.

– Nie, wcale nie jestem ekstra – powiedziałam. – Jestem lekkomyślna i pozwoliłam, aby kiepski nastrój pchnął mnie do podjęcia niewłaściwych decyzji. A tak między nami, wcale nie poprawiło mi to nastroju. – To nie była do końca prawda, ale rano zdychałam z powodu kaca, więc w sumie mogłam tak powiedzieć. – Mógł się okazać gwałcicielem lub chorym psychicznie prześladowcą, a ja go zaprosiłam do swojego pokoju. Mógł mnie zarazić jakąś chorobą. Przebadałam się pod kątem mnóstwa chorób, co było przerażające i żenujące, a za parę miesięcy muszę zrobić jeszcze jeden test, na nosicielstwo HIV, tak dla własnego spokoju. No i teraz to dziecko, z którego się cieszę, nie zrozum mnie źle. Będę je kochać. Ale, Lav, moje dziecko będzie się wychowywać bez ojca.

To akurat do niej dotarło. Może nawet za bardzo. Przełknęła ślinę i odwróciła wzrok.

– Do bani. Brak taty – powiedziała i nie miałam pewności, czy chodzi jej o dziecko, czy o nią samą. Może o jedno i drugie.

Wycofałam się i zdecydowałam na inny morał.

– Jak się za dużo wypije, podejmuje się decyzje, których na trzeźwo pewnie by się nie podjęło.

Przewróciła oczami, godząc się na zmianę tematu.

– Tak nam mówili w szkole.

– No cóż, ja ci to mówię raz jeszcze. Łatwo jest przesadzić z alkoholem, zwłaszcza gdy nie jest się do niego przyzwyczajonym.

Lavender pokiwała z powagą głową.

– Radzisz mi więc, żebym możliwie jak najszybciej zaczęła pić i przyzwyczajała się do alkoholu.

Powiedziała to z taką powagą, że dopiero po chwili dotarło do mnie, że robi sobie ze mnie jaja. Uśmiechnęłam się z ulgą. A więc pod tą maską niezadowolenia kryła się ta butna dziewczyna, którą znałam.

– Otóż to. Birchville leży w hrabstwie, gdzie jest zakaz sprzedaży alkoholu, w przeciwnym razie zatrzymałabym się i kupiła ci szklaneczkę bourbona. – Skręciłam w Main Street. – Zobacz, prawie jesteśmy na miejscu.

Lavender skrzywiła się, jakby poczuła nieprzyjemny zapach.

– To jest Birchville?

Po jednej stronie drogi było widać aptekę i Subwaya, po drugiej – stację benzynową Tiger Gas, ukłon w stronę Auburn. Fani Alabamy tankowali na Shellu.

– Obrzeża – wyjaśniłam. – Za tym skrzyżowaniem będzie już centrum.

Wyprostowała się, kiedy mijaliśmy Piggly Wiggly, supermarket dzielący parking

z Movie Town.

– Co to za miejsce?

– Wypożyczalnia płyt DVD. I jednocześnie solarium – odparłam.

Na swój sposób znalezienie się w Birchville było niczym cofnięcie się o trzydzieści lat.

– Dziwnie tu – stwierdziła. – Jakaś pani na rogu do nas macha.

Dot Foster, urocza staruszka, która w Pierwszym Kościele Baptistów przewodziła wieczorom z modlitwą i szyciem, wypatrzyła mój samochód z wypożyczalni. Odmachałam, a ona ruszyła spieszenie w kierunku domu Lois Gainey. Nie minie kilka minut, a całe miasteczko się dowie, że przyjechałam i przyciągnęłam ze sobą nieznaną nastolatkę. Jeśli nikt sobie nie przypomni o tym, że mam siostrzenicę, z pewnością wyślą zwiadowcę, którego zadaniem będzie podpytać, kim jest Lavender i jakie ma pochodzenie. Tak naprawdę to przyjazd do Birchville oznaczał cofnięcie się w czasie o sto trzydzieści lat, do roku 1887.

Zatrzymałam się na jednej z trzech sygnalizacji świetlnych i zerknęłam na Lav, przyglądającą się mojemu miastu.

Ona była nie tylko superładna – była piękna, a prawdziwemu pięknu zawsze towarzyszą jakieś osobliwe cechy. Lavender była niesamowicie drobna. Na oddziale intensywnej terapii noworodków wyglądała jak fioletowe i pomarszczone jabłko z doczepionymi patyczkami. Nigdy nie dogoniła rówieśników. Była mojego wzrostu, ale tak filigranowa, że na zdjęciach, na których pozowała sama, wydawała się chuda i wysoka. Twarz miała dość szeroką, ogromne, głęboko osadzone oczy i wystające kości policzkowe. Do tego mały nos i duże usta. Niedawno jej ciało uległo transformacji i choć pozostała drobnutka, nie wyglądała już jak dziecko. Miałam nadzieję, że ze swojej spektakularnej urody zda sobie sprawę nie wcześniej niż jako dwudziestopięciolatka, dzięki czemu bezpiecznie przetrwa okres dojrzewania.

Znajdowałyśmy się teraz na rynku, z którego było widać iglicę Pierwszego Kościoła Baptistów. Obok parku z ławkami i fontanną znajdowała się biblioteka. Po obu stronach rynku ciągnęły się rzędy sklepów i punktów usługowych: pasmanteria, fryzjer, antykwariat, cukiernia, salon manicure. Część rynku zajmował kościół, a pośrodku były teren należący do niego i maleńki cmentarz. Większość budynków otaczających rynek to domy w stylu wiktoriańskim, przerobione na biura i sklepy. Kilka pozostawało zamieszkałych, a właścicielami byli potomkowie i krewni najstarszych rodzin.

– To dom Birchie – powiedziałam, kiedy pokonałam ostatni zakręt, ale wzrok Lavender przykuł jasnoniebieski budynek dwa domy bliżej. Na schodkach werandy siedzieli dwaj nastoletni synowie Franka Dariana.

Frank albo Jeannie Annie najwyraźniej przywieźli ich wcześniej z obozu. Czy to jakiś rodzicielski wewnętrzny przymus, aby ciągnąć dzieci z drugiego stanu, kiedy małżeństwu grozi katastrofa? A może chłopcy sami chcieli wrócić do domu? Większość młodzieży od baptystów była na Pikniku Rybnym, więc Hugh i Jeffrey z całą pewnością otrzymali porządną porcję bogatych w szczegóły esemesów i e-maili.

Zastanawiałam się, kto jest z nimi w domu. Kiedy w małych miasteczkach na Południu rozpadało się małżeństwo, dom na ogół przypadał w udziale żonie. No ale

zwykle to mężowie zdradzali, a poza tym na parterze mieściła się kancelaria Franka. Gotowa byłam się założyć, że to Jeannie Anne musiała poszukać sobie nowego lokum.

– Fajni – odezwała się Lavender.

Nie odrywała wzroku od chłopców. Oni także jej się przyglądali.

Zwracanie uwagi na chłopców było czymś nowym. Możliwe, że pojawiło się w pakiecie z zaokrąglonymi biodrami.

– Do Birchie należy ten wiktoriański dom z werandą. Widzisz tę wieżyczkę? Ten okrągły pokój na piętrze ma kozetkę i zaokrąglone półki z książkami. Kiedy byłam mała, nazywałam go Pokojem Księżniczki. Możesz w nim spać, jeśli chcesz.

– Super – powiedziała, spojrzawszy na wieżyczkę, ale zaraz potem obejrzała się przez ramię na chłopców.

Poczułam ukłucie smutku. Pokój Księżniczki uradowałby Lavender sprzed roku, spokojną i pozbawioną krąłości dwunastolatkę, której rodzice się kochali. Tegoroczna dziewczyna miała trzynaście lat, ciało, w którym buzowały hormony, i złamane serce.

Zatrzymałyśmy się na podjeździe. Na stojącej na werandzie huśtawce wyłożonej poduchami czekała Wattie. Powoli odpychała się nogą od desek. Włosy miała za krótkie, żeby powiewały na wietrze. Wstała i wyszła na słońce. Kiedy schodziła po schodach, jej loki wyglądały jak roztopione srebro. Na podwórku dostrzegłam Birchie. Na głowę założyła duży kapelusz, który nosiła w ogrodzie. Klęczała przy jednym z klombów i sadiła jakieś rośliny, przerzucając ziemię małym rydlem. Wyprostowała się, kiedy Wattie uniosła rękę, a potem ostrożnie wstała, ale nie pomachała. Stała i patrzyła na wynajęty samochód, nadal z rydlem w jednej dłoni i nasionami w drugiej. Twarz miała pozbawioną wyrazu.

– Wyjmę bagaże, a potem do was przyjdę – powiedziała Lavender. – Idź się z nimi przywitać.

– Na pewno? – zapytałam, a ona wykonała gest pokazujący mięśnie. Zaskoczył mnie widok jej niedużych, ale jędrnych bicepsów.

– Mam całkiem sporo siły – oświadczyła, a ja się uśmiechnęłam i dałam jej kluczyki.

Kiedy zbliżyłam się do schodów, Birchie wzdrygnęła się i jej puste spojrzenie w końcu skupiło się na mnie. Zamrugła skonsternowana, a mnie zamarło serce. Przyjechałam, aby się przekonać, jak bardzo jest źle, i proszę, już się przekonałam. Nie poznaje mnie.

– Birchie? – odezwałam się.

Zamrugła jeszcze dwa razy i powiedziała:

– O nie, chyba nie kupiłam indyka. Wattie, kupiłyśmy indyka?

Bardzo się musiałam starać, żeby się nie rozplakać. Temperatura przekraczała trzydzieści stopni, a Birchie stała tuż obok klombu z kolorowymi cyniami, ale na mój widok przeniosła się myślami do Święta Dziękczynienia.

– Z Pig przywieziono nam wszystko, co trzeba – odparła Wattie. Podeszła do mnie i obdarzyła powitalnym uściskiem.

Birchie schyliła się i wrzuciła rydel do wiadra z narzędziami. Nasiona rzuciła za siebie; wylądowały na czarnym spłachetku spulchnionej ziemi. Były okrągłe i miały

niespotykany w przyrodzie pomarańczowy odcień. Wyglądało to tak, jakby Birchie siała małe cukierki, może tic taki. Pocałowałam Wattie w policzek, a następnie uściskałam i pocałowałam babcię, zaciskając powieki i tuląc ją może nieco zbyt mocno. Nie byłam pewna, od czego zacząć.

– Święci pańscy – rzekła Birchie bez tchu. – Wyciśniesz ze mnie całe życie. Też się cieszę, że cię widzę.

Kiedy w końcu się odsunęłam, Wattie nachyliła się w stronę Birchie i szepnęła jej coś na temat kolacji. Babcia zachowywała się tak, jakby to wcale nie Wattie podpowiedziała jej te słowa.

– Na kolację będzie pieczony kurczak.

– Wspaniale – odparłam. Głos miałam dziwnie zachrypnięty.

Moja Birchie siała cukierki i mnie nie poznała. Wciąż nie miałam pewności, czy zdaje sobie sprawę, że jest czerwiec. Poczulałam, jak wzbiera we mnie gniew z powodu tego, że sprawy zaszły tak daleko, a ja o niczym nie wiedziałam.

W tym momencie Digby zawirował we mnie jak mały bąk, jakby chciał mi przypomnieć, jak łatwo jest o czymś nie mówić. Nawet o sprawach naprawdę ważnych. Nawet tym, którzy najbardziej cię kochają. No ale jednak. Musiałam to powiedzieć.

– Powinnaś była ze mną porozmawiać. – Skierowałam te słowa do Wattie, ale ona tylko spojrzała na Birchie, więc zwróciłam się do babci: – Nie wiem, co się... To alzheimer? I co ty...

– Nie mam alzheimera – przerwała mi Birchie, nagle obecna i głęboko dotknięta. – Mam... – Urwała i nachyliła się ku Wattie, która już do niej szeptała. – Ciała Lewy’ego! – oświadczyła triumfalnie. – W mózgu mi rosną ciała Lewy’ego, a to wcale nie jest alzheimer.

– Ciała Lewy’ego – powtórzyłam.

– To coś podobnego do parkinsona – odezwała się Wattie – ale ciała Lewy’ego to białkowe guzy. Nie są złośliwe, jednak robią sporo zamieszania. Do tego miała przynajmniej dwa miniudary, które tylko wszystko pogorszyły. – Zwięzłe informacje przekazane rzeczowym tonem.

– Dziękuję bardzo za konkrety, Wattie – powiedziałam. Miejsce smutku zajął gniew. Czy sądziła, że wystarczą trzy zdania? – Nie mam pojęcia, co to wszystko oznacza. Wattie zachowała spokój.

– To oznacza, że Birchie podczas kiepskich dni niewyraźnie mówi. Łatwo się męczy, myli różne rzeczy i robi się kłótliva. Teraz zaczęła mówić publicznie rzeczy, które lepiej wyrażać ciszej, na osobności, no i widzi nieistniejące zwierzęta.

– Króliki – wtrąciła Birchie. – Ostatnio wszędzie ich pełno. Robią to, co robią króliki.

Machnęła z irytacją ręką i wskazała na podjazd. Spojrzałam tam i nie zobaczyłam królików. Jedynie Lavender. Bagażnik wynajętego samochodu był otwarty, ale walizek jeszcze nie wyjęła. Moja siostrzenica stała na chodniku i rozmawiała z chłopcami od Darianów. Fantastycznie.

– Doktor Pettery przepisał jej exelon i sinemet – kontynuowała Wattie. Medyczne nazwy dziwnie brzmiały w jej ustach. Pewnie tak samo było wtedy, kiedy ja próbowałam

używać swojego szkolnego francuskiego. – Dzięki nim nie trzęsie się i nie przewraca. Lekarz kazał jej też brać aspirynę, żeby zapobiec większemu udarowi. Jest jeszcze jeden lek, który mógłby pomóc z pamięcią i królikami...

– Ależ się parzą! – przerwała jej Birchie.

– ...ale istnieje spore ryzyko – kontynuowała Wattie – że zaczęłyby się dużo, dużo bardziej trząść. Żyjemy więc jakoś z tymi sprośnymi zwierzątkami, prawda?

– Wiem, że tych królików wcale tu nie ma – wyznała Birchie. – Prawdziwe króliki lepiej się zachowują.

Pokręciłam głową.

– Powinnaś mi była powiedzieć o jej chorobie.

– Och, skarbie. – W głosie Wattie było słycać żal i wyrzuty sumienia.

Błyszczące oczy Birchie utkwiała teraz we mnie. Spojrzenie miała żywe, bystre i z całą pewnością była w tej chwili sobą. Poklepała mnie zasuszonymi dłońmi, jakbym była smutnym psem albo małym dzieckiem.

– Och, skarbie – powtórzyła za Wattie. – Ja nie jestem chora. Ja tylko umieram.

Następnie wzięła mnie za rękę i razem weszliśmy po schodach do domu.

– Wiesz, co musisz zrobić – powiedziała Rachel tym swoim życzliwym, aczkolwiek stanowczym tonem.

Zadzwoiłam do niej, aby powiedzieć, że jesteśmy na miejscu. Przy okazji poprosiłam, aby wpisała do Google'a hasło „ciała Lewy'ego”. Ja już to zrobiłam, kiedy tylko znalazłam się sama w swoim pokoju i uruchomiłam starego laptopa, który przywiozłam dla Lavender. To był błąd. Fakty przedstawiono zwykłą czarną czcionką odcinającą się od białego tła, ale napawające przerażeniem zwroty zdawały się powiększać i wypełniać pole mojego widzenia. Pogorszenie funkcji kognitywnych. Halucynacje z udziałem zwierząt bądź ludzi. Niepokój. Demencja. Kiedy dotarłam do „nieuchronnie prowadzi do śmierci”, zamknęłam laptop z większą siłą, niż to było konieczne. A potem wybrałam numer siostry.

– Nie podjęłam jeszcze decyzji – oświadczyłam, ale słabo to zabrzmiało. Lavender krzątała się po sąsiedzku w pokoju z wieżyczką, a odgłosy rozpakowywania się przypomniały mi o tym, jak cienkie są ściany. Nie chciałam, aby podsłuchiwały mnie Birchie czy Wattie. – Nie rozmawiałam nawet jeszcze z lekarzami Birchie.

– Wiem, że masz wrażenie, jakby to wszystko działo się bardzo szybko, ale, skarbie, tak nie jest – rzekła Rachel. – Nie chcę się wymądrzać, lecz martwisz się sytuacją życiową Birchie i Wattie już od dziesięciu lat. Odsuwałaś to od siebie, jak długo mogłaś, jednak nadszedł czas na podjęcie radykalnych kroków. Ciała Lewy'ego to doprawdy wisienka na tym przeterminowanym torcie. Z Birchie i Wattie musisz postępować stanowczo i zdecydowanie.

Odsunęłam na bok zamknięty laptop i położyłam przed sobą szkicownik, a potem wyjęłam ołówek wciśnięty w spiralę łączącą kartki. Podczas rozmów przez telefon na ogół coś gryzmoliłam. Albo kiedy się stresowałam. Szkicownik był otwarty na prostym rysunku przedstawiającym Violence dającą susa. W rękach trzymała noże. Dorysowałam teraz przed nią długi, nierówny kształt.

– Wiem, Rachel, ale to przecież Birchie. Ona jest niezwykła.

Czymś niewłaściwym wydawało się, że miałyby jej dotyczyć banalne zasady starzenia się. Jej nigdy nie obowiązywały żadne zasady. Była legendą i wywodziła się z legend. Jej dziadek założył to miasto, dzięki ojcu w doskonałej kondycji przetrwało Wielki Kryzys w latach trzydziestych, a sama Birchie w 1957 roku ponownie je uratowała.

Tamtego lata Ellis Birch wyjechał nagle do Charleston. Towarzyszyły temu pogłoski, że rodzinna fortuna znalazła się w niebezpieczeństwie. Niektórzy przebąkiwali o malwersancie w firmie inwestycyjnej albo kłopotach zagranicznego banku, gdzie Birchowie podobno nadal trzymali pieniądze pochodzące z blokady.

– Ci Birchowie to nie lubili dywersyfikacji – oświadczył Jelly Mack z takim połączeniem nieskrywanego zadowolenia i zupełnej ignorancji w kwestii definicji słowa „dywersyfikacja”, że jego słowa stały się słynne. Miejscowi staruszkowie nadal powtarzali je ze śmiechem, choć Jelly już od dwudziestu lat spoczywał w grobie.

Wtedy jednak nikomu nie było do śmiechu. To do rodziny Birchów należała

większość budynków wokół rynku. Wynajmowano je za tak śmieszne pieniądze, że można to było uznać za akt dobroczynności. Dzięki nim centrum kwitło.

Zaraz po przyjeździe do Charleston Ellis Birch umarł na rozległy zawał, przez co plotki tylko przybrały na sile. Świat się walił i po raz pierwszy ludzie zaczęli pytać, co zrobi Emily Birch. Miała trzydzieści lat, korpulentną sylwetkę i do tej pory nie wyszła za mąż. Przed laty nie mogła się opędzić od konkurentów, ale żaden nie wydawał się wystarczająco dobry dla dumnego Ellisa Bircha. Zniechęcił ich do zalotów, co można uznać za wielki eufemizm. Jednego z Macków zniechęcał aż do granicy stanu.

Emily nie postrzegano jednak jako starej panny. Dzięki pieniądzom i nazwisku nie trafiła do klubu Kobiet Pełnych Nadziei, które w smutnych pastelach przesiadywały na kościelnych uroczystościach. Gdyby jednak nie miała już pieniędzy? Gdyby była jedynie zubożałą damą w pewnym wieku, z coraz krągłąszą figurą i bez rodziny?

Sąsiedzi tłumnie ruszyli do białego wiktoriańskiego domostwa z zapiekankami i łzami w oczach, ale na miejscu zastali moją babcię, która akurat się pakowała; miała cięty język, bystre oko i zdecydowanie nie potrzebowała litości. Jeszcze tego samego dnia wsiadła do pociągu jadącego na wybrzeże. Uznano, że zamierza sprowadzić do domu ciało ojca, złożyć je nabożnie w krypcie za Pierwszym Kościołem Baptistów, a potem wieść życie naznaczone nobliwym ubóstwem i żalobą.

Nie doceniono jej. Została w Charleston i tam pochowała ojca, aby móc dokończyć zapoczątkowaną przez niego misję ratowania rodzinnego majątku. Spotykała się z prawnikami i bankierami inwestycyjnymi, a do domu wróciła dopiero wtedy, kiedy jej i większej części pieniędzy Birchów udało się przetrwać kryzys.

Jak zatem miałyby ją dotknąć zwykła śmiertelność? Utrzymała miasto przy życiu, była świadkiem niemal stu lat historii, przetrwała przedwczesną śmierć męża i utratę jedyne go syna. Nie powinno być tak, że rozprawi się z nią podeszły wiek.

– Wiesz o omdleniach? – zapytała Rachel.

– To też część tych rosnących w jej mózgu ciał Lewy’ego?

– Tak. Nagłe omdlenia. Znajdują się na liście dolegliwości fizycznych, które Birchie już ma albo będzie mieć. Razem z drzeniem, zawrotami głowy, utratą równowagi. To ostatnie już zauważyłam.

Pod moją dłonią przy kształcie przed Violence pojawiły się patykowate ręce ze szponami. Do tego osadzona na grubej szyi głowa z naprężonymi wypukłościami w miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy. I umieszczone wysoko wąskie nozdrza.

– Nie twierdzą, że nie masz racji – powiedziałam. – Twierdzą jedynie, że to skomplikowane.

– Wcale nie. Musisz podjąć decyzję za nią. Już pora. Zapytaj siebie o to, ile ten dom ma schodów. Chcesz, aby ostatni rok czy dwa lata życia spędziła na wyciągu? Koszmarnie cierpiąc z powodu złamanej kości biodrowej? Ona nie może tam zostać. To proste, jeśli zadasz sobie odpowiednie pytania. – Wcześniej myślałam, że potrzebna mi pewność Rachel, ale ona była równie nieustępliwa i ostra jak te czarne litery na stronie internetowej. I także nieustępliwie na mnie napierała. Cieniowałam, ślizgając się ołówkiem po papierze. – Jesteś tam jeszcze?

– Jestem, ale nie uważam, aby kwestie rodzinne stawały się prostsze, jeśli się zada

odpowiednie pytania – odparłam. Dopilnowałam, aby moje następne słowa nie zabrzmiały zaczepnie. – Czy odpowiednie pytania czynią prostszym to, co się dzieje z Jakiem?

Tym razem to Rachel milczała. Zabrałam się do rysowania drugiego bezokiego potwora. Violence kontra ciała Lewy’ego.

– Słuszna uwaga – powiedziała w końcu moja siostra, a w jej głosie dało się wyczuć napięcie. – Obiecuj mi tylko, że oczy będziesz miała szeroko otwarte. Te starszki cię okłamywały. Nadal będą to robić, jeśli im pozwolisz. Sądząc po tym, co mówisz, uważam, że masz na to wielką ochotę.

– Obiecuję. No ale co u ciebie? Jake się odzywał?

– Nie – odparła zwięźle Rachel. – Muszę przygotować obiad.

Co oznaczało „pilnuj swojego nosa, Leia”, bo Lav jest ze mną, Jake licho wie gdzie, a Rachel nigdy nie gotowała tylko dla siebie.

Rozpakowałam się i wzięłam prysznic, by zmyć z siebie kurz po podróży i choć trochę smutku i gniewu. Rachel miała rację, ale co było złego w jednym spokojnym wieczorze? Kiedy się ubierałam, z dołu dochodził zapach pieczonego mięsa, pieprzonego i soczystego, niczym argument przemawiający za chwilą wytchnienia. Birchie poda kurczaka z grubymi plastrami letnich pomidorów z ogrodu i swoim słynnym chlebkiem kukurydzianym. W tym celu w puszcze po kawie obok piecyka zbierała okrawki boczku, a potem wysypywała je na żeliwną patelnię na gazie. Ciasto robiła dopiero wtedy, kiedy tłuszcz był rozgrzany tak bardzo, że niemal dymił. Skwierczenie towarzyszące kładzeniu chlebka na patelnię to kuchenny odgłos mojego dzieciństwa.

Nie wiedziałam jednak, czy to pragnienie spokoju wynikało z nostalgii czy strachu. Czy tchórzostwem było spokojne zjedzenie kolacji w towarzystwie mojej ulubionej siostrzenicy, jedynej żyjącej krewnej ze strony Birchów i kochanej Wattie? Szpiegowanie i podejmowanie decyzji mogłam rozpocząć jutro.

Ale głos Rachel w mojej głowie pytał: „Czy Birchie nadal robi ten swój chlebek kukurydziany? Pamięta przepis? A może staje w kuchni z pamięcią czystą niczym dziewicza kartka papieru, gdy tymczasem Wattie czyni to wszystko częścią spisku starszek?”.

Czułam zbyt duże zniechęcenie, żeby przeprowadzać kolejne rozmowy, więc do mamy, Keitha i Margot, która karmiła mojego dzikiego kocura, wysłałam e-maile ze skrótowną prezentacją faktów. O szóstej zapukałam do drzwi, które łączyły moją łazienkę z pokojem Lav w wieżycze. Siostrzenica leżała na kozetce pochłonięta tajemniczą zawartością swojego telefonu. W pokoju nie było żadnej komody, ale zobaczyłam, że krótkie spodenki i T-shirty leżą na półkach, ułożone według kolorów. Na podłodze stały równo cztery pary butów i kalosze.

– Kolacja – oznajmiłam.

Kiedy schodziłyśmy na dół, Lavender, nie przerywając pisania czegoś w telefonie, zapytała:

– Myślisz, że jak długo tu zostaniemy?

Nastrój miała zdecydowanie lepszy, pewnie dlatego, że była na dworze z młodymi Darianami, dopóki piknięciami w komórkach nie zostali wezwani do domu. To coś

nowego, ale nie do końca: Birchville to miasto tak małe i tak bezpieczne, że dzieci nadal włączają się samopas.

Kiedy byłam w wieku Lav, to żeby wezwać dzieci do domu, większość matek moich wakacyjnych przyjaciół wykrzykiwała głośno ich imiona. Te zamożne wyręczały się gosposiami, a Birchie robiła użytek z mosiężnego dzwonka, powieszonego na werandzie. Słyszeć go było na całym rynku i biada mi, jeśli od razu nie wróciłam do domu. Birchie sama używała dzwonka, bo od czasu śmierci ojca nie zatrudniała gosposi. Z Charleston wróciła w stroju żałobnym, ale tydzień później zamieniła go na ślubną biel i stanęła przed ołtarzem z Floydem Briggsem, sklepikarzem. Następnie zaoferowała Vinie, matce Wattie, okazałą emeryturę. Vina przez większość życia pracowała dla Birchów od rana do wieczora, sześć dni w tygodniu, więc w pełni na nią zasłużyła.

Od tamtej pory Birchie „sama się sobą zajmowała”, nawet kiedy była w ciąży. Jej ojciec był dumnym człowiekiem, bardziej szanowanym niż lubianym. Dla wszystkich mieszkańców miasteczka był „panem Birchem”, nigdy „Ellisem”. Moja babcia chciała pokazać, że jako nowy panujący Birch nie wywyższa się i sama potrafi umyć podłogę.

W ostatnich latach nalegałam, aby do cięższej pracy i prania zatrudnić miejscowe dziewczyny, ale babcia nadal sama gotowała i zajmowała się ogrodem. Teraz, gdy zobaczyłam, jak sieje tic taki, zaczęłam podejrzewać, że to Wattie przejmuje coraz więcej obowiązków.

– Co najmniej tydzień lub dwa – powiedziałam do Lavender. Niczego nie byłam pewna, także tego, jaki jest rzeczywisty stan Birchie. Od jak dawna mnie okłamywały?

W salonie mój wyostrzony przez Rachel wzrok zatrzymał się na dwóch tapicerowanych fotelach, stojących tuż obok siebie przed dużym oknem, wychodzącym na ulicę. Zatrzymałam się w pół kroku, dostrzegłszy przed kominkiem dwie kanapy w stylu wiktoriańskim, stojące naprzeciw siebie.

Lavender wpadła mi na plecy.

– Co się stało? – zapytała, ale nie podniosła wzroku znad telefonu.

– Nic – odparłam. Po obu stronach kanapy z lewej strony stały małe stoliki; na jednym leżały należąca do Birchie książka Phyllis Tickle i kilka powieści, na drugim – duża Biblia Wattie i *Nieśmiertelne życie Henrietty Lacks*. Przy małym, okrągłym stoliku na werandzie ustawiono dwa krzesła; stały obok siebie, oparciami dotykając ściany, tak żeby obie staruszki miały równie dobry widok na rynek.

Wszystkie meble w domu porzestawiano tak, aby Birchie i Wattie mogły siedzieć niczym para nowożeńców wtulona w jeden róg restauracyjnego boksu. Nie zawsze tak było. Zmian dokonywano stopniowo, więc podczas kolejnych wizyt ich nie zauważałam. Teraz nawet stawały tak, żeby Wattie miała zawsze dostęp do tego ucha Birchie, na które moja babcia lepiej słyszała. Jak głęboko ciała Lewy’ego wbiły szpony w mózg Birchie?

Wzięłam długi, powolny oddech, by uspokoić szybko bijące serce. W ciężowym podręczniku mogłam sporo wyczytać o wpływie stresu na biednego Digby’ego. Wątpię, aby autorzy zalecali zalewanie go naprzemiennie hormonami smutku i gniewu.

Do kuchni weszłyśmy przez jadalnię. Birchie i Wattie stały przy piecyku i nakładały jedzenie na talerze. Obok drzwi prowadzących do ogrodu znajdowała się wnęka z wąskim, prostokątnym stołem. Nakryto go do kolacji. Zawsze siadałam na ławie

pod oknem, gdy tymczasem Birchie i Wattie zajmowały miejsca obok siebie, z widokiem na ogród. Dziś tak jednak nie będzie.

Celowo wysunęłam dla Lavender krzesło Wattie.

– Głodna? Proszę, siadaj.

To by było na tyle, jeśli chodzi o spokój i nostalgię. Rachel miała rację: muszę mieć oczy otwarte. Musiałam się przekonać, w jakim stopniu Birchie jest obecna bez pomocy szepczącej współpracownicy.

Lavender usiadła na wskazanym przeze mnie krześle, ze wzrokiem nadal utkwionym w telefonie. Na ślepo sięgnęła po szklankę stojącą obok nakrycia i pociągnęła duży łyk. Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki i w końcu podniosła głowę znad komórki, zaskoczona i tak zbulwersowana, że pomyślałam, iż zaraz wypłuje płyn.

Kiedy tylko przełknęła, zapytała scenicznym szeptem:

– O mój Boże, co to jest?

– Herbata – wyjaśniłam. Rachel parzyła mocną herbatę. Podawała ją bez cukru, doprawioną tak dużą ilością cynamonu i cytryny, że była wręcz kwaśna. Lav spojrzała na mnie z takim niedowierzaniem, że zaraz się poprawiłam. – Słodka herbata.

Do stołu podeszły Birchie i Wattie, każda z dwoma pełnymi talerzami. Babcia zbliżyła się do swojego nakrycia, postawiła talerze i usiadła, w ogóle nie zwróciwszy uwagi na Lavender, ale Wattie stanęła jak wryta. Gdy stawiała na stole talerze, posłała mi przeciągłe spojrzenie, pełne wyrzutu. Spuściłam wzrok. Wattie nie odgrywała swojej roli z pobudek czysto altruistycznych. Kiedy straciła prawo jazdy, synowie chcieli ją umieścić w domu opieki. Zamiast tego przeprowadziła się do Birchie. To był kompromis, który miał rację bytu tylko wtedy, kiedy obie pozostawały w dobrym zdrowiu.

– Pochylmy głowy – powiedziała Wattie, gdy usiadła na ławie obok mnie.

Lav szybko schowała telefon do tylnej kieszeni spodni. Rachel nie pozwalała używać go przy stole. Wzięłyśmy się za ręce i Wattie zaczęła odmawiać modlitwę.

Jej mąż przez wiele lat był pastorem w kościele Odkupiciela, stąd jej wielka pobożność. Teraz drobiazgowo dziękowała Bogu za jedzenie i rodzinę, bezpieczne podróże i piękny dzień. Wszystko, co mówiła, kierowała bezpośrednio do nieba, nie do mnie, ale w tym samym czasie trzymała moją dłoń w uścisku tak mocnym, że kwalifikował się do tego, aby nazwać go szczypaniem. Była zła, że kazałam Lav usiąść na jej miejscu, co samo w sobie wiele mówiło o tym, jak wielkiej pomocy potrzebuje Birchie.

Rozejrzałam się ukradkiem i zobaczyłam, że jedyna osoba z zamkniętymi oczami to Wattie. Birchie wpatrywała się z dezaprobatą w dłoń Lavender, jakby to była zakrwawiona łapa jakiegoś brudnego zwierzęcia. Siostrzenica patrzyła gdzieś w bok, wcale nie słuchając. Kiedy zobaczyła, że jej się przyglądam, zrobiła odpowiednio uduchowioną minę i zamknęła oczy.

– Dziękujemy za to wszystko w imię Jezusa – zakończyła Wattie. W końcu.

– Amen – rzekłyśmy jednym głosem.

To znaczy oprócz Birchie, która wpatrywała się teraz otwarcie w Lavender, a jej upudrowane zmarszczki na czole zwiastowały kłopoty.

– Naprawdę się cieszę, że nakryłyście do stołu właśnie tutaj – odezwałam się, aby

zwrócić jej uwagę na siebie.

Chciałam, żeby zaczęła mówić, ale moje słowa były szczere. Na ogół wystarczała jedna dodatkowa osoba, by moja babcia uznawała, że mamy „towarzystwo”, i przynosiła nas do bardzo formalnej jadalni z przytłaczającymi meblami z orzechowego drewna. Przy najdłuższej ścianie ustawiono kredens wypełniony po brzegi srebrami i ślubną zastawą matki Birchie. W jadalni w moim domu stał stół do planszówek, a w kredensie trzymałam figurki Wonder Woman. Osiemdziesiąt siedem wersji, z których najstarsza pochodziła z 1966 roku.

Birchie spojrzała na mnie.

– Słucham?

– Chodziło mi o to – odparłam – że lubię jeść tutaj, w kuchennej wnęce, jak rodzina.

Birchie spojrzała na miejsce Wattie i zamrugła z podejrzliwością, kiedy znów zamiast niej zobaczyła Lavender.

– Podaj mi sól – odezwała się Wattie i wtedy Birchie zlokalizowała ją po drugiej stronie stołu. Uśmiechnęła się z wyraźną ulgą i wyciągnęła dłoń z solniczką. Wattie spojrzała mojej babci w oczy. – To doskonałe miejsce na kolację. Przecież siostrzenica Lei, Lavender, to rodzina.

– Tak. Lavender to rodzina – powtórzyła za nią Birchie, co wcale mi się nie podobało.

– Zresztą tu jest dużo przytulniej – powiedziałam.

Birchie przeniosła spojrzenie na mnie.

– Cóż, czasami lubię korzystać z jadalni. Posiłek spożywany w towarzystwie powinien być czymś wyjątkowym. Niemniej mam lepsze trawienie, kiedy mój ojciec nie obserwuje każdego kęsa, który trafia do moich ust. Nie podoba mu się, że jestem tęga.

Powiedziała to takim tonem, jakby jej od dawna nieżyjący ojciec czekał w jadalni, aby zbesztać ją za masło na chlebie. Miałam nadzieję, że tylko żartuje, czyniąc aluzję do wiszącego na ścianie olejnego portretu mojego dziadka.

– Jeśli chcesz, mogę zdjąć ten obraz – rzekłam do niej. – Na strychu jest całe mnóstwo innych. Mogłabym znieść ten z dwoma statkami, który zawsze lubiałaś. Są mniej więcej tej samej wielkości.

– Myślisz, że tak łatwo można się pozbyć mojego ojca z tego domu? – W głosie Birchie było słycać rozbawienie. – To niemożliwe! Możesz spalić ten portret, ale on nadal tu będzie. Mój ojciec urodził się tutaj, a jego obraz wisi na ścianie od dziesięcioleci. Nigdy nie należał do osób, których łatwo się pozbyć.

I to akurat była stuprocentowa Birchie.

Posmarowałam chleb masłem, zerkając z ukosa na Wattie. Przyglądała mi się otwarcie, jakby chciała mnie uraczyć grzeczniejszą wersją zwrotu „wal się”.

– W takim razie portret zostaje – powiedziałam i wzięłam kęs. Jeśli to Wattie zrobiła akurat tę porcję chleba kukurydzianego, wyszedł jej idealnie. Chrupiąca skórka i delikatny środek, niczym słony pączek. Smakował jak moje dzieciństwo.

– Myślę, że portret musi zostać, tak – przytaknęła Birchie, po czym dodała: – Mimo że z tatusia był niezły dupek.

Zakrztusiłam się chlebem, a Lavender parsknęła zaszokowanym śmiechem. Sama nie wiedziałam, co było dziwniejsze: słyszeć z jej ust wyraz uznawany za niecenzuralny czy słowa krytyki wobec szanowanego ojca.

– Birchie! – powiedziałam, kiedy udało mi się przełknąć. – Słucha nas moja siostrzenica.

Lavender słyszała pewnie w szkole to słowo z dziewięć razy na godzinę, ale nigdy ze słodkich ust wiekowej i pobożnej baptystki.

– Och, na litość boską, Leia – rzuciła Birchie lekkim tonem, wznosząc oczy ku niebu. – Daj spokój. Każdy z nas ma dupę.

Lavender już otwarcie chichotała. Uświadomiłam sobie, że moja zdradziecka ręka próbuje zasłonić dopiero powstające uszy Digby’ego. Mało brakowało, żebym sama zaczęła chichotać.

Do Birchie w końcu dotarło, że powiedziała coś niewłaściwego. Co prawda patrzyła na mnie, ale odwróciła się nieznacznie w kierunku Lavender. Bez wątpienia czekała na szept. Lav obiema dłońmi zakrywała usta, starając się uspokoić. Birchie spojrzała na miejsce, gdzie powinna siedzieć Wattie, i po raz kolejny zaskoczył ją widok mojej siostrzenicy.

– A kto to? – zapytała płaczkliwie. – Co to za dziewczyna? Co ona tu robi?

– To moja siostrzenica, Birchie – odparłam łagodnie. Nie było mi już do śmiechu. – Pamiętasz?

– A dlaczego tak się na mnie gapi? Czy tego dziecka nie nauczono żadnych manier? – Te słowa były zdecydowanie w stylu Birchie, wypowiedziane jej najbardziej władczym tonem, przez co zrobiło mi się jeszcze smutniej. Ona tu była, ale nie cała.

– Lavender zdziwiła się, kiedy usłyszała, jak mówisz... – Urwałam, bo nie potrafiłam powtórzyć tego słowa, nie przy stole z czasów mojego dzieciństwa, przy którym raz powiedziałam „pierdnąć”, a potem musiałam słuchać godzinnego wykładu o moim doborze słownictwa i moralnym upadku państwa. – To moja siostrzenica. Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam. – Głos Birchie nadal brzmiał płaczkliwie. – Oczywiście! Ale co ona tu robi?

– Mogę odejść od stołu? – zapytała cichutko Lavender.

– Nie ma mowy, moja panno! – zagrzmiała Birchie, odwracając się do niej.

– Wystarczy! – rzuciła Wattie tonem nieznośnym sprzeciwu.

Wstała ciężko. W tym momencie Birchie spojrzała na nią i dostrzegła w końcu sylwetkę przyjaciółki. Jej twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu, niczym tablica starego typu. Co prawda widać było na niej ślady myśli, ale nie dało się ich odczytać.

– Zamień się ze mną na miejsca – poleciła Wattie Lavender, szybkimi i gniewnymi ruchami przestawiając talerze i szklanki.

– Zrobiłam coś nie tak? – zapytała Lav, a ja poczułam się głupio, że postawiłam ją w takiej sytuacji.

– Nie, dziecko, spokojnie. Ty nie zrobiłaś nic złego, z wyjątkiem tego, że ledwie tknęłaś kurczaka, choć chuda jesteś jak przecinek. Chodzi jedynie o to, że Birchie ostatnio nie znosi jakichkolwiek zmian. Jakichkolwiek.

Lavender i Wattie zamieniły się na miejsca.

– Wieczory są dla niej trudne – rzuciła do mnie Wattie, a w jej głosie było słycać wyrzut. – Poranki są znacznie lepsze. Dobrze mówię?

Birchie pokiwała głową i spokojnie sięgnęła po chleb.

– Przeniosłam Klub Ogrodniczy na dziesiątą rano, a Martina Mack zareagowała tak, jakbym powiedziała, że zjemy niemowlę. Gdybym wiedziała, że tak bardzo jej to będzie nie na rękę, zrobiłabym to już wiele lat temu. – Wattie podała Birchie masło, a ta nachyliła się ku przyjaciółce.

– Ja tylko chciałam... – zaczęłam, ale Wattie nie dała mi dojść do słowa.

– Ty też jedz.

Jej spojrzenie spoczęło najpierw na Lavender, a kiedy przesunęło się na mnie, dostrzegłam w nim pełną gniewu obietnicę. Moja filigranowa siostrzenica stanowiła jedyną barierę oddzielającą mnie od czegoś silnego i przepelnionego słusznym oburzeniem. Wszystkie wróciłyśmy do jedzenia, choć ja ledwie rejestrowałam, co wkładałam do ust. Lavender zjadła pięć kęsów tak szybko, jak tylko zdołała. Panowała taka cisza, że słyszałam dźwięk esemesów i e-maili przychodzących na jej telefon.

W końcu tę pełną napięcia ciszę przerwała Lavender.

– Kolacja była naprawdę pyszna! Dziękuję. – Wychowano ją tak, że coś takiego powiedziałyby przy każdej kolacji, nawet gdyby gospodyni zaserwowała podroby. – Czy mogę odejść od stołu?

Kiwnęłam głową. Szybkim ruchem uściśnęła mi kolano pod stołem i czmychnęła, od razu sięgając do kieszeni po telefon. Usłyszałam, jak wbiega po schodach. Zniknęła cienka ściana jej ochrony.

– Przepraszam – powiedziałam. – To było paskudne z mojej strony. Zamiana miejsc przy stole.

Nie miałam pewności, czy Birchie wie, za co przepraszam, ale łaskawie skinęła głową.

– Owszem, było – zgodziła się Wattie. Nachyliła się w moją stronę. – Teraz możemy być ze sobą szczerze.

Tym zdaniem sprawiła, że odzyskałam nieco rezonu.

– Szczerze powinniście być ze mną przez cały czas. Może nie musiałabym się uciekać do tej sztuczki, gdybyście grały ze mną w otwarte karty.

Wattie wzruszyła gniewnie ramionami.

– Kocham cię, Leia, od zawsze. Ale to nie ja ciebie oszukuję.

Przez chwilę milczałam, ale wtedy odezwała się Birchie:

– Nie. To ja, kotku.

– A więc obie twierdzicie, że Birchie sama podjęła decyzję, jak zwykle. W porządku. Ale kiedy to się stało? – Nozdrza Wattie rozszerzyły się, co zawsze stanowiło niebezpieczny objaw, ale ja, zgodnie ze wskazówkami Rachel, nie przestawałam zadawać trudnych pytań. – To ty decydujesz, Wattie. Zdecydowałaś na przykład, żeby o niczym mi nie mówić.

– Dziecko. – W głosie Wattie nie było słycać cierpliwości, jaką się wykazała w stosunku do Lavender. – Birchie ma rację. Jak spać, to z dobrego konia. Podjęła te

decyzje, kiedy jeszcze była w stanie.

– Ona robi to dla mnie – wtrąciła Birchie. – Ja się czasem gubię. Powie ci prawdę.

– No więc słuchaj – rzekła Wattie, a ich słowa niemal nałożyły się na siebie. – Ona chce tu zostać.

– To nie jest bezpieczne – oświadczyłam, a Wattie i Birchie wymieniły znaczące spojrzenia. Moja babcia wręcz się roześmiała.

– A ty uważasz, że umieranie powinno być bezpieczne? – zapytała Wattie równie rozbawiona.

– Wiesz, o co mi chodzi. Twój synowie nieraz o tym z tobą rozmawiali. Tak samo jak ja z Birchie. I ty, i ona musicie zamieszkać gdzieś, gdzie nie ma schodów, za to na wyciągnięcie ręki są lekarze. Od wielu lat powinniście mieć przynajmniej kogoś do pomocy, ale walczyłyście z nami i w końcu machnęliśmy ręką. Ale teraz to się musi zmienić. – Z moich ust wypływały argumenty Rachel, jakbym była jej pacynką. – Jak dawno Birchie została zdiagnozowana?

– Kilka lat temu – odparła wymijająco Wattie, ale to wystarczyło, żebym poczuła się tak, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch. W moich oczach pojawiły się łzy i na ten widok Wattie nieco zrzędała mina. Mimo to wyprostowała się z godnością. – Robię najlepsze, co mi przychodzi do głowy. I chcesz znać prawdę? Żałuję, że to nie ja choruję, dlatego że ona zrobiłaby dla mnie to samo. Tracę przyjaciółkę, a w moim życiu nie ma już nikogo takiego jak ona. Mój mąż poszedł do nieba dużo za wcześnie. Wychowaliśmy synów na porządnym ludzi, ale kiedy ona odejdzie, to oczywiście, że umieszczą mnie w jakimś ośrodku. Dla mojego dobra, tak powiedzą. Dla bezpieczeństwa, tak powiedzą. Dokładnie jak ty. My tego nie chcemy.

Birchie wzięła Wattie za rękę.

– No już, już.

Wattie podniosła na nią wzrok i rozbroił mnie bezbrzeżny smutek malujący się na jej twarzy.

– To niesprawiedliwe. Wiem, że nie ma w tym nic sprawiedliwego – powiedziałam, ale już wiedziałam, że Rachel miała rację. Jak zawsze. Wiedziałam, co muszę zrobić, i byłam winna Wattie prawdę. W zamian za jej szczerość. – Zamierzam porozmawiać z jej lekarzem, ale myślę, że wiecie, co mi powie. Ty i Birchie nie możecie tu zostać. Do najbliższego szpitala jest pięćdziesiąt kilometrów. – Ciężkie powieki Wattie opadły. Po raz pierwszy nie mogła mi spojrzeć w oczy; na pewno słyszała to już z ust doktora Pettery'ego. – Znosi się na trudne zmiany, Wattie. I to niedługo. – Nie znosiłam własnego tonu. Brzmiałam jak Rachel, kiedy Lav oświadczyła, że zamierza pomalować włosy na różowo. Wattie próbowała wymienić spojrzenie z Birchie, ale jej się nie udało. Kiedy zaczęłam mówić, babcia się wyłączyła. Wzrokiem pozbawionym wyrazu wpatrywała się w ogród. – Musisz porozmawiać z synami, Wattie – kontynuowałam. – Ja także mogę skonsultować się z Samem i Stephenem. Jeśli ty i Birchie chcecie być razem, jakoś to załatwimy. Weźmiemy pod uwagę wasze zdanie.

Wattie jeszcze nie skończyła.

– Chcesz znać moje zdanie? Ty się tu przeprowadź. Szwalnię możemy przerobić na pokój dla Birchie. Nie będzie schodów. – „Z wyjątkiem siedmiu stopni przed werandą

i tych stromych z kuchni do ogrodu”, pomyślałam. – Przeprowadź się do Alabamy. – Wattie powiedziała to tak rzeczowo, że zyskałam pewność, iż nie jest to spontaniczny pomysł. Moją spontaniczną odpowiedzią było „nie”. Za żadne skarby. Wattie musiała to dostrzec w wyrazie mojej twarzy, bo dodała głośniejsze i bardziej zdecydowane: – Posłuchaj! Nie jesteś mężatką, z nikim się nawet nie spotykasz. Nie tak na poważnie. Rysować możesz wszędzie. Musisz myśleć tylko o sobie, więc czemu nie pomyślisz o Birchie?

Zabolało mnie to lekceważące podsumowanie mojego życia. Powiedziała to takim tonem, jakby moja praca oznaczała wylegiwanie się w fotelu, gryzmolenie czegoś na kartce i wpierniczanie cukierków, a nie prawdziwą karierę z deadline’ami i podróżami. Jakby mama i Keith oraz Lavender i Rachel nie liczyli się jako rodzina, a moi kumple od planszówek i z kościoła nie byli ważni. Ale nawet gdybym chciała się przeprowadzić, miałam teraz Digby’ego. Poczulałam, że się przeciąga i trzepocze. Drugie bicie serca w moim ciele. To przede wszystkim o nim musiałam myśleć.

„Lala jest taka”, powiedziała mi kiedyś Rachel, wkładając w moją dłoń brzoskwińworóżową kredkę, której kolor to „skóra”. Jakby tylko taka mogła być. Ta kredka nosiła teraz nazwę „brzoskwinia”, ale to, co się kryło za jej dawną nazwą, pozostawało ciągle żywe. Obecne było wszędzie, w całym kraju, ale w Birchville w szczególności.

Nie chciałam wychowywać Digby’ego na małomiasteczkowym Południu, mimo że było tu sporo dobrego. Dzieci nadal biegały po podwórku bez strachu, na kolację wciąż wzywały je dzwonki, tyle że teraz te w telefonach komórkowych. Mieliśmy dobrych sąsiadów, którzy piekli na mój przyjazd karmelowe ciasto, byli moimi znajomymi na Facebooku i zapisali mój numer w swojej komórce, nawet jeśli dzieliło nas tysiąc dwieście kilometrów. Urodziliśmy się tu wszyscy: Birchie, mój ojciec i ja, a dla mnie nie było nic piękniejszego niż sielska Alabama z odcieniami zieleni, brązu i błękitu.

Ale nie tylko wypożyczalnia filmów świadczyła o tym, że czas zatrzymał się tutaj trzydzieści lat temu. Nie chciałam, aby mój dwurasowy syn wychowywał się w mieście, w którym w Pierwszym Kościele Baptystów Wattie jest jedyną czarnoskórą wierną, a połowa parafian uważa, że to służąca. Birchie z kolei była jedyną białą, która regularnie bywała w kościele Odkupiciela. Białe zamożne rodziny posyłały swoje potomstwo do niedużej, pomalowanej na liliowo prywatnej szkoły w sąsiednim mieście. W tym hrabstwie państwowe szkoły nie plasowały się wysoko w rankingach, a na stołówce czarne i białe dzieci siadywały przy osobnych stolikach.

Nie chciałam informować ich teraz o ciąży. Ta rozmowa była wystarczająco trudna. Poza tym pragnęłam, aby pierwsza dowiedziała się o tym Birchie i żeby to była dobra wiadomość, a nie taka wypluta w gniewie. Nie wykorzystam Digby’ego jako karty przetargowej w tej nieprzyjemnej sprzeczce. W tej chwili Birchie nie była obecna całą sobą, choć spojrzenie miała wbite we mnie. Jej ciało z każdą chwilą przysuwało się coraz bliżej Wattie.

– Przykro mi. Wattie, zadzwoń rano do swoich synów. Musimy wybrać się niedługo do Norfolk, żebyście mogły obejrzeć dostępne miejsca. Będziecie się musiały przeprowadzić.

Niewzruszona Wattie nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Zobaczmy – powiedziała. Wiszący w holu wielki zegar po dziadku zaczął wybijać siódmą. Na ten dźwięk Birchie odsunęła krzesło i wstała. Wzrok miała wbity gdzieś w dal. Wattie także wstała. – Muszę ją zacząć szykować do snu.

Wyszłam zza stołu i pocałowałam upudrowany policzek Birchie. Nie zareagowała. Zazwyczaj całowałam także Wattie, ale w tej chwili nie wyglądała, jakby miała na to ochotę. Oczy miała ciemne jak onyksy, brodę – uniesioną.

– Pomogę ci ją położyć, dobrze? – powiedziałam pojednawczym tonem.

Wattie pokręciła głową, a potem, ku memu zdziwieniu, pocałowała mnie. Jej usta na moim policzku były równie chłodne jak kamienie z ogrodu za domem.

– Robię to co wieczór, a ona nie potrzebuje żadnych zmian. Słyszysz? Zostaw wszystko tak, jak jest. Zostaw wszystko w spokoju – rzekły kamienne usta i zabrzmiało to tak, jakby wcale nie chodziło o kładzenie Birchie do łóżka.

Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Zdecydowanie za wcześnie obudził mnie głuchy odgłos dochodzący z góry. Otworzyłam oczy i zerknęłam na zegar. Szósta trzydzieści, niech to szlag! Nad sufitem w moim pokoju usłyszałam kroki, lekkie i szybkie. A więc Lavender jednak wybrała się na strych. Dwa ostatnie dni spędziła na włóczeniu się po mieście z chłopcami od Darianów i graniu na moim starym laptopie, a ten ranek to była jej ostatnia szansa. I wyglądało na to, że zamierzała ją wykorzystać.

Jako dziewczynka nie potrafiłam się oprzeć strychowi. Wczesne, nieco chłodniejsze godziny letnich dni spędzałam na przymierzaniu kapeluszy z piórami i starej koronkowej sukni ślubnej lub na grzebaniu w pudełku z tysiącem najprzeróżniejszych guzików. Przerzucałam różne rzeczy, na przykład dokładając spodniom z lat czterdziestych do sterty gorsetów z fiszbinami, mieszając księgi rachunkowe z końca XIX wieku z kamizelkami i powieściami science fiction należącymi do mojego ojca. Znając Lav, najpewniej segregowała teraz wszystko według okresu pochodzenia albo kolorów. Przynajmniej jeszcze mogła. O dziesiątej miała się zjawić ekipa porządkująca, którą wynajęłam w biurze pośrednictwa nieruchomości w Montgomery.

Jęknęłam i zakryłam głowę poduszką. Przejrzenie zawartości strychu to iście herkulesowy trud i możliwe, że będę musiała wezwać na pomoc pozostałych Avengersów. Lav i ja nie poradziłybyśmy sobie z tym same, nawet gdybyśmy miały do dyspozycji trzy miesiące i koparkę. Niemal całą powierzchnię strychu zajmowały wąskie przejścia ciągnące się niczym labirynt między stertami śmieci i cennych pamiątek rodzinnych. Gorzej sprawa wyglądała z wąską przestrzenią pod okapem. Tam od podłogi aż po sufit, bez żadnego przejścia, leżały kartony, skrzynie i szafy, a w nich ubrania, papierzyska i książki. Zawsze mi powtarzano, żebym trzymała się z daleka od tamtej części strychu, bo jeszcze, nie daj Boże, wyciągnę niewłaściwy fragment tej pamiątkowej Jengi i wszystko się na mnie zawali.

Wykazałam się wystarczającym nieposłuszeństwem, aby wiedzieć, że w skrzynkach zaraz przy drzwiach kryje się kompletny zbiór powieści Jane Austen. W *Perswazjach* znalazłam pozostałości zasuszonych kwiatów, wspomnienie miłości spełnionej lub nie. Tak czy inaczej, już wtedy były suche, więc zdążyły się pewnie zamienić w kurz.

Wynajęta ekipa miała pomóc w oddzieleniu śmieci od skarbów i pozwolić Birchie zatrzymać rzeczy, które miały dla niej wartość sentymentalną, dopóki jeszcze pamięć jako tako jej działała. Była to także wiadomość zwiastująca zmiany, podobnie jak broszury domów opieki, które wydrukowałam, i rozmowy telefoniczne z synami Wattie. Och, ależ to będzie nieprzyjemny dzień.

Moje kochane staruszki nie przyjęły dobrze pomysłu przenosin do domu opieki. Wattie walczyła ze mną bez przerwy, a Birchie wtedy, kiedy pozwalała jej na to choroba. Dzisiaj będzie tak samo, tyle że do kwadratu. Nie, do sześcianu. W swoim arsenale miały mnóstwo broni: insynuacje, kąśliwe uwagi na stronie, odwoływanie się do rozsądku, litości albo nostalgii. Zwłaszcza Birchie celowała w „łagodnych wyrzutach”: wzrok miała wtedy jednocześnie ganiący i wielkoduszny. To spojrzenie było niczym szpikulec, który

wwiercał mi się w serce.

Nie zmieniło to jednak mojej decyzji. Odbyłam długą rozmowę z doktorem Petterym i on w pełni mnie poparł. Martwił się od dłuższego czasu, ale ręce wiązały mu przysięga Hipokratesa i panna Wattie.

Rachel przesłała mi listę ośrodków w Norfolk z doskonałą reputacją i oddziałami dla osób z problemami z pamięcią. Z rezerwacją biletów wstrzymałam się do czasu, aż Wattie i jej synowie zdecydują, czy i ona pojedzie obejrzeć te miejsca razem z nami. Sam chciał, by przeprowadziła się do Houston, blisko jego rodziny, ale Stephen uważał, że decyzja należy do Wattie. Ja byłam zdania, że ostatecznie zechce towarzyszyć Birchie, choć jak na razie oświadczyła jedynie, że żadna z nich nigdzie się nie wybiera, co to, to nie. Odwrócenie ról, ustalanie zasad dla kobiet, które częściowo mnie wychowały, napawało mnie takim smutkiem i dyskomfortem, że sporą część czasu ukrywałam się w swoim pokoju, twierdząc, iż pracuję. I tak robiłam, jeśli przyjmiemy, że „praca” oznaczała szkicowanie niezliczonej liczby sylwetek Violence i brak pomysłów na prequel.

Otuliłam się ciasniej kołdrą. Samo zamknięcie domu nie nastreczy mi problemu. W latach siedemdziesiątych XIX wieku domy budowano porządne, a akurat w przypadku tego entropia nigdy nie została wpuszczona za próg. Było tu tak czysto, że w zasadzie wystarczyłoby wyrzucić mleko i jajka, zakryć meble – i tyle. Wymienione w późniejszym czasie podwójne okna świeciły czystością. Meble były starodawne, ale nie do końca stare. Jeśli coś zaczynało niszczyć, dostawało nakaz eksmisji – najczęściej na strych. I w tym właśnie tkwił problem. Nawet teraz kuliłam się pod nieuporządkowanym ciężarem stu czterdziestu lat historii rodziny Birchów.

Wcale nie miałam ochoty wstawać i zaczynać tego dnia, ale Digby nie miał oporów. Położyłam dłoń na brzuchu w miejscu, gdzie wyczuwałam jego radosne szamotanie. Przycisnęłam ją, ale w siedemnastym tygodniu mogłam go wyczuć wyłącznie od środka.

Usłyszałam znajome skrzypnięcie drzwi, które łączyły pokoje mój i Lavender. Kiedyś to była sypialnia ojca – na suficie wciąż widniały świecące w ciemnościach kalkomanie z gwiazdami – a pokój w wieży stanowił jego przestrzeń do zabaw. Otworzyłam zaspane oczy i utkwiałam je w drzwiach. Lavender zamarła z laptopem w rękach.

- Dzień dobry – powiedziałam. Byłam zaskoczona tym, że już wróciła na dół.
- Nie chciałam cię obudzić. – Położyła laptop na stole.
- Nie spałam.

Podeszła do kominka i wzięła do ręki stojącą na gzymsie figurkę pasterki, błyszczącą, bez choćby odrobiny kurzu. Mój pokój, tak jak i każde pomieszczenie w tym domu, był jak przytulna sala operacyjna. Lavender, której dom przez cały czas znajdował się w stanie gotowości do sesji zdjęciowej dla magazynu „Restoration Hardware”, czuła się tutaj jak u siebie. Ale nie w tej chwili. Przyglądała się figurce z przesadnym zainteresowaniem, jakby pasterka Bo Peep rządziła obecnie na Twitterze.

Wymieniała się e-mailami z jednym z chłopców od Darianów? A może korespondowała na Messengerze z Rachel i poinformowała ją o Digbym? Dziewczęta opowiadają swoim matkom różne rzeczy, nawet jeśli obiecały, że tego nie zrobią.

Zanotowałam sobie w pamięci, żeby później sprawdzić historię wyszukiwarki, bo Lav zdecydowanie coś knuła. Boże, niech się okaże, że po prostu ukradkiem oglądała na moim koncie na Netflixie anime zaklasyfikowane jako filmy dla dorosłych. Zbyt wiele miałam już na głowie.

Sufitem wstrząsnął głośny łomot; coś ciężkiego spadło na podłogę nad nami. Lavender podskoczyła, a ja usiadłam wyprostowana. W ślad za pierwszym łupnięciem rozległy się cichsze odgłosy.

– Co to... To nie ty byłaś wcześniej na strychu? – zapytałam, rozkopując kokon z kołdry.

– Nie – odparła i wybiegła z pokoju.

Udało mi się w końcu wyplątać i w piżamie w sushi pobiegłam za Lavender, kierując się ku schodom prowadzącym na strych. Oczami wyobraźni widziałam Birchie, skołowaną i połamaną, przygniecioną komodą albo stertą ciężkich kartonów.

Lavender otworzyła drzwi na schody i zaatakowała nas fala zakurzonego ciepła. Pierwsza zaczęłam pokonywać po dwa stopnie jednocześnie, wołając:

– Birchie? Birchie, to ty?

– Nic się nie stało! Nic nam nie jest! – odezwał się męski głos, a ja zatrzymałam się w pół kroku. U szczytu schodów stał Frank Darian, patrzył na mnie i ocierał bandaną czerwoną twarz. Początki zczeski miał potargane, a od naszego ostatniego spotkania podczas Święta Dziękczynienia postarzał się co najmniej o dziesięć lat. – Hej, Leia, przepraszam. Przewróciły się skrzynki z książkami, ale nikomu nic się nie stało.

– Nikomu? Kto jest tam z tobą? – zapytałam ostro. Serce nadal waliło mi jak młotem, napierając z mocą na żebra. – Birchie?

– Oczywiście, że nie – odparł Frank i w tym momencie obok niego pojawili się jego dwaj synowie. Spocone twarze mieli brudne od kurzu.

– Hej, panno Leio – przywitał się Jeffrey, a ja poczułam się jak staruszka.

– Hej, Lavender – odezwał się Hugh przesadnie swobodnym tonem, po czym wysunął biodro do przodu niczym Elvis. Z wyglądu przypominał piętnastoletniego Franka: wysoki i chudy, z burzą loków w odcieniu piasku i pewnym siebie uśmiechem.

Nagle uświadomiłam sobie, że moja siostrzenica ma na sobie króciutkie bawełniane szorty i top na ramiączkach. Urocza trzynastolatka weszła po schodach, kołysząc przy tym biodrami. Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w dół, popychając Lavender przed sobą.

– Idź się ubrać – szepnęłam do niej, kiedy znalazłyśmy się na korytarzu. Co za ulga, móc się z powrotem znaleźć w zasięgu klimatyzacji.

– Mam na sobie szor...

– Załóż coś więcej – syknęłam i popchnęłam ją lekko w stronę jej pokoju.

Przewróciła oczami i do któregoś z chłopców zawołała, że zaraz wraca. A może do obydwu. Razem z ojcem schodzili właśnie po schodach.

Pokręciłam głową i cofnęłam się, by zrobić Darianom miejsce na dole schodów. Trzydziestoosmioletnia ciężarna nie wyglądała po przebudzeniu tak świeżo i ładnie jak trzynastolatka. Byłam potargana i nie miałam stanika, a mój oddech pewnie cuchnął jak u potwora z bagien.

– Co tu w ogóle robicie? – zapytałam.

Hugh, który zszedł jako ostatni, litościwie zamknął drzwi, powstrzymując falę gorąca.

– Dokopaliśmy się do twojej skrzyni i znieśliśmy ją na dół, a potem zrobiliśmy porządek w tej części pod okapem – powiedział Frank takim tonem, jakby to, że w piątkowy poranek obudzili mnie tłukący się Darianowie, było czymś zupełnie normalnym.

– Moją skrzynię? – zapytałam. – Jak to?

– Chciałaś kufer marynarski z tej części pod okapem? – zapytał Frank.

Pokręciłam przecząco głową.

– Birchie zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem i powiedziała, że chcesz. Myślisz, że ona... – Urwał i szukał w głowie odpowiednich słów. – Może coś jej się pomyliło. Wszyscy wiemy, że Birchie nie jest... – Ponownie urwał i wbił spojrzenie w czubki butów. – Nie jest sobą.

W sumie ładnie to ujął, zważywszy na okoliczności. Nie przychodził mi do głowy gorszy sposób na dowiedzenie się o niewierności żony, jak oznajmienie tego podczas parafialnego pikniku twojej rodzinie, przyjaciołom i klientom. Nagle poczułam ochotę, by poszukać Jeannie Anne i dać jej z liścia. Była jedną z moich wakacyjnych koleżanek, aczkolwiek w czasach liceum zmęczył mnie ten jej pęd do dramatyzmu. Zachowywała się tak, jakby jej misją było odegranie przed maturą każdego wątku z serialu *Wszystkie moje dzieci*.

„Nie miałam wyboru. Musiałam pójść za głosem serca” – mawiała, w atmosferze kłamstewek wymieniając jednego chłopaka na drugiego. Dwadzieścia lat i dwoje dzieci później okazało się, że nic się nie zmieniła. Tym razem głos serca kazał jej gzić się z pastorem Campbellem. Do tego czasu powinna się już była zorientować, że jej serce to kiepski doradca.

Frank wyglądał strasznie. Oczy miał zapuchnięte, a pod nimi fioletowe cienie. Zmarszczki wokół ust i na czole wyglądały na dwa razy głębsze.

Zalała mnie fala empatii, choć możliwe, że uznałby to za ciut bezczelne. Jeannie Anne dzieliła z nim życie przez blisko dwadzieścia lat; na skali skurwysyństwa plasowała się znacznie wyżej niż JJ. Niemniej i Frankowi, i mnie dane było poznać smak zdrady.

– Nie, Birchie nie jest sobą, Frank – powiedziałam tytułem zawołanych przeprosin.

– Przez telefon mówiła jednak całkiem do rzeczy – rzekł, unikając mojego wzroku.

– O której do ciebie dzwoniła? – zapytałam, by zmienić jeśli nie temat, to chociaż wątek.

– Koło ósmej?

Zmarszczyłam brwi. Birchie wymknęła się z łóżka, żeby do niego zadzwonić?

– Towarzyszyła jej Wattie?

– Tak, włączyły telefon na głośnik. Wiesz, jak to zwykle robią. Może zawartość tej skrzyni to niespodzianka?

Nie wydawało mi się. A już na pewno nie miła, zważywszy na nieustanne tarcia, do jakich dochodziło między nami w ostatnich dniach. Wzbierały we mnie trudne do

określenia, ale bardzo złe przeczucia.

– Przepraszam, panno Birch – powiedział Jeffrey i precyzyjnie się obok mnie, a zaraz za nim Hugh. – Tato, możemy zejść na dół? Pachnie tak, jakby bułki były już gotowe.

Kiedy to powiedział, ja też zwróciłam uwagę na dochodzący z kuchni słodki zapach cynamonowych bułek Wattie. Musiała wstać przed świtem, bo wymagały dwukrotnego wyrośnięcia i piekły się czterdzieści minut.

– Jasne – odparł Frank. – Ale potem pomożecie mi poprzestawiać kartony.

Szli głośno korytarzem. Hugh zatrzymał się przy drzwiach pokoju Lav i zastukał w nie od niechcienia.

– Mańkut, chodź na śniadanie.

Mańkut?

Lavender, teraz w bawełnianej sukience dresowej i tenisówkach, wyszła z pokoju i razem popędzili na dół, aby pochłonąć tysiąc kalorii w maśle i słodkich węglowodanach, które ledwie się prześlizgną po ich nastoletnich ciałach.

– Jak się trzymasz? – zapytałam Franka, kiedy zostaliśmy sami.

Pokręcił głową, jakbym zadała pytanie, na które odpowiedź to „tak” lub „nie”, a potem posłał mi tak smutny, cyniczny uśmiech, że serce pękło mi raz jeszcze. To był taki przyzwoity człowiek, zbyt dobry dla mojej babci. Latem przysyłał swoich chłopaków, aby kosili trawnik, i zawsze służył pomocą, kiedy zepsuły się światło na werandzie albo dzwonek. Teraz przed pracą męczył się w piekielnym upale na strychu, przenosząc kartony dla dwóch staruszek, które na oczach wszystkich parafian rozwały mu małżeństwo.

– A chłopcy?

Frank przez chwilę milczał, a jego zmęczone oczy lustrowały moją twarz, szukając w niej śladów *schadenfreude* lub niezdrowej ciekawości. Miałam nadzieję, że ich nie wypatrzy. Zapytałam, bo był przyjacielem naszej rodziny i od niedawna doznawał uczuć, z jakimi ja męczyłam się przez całe dorosłe życie.

Chyba dobrze odczytał moje intencje, bo zmniejszył czujność. Przygarbił się, a cienie pod jego oczami powiedziały mi, z jak wielkim trudem przychodzi mu branie się w garść.

– Hugh się wycofał – rzekł teraz. – Nie mam pojęcia. Jeffrey jest młodszy. Nie potrafi ukryć, jak bardzo to wszystko przeżywa. Serce mi pęka, gdy patrzę, jak próbuje udawać obojętność.

– Boże, Frank. Tak bardzo mi przykro. – Od Lavender wiedziałam, że to on został w domu z chłopcami. Dwukrotnie odwiedzili już mamę, która mieszkała teraz w domu ich babci, niecały kilometr od rynku. – Rozmawiałeś w ogóle z Jeannie Anne?

– Aha. Staram się zachowywać grzecznie, mimo że spotyka się z Campbellem. Podobno się kochają. Martina Mack, niech Pan ma w opiece jej czarną duszę, przyniosła mi spaloną zapiekankę z kurczakiem i tę oto radosną wiadomość.

– Jakżeby inaczej. Tutaj zjawiała się z ciastem marchewkowym, by mi opowiedzieć o tym, jak długo i w jakich męczarniach umierała jej ciotka chorująca na alzheimera. Nie wpuściłam jej do domu, ale nie ruszyła się z miejsca, dopóki nie przedstawiła mi każdego

potwornego szczegółu. Jeszcze nikt na żadnej werandzie na tym świecie tak bardzo się nie upajał nieżyjącą ciotką. – Oboje wzruszyliśmy ramionami, a ja dodałam: – Może poprawi ci nastrój wiadomość, że władze kościelne zwolniły Campbella. – Cudzołóstwo pastora trudno uznać za coś, co ma pozytywny wpływ na morale parafian.

– Jasne. W przeciwnym razie moja noga już by tam nie powstała. Ale w sumie to także niezbyt dobra wiadomość. Boję się, że się z nim stąd wyprowadzi. Wszystkim mówię, że jakoś sobie radzę, że wszystko okej. Przypominam im, że ona także cierpi, i uwierz mi, te słowa smakują gorzej niż zapiekanka Martiny. Ale nie mam innego wyjścia. Nie chcę, aby wyjechała. To znaczy chcę. Na tacze. Obtoczona w smole i pierzu. – Uśmiechnął się cierpko. – Ale jeśli tak się stanie, będzie próbowała zabrać chłopców, a prawo stoi po stronie matki. Nie dopuszczę do tego. Nie mogę. Teraz muszę myśleć o nich, a nie o chęci uduszenia Jeannie Anne.

Przełknęłam ślinę. W gardle uformowała mi się wielka gula. A więc tak wygląda ojcostwo, jeśli ma szansę rozwijać się od samego początku.

Skąd miałabym o tym wiedzieć? Linia Birchów nie miała szczęścia do ojców. Birchie była ostatnią z nas, której ojciec dożył jej dorosłości.

Ja miałam Keitha, który okazał się świetnym ojczymem. Bardzo mnie kochał, ale ja i tak mówiłam mu po imieniu. Raz, kiedy ja i Rachel chodziłyśmy jeszcze do przedszkola, bawił się z nami domkiem dla lalek. Rzuciłam: „Nie, fotel bujany nie tutaj, tato”. Nie zwróciłam nawet uwagi na to, że tak powiedziałam.

Sekundę później Rachel rzuciła się na mnie z krzykiem. Ugryzła mnie w ramię na tyle mocno, że poleciała krew. Keith musiał ją ode mnie odciągnąć. Przybiegła mama, a w tym czasie ja i Rachel zaczęłyśmy płakać. Stała spanikowana w drzwiach i zapytała: „Co się stało? Co się stało?”. Ja pierwsza się uspokoiłam. Rachel szlochła w ramionach mamy przez cały czas, kiedy Keith opatrywał mi ugryzienie. Łkanie ucichło dopiero wtedy, kiedy skończył i wziął ją na ręce. Już nigdy więcej nie nazwałam ojczyma tatą. Przypomniawszy to sobie, zakryłam dłonią Digby’ego, już trzecie pokolenie Birchów pozbawione ojca.

– Robisz to, co należy – rzekłam do Franka.

– Dzięki, że mnie wysłuchałaś. Mało komu mogę się wyżalić, bo szybko się to rozniesie. – Frank wyprostował się i poruszył ramionami, jakby poprawiał dźwigany na nich ciężar. – Muszę iść do domu. O dziewiątej ma się zjawić Lois Gainey, żeby po raz kolejny wykreślić z testamentu swojego siostrzeńca. Dlatego tak wcześnie przyszliśmy po twój kufer. Sorki, że cię obudziliśmy.

Kufer. Zdążyłam o nim zapomnieć.

– Gdzie go zanieśliście?

– Do pokoju telewizyjnego. Wattie chciała, byśmy zapakowali ci go do samochodu, ale jej powiedziałem, że zrobimy to, kiedy będziemy wychodzić – wyjaśnił.

Wzbudzało to we mnie coraz większe podejrzenia. Odwróciłam się ku schodom.

– No to sprawdźmy, co knuje ten duet przebiegłych staruszek.

Pamiętałam, jak długo ukrywały chorobę Birchie, dlatego nie sądziłam, że spodoba mi się ich nowy plan.

Frank otworzył usta, żeby coś powiedzieć, po czym je zamknął. Przechylił głowę

i nasłuchiwał. Pod domem było słyhać jakiś samochód. Blisko. Tak blisko, że musiał znajdować się na podjeździe.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– To twoje auto? – zapytał, po czym pokręcił przeczącą głową, jakby sam sobie odpowiadał na pytanie.

Nie istniało inne wytłumaczenie, musiało być moje. Przed wejściem stał tylko samochód z wypożyczalni, ale żadna ze znajdujących się na dole osób nie miała powodu, aby go uruchamiać.

Miałam trzydzieści osiem lat i byłam w ciąży, ale ze schodami poradziłam sobie tak jak w dzieciństwie: zbiegłam w kilku susach, rękami ślizgając się po poręczach. Sprintem pokonałam pokój telewizyjny, w którym Lavender siedziała na sofie pomiędzy dwoma chłopcami i trzymała na kolanach mój komputer. Wszyscy wpatrywali się w ekran i jedli cynamonowe bułki. Podnieśli głowy, zaskoczeni, kiedy minęłam ich szybko, a po piętach deptał mi Frank Darian. Otworzyłam drzwi wejściowe, wypadłam na werandę i zbiegłam po schodach.

Samochód jechał tyłem zwirowanym podjazdem. Za kierownicą siedziała Wattie, a obok niej Birchie. Na tylnej kanapie dostrzegłam zarys dużej skrzyni. W czasie, kiedy ja rozmawiałam z Frankiem, Wattie najpewniej kazała chłopcom wsadzić ją do auta.

– Stop! Stop! – wołałam, wybiegając bosą na trawnik mokry od rosy.

Już od kilku lat nie miała prawa jazdy, zresztą nie bez powodu. Dokąd się wybierała? Nasze spojrzenia się skrzyżowały, a ona mocniej przycisnęła pedał gazu. Samochód dał susa do tyłu.

Frank przemknął obok mnie. Chciał znaleźć się za samochodem, tak żeby musiały się zatrzymać.

– Frank, nie! – krzyknęłam, nie przestając biec. A jeśli Wattie go nie zauważy? Młodzi Darianowie zdążą wybiec na werandę i zobaczyć, jak ich ojciec jest rozjeżdżany przez moje auto.

Samochód poruszał się jednak za szybko. Spojrzenie Wattie pozostawało utkwione w mojej twarzy i nie zorientowała się, że dotarła już do końca podjazdu. Tylne lewe koło wjechało na trawę, a wóz podskoczył i szarpnął. Wattie skręciła kierownicą w drugą stronę i dodała gazu. Prawe koła obróciły się na trawie; w końcu wcisnęła hamulec.

Za późno. Tył samochodu z głośnym zgrzytem wbił się w słup ze skrzynką pocztową.

– O mój Boże! – zawołała Lavender. Wypadła z domu z Jeffreyem i Hugh w samą porę, żeby zobaczyć stłuczkę.

Frank pierwszy dobiegł do samochodu. Szarpnął za klamkę od strony Wattie, ale drzwi były zamknięte.

– Proszę otworzyć! – zawołał przez szybę.

Wattie nawet na niego nie spojrzała. Patrzyła przed siebie przez przednią szybę, jednocześnie wstrząśnięta i zbuntowana.

Podbiegłam do drzwi od strony pasażera, a w podeszwy stóp wbijał mi się żwir. Zajrzałam do środka.

Birchie patrzyła na mnie, oszołomiona. Włosy wymknęły jej się z koka

i w nieładzie okalały twarz.

– Otwórz! – zawołałam.

Posłusznie wcisnęła odpowiedni guzik, a ja rzuciłam się do klamki, żeby Wattie nie zdążyła ponownie zablokować drzwi. Próbowала, ale Frankowi udało się otworzyć te od jej strony. W poszukiwaniu obrażeń obmacałam szybko ręce Birchie, jej twarz, szyję, klatkę piersiową i żebra.

– Nic ci się nie stało? – zapytałam zdecydowanie za głośno.

– Oczywiście, że nie, skarbie. Tyle zamieszania – odparła, unosząc brwi, po czym odepchnęła moje niespokojne dłonie. – Leia, przestań mnie macać.

– Nic pani nie jest? – krzyknął Frank do Wattie.

– Pozwólcie nam jechać – powiedziała głosem niskim i pełnym napięcia. – Nie zdążycie się nawet obejrzeć, a będziemy z powrotem.

– Rozwaliłaś mi samochód z wypożyczalni! – Głos nadal miałam podniesiony.

– Ledwo co. Naprawdę musimy jechać – oświadczyła zdenerwowana Wattie. – Da się go prowadzić. Nawet nie wyskoczyły poduszki powietrzne.

Zakręciło mi się w głowie i poczułam mdłości na myśl o tym, co by było, gdyby tak się stało. Poduszki wystrzelające niczym pociski, uderzające w kruche stare ciała, miażdżące je...

– Powinnam zadzwonić pod sto dwanaście? – zapytałam Birchie. – Coś cię boli?

– Przekonaj ją, żeby nas puściła – rzekła Wattie, ściskając ramię Franka.

W odpowiedzi sięgnął ponad nią i wyszarpnął kluczyki ze stacyjki, by zgasić silnik.

– Co się dzieje?

Obejrzałam się przez ramię i dostrzegłam, jak w naszą stronę drepczą państwo Barleyowie, sąsiedzi Birchie. Dla wielu osób to była jeszcze wczesna pora, ale zobaczyłam, że od strony rynku pędzi ku nam Martina Mack. Akurat tego babska było nam tu trzeba.

Przygnębiona Wattie zgarbiła się na swoim miejscu.

– Nic się nie dzieje, Lisbeth. Ty i Jack możecie wracać do siebie! – zawołała Birchie do państwa Barleyów.

Nie posłuchali jej, lecz zatrzymali się na granicy swojej działki. Birchie odpięła pas i wystawiła nogi z samochodu.

– Nie powinnaś stawać – rzuciłam ostrzegawczo, ale ona machnęła ręką i zaczęła wysiadać. Ujęłam jej łokieć i pomogłam, a potem obeszłyśmy razem pojazd. Na widok wgniecenia w zderzaku cmoknęła z niezadowolaniem.

– Nikomu nic się nie stało? – zapytała Lavender.

Wattie także wygramoliła się z samochodu. Milczała. Wyraz twarzy miała nieodgadniony.

– Wypakujcie tę skrzynię – rzekłam do Franka i dopiero tym przyciągnęłam jej uwagę.

– Zostaw ją – odezwała się.

– Teraz, Frank. Ja nie żartuję – dodałam stanowczo.

– Frank, musisz się mną zająć – oświadczyła Wattie.

Zawahał się, patrząc to na nią, to na mnie. Jego spojrzenie ostatecznie zatrzymało

się na Birchie. Nadal wpatrywała się z niedowierzaniem w zderzak.

– Panno Birchie? – zapytał Frank.

Spojrzała na niego.

– Boże drogi. Rozbiłyśmy samochód?

Objęłam ją i maksymalnie się wyprostowałam. Zgoda, nie byłam wysoka, do tego miałam na sobie różową pizamę w rysunki przedstawiające kalifornijskie sushi i unagi, mimo to byłam Birchem w Birchville. Może nie tym najważniejszym, ale dzisiejszego ranka moja babcia nie nadawała się do odgrywania swojej roli.

– Bierzcie skrzynię, Frank.

Spojrzał na Wattie i pokręcił głową w geście niemal przeproszającym, a następnie zabrał się do tego, o co go poprosiłam. Hugh zszedł bez pytania z werandy, żeby mu pomóc, a za nim Jeffrey i Lav.

Oczy Wattie ciskały błyskawice. Głównie w moją stronę. Zbici w kupkę staliśmy pośrodku trawnika i przyglądaliśmy się, jak Frank i Hugh wyciągają z samochodu skrzynię. Wattie stanęła obok Birchie. Wzięły się pod ręce; pasowały do siebie idealnie, jak klocki Lego. Ja, stojąc po drugiej stronie Birchie, poczułam się nagle zbędna.

Frank i Hugh postawili skrzynię na trawie. Był to stary, brązowy kufer marynarski z okuciami z zardzewiałego metalu.

– Zamknięta – rzucił Hugh.

Do skrzyni była przytwierdzona stara kłódka.

Do trawnika dotarła Martina Mack.

– Co się dzieje? – zapytała tym swoim skrzekliwym głosem.

– Nie waż się deptać trawy, Martino Mack! – oświadczyła Birchie. – Wystarczająco została dziś podeptana.

Zignorowana przez resztę osób, podeszła do Barleyów i razem zaczęli szeptać na skraju działki.

– Co tam jest? – rzuciła Lavender w stronę Wattie. Z jednej strony miała Hugh, z drugiej Jeffreya.

– Nic – odparła Wattie.

– Akurat – rzekłam. Drzwi od strony kierowcy Wattie zostawiła otwarte. Podeszłam do auta, zajrzałam do środka i otworzyłam bagażnik.

– Ta skrzynia nie jest zbyt ciężka – odezwał się Hugh. – Nie ma w niej książek, nic z tych rzeczy.

– Czy wy zamierzałyście uciec? – zapytałam Birchie, po czym wyjęłam z bagażnika klucz do kół. Do głowy przychodziło mi tylko to, że to skrzynia uciekinierek, wypełniona ortopedycznymi butami, bawełnianymi reformami i fartuchami, ukryta na strychu na wypadek, gdybym się upierała przy wyjeździe Birchie do Norfolk.

– Czy to mój paniński kufer? – zapytała Birchie, jakby dopiero teraz go zauważyła. Poranek to była dla niej z reguły najlepsza pora dnia, ale stłuczka mocno ją rozstroiła.

– Jest jak puszka Pandory – powiedziała Lav do Hugh i Jeffreya. – Według mnie lepiej jej nie otwierać.

– To nie twój kufer – rzekła Wattie do Birchie. Zerknęła na Lavender, a potem na

mnie. – Nie ma w niej nic twojego.

Odwrociłam się i uniosłam klucz do kół.

– Nie rób tego – rzuciła ostrzegawczo Wattie.

Uderzyłam w starą kłódkę. Skrzynia zadrżała, ale zamek nie puścił.

– Mam to zrobić? – zapytał Jeffrey z entuzjazmem nastolatka.

– To moja suknia ślubna – powiedziała Birchie. – I pościel z posagu.

Ponownie uderzyłam w kłódkę, tak mocno, jak tylko zdołałam. Kłódka nie odpadła, ale jeden z zawiasów owszem. Barleyowie i Martina Mack przysunęli się nieco bliżej, przekraczając niewidoczną granicę naszej działki. Cała trójka dzieciaków wyciągnęła szyje, a Lavender wzięła obu chłopców pod ramię. Rzuciłam klucz na ziemię. Położyłam ręce na chropowatym wieku.

Wszyscy wstrzymali oddech, gdy otworzyłam skrzynię.

Zobaczyłam coś jasnego, może białego, owiniętego luźno folią tak starą, że zdążyła pożółknąć. Odsunęłam górną warstwę.

Lavender wciągnęła głośno powietrze i mocniej przytrzymała się chłopców. Frank zaklął cicho pod nosem. Usłyszałam, jak stojąca za mną Wattie ciężko oddycha.

– Co tam jest? – zapytała Martina Mack, idąc przez trawnik. – Nie widzimy! Zaslania... – Urwała w pół słowa, stanąwszy za mną.

– Ale to przecież nie jest moja suknia ślubna – powiedziała Birchie. – Będziesz musiał poszukać jeszcze raz, Frank. Mój kufer musi się kryć gdzieś głębiej.

Nie byłam w stanie się ruszyć i ledwo oddychałam.

Birchie podeszła do mnie i delikatnie zamknęła wieko, zasłaniając spoczywające na dnie skrzyni kości i porozrzucane luźno zęby. Zaslaniając ludzką czaszkę, która leżała obok żuchwy, a w górnej części miała głębokie, nienaturalne pęknięcie. Wieko zakryło czarne oczodoły, wyglądające z czeluści skrzyni. Stare, ciemne i puste.

Zaczyna się od Violet.

Nie pojawia się co prawda od razu na pierwszej stronie, ale to ona jest światłem, które przywołuje moją antybohaterkę. Każe jej się przywitać.

Jak na razie rozmyślałam tylko o Violence, szkicując ją w nieskończoność, nie potrafiąc wymyślić jej początku. Przez kilka ostatnich dni żałowałam nawet, że nie mam w sobie nieco więcej z niej. Może niekoniecznie chodziło mi o kanibalizm, ale kiedy Wattie i Birchie toczyły ze mną walkę na tysiącu maleńkich frontów, marzyłam o jej determinacji. Violence była taka pewna siebie.

Nie darzyłam szacunkiem Violet, choć kiedy zaczęłam ją rysować w gimnazjum, miała moje ciemne włosy, mocno zarysowaną linię zuchwy i głęboko osadzone oczy. Zmieniła się, kiedy byłam w ostatniej klasie liceum, po JJ'u, gdy wymyśliłam Violence. Przekształciłam Violet w superładną, zmieniając ją z brzydszej kuzynki Hilary Swank w smukłą blondynkę z wielkimi oczami i jeszcze większym biustem. Stała się taka słodka, że aż mnie bolały zęby, kiedy ją rysowałam. Była, kolokwialnie mówiąc, głupia jak but. Tą pierwszą ciemną uliczką Violet przechadza się z niczego nieświadomą radością, a nieustanne pakowanie się w tarapaty pozwala na to, aby przez połowę książki przewijało się dużo cierpkiego feministycznego humoru. Pod koniec wcale nie jest już wesoło, jako że i ona, i cały świat przestają istnieć. Może zabrałam jej część swoich cech, żeby łatwiej mi było ją zniszczyć.

Violet zaczyna się kruszyć w porzuconym magazynie, gdzie ona i jej chłopak są przetrzymywani przez narkotykowego bossa. To duży, ciemny budynek pełen palet, skrzyń i stert kartonów, gdzie opryszkowie pilnują wejść i wszystkich zaułków. Gość z kartelu chce wiedzieć, co się stało z jego ludźmi, czyli chłopakami z uliczki. Podczas gdy Violet płacze i przysięga, że nie wie, wokół niej zaczynają się gromadzić króliki, urocze myszki i puszyste ptaszki.

Zwierzęta to podpowiedź; króliki i rudziki pojawiają się tylko wtedy, kiedy Violet oglądamy oczami Violence. W czarno-szarych cieniach na skrajach obrazków pojawiają się jej fragmenty: pasmo włosów, czubek buta, dłoni ze spiczastymi paznokciami. W każdym ujęciu z oddali widać o jednego opryszka mniej, a w kątach i na ścianach zbiera się coraz więcej krwi.

Facet z kartelu traci cierpliwość w tym samym momencie, kiedy nogi ostatniego opryszka znikają z kadru. Podchodzi bliżej, a nad nim, pod sufitem, błyszczy fioletowa sylwetka Violence. Uczepiona jest niczym pająk, a z otaczających ją rur zwisają ciała pachółków.

Mężczyzna wyciąga zza paska pistolet i pakuje pięć kul w chłopaka Violet.

– Ostatnia szansa – mówi do niej.

Właśnie w tym momencie Violence spada między nich, tak lekko, że dźwięk wydobywanych noży okazuje się głośniejszy niż jej lądowanie. Widzimy zaskoczenie, trochę przepychanek, a potem Violence właściwie pożera swoją ofiarę.

Teraz zoom na Violet. Twarz skrywa w dłoniach, ale zerka przez palce. Oczy ma pełne łez, ale usta... Wygląda, jakby się uśmiechała. Dłonie przyciska jednak mocno do

policzków, więc możliwe, że to one unoszą kąciki ust.

Trudno powiedzieć, dopóki nie zwróci się uwagi na króliki. Podczas gdy myszy i ptaki starają się nieść pociechę Violet, a skraj jej spódnicy naciągają na twarz martwego chłopaka, króliki wpatrują się w Violence. Przysiadły na tylnych łapach, a białe futerko mają poplamione jaskrawoczerwoną krwią. Są świadkami, jak zabójca jest żywcem pożerany, i nawet im się to podoba. Króliki zaczęły się zmieniać.

Może właśnie dlatego ta powieść graficzna odniosła tak duży sukces; historia Violet przytrafiała się każdemu. Każdy z nas, każde niewinne dziecko rodzące się na tej planecie, w końcu traci niewinność. Wszyscy potrafiliśmy cofnąć się w czasie do tych chwil: ktoś, kogo kochałeś, umarł; widziałeś, jak twoja mama lub tata porzuca rodzinę; uprawiałeś seks po raz pierwszy i przekonałeś się, jak bardzo jesteś zbyteczny. Albo uniosłeś wieko starej skrzyni.

Nie spojrzałam na Birchie, gdy ponownie je opuściła. Mój wzrok nie chciał skrócić w jej stronę. Co mogłam zobaczyć: wyrzuty sumienia? Lekceważenie? Wściekłość z powodu mojego uporu? Moja babcia, która piekła dla mnie kruchy placek i nazywała „kotkiem”, trzymała na strychu ludzkie kości. Kim naprawdę jest ta kobieta? Na Wattie także nie chciałam patrzeć, nie teraz, kiedy pozwoliłam, aby światło dzienne ujrzało to coś, co powinno było pozostać w ciemności. Coś, co nigdy, przenigdy, nie powinno się było tam znaleźć.

Kiedy jednak w końcu na nie spojrzałam, zobaczyłam jedynie babcię i jej serdeczną przyjaciółkę, drobną, kruchą i tak bardzo mi drogą. Wattie patrzyła na mnie, a współczucie widoczne w jej dużych, okrągłych oczach niemal mnie rozbroiło. Zrozumiałam, że to ja nas przyprowadziłam w to mroczne miejsce.

Kiedy wynajęłam ludzi do pomocy przy porządkowaniu strychu, Wattie musiała zabrać stamtąd kufer. Nie dałam jej wyboru. A ona próbowała mnie przeciw ostrzec. Już podczas pierwszego wieczoru kazała zostawić wszystko tak, jak jest. Błagała, abym nie otwierała skrzyni. Znałam ją przez całe swoje życie i ani razu nie przyszło mi do głowy, aby jej zaufać. Nie pomyślałam: „Skoro Wattie kradnie samochód, musi mieć ku temu ważny powód. Może powinnam jej pozwolić jechać z tą skrzynią?”

Birchie wyglądała na zbolaną. Jej usta się poruszały. Może szeptały słowa modlitwy. Odsunęła się od zamkniętej skrzyni, a Wattie ponownie wzięła ją pod ramię.

– Och, słodki Panie! Kto to? Kogo zabiliście? – zapiszczała Martina Mack.

– Zamknij się, Martino – rzuciłam.

Nie miało znaczenia, czyje to były kości ani skąd się tu wzięły. Birchie i Wattie stały tuż obok ludzkich szczątków, ale kiedy na nie patrzyłam, nie potrafiłam uwierzyć, że to morderczynie, osoby przesiąknięte złem. Nie rozumiałam spoczywających w skrzyni szczątków, ale rozumiałam te kobiety. Ufałam im. Widocznie nie musiałam znać tej historii, w przeciwnym razie Birchie już dawno by mi ją opowiedziała.

Żałowałam tylko, że nie pozwoliłam Wattie ukraść samochodu, wywieźć skrzyni i ukryć jej w jakimś innym miejscu. Ukryć lepiej i na zawsze. Kiedy zobaczyłam, jak wycofuje na podjeździe, powinnam była poczęstować się dwiema wielkimi bułkami z cynamonem i odurzyć Digby’ego cukrem. Powinnam była usiąść z Lavender i zapytać: „Co takiego interesującego jest w moim komputerze?”. Sekrety trzynastolatki okazałyby

się niewinne i świeże, słodsze niż ta leżąca na trawniku skrzynia z niedobłą historią.

– Czy to... To był człowiek? – zapytała Lisbeth Barley. – To ludzkie kości?

– Dzwonię do Cody’ego – oświadczyła Martina Mack.

Boże, miej nas w opiece. W Birchville było pięciu pełnoetatowych policjantów, w tym wnuk Martiny. „Osłowatość” nie omijała żadnego pokolenia, a już na pewno nie w rodzinie Macków. Cody to ostatnie, czego nam tutaj trzeba.

– Panno Wattie i panno Birchie, wejdźcie do domu – polecił cicho Frank.

Birchie nachyliła się i zmarszczyła brwi.

– Muszę zabrać stąd swój kufer – rzekła, wyciągając w jego stronę jedną rękę. Wattie ją przytrzymała, by nie pozwolić dotknąć wieka. – Muszę...

– Idź do domu – przerwałam jej. – Nic się nie dzieje.

Bałam się tego, co jeszcze może powiedzieć. Dopiero co publicznie przyznała, że to do niej należy skrzynia z ludzkimi kośćmi. Nie zamierzałam pozwolić, aby ciała Lewy’ego oskarżyły ją o Bóg wie co jeszcze w obecności Barleyów i Martiny Mack, która właśnie warczała do telefonu:

– Nie, nie, Cody, mówię ci! Bierz tyłek w troki i zasuway do domu Birchów, raz-dwa!

– No chodź – odezwała się Wattie. – Leia i Frank zajmą się wszystkim.

Pokiwałam uspokajająco głową, choć nie miałam pojęcia, czym jest to „wszystko”. Kiedy tylko staruszki zaczęły iść we właściwym kierunku, zwróciłam się do Franka:

– Skrzynię także powinniśmy wnieść do domu?

– Niczego nie ruszać! – zawołała Martina. Skończyła już rozmawiać przez telefon i drżącym palcem pokazywała kufer. – To jest miejsce zbrodni!

Lavender i obaj chłopcy patrzyli, nie odzywając się ani słowem. Hugh nachylał się opiekuńczo ku mojej siostrzenicy. Jeffrey był wyższy od Lav o zaledwie pięć centymetrów, ale on także sprawiał wrażenie, jakby chciał ją chronić. Zimno mi było w stopy od trawy mokrej od rosy. W oddali dostrzegłam Cody’ego Macka, odzianego w granatowy mundur. Szedł od strony rynku żwawym krokiem, aż mu dyndała latarka przy pasku.

– To nie jest miejsce zbrodni, Martino – powiedział Frank tonem spokojnym i lekceważącym. – Na razie nie wiemy, co to takiego.

– Mam na DVD prawie wszystkie sezony *Prawa i porządku*. Wiem, czym jest miejsce zbrodni. – Spojrzenie paciorkowatych oczu przeniosła na mnie. – Wy, Birchowie, wszyscy zadzieracie nosa! Powinnam się była domyślić. Mam nadzieję, że sprowadzą psy i przekopią wam całą działkę. – Kiwnęła znacząco głową do państwa Barleyów i dodała: – Założę się, że znajdą całą masę kości i zwłok.

Na twarzach staruszków pojawił się niepokój.

– Proszę nie opowiadać bzdur – warknęłam.

Martina spojrzała na mnie z góry, odchylając głowę i prezentując otwory nosowe tak szerokie, że niemal mogłam zajrzeć w tę czarną czeluść, gdzie powinien znajdować się jej mózg.

– Córka zabrała mnie do teatru w Montgomery na *Arszenik i stare koronki*. Już ja wiem swoje!

Zdażyła wtajemniczyć wnuka w to, co się stało, bo Cody przyniósł rolkę krzykliwie żółtej taśmy do odgradzenia miejsca zbrodni. Była taka stara, że aż zakurzona.

– Co tu się, u licha, wyprawia? – warknął, piorunując wzrokiem Franka i mnie. – Babcia mówi, że w tej skrzyni są zwłoki.

Otworzyłam usta, aby coś powiedzieć, ale Frank położył mi rękę na ramieniu.

– Na razie nie ma pewności, co tam się kryje – rzekł spokojnie.

– Będę to musiał otworzyć – oświadczył Cody. – Muszę zobaczyć.

Frank machnął ręką w geście zaproszenia. Wnuk Martiny podszedł do skrzyni i przykucnął.

Odwróciłam się i spojrzałam na Barleyów, którzy szeptali coś do siebie. Usłyszałam skrzypnięcie wieka i stęknienie Cody'ego. Kilka domów dalej Della Brody stała na werandzie i patrzyła w naszą stronę. Maxwellowie po sąsiedzku także wyszli przed dom, więc poczta pantoflowa Pierwszego Kościoła Baptistów działała. Nie minie dziesięć minut, a na naszym trawniku pojawi się większość mieszkańców Birchville. Przyglądałam się sąsiadom, dopóki nie usłyszałam skrzypnięcia i głuchego odgłosu towarzyszącego zamknięciu wieka.

Cody zapytał Franka o samochód z wgniecionym zderzakiem i o to, skąd ta skrzynia wzięła się na trawie.

– Była na tylnej kanapie samochodu.

– A wcześniej? – chciał wiedzieć. – Skąd się tam wzięła?

Oto jest pytanie.

– Ze strychu – odparł Frank, krótko i na temat. Jego informacje były zgodne z prawdą.

Ja w tym czasie podeszłam do Lavender i chłopców. U kostek powiewały mi wilgotne nogawki spodni od pizamy.

– Idźcie do domu i zróbcie Birchie i pannie Wattie słodką herbatę, dobrze? Albo kakao. Myślę, że są w szoku.

– Sobie też możemy zrobić kakao? – zapytała Lavender, ożywiwszy się na myśl o czekoladzie i cukrze. Jeffrey uśmiechnął się z nadzieją, ale twarz Hugh pozostała poważna. Był tylko dwa i pół roku starszy, ale to ważne lata. Miałam nadzieję, że Lav zdecydowała się na bezpieczne zadurzenie w Jeffreyu. Nie była gotowa na chłopca z liceum z buzującym w nim testosteronem, ale kiedy patrzyłam, jak stoi obok niej, tak opiekuńczo, zrozumiałam, że to nieistotne.

– Pewnie – odparłam.

Ruszyli w stronę domu.

– Będę musiał przepytac pannę Birchie – usłyszałam za sobą głos Cody'ego i odwróciłam się na pięcie.

– Jestem jej prawnikiem – przypomniał mu Frank. – Możesz rozmawiać ze mną.

– Nic z tego nie będzie – odparł Cody. – Już z tobą rozmawiałem. Nic nie wiesz.

– Będę ci musiał wystarczyć. Nie pozwolę rozmawiać z moją klientką. Byłeś na Pikniku Rybnym, więc doskonale wiesz, że panna Birchie jest niepoczytalna.

– Sranie w banie. Moje zdanie jest takie, że podczas pikniku panna Birchie powiedziała samą prawdę. Gdyby opowiadała głupoty, twoja żona nie mieszkałaby teraz

u swojej mamy, co nie? – zapytał Cody, a Frankowi zbieleły usta.

Cios poniżej pasa. Czemu Bóg genów „osławatości” nie uczynił recesywnymi?

– Birchie ma ciała Lewy’ego – odezwałam się. Staralam się mówić ze spokojem, którego wcale nie czułam. – To forma demencji i diagnozę może potwierdzić jej lekarz. W żadnym razie nie wolno jej przepytawać. – Posłałam Martinie Mack spojrzenie pełne jadu. Ja także widziałam *Prawo i porządek*, odcinek albo dwa. Nieszczególnie przemawiał do mnie ten gatunek filmowy. – Będziesz rozmawiał tylko z Frankiem i nie zapomnisz przy tym o dobrych manierach. – To była kwestia prosto ze słownika Birchie.

Od strony rynku zbliżał się powoli jeden z dwóch miejscowych radiowozów. Za kierownicą siedział komendant Willard Dalton. Był rozsądnym człowiekiem, starszym i spokojniejszym, wartym tyle co piętnastu Codych. W myślach go popędzałam, aby jechał szybciej.

Tymczasem Cody obrzucił mnie i Franka gniewnym spojrzeniem.

– W takim razie chcę rozmawiać z Wattie. Nagle i wygodnie nie zachorowała na demencję, prawda?

– Panną Wattie, chciałeś powiedzieć. Kto cię wychowywał? – W tym momencie byłam rodowitą mieszkanką Birchville, mówiącą w imieniu babci i robiącą to tak, żeby go zawstydzić. Stał na należącej do nas działce. Ba, w należącym do nas mieście. Powinien nazywać Wattie „panną”, zwłaszcza przy swojej babci, i o tym wiedział. – Widzę, że jedzie twój przełożony. To on porozmawia ze mną i Frankiem, i każdym, z kim będzie trzeba. Ty zostaniesz na podwórku jak pies, którym jesteś. Resztą niech zajmą się ludzie.

Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę domu.

– Zaczekaj tutaj – polecił Cody’emu Frank, a potem poszedł za mną na werandę. Nachylił się i powiedział cicho: – Nie zadawaj Birchie żadnych pytań. Bo jeszcze ci powie.

– Powie mi? Ale co?

– Cokolwiek. Trzeba uważać na to, co się wie. Nie pytaj i nie pozwól jej wyjaśniać. Pokręciłam głową.

– Frank, ja muszę...

– Posłuchaj mnie – rzucił cicho, ale stanowczo. – To są stare kobiety, a Birchie jest chora. Nie pozwolę zadawać jej pytań. Na ile tylko zdołam. Ale z całą pewnością ktoś będzie przepytawał ciebie. Jeśli się wie to, czego nie trzeba, mówi się to, czego nie trzeba, i można wyrządzić znacznie więcej szkody. Pozwól mi chronić was wszystkie.

Uniosłam ręce w geście poddania się, choć wiedziałam, że to wcale nie będzie proste. Gdy weszłam do domu, próbowałam nie myśleć o pytaniach, których nie powinnam zadać, ale poległam. Kto był w skrzyni? Musiał to być ktoś, kto na swój sposób należał do Birchie. To był jej dom. Od jak dawna znajdował się na strychu? Co prawda tylko zerknęłam na kości, ale z pewnością były stare. Na tyle, żeby leżały luzem. Poza tym skrzynię ukryto głęboko, w miejscu pod okapem. Kiedy byłam mała, ta część była już tak zapchana, że nie wolno mi było do niej wchodzić. Czy skrzynia tam stała, a ciałogniło i cuchnęło, gdy tymczasem ja bawiłam się w przebieranki? Mogła znajdować się tam dłużej, niż ja byłam na świecie, a sterty historii obrastały ją ze wszystkich stron,

z każdym rokiem grzebiąc coraz głębiej.

Miałam nadzieję, że tak właśnie było. Że znalazła się tam sto lat temu lub dawniej: nieprzyjemny spadek przekazany Birchie przez kogoś, kto dawno już nie żył. Mój pisarski umysł już tworzył historię. Ellis Birch był bez wątpienia nadopiekuńczym ojcem, do tego cechowała go przesadna duma. Być może to były kości zaginionego zalotnika Birchie, tego, który podobno uciekł aż pod granicę stanu. Może to były jeszcze starsze szczątki jankeskiego żołnierza zabitego podczas rekonstrukcji⁶. Mogły też tu przybyć razem z Ethanem Birchem i stanowić prawdziwy powód, dla którego opuścił Charleston i założył Birchville. Jeśli była to tylko skrzynia pełna złej historii, wkrótce wszystko się wyjaśni. Tak stare szczątki wymagały pracy antropologów, nie policji.

Musiałam czekać. Dać wolną rękę Frankowi. Już on najlepiej się wszystkim zajmie. Birchie wiedziała o kościach, to jasne, ale nie mogłam uwierzyć, że to ona ponosi za nie odpowiedzialność.

Dzieciaki nadal urzędowały w kuchni. Słyszałam brzęk naczyń i szmer głosów. Birchie i Wattie siedziały w salonie na jednej z wiktoriańskich kanap.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam Birchie, kucając przy niej.

– Raczej tak. Co za zamieszanie! – rzekła. – Tak bardzo mi przykro. Nie sądziłam nigdy...

– No już, ćśś... – Pocałowałam ją. – Nie przepraszaj. I nic nie mów. Frank prosi, żebyś nie rozmawiała o tym nawet ze mną, dobrze?

Kiwnęła głową, ale patrzyłam w jej niebieskie oczy, dopóki nie zyskałam pewności, że jest obecna i mnie słyszy. Odwróciłam się w stronę Wattie i ujęłam jej dłoń. Poczułam drobne kości, które sprawiały wrażenie bardziej kruchych i delikatnych niż zniszczona skóra.

– Ty i ja musimy grać teraz w jednej drużynie – rzekłam do niej.

– Gram w twojej drużynie od dnia, w którym się urodziłaś, skarbie – oświadczyła, po czym dodała cierpko: – Choć przez cały miniony tydzień zastanawiałam się, czy ty także. Nie martw się. Nie pozwolę jej powiedzieć ani słowa.

– Dobrze – rzekłam, choć serce podeszło mi do gardła. Skoro Wattie nie chciała, aby Birchie mówiła, to znaczyło, że moja babcia miała do powiedzenia o wiele więcej. Choć nie pytałam, i tak dowiedziałam się zbyt dużo.

Obie będziemy potrzebne do pilnowania, aby Birchie trzymała buzię na kłódkę. Piknik Rybny stanowił dowód na to, że jej choroby nie dało się ukryć. Birchie w każdej chwili mogła powiedzieć coś więcej niż niewygodną prawdę. Co gorsza, mogła pleść bzdury, które by ją pogrążyły. W jej mózgu panoszyły się ciała Lewy'ego. Widziała, jak sprośne króliki parzą się w całym mieście. A jeśli te ciała sprawiały, że pamiętała coś, co nigdy się nie wydarzyło?

Spojrzałam na Wattie surowo i zapytałam:

– Ta skrzynia należy do Birchie?

– Myślałam, że nie będziemy o tym rozmawiać.

– Upewniam się, czy chronimy właściwą osobę.

Wattie zacisnęła pełne usta i ściągnęła białe, rzadkie brwi, po chwili jednak skinęła głową.

– Okej. Posłuchaj mnie teraz. – Mówiłam zupełnie jak Frank. – Gdyby policja cię zapytała, powiesz, że tylko pomogłaś Birchie ją przenieść, bo cię o to poprosiła. Jestem pewna, że była bardzo wzburzona z powodu choroby. Choroby, która oznacza, że nie może być za nic odpowiedzialna. Zgodziłaś się jej pomóc, nie mając pojęcia, co się kryje w skrzyni.

Nozdrza Wattie zadrżały.

– Matka nie wychowała mnie na kłamczuchę.

– No cóż, w takim razie sama się świetnie tego nauczyłaś – rzuciłam ostro, ale serce mi zamarło. To oczywiście, że Birchie poinformowała Wattie o tym, co kryje się w skrzyni. Mówiła jej przecież wszystko. – Okej, to było podłe z mojej strony, ale aż do zeszłego tygodnia nie miałam pojęcia o chorobie Birchie, więc może sobie na to zasłużyłaś. – Odwróciła wzrok, ale widziałam, że moje słowa do niej dotarły. – Tak na marginesie, moja matka także nie wychowała mnie na kłamczuchę. Macie szczęście, że nie zawsze słucham jej dobrych rad.

– Świat byłby o wiele lepszy, gdybyśmy w s z y s c y słuchali naszych matek... i babć – stwierdziła Wattie.

– Możliwe. Twoja cię nauczyła trzymać buzię na kłódkę?

– Z ciebie to jest dopiero numer, dziewczyno! – Wattie uśmiechnęła się blado. – Połowę dzieciństwa spędziłaś na strychu i nigdy się nie dowiedzielaś, że on tam jest, co? Wiem, jak zachowywać coś dla siebie.

Pokręciłam głową.

– No to éśś. Niech mówi za nas Frank. – Ta informacja zdążyła jednak do mnie dotrzeć. On. Ten ktoś w skrzyni to on. A on to ktoś o wiele bardziej rzeczywisty niż niezidentyfikowane szczątki. Wattie wiedziała, że to szczątki mężczyzny, nie znaczyło to jednak, iż osobiście go znała albo miała coś wspólnego z jego śmiercią czy umieszczeniem w skrzyni. – Ani słowa więcej. Frank uważa, że lepiej, bym nie wiedziała, kto tam jest.

– Już ci powiedziałam – wtrąciła Birchie z ożywieniem.

– Birchie, proszę, proszę, proszę, przestań mówić. – Sięgnęłam ponad Wattie, aby ją poklepać.

– Powiedziałam ci pierwszego wieczoru po twoim przyjeździe – upierała się Birchie. – Powiedziałam ci podczas kolacji.

To był ranek, najlepsza pora dla Birchie, i wydawała się taka rozsądna. Tak czy inaczej, miałam pewność, że nad pieczonym kurczakiem i sałatką z pomidorów nie wymienialiśmy się informacjami o tym, kto może, a kto nie może leżeć martwy na strychu.

– Nie pamiętam, jak się robi ten chlebek kukurydziany – oświadczyła głośno Wattie. Birchie wzdrygnęła się i spojrzała na nią, mrugając. – Nie pamiętam, ile dodać mąki zwykłej, a ile kukurydzianej.

– Dwa do jednego – odparła Birchie. – Dwa do jednego, wiesz o tym. I trzy duże jajka.

Wattie pokręciła głową.

– Lepiej zacznij od początku.

Miałam wrażenie, że Birchie zapada się w sobie.

– Muszę wyciągnąć miskę twojej matki, bo w niej widać, ile nasypać mąki. Trzymam ją w drugiej szafce od dołu, po lewej stronie piecyka... – Gdy Birchie omawiała proces tworzenia swojego popisowego dania, dotarło do mnie, że Wattie robi to nie po raz pierwszy. To był mechanizm radzenia sobie z ciałami Lewy’ego, przeprowadzający Birchie krok po kroku przez coś, co stanowiło jej drugą naturę. Coś, co pamiętała dłońmi, nosem i ustami, a nie tylko umysłem.

Lavender przyniosła tacę z gorącym kakao. Na jej twarzy malował się niepokój.

– Gdzie Hugh i Jeffrey? – zapytałam.

– Pochłaniają pięćdziesiąt kolejnych bułek z cynamonem. Zwymiotują, jeśli się nie opamiętają. – Postawiła tacę. – Możemy zabrać laptop? Coś na nim robiliśmy.

– Jasne – odparłam.

Leżał na ławie. Nim Lav wyszła z nim z pokoju, rzuciła do mnie:

– A kiedy będziesz miała chwilkę, zadzwonisz do mojej mamy? Powiedziałam jej, że jesteś zajęta rozmową z policją, ale ona jest cała w nerwach.

– Zadzwoniłaś do Rachel? – zapytałam, ale w sumie nie potrzebowałam jej odpowiedzi. Kiedy dzieje się coś niedobrego, dziewczyny dzwonią do swoich matek. Moja mama pachniała rumiankiem i miodem. Część mnie miała ochotę pognać do domu, wpakować się jej na kolana i zrzec wszystkich pozorów dorosłości. Zamiast tego musiałam zadzwonić do Rachel. – Jezu, miej nas w opiece.

– Leia! Nie wzywaj nadaremno imienia naszego Pana – zbesztła mnie babcia, ta sama, która trzymała na strychu zwłoki.

– Ile tłuszczu mieści się na patelni? – zapytała Wattie, by znów odwrócić jej uwagę.

– Spora łyżka. Weź tę, którą trzymam obok puszki na kawę – wyjaśniła Birchie, wracając do tematu chlebka.

Dotknęłam ramienia Wattie, by wyrazić wdzięczność, a potem udałam się na górę. Musiałam wyjaśnić Rachel, jak to się stało, że przywiozłam jej jedynaczkę do domu, w którego czeluściach skrywają się zwłoki. Stare zwłoki, bardzo stare – to będę musiała podkreślić. Właściwie same kości. Kiedy człowiek przestawał być ciałem, a stawał się kawałkiem historii? Być może wtedy, kiedy nie żył już nikt, kto go kochał. Ile to oznaczało czasu w miasteczku, które historię miało równie długą jak Birchville?

Nie wiedziałam.

Nie chciałam wiedzieć.

Zamknęłam drzwi, zebrałam się w sobie i wybrałam numer przyrodniej siostry.

Powiedzieć, że Rachel była wkurzona, to nie powiedzieć nic. Wysokim, ostrym głosem zasypywała mnie pytaniami. Nie znałam na nie odpowiedzi, ale nie miało to znaczenia. Co drugą sekundę wchodziła mi w słowo, pomstując na tę niesprawiedliwość: dokonała ewakuacji swojego dziecka z małżeńskiej strefy działań wojennych po to, aby wylądowało w samym środku sceny zbrodni.

Kiedy udało mi się dojść do słowa, zapytałam:

– Zamierzasz powiedzieć Jake’owi?

Cisza.

– Rozmawiałaś z nim w ogóle?

– Nie. Chyba muszę, skoro znajdujesz zwłoki przechowywane nad pokojem jego córki – warknęła Rachel. Jakbym miała w zwyczaju wygrzebywać ludzkie szczątki gdzie popadnie i teraz ona musiała przywołać mnie do porządku, nim w cyniach znajdę Jimmy’ego Hoffę⁷. Fakt, że moja siostra zadzwoni pewnie do ojca Lavender, to wyłączny plus tej sytuacji. W żadnym razie nie byłam fanką Jake’a, ale to jedyny ojciec, jakiego miała Lav.

– No więc co teraz? – zapytałam.

– Lavender wraca do domu, oto co teraz – oświadczyła Rachel tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Okej. Mam zadzwonić do Delty?

– Ja się tym zajmę. – Po tych słowach w końcu zakończyła rozmowę.

Wzięłam szybki prysznic i ledwie zdążyłam wyjść z łazienki, kiedy rozdzwonił się mój telefon. Mama – dziękuję ci, Rachel! – chciała wiedzieć, co się, u licha, wyprawia u Birchie. Oczywiście, że moi rodzice musieli mieć rozeznanie w tym, co się dzieje, ale to ja ich chciałam o wszystkim poinformować. Delikatnie. W szerokim kontekście. Poczulałam się jak wtedy, kiedy miałam sześć lat, a Rachel doniosła na mnie, że niechcący spuściłam w toalecie należący do mamy kolczyk z maleńkim szmaragdem. I pomyśleć, że ja na temat Jake’a nie puściłam pary z ust!

Przez dobre dziesięć minut stałam owinięta ręcznikiem i zapewniałam mamę, że nie ma potrzeby, bym wracała do domu z Lavender. Przedstawiłam jej swoją teorię dotyczącą kości jankeskiego żołnierza i dodałam, że zważywszy na chorobę Birchie, to ja, jako osoba dorosła, trzymam tu nad wszystkim pieczę.

– Może i tak – powiedziała zmartwiona mama – ale nadal jesteś moim dzieckiem. To się nigdy nie zmieni.

Na te słowa dotknęłam ręką brzucha. Na co ja się, u licha, pisałam? Kiedy tylko zakończyłam rozmowę z mamą, zrobiłam użytek z różu i błyszczczyka, licząc, że dzięki temu będę wyglądać na mniej przerażoną. Próbowałam się ubrać, ale akurat dzisiaj moje najszersze w pasie dzinsy postanowiły okazać się zbyt małe. Doskonale. Rzuciłam je w kąt pokoju.

Kiedy się odwróciłam, dostrzegłam swoje odbicie w lustrze. Nawet w czasach, kiedy byłam w najlepszej formie, nie dało się mnie określić mianem smukłej. Miałam krępa budowę, klockowate nogi i mały biust. Teraz jednak moje ciało wyglądało inaczej.

Piersi urosły o rozmiar, a biodra i brzuch się zaokrągliły. Jeszcze nigdy tyle nie ważyłam, ale podobało mi się to, co widziałam w lustrze. Wyglądałam kwitnąco i bardzo, bardzo kobieco. Może nawet seksownie. Przyglądałam się sobie od dobrych dziesięciu sekund, kiedy w końcu zorientowałam się, co robię.

– Co się z tobą dzieje? – zapytałam swego odbicia, a potem zabrałam się do przeglądania niewielu przywiezionych ubrań.

Znałam odpowiedź. Mój przemądrzały ciężowy podręcznik twierdził, że w drugim trymestrze to nic nadzwyczajnego. Hormony seksu, dołączające bez zaproszenia do hormonalnej imprezy odbywającej się w moim słuszenie spanikowanym mózgu. Założyłam długą spódnicę w indiańskie wzory, T-shirt, w którym zdarzało mi się spać, a na to cienki, workowaty kardigan. Kiedy ponownie spojrzałam w lustro, wyglądałam jak bezdomna grubaska, ale nie jak kobieta w ciąży. Dobre i to.

Kiedy zesłam na dół, przed domem nie było już gości, skrzyń, sąsiadów i policjantów. Frank siedział w kuchennej wnęce, jadł zimną bułkę z cynamonem i czekał na mnie, żeby zdać relację z tego, co się działo.

– Rozmawiałaś z nią? – zapytałam bez żadnego wstępu.

Kiwnął głową, ale wyraz twarzy miał poważny.

– Próbowałem. Birchie była wykończona i nie bardzo wszystko ogarniała. Wattie twierdzi, że za wcześnie wstała. Jej porządek dnia został zakłócony. Obie się teraz położyły. Bądź cierpliwa, okej?

– Przynajmniej udało ci się powstrzymać tego idiotę przed ogrodzeniem trawnika żółtą taśmą – powiedziałam z wdzięcznością. Po raz ostatni taśma widziała światło dzienne, kiedy w Movie Town wstawiono na zaplecze łóżka opalające. Niedużą kolekcję pornosów przeniesiono do kąta wypożyczalni i powieszono kartkę z napisem „18+”, aż pewnego dnia przyłapano licealistę, który wynosił pod spodniami kopię *Jebaki z wyboru*. Cody – no jasne, że Cody – okleił wtedy ten kąt jaskrawą taśmą, zarówno po to, aby oznaczyć miejsce zbrodni, jak i po to, by nie dopuszczać tam nastolatków. – Komendant Dalton zadawał dużo pytań?

– Nieszczęśliwie, kiedy się zgodziłem, aby zabrano gości do analizy. Traktuje tę sprawę z taką samą ostrożnością jak ja. To przecież dom panny Birchie. Wie, skąd się bierze większa część jego wypłaty.

– Wspaniale. – Nagle zachciało mi się jeść. Usiadłam naprzeciw Franka i poczęstowałam się bułką. – Nie możemy im powiedzieć, że natknęliśmy się na tę skrzynię przez przypadek? Że znosiliśmy na dół rzeczy, które mają dla Birchie wartość sentymentalną, i znaleźliśmy ją gdzieś pod innymi gratami? Może Birchie zobaczyła gości i wpadła w panikę. Może nawet chciała zawieźć skrzynię na komisariat? – Uprzejme określenie klitki wielkości garderoby obok kawiarni Brother's.

– To znaczy mamy kłamać jak z nut – powiedział Frank, patrząc na mnie poważnie.

– Tak. Otóż to – rzekłam żarliwie, ale bardzo, bardzo cicho.

Dom był pełen nastolatków pochowanych po kątach i szepczących między sobą oraz drzemiących staruszek. Moja Birchie miała dziewięćdziesiąt lat i była poważnie chora. Bez względu na to, co wiedziała, czego była świadkiem czy uczestnikiem, ja jej wybaczyłam. O ile w ogóle potrzebowała wybaczenia, w co szczerze wątpiłam.

– Pomijając kwestie moralne, ta historia nie trzyma się kupy – stwierdził Frank. – Skrzynia była zamknięta, kiedy próbowały z nią uciec. Martina Mack widziała, jak rozwalasz kłódkę, i trąbiła o tym tak głośno, że pewnie wiedzą o wszystkim aż w Georgii.

– Co więc mam mówić ludziom?

Trawnik i ulica przed domem na razie były puste, ale znałam Birchville. W całym miasteczku pieczono właśnie zapiekanki z kurczaka i babki, a niedługo sąsiedzi i członkowie Pierwszego Kościoła Baptistów zjawią się na progu z jedzeniem, głodni informacji.

– Nic – odparł Frank. – Mniej niż nic. Nie kłam, na litość boską, po prostu trzymaj buzię na kłódkę. Twojej siostrzenicy, pannie Birchie i pannie Wattie także zabroń mówić. Każdemu, kto tu przyjdzie, powtarzaj, że ze względu na dobro dochodzenia nie wolno ci ujawniać żadnych informacji. Hugh i Jeffreyowi nakazałem milczeć pod groźbą śmierci albo pięćdziesięciu godzin pracy w ogrodzie, która możliwie, że stanowiłaby dla nich większą karę. Zobaczmy, co będzie dalej. Zobaczmy, co zrobi komendant Dalton.

– Potrzebny nam adwokat? – zapytałam Franka.

Pokręcił głową.

– Na razie nie. Powiem ci, jeśli dojdziemy do tego etapu.

Jego odpowiedź nieco mnie uspokoiła.

Rozległ się dzwonek, ale nie ruszyłam się z miejsca. Byłam wykończona, do tego od tygodnia dręczył mnie ciężowy głód. Choć zjadłam bułkę, miałam wrażenie, że mój żołądek jest pusty. Na werandzie czekały na mnie sąsiedzka ciekawość oraz zapiekanka z serem i niemal byłam skłonna stawić czoła pierwszej, byle tylko dostać drugą. Niemal.

– Kurwa mać – powiedziałam i ukryłam twarz w dłoniach.

Frank wstał.

– Powiem temu komuś, że Birchie śpi i żeby przyszedł później. Możesz poszukać Hugh i Jeffrey'a i wysłać ich do domu babci? Są już spóźnieni, a nie chcę dawać Jeannie Anne pretekstu do tego, by do mnie pisała.

– Umowa stoi. – Byłam chętna do wymiany problemów. – Ale jeśli ten ktoś przyniósł zapiekankę, weź ją. Głodna jestem jak wilk.

Kiedy weszłam na górę, z pokoju z wieżyczką dobiegały ściszone głosy. Drzwi były zamknięte, a przecież tam sypiała Lav. Niedobrze. Co gorsza, słyszałam tylko dwa: Lavender i jednego z chłopców. Rozmawiali zbyt cicho, żeby udało mi się coś podsłuchać, zresztą nie chciałam szpiegować siostrzenicy, kiedy jednak zbliżyłam się do drzwi, usłyszałam, jak Lavender wypowiada słowo „tato”. A więc połączyło ich niedawne rozbitcie rodzin. I znajdowali się w zamkniętym pokoju z łóżkiem. Bardzo niedobrze. Zapukałam, a potem od razu otworzyłam drzwi, licząc, że ujrzę Jeffrey'a.

Ale to był oczywiście Hugh, który miał szerokie ramiona, a pod nosem zapowiedź wąsów. Biedny Jeffrey twarz miał nadal idealnie gładką i był chudy jak przecinek. Hugh i Lav siedzieli obok siebie na starannie zasłanym łóżku, pochyleni nad moim laptopem. Podnieśli głowy, kiedy weszłam, nie odsunęli się jednak od siebie.

– Gdzie masz brata? – zapytałam lekko.

– Kazałem mu iść do babci. Mama przysłała esemes. Jest cała rozstrojona... no wie pani... eee, wie pani czym – wydukał.

A więc wieści przekroczyły już granice rynku i rozniosły się do obrzeży miasteczka. Super.

– No tak, cóż, może ty też powinienes tam pójść. – Ton głosu miałam na tyle surowy, że Hugh wstał.

– Tak, psze pani – rzekł, a Lavender odstawiła laptop. – Na razie, Mańkutko.

Kiedy tylko zostałyśmy same, rzuciłam:

– Hej, Mańkutko, proponuję, abyś nie zamykała drzwi, kiedy masz w swoim pokoju chłopaka.

– To nic z tych rzeczy. Nic nie robiliśmy – powiedziała szybko Lavender i zmieniła temat. – Czy mama każe mi wracać do domu?

– Oczywiście, że tak – odparłam. Nie było takiej opcji, aby Rachel zostawiła ją w miejscu, w którym znaleziono ludzkie szczątki.

– Ciociu, nie! Miałaś jej to wybić z głowy. To głupie. Nie jest przecież tak, że pod werandą znaleziono stos niedawno zamordowanych nastolatek! Nic mi nie grozi.

Usiadłam na wyściełanym fotelu, położyłam sobie poduszkę na kolanach i przytuliłam ją do brzucha.

– Przykro mi, Lav, ale to już przesądzone.

– To prawdopodobnie najbardziej interesująca rzecz, jaka mi się przydarzyła, i nie chcę wyjeżdżać, dopóki się nie dowiemy choćby tego, kto został zamordowany – oświadczyła.

– Nie używaj słowa „zamordowany” – zbeształam ją od razu. – Nikt nie mówił o morderstwie.

Lavender obrzuciła mnie spojrzeniem, w którym malowały się czułość, sceptycyzm, ale i protekcjonalizm. Dokładnie tak ja na nią patrzyłam, kiedy miała osiem lat i nadal z namaszczeniem chowała mleczaki dla Wróżki Zębuszki. Niemal byłam wtedy pewna, że chodzi jej już jedynie o pieniądze. Ale tylko niemal.

– Daj spokój, ciociu Leiu. Hugh mówi, że ludzi, których nie zamordowano, grzebie się po prostu w ziemi, a nie przechowuje na strychu. – Kurde, ta dziewczyna miała rację. Co gorsza, skoro Hugh zdążył już dojść do takiego wniosku, co myśleli pozostali mieszkańcy Birchville? Większość kochała Birchie, ale nie tak jak ja, i mogłam sobie tylko wyobrazić żółć wylewającą się z zadowolonej z siebie Martiny Mack. – Naprawdę muszę jechać do domu?

– Twoja mama pewnie w tej chwili kupuje ci bilet – odparłam. – Najpóźniej jutro, a może nawet dziś wieczorem będziemy musiały jechać na lotnisko. Lepiej się już spakuj, dobrze?

– To wszystko jest do bani – oświadczyła Lavender.

Nie ruszyła się z łóżka. Zamiast tego przygryzła dolną wargę. Rozszyfrowałam jej minę. Poczucie winy. Coś zrobiła i chciała się do tego przyznać.

Znowu rozległ się dzwonek. Musiałam pomóc Frankowi uspokoić Birchville, nakarmić swoje ciężarne ciało i sprawdzić, co u Birchie, zostałam jednak w pokoju Lavender. Bo widziałam, że to, co zrobiła, mocno ją dręczy.

– Po prostu mi powiedz – powiedziałam łagodnie. – Co zrobiłaś?

Żywiłam gorącą nadzieję, że nie ma to związku z Hugh. Przyjechałyśmy tutaj

zaledwie kilka dni temu, ale z własnego doświadczenia wiedziałam, że utrata ojca może prowadzić do szybkich i katastrofalnych w skutkach decyzji natury seksualnej. Nauczyły mnie tego kiepskie wybory jej ojca, kiedy oboje mieliśmy niedużo więcej lat niż ona teraz.

Lavender oblała się rumieńcem.

– Niewiele zrobiliśmy – wyznała.

– Ty i Hugh? – zapytałam.

Kiwnęła głową.

– Myślę, że powinnaś to z siebie wyrzucić. Szybko, jakbyś odklejała plaster. Rachciach.

– Powiedziałam Hugh o twoim dziecku. Nie martw się, nikomu się nie wygada.

– Lavender! – zawołałam.

To było tak dalekie od wyznania, którego się spodziewałam, że się znajdowało w innym wszechświecie. Moim osobistym wszechświecie, w którym ona nie miała prawa mieszać. Nie dość, że puściła farbę chłopakowi z sąsiedztwa, to jeszcze musiała wrócić do domu. Moja tajemnica nie przetrwa długo w wodach pełnych rekinów i Rachel. Ona z kolei doniesie na mnie do mamy i Keitha, a ja pęknę z powodu stresu.

– Hugh jest w porządku – powiedziała Lavender z taką lekkością, że zdradzenie mu mojej tajemnicy nie mogło być tym, z powodu czego miała wyrzuty sumienia. – Obojgu zrobiło nam się strasznie żal tego dziecka.

– A to czemu? – zapytałam, ale łagodnie, bo już rozumiałam, o co jej chodzi. Dla mnie liczyło się to, że powiedziała Hugh o dziecku, ale dla niej ważne było coś innego.

Nie patrzyła mi w oczy, a kiedy się odezwała, głos miała tak cichy, że ledwie ją usłyszałam.

– Dlatego, że maluch nie będzie miał taty. W ogóle, nawet na początku.

– Och, skarbie, to ostatnie, czym się musisz przejmować – zapewniłam ją. Oczywiście, że te dzieciaki musiały się tym przejąć. Kiedy Lav po raz ostatni widziała swojego ojca, opuszczał dom z torbą z Whole Foods pełną bielizny i spodni. Rodzina Hugh także była w rozsypce.

– Czy tata dziecka... Czy wydawał się złym człowiekiem? – zapytała Lavender.

– Nie wiem. Myślisz, że bardziej ci chodzi o twojego tatę, a nie o dziecko? – Wzruszyła enigmatycznie ramionami. Z twarzy trzynastolatki trudniej było cokolwiek wyczytać niż z oblicza nieskomplikowanej i uroczej dwunastolatki. – Rozmawiałaś w ogóle z tatą? Pisałaś do niego?

– Mama mi nie kazała – odparła, zbywając mnie machnięciem ręki. – Ciociu, odpowiedz mi. A jeśli za pięć sekund będę musiała jechać na lotnisko? Muszę wiedzieć. Kiedy poznałaś ojca dziecka, czy wydał ci się dobrym człowiekiem?

Wzięłam głęboki oddech i pogodziłam się z koniecznością odbycia tej rozmowy. Trzynastolatki nosiły klapki na oczach. Miało to dla Lavender tak duże znaczenie, że rozmawiała o tacie Digby'ego, a nie o ludzkich kościach czy swoich rodzicach. Musiałam potraktować to poważnie, ale nie miałam pewności, czy dysponuję szczerą odpowiedzią. Kiedy zaczęłam pić w towarzystwie Batmana, byłam psychicznym wrakiem. Nie sprzyjało to ocenianiu charakteru ojca mojego przyszłego dziecka.

Szkoda, bo tamten dzień zaczął się naprawdę wspaniale. Na moim wystąpieniu

pojawiło się tyle osób, że sala była wypełniona po brzegi. Z powodu przepisów przeciwpożarowych organizatorzy musieli nawet część fanów wyprosić. Na koniec, kiedy przedstawiciel wydawnictwa Dark Horse ogłosił, że trwają właśnie prace nad prequelem *Violence & Violet*, urządzono mi owację na stojąco, z tupaniem i głośnymi okrzykami.

Kiedy przechadzałam się między stoiskami, ludzie podchodzili do mnie i nieśmiało prosili o autograf. Widziałam co najmniej dwadzieścia kobiet i dwóch mężczyzn, którzy zjawili się przebrani za Violence. Czymś surrealistycznym było mijać kolejne wersje wymyślonej przeze mnie zabójczyni, z których każda miała puls i fioletowe włosy. Niskie i wysokie, grube i chude, młode i stare, wszystkie zaopatrzone w zabawkowe noże i w sięgających ud kozakach na obcasach. Moja ulubiona Violence miała usta umazane rdzawą czerwienią, a kiedy uśmiechnęła się do mnie, ten sam kolor dostrzegłam pomiędzy spiczastymi sztucznymi zębami. Wypatrzyłam nawet Violet w uroczej żółtej sukience na ramiączkach i z przytwierdzonym do ramienia wypchanym ptakiem.

Tego rodzaju rzeczy działy się tylko podczas zlotów. Poza nimi nie byłam kimś sławnym. Nikt mnie nie rozpoznawał w McDonalddie, a osoby niebędące fanami komiksów traciły zainteresowanie moją pracą w chwili, kiedy docierało do nich, że nie kumpluję się z Robertem Downeyem Jr. czy Benem Affleckiem. Moja rodzina nie prenumerowała serii, których byłam współautorką; mama lubiła kameralne powieści kryminalne i książki, które w tytule miały słowo „rosół”, więc postać Violence była dla niej mocno niepokojąca, z kolei Keith czytał tylko literaturę faktu. Rachel ani razu nie zajrzała do mojej powieści graficznej. Znajomym z East Beach powiedziała, że jestem „pracującą artystką”, nie dodając, że chodzi o komiksy. Ale na zlocie fanów komiksów byłam niczym gwiazda rocka i fajnie się z tym czułam.

Stragany zaczynały się powoli zwijać, a ja wyszłam do hotelowego lobby po kawę. Wtedy go zobaczyłam. Dereka, mojego chłopaka z czasów studiów. Stał przy wyjściu i rozdawał jasnoróżowe cake pops. Swojej rodzinie. Żonie i dzieciom.

Żona wyglądała jak ja: niska i przysadzista, jasna cera, ciemne włosy. Cóż, wyglądała jak ja, gdybym ważyła pięć kilo więcej, pomyślałam i natychmiast tego pożałowałam. Nie chciałam być tego rodzaju żoną. Na rękach trzymała niemowlę przebrane za Hulka i ze śmiechem próbowała jeść swojego cake popsa, po którego sięgał maluch, ignorując tego, którego miał w swojej tłustej rączce. Obok nich stały dwie małolaty, jedna przebrana za Scarlet Witch, druga za jakąś księżniczkę w stylu anime, której nie znałam. Dziewczyny opowiadały Derekowi o czymś absolutnie super i hiper, co widziały na zlocie.

Czternaście lat temu Derek zaoferował mi wspólne życie, właśnie to, na które teraz patrzyłam.

Czy też: raczej próbował. Nie pozwoliłam mu wyjąć z kieszeni pudełeczka z pierścionkiem. Nie pozwoliłam mu zadać pytania.

Nie wiedział, że kilka dni wcześniej odebrałam entuzjastyczny telefon od Rachel, która mnie poprosiła, abym została druzną na jej ślubie. Opowiedziała o pierścionku. Jake, mój były najlepszy przyjaciel, wykorzystał telebim na Pitt Field, żeby się oświadczyć.

Popatrzyłam wtedy na Dereka i na pudełko z pierścionkiem wypychające kieszeń

niedopasowanej marynarki. Mieliśmy po dwadzieścia jeden lat, a jego rozpieła duma, że może legalnie zamówić szampana, na którego nie było go stać.

Nim zdążył wyjąć pudełko, oświadczyłam:

– Myślę, że powinniśmy się rozstać. Niedługo kończymy studia, a ja wracam do Norfolk. Przecież zawsze wiedzieliśmy, że to związek tymczasowy, no nie?

Poszłam do koleżanki, żeby Derek mógł zabrać z mojego mieszkania swoje rzeczy. Pozwoliłam, aby to on podzielił wspólną kolekcję komiksów. Przywłaszczył sobie wszystkie części *Doom Patrol*, co dla mnie stanowiło dowód na to, że rozstanie to słuszną decyzją. Doskonale wiedział, ile znaczy dla mnie Robotman.

Teraz, kiedy patrzyłam na jego życie, tłum otaczających ludzi i dzielącą nas wieloletnią przepaść, zrobiło mi się niedobrze. Niemal się zatoczyłam, kiedy dotarło do mnie, że jest zdecydowanie za późno. Był miłym facetem. Kochał mnie kiedyś. Możliwe, że ja jego też, mimo to odeszłam. Odeszłam od Dereka, a później od Jonathana, Keva, a trzy lata temu od Jaxa. W sumie bez żadnego powodu. Winę ponosiło to pęknięcie i brak zaufania, którymi przed laty uraczył mnie JJ.

Wrzuciłam waniliową latte z odłuszczonego mlekiem do kosza i udałam się do hotelowego baru. Tam zamówiłam tequilę. I Batmana.

Batman rzeczywiście do mnie podszedł.

– Wybacz, proszę, swojemu fanowi, ale jesteś Leia Birch. Uwielbiam twoje prace – odezwał się, a jego słowa były naznaczone podziwem. – Mogę ci postawić drinka?

Podobały mi się jego szeroki uśmiech i błysk w ciemnych oczach. Chciałam wypić tyle, by przestać myśleć o tym, że mieszkam sama z osiemdziesięcioma siedmioma figurkami Wonder Woman i kotem wabiącym się Sergeant Stripes. Miałam gdzieś, czy Batman jest porządnym człowiekiem, czy nie. W tamtej chwili był dla mnie miły. To mało, ale zawsze coś.

Nie miałam pojęcia, jak wytłumaczyć to Lavender ani nawet jak wiele powinnam jej wyjaśniać.

– Nie poprosiłam go o referencje – rzekłam w końcu. – Nie jestem pewna, czego się w tym doszukujesz, mała.

Wzruszyła ramionami.

– Niczego się nie doszukuję. To znaczy nie, doszukuję. Razem z Hugh. Szukaliśmy w necie twojego Batmana. No ale potem pomyślałam: a co, jeśli nie był dobrym człowiekiem?

– Lav! – Zdumiewała mnie jej naiwność. Wystarczyło ją ubrać w żółtą sukienkę na ramiączkach i oto Violet ze strony numer dwa: króliczki, ptaszki i tym podobne. – Mówiłam ci, że nie da się go odnaleźć. Nie martw się, dobrze? Mój dzieciak będzie miał dużą rodzinę. Będzie miał ciebie, Rachel i... – Urwałam, nie mając pewności co do Jake'a. – Twoi fantastyczni dziadkowie będą także jego dziadkami.

Ale Lavender zdążyła się wyłączyć. Na nowo postawiła laptop na kolanach, a jej palce zaczęły się ślizgać po touchpadzie.

Kiedy tylko zamilkłam, oświadczyła:

– Próbuję ci powiedzieć. Hugh przejrzał zawartość twojego Facebooka. Uznaliśmy, że ten Batman na pewno lubi twoją stronę.

Pokręciłam głową.

– To szaleństwo.

Moje prawdziwe konto na Facebooku działało pod pełnym imieniem i nazwiskiem: Leia Birch Briggs, ale zawodowo posługiwałam się wersją Leia Birch, na cześć Birchie. Jako ja miałam może ze stu znajomych, fanpage Lei Birch miał ponad dwadzieścia tysięcy polubień, a *Violence & Violet* niemal pięćdziesiąt tysięcy. Nie było takiej opcji, żeby Lav i jej chłopak przyjrzeni się im wszystkim, zakładając, że Batman korzystał w ogóle z Facebooka.

– Hugh posortował ich według płci – kontynuowała Lav, stukając w klawiaturę. – Wiedziałaś, że większa część twoich fanów to kobiety? Poza tym powiedziałaś mi, że jest czarny, a nie masz pojęcia, jak wielu nerdów to biali. Następnie wykluczaliśmy wszystkich, którzy wyglądają staro, bardzo młodo albo wyjątkowo paskudnie. Zostało nam dziewięć osób. Zaczęliśmy przeglądać ich dawne zdjęcia profilowe i jeden z nich bawi się w przebieranki. Zgadnij, za kogo się przebiera?

Nie musiała mi tego mówić.

Odwróciła laptop w moją stronę. I oto on. Tata Digby'ego.

Nie był tak przystojny, jak go zapamiętałam, no ale tamtego wieczoru miałam na nosie gogle marki Tequila. Na jego twarzy rysował się ten pewny siebie uśmiech, który zwrócił moją uwagę, docierający aż do wielkich oczu, dzięki którym jego twarz z wyraźnie zarysowaną linią żuchwy wyglądała na bardziej uroczy niż wtedy, pod maską Batmana. No i okazało się, że ma całkiem ładny nos, szeroki i prosty, pasujący do całej twarzy.

– O w mordę. Batman – powiedziałam jak przyglupia wersja Robina. Wstałam, a poduszka, którą tuliłam do Digby'ego, spadła na podłogę. Przeniosłam spojrzenie z profilowego zdjęcia Batmana na twarz Lav. – Proszę, proszę, powiedz, że nie poinformowaliście go o dziecku.

– Nie! Boże, nie – odparła Lavender, a ja znowu byłam w stanie oddychać. Przez niemal pół sekundy, bo zaraz dodała: – Wysłaliśmy mu tylko jedną wiadomość. A potem uznałam, że najpierw powinnam cię zapytać, czy w ogóle był miły. Ciociu? Był miły?

– Co napisaliście? – Ton głosu miałam tak ostry i zagniewany, że aż się wzdrygnęła. – Co mu napisaliście?!

– Nic takiego – odparła obronnie. – Tylko się przywitaliśmy.

Zrobiłam krok w jej stronę i zobaczyłam ikonkę podświetloną na czerwono.

Batman już zdążył odpisać.

Śniło mi się, że mam brzuch ze szkła i że wygląda jak połowa wielkiego, okrągłego akwarium. Rachel chciała zobaczyć dziecko, więc uniosłam koszulkę i zajrzałyśmy do środka. Digby wyglądał jak te rysunkowe morskie małpki na starych reklamach z okładek moich dziecięcych komiksów. Był uroczy i uśmiechnięty, na głowie miał trzy czułki i płetwy zamiast stóp. Pomachał do nas płetwą na powitanie. Odmachałam, a Rachel oświadczyła:

– Przecież to dzieciak Aquamana! Jak mogłaś zapomnieć, z którym z Super Friendsów się bzyka...

Wtedy się obudziłam. W pokoju było ciemno, ale przebijająca przez okno szarość powiedziała mi, że świt jest coraz bliżej. Usiadłam, pocierając twarz, a w głowie rozbrzmiewał mi pełen dezaprobaty głos Rachel – tak jakby moja przyrodnia siostra w ogóle się orientowała, kto jest kim w Super Friendsach!

Objęłam rękami swój prawdziwy, znacznie mniejszy i nieprzejrzysty brzuch. Digby nie spał i trzepotał wesoło. Nie potrzebowałam psychologa, aby rozgryźć znaczenie tego snu. Gdyby wczoraj ktoś mi powiedział, że coś może wyrzucić zawartość skrzyni z mojej podświadomości, zaczęłabym się śmiać. Ale Lavender się udało, co zresztą doprowadziło do naszej największej jak dotychczas kłótni. Byłam zbulwersowana, ona harda i wcale nie skruszona. Kazałam jej się spakować i pod groźbą śmierci trzymać z daleka od mojego laptopa, ale mleko już się rozlało.

Do tej pory Digby był moją tajemnicą. Moją przypadkową rodziną. Moją. Ojca nie dałoby się odnaleźć, a więc jego nieobecność pozostawała usprawiedliwiona. On był końcem, Digby – początkiem. Nie istniała przyszłość dla Batmana. Tak sobie mówiłam za każdym razem, kiedy ta myśl pojawiała się w mojej głowie. Teraz para nastolatków odnalazła go niemal od razu. Nie okazało się to wcale takie trudne.

Gdybym chciała wcześniej znaleźć Batmana, tobym to zrobiła. Proste. Nie próbowałam go szukać, co nie świadczyło o mnie dobrze. Zastanawiałam się, czy postąpiłam tak, a nie inaczej, choćby w części dlatego, że Batman był czarny. Czy nie zasugerowałam się stereotypami dotyczącymi czarnoskórych mężczyzn i ojcostwa i uznałam, iż niewiedza wcale go nie urazi. Boże, miałam nadzieję, że tak nie było. Ta myśl przyniosła ze sobą tak wielkie poczucie winy, że nawet nie odczytałam jeszcze jego wiadomości.

Lavender skontaktowała się z nim przez moje konto publiczne, dzięki Bogu, więc nadal znał mnie tylko jako Leię Birch, artystkę, i nie zaczepiał na Messengerze ani facebookowych aplikacjach połączonych z kontem prywatnym. W tej chwili laptop schowałam w pokoju do szycia, ale tylko po to, żeby Lav nie miała do niego dostępu. Nie było jednak tak, że tylko przez niego miałam dostęp do Facebooka. Mogłam się zalogować na telefonie albo na Cintiq Companion, potwornie drogim tablecie z ekranem dotykowym i procesorem lepszym niż w większości komputerów. W nim kryło się moje całe oprogramowanie do pracy. Nie wpadłam na razie na żaden konkretny pomysł, więc nawet nie wypakowałam tabletu.

Musiałam przeczytać odpowiedź Batmana. Kiedy jednak myślałam o ponownym

otwarciu okna i zjrzeniu przez nie do jego świata, w głowie miałam pustkę. Na pewno wiódł pełne, prawdziwe życie, a kiedy próbowałam sobie wyobrazić, że wkraczam do niego, choćby wirtualnie, z mojej zazwyczaj wielobarwnej głowy uciekały wszystkie kolory.

Wzięłam do ręki szkicownik i siadłam przy stole pod oknem. Porysuję jeszcze trochę Violence. Z doświadczenia wiedziałam, że odręczne szkice to doskonały sposób na ruszenie z robotą. To było wtargnięcie do własnej podświadomości. Moja głowa nie wiedziała, co zrobić w kwestii Batmana, ale możliwe, że dłonie miały jakiś pomysł. A jeśli przypadkiem uda mi się wymyślić prequel *V & V*? Jeszcze lepiej.

Zaczęłam od umieszczenia po jednej stronie kartki obskurnego rzędu witryn sklepowych, kiedy jednak nabrały kształtu, dotarło do mnie, że są nie tyle obskurne, ile zrujnowane. Rysowałam postapokaliptyczną wizję ciągu sklepów. To był świat pozostawiony przez Violence na końcu *V & V*. Dziwne, bo przecież ten świat nie miał przyszłości. Zlecono mi stworzenie początku, a nie rysowanie końca.

Przyciemniłam niebo wiszące nad dachami, dodałam kilka postrzępionych skrawków czarnej chmury, a obok małego drzewa w rogu dorysowałam rozwalającą się betonową ławkę. Teraz naprzeciw budynków znajdował się park.

One same wyglądały trochę jak sklepy na rynku tutaj, w Birchville. Wróciłam do budynków i dodałam nieco szczegółów, aż wyblakłe szyldy i rozrzucone na chodniku uszkodzone towary zmieniły je w ruiny tutejszej pasmanterii, kawiarni i salonu manicure.

W cieniu wokół potłuczonych okien i ziejących otworów drzwi zobaczyłam niewyraźne kształty spersonifikowanych ciał Lewy'ego. Kiedy czaiły się już cztery, dotarło do mnie, że ich zniekształcone twarze są skierowane w centralne, puste miejsce.

I wtedy już wiedziałam, że rysuję Violet. Ona od zawsze przyciągała wszystkie spojrzenia.

W porządku. Historia rzeczywiście zaczęła się od niej, a poza tym nie byłam w nastroju na szkicowanie Violence.

Potrzebowałam więcej naturalnego światła, więc rozsunęłam zasłony. Nadal było za wcześnie, ale niebo nad rynkiem zaczynało przybierać odcienie waty cukrowej. Kolory tak lubiane przez Violet: pastelowe i słodkie.

A więc Violet rzeczywiście odegrała rolę w powstaniu Violence. Możliwe, że bez niej Violence nie mogłaby się pojawić, choć kiedy podpisywałam umowę na prequel, nie sądziłam, że wystąpi w nim Violet.

Ale może tak musi być, pomyślałam, szkicując jej smukłą sylwetkę, wyobrażając sobie żółte barwy, z których były utkane jej włosy i letnia sukienka. Klęczała na przerzedzonej trawie, tuląc postapokaliptyczne, zmutowane kocię. Na początku była jakąś wersją mnie, a jej niewinność przywołała Violence. Nie potrafiłam sobie wyobrazić Violence bez niej. Czy chroniła niewinność – albo niewinnych – zanim napotkała na swojej drodze Violet? Nie sądzę. Coś takiego byłoby... Słowem, jakie pojawiło się w mojej głowie, była „niewierność”, choć w książce nie przewijała się ani jedna aluzja do tego, że Violence i Violet są kochankami.

Podobał mi się wyraz twarzy Violet, jej radość i nieświadomość, kiedy tak przytulała policzek do zwierzątka z koszmarów. Wyglądała tak, jakby piszczała

z zachwytu. Koci potworek wydawał się udręczony i zrezygnowany. To też mi się podobało, ale im więcej detali dodawałam do kociaka, tym wydawał się bardziej znajomy.

Miał długie i spiczaste uszy w kształcie samurajskich mieczy, a szyję i brzuch porośnięte czarnym, kręconym futerkiem. Jego wygląd był nie tyle postapokaliptyczny, ile gotycki. Skądś go zapożyczyłam, ale skąd?

W końcu sobie przypomniałam. Był podobny do wampirycznego Batmana, tego, którego Kelley Jones narysował w *Knightfall*.

Jeśli potrzebowałam pozwolenia, aby schować mojego Batmana z powrotem do teczki ze sprawami zamkniętymi, dłonie nie chciały mi go udzielić. Wkomponowały jego postać w rysunek. Umieściły w ramionach Violet, a jej się to podobało. Nikt nie określał mnie nigdy mianem optymistki, ale moje dłonie mówiły, że wyczyn Lav to może jednak coś dobrego. Miały rację?

Wbiłam wzrok w rynek majaczący za oknem, jakby zza rogu mogła się wyłonić odpowiedź, ale jedyne, co się pojawiło, to biały SUV. Nissan pathfinder. Bardzo nowy i luksusowy jak na Birchville, a do tego tak wypucowany, że wyglądał jak samochód Rachel.

Niemal odruchowo wstałam, a krzesło głośno zaskrzypiało.

O w mordę, t o b y ł samochód Rachel... Gdy podjechał bliżej, nad kierownicą dostrzegłam jej jasne włosy. Pomyślałam, że to tak, jakby Statua Wolności oderwała się od wybrzeża Hudson, kiedy akurat nikt nie patrzył, i ruszyła biegiem przez kraj w moją stronę. Zamrugałam i potarłam oczy, a kiedy je otworzyłam, SUV już zdążył wjechać na nasz podjazd.

Narzuciłam szlafrok, aby lepiej ukryć Digby'ego, ale także dlatego, że mieszkańcy Birchville wystarczająco się już naoglądali mojej piżamy w sushi. Stopy wcisnęłam we fioletowe converse'y i nie wiążąc sznurówek, zbiegłam po schodach. Kiedy wyszłam na werandę, Rachel stała obok otwartego bagażnika i wyciągała z niego wielką walizę.

– Rachel, co ty tu, u licha, robisz?! – zawołałam.

Postawiła drogą skórzaną walizkę na ziemi.

– Dzięki Bogu, że trafiłam – powiedziała. Pod oczami miała ciemne cienie, a włosy związała w niechlujny kucyk. Była ubrana w dresowe spodnie za dwieście dolarów, całe w okruszkach. Oddychała ciężko, jakby się zaraz miała rozplakać. – Gdzie Lavender?

– Śpi. Robi to, co normalni ludzie o tej porze – powiedziałam łagodnie, bo jeszcze nigdy nie widziałam siostry w takim stanie. Zaniepokojona, ale także zafascynowana, zaczęłam schodzić po schodach. – Rachel, jechałaś przez całą noc?

– Oczywiście – odparła, po czym zabrała się do wyciągania z bagażnika jeszcze większej walizki. Podeszłam, aby jej pomóc. – Mówiłam ci, że przyjeżdżam.

Nie, powiedziała mi, że się wszystkim zajmie. Uznałam, że miała na myśli rezerwację biletu i przesłanie mi szczegółowych instrukcji, ale nie zamierzałam się z nią kłócić, nie teraz, kiedy była w takim zupełnie dla siebie nietypowym stanie.

– Dużo masz tego bagażu – rzuciłam z przesadną serdecznością. Powinnam ją uściskać albo może pogłaskać po potarganych włosach. W najmroczniejszych chwilach Rachel brała mnie w swoje silne ramiona, pewne i zdecydowane, jakbym była tubką smutnej pasty do zębów, a ona starała się wycisnąć ze mnie każdą kroplę smutku. A ja

teraz nie potrafiłam nawet położyć dłoni na jej ramieniu; powietrze wokół niej zdawało się wibrować nieszczęściem. – Na pewno musimy wnieść wszystko do domu?

– Nie chcę, żeby ktoś coś ukradł. – Zamknęła głośno bagażnik.

– Nikt nic nie ukradnie – zapewniłam ją. Moja siostra nigdy nie miała okazji mieszkać w małym miasteczku.

Złapała za uchwyt większej walizki i zaczęła ją ciągnąć w stronę domu.

– Nigdy nie wiadomo – rzuciła.

– Tutaj wiadomo. – Wyciągnęłam uchwyt mniejszego bagażu i ruszyłam za nią. Chociaż w taki sposób chciałam jej pomóc. Weszliśmy po schodach na werandę. – Mogłyśmy zostawić wszystko w samochodzie, nawet otwartym, i nikt by nic nie ukradł. A nawet jeśli, to nim złodziej zdołałby się oddalić na sto metrów, troje świadków zadzwoniłoby na policję i podało jego personalia.

– Powiedz to temu martwemu facetowi na waszym strychu.

Celna uwaga.

– Sporo zabrałaś – powiedziałam tym samym przesadnie serdecznym tonem i otworzyłam drzwi.

– Pomyślałam, że może zrobimy sobie z Lavender wycieczkę samochodową. Może wybierzemy się do Disneylandu. Mamie i tacie powiedziałam, że tam właśnie jedziemy. My. Jakbyśmy Jake i ja razem tu po nią przyjechali. Więc może powinnam ją tam zabrać? Chętnie zobaczę to Najszczęśliwsze Miejsce na Ziemi.

– Och. Disneyland to fajny pomysł – rzekłam, choć według mnie był szalony. Oczami wyobraźni zobaczyłam Lavender piszącą esemesy albo dąsającą się, gdy tymczasem ta spięta wersja Rachel szłocha i wyciera nos w swój niechlujny kucyk. Mimo wszystko ten plan wydawał się mniej szalony niż pozostanie Rachel tutaj. Obracała się teraz powoli w holu, zerkając w stronę schodów i salonu.

– Gdzie wszyscy?

– W łózkach – wyjaśniłam. – Nie sądzisz, że powinnaś powiedzieć mamie i Keithowi o tym, co się dzieje?

– Boże, nie, przynajmniej do czasu, kiedy będę miała już jakiś plan. – Trzymana w tajemnicy ciąża nie pozwalała mi na nią naciskać. Jeszcze raz się rozejrzała, po czym spojrzała na mnie. Wydawała się niemal zasmucona. – Gdzie wszystko?

– Rachel, nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– Myślałam... – Przysiadła na walizce jak porzucona na dworcu Ania z Zielonego Wzgórza. – Myślałam, że będą tu ludzie i kredowy obrys. I taśma, i psy. Technicy w kombinezonach. Gdzie jest to wszystko? – Choć nie było to pytanie retoryczne, i tak nie pozwoliła mi na nie odpowiedzieć. – Co ja robię, Leia? Jestem taka zmęczona. – Jej oczy wypełniły się łzami. – Jechałam przez całą noc. Popatrz tylko na ten dom. Na dworze ćwierkają ptaszki. Jest tak czysto. Całe miasteczko takie czyste. A tutaj? Na tych schodach mogłabym serwować jedzenie. Przyjechałam tu przecież z misją ratunkową, aby wyrwać swoje dziecko z Mayberry⁸.

– Próbowałam ci to powiedzieć przez telefon.

Cieszyło mnie, że nic nie wyczuła. Ja domyślałam się, jak bardzo mieszkańcy miasta są poruszeni. Nawet teraz, kiedy otaczający nas świat jeszcze spał, dawało się

wyczuć atmosferę kumulującego się napięcia. Birchville mocno ostatnio oberwało: najpierw publiczne ujawnienie cudzołożnych schadzek w salce chóru, następnie wydalenie z parafii jednego z pastorów, wieść o chorobie Birchie, a teraz, co było najgorsze, kości w skrzyni. Te kości obwieściły, że nasze niedawne kłopoty były czymś nieuchronnym, a może nawet zasłużonym; w uroczym i sennym sercu tego miasteczka coś gniło od wielu lat.

– Spójrz tylko na tę lampę od Tiffany’ego. Co złego mogło się wydarzyć w pokoju z taką lampą? – zapytała Rachel i pociągnęła nosem. Dla niej, osoby z zewnątrz, Birchville w stanie największego rozgorączkowania wyglądało równie spokojnie jak niczym niezmacone jezioro. – Co ja tutaj robię?

– Uciekasz od Jake’a?

Gdy usłyszała jego imię, od razu wstała, cała zjeżona. Jechała przez całą noc, żeby bez zaproszenia zjawić się w samym środku mojego bałaganu, więc potraktowałam to jako swoiste zaproszenie, aby wsadzić swój nos w jej sprawy.

– Rach, po prostu mi powiedz. Czy Jake cię zdradza?

– Oczywiście, że nie! – odparła urażona.

– W porządku – rzekłam. Nie do końca mnie przekonała. Niezbyt dobrze znała Jake’a w czasach, kiedy był jeszcze JJ’em. Uważała go za mojego przyprawiającego o gęsią skórkę kolegę. Doznała szoku, kiedy mama jej powiedziała, że ten czaruś ze świątecznej imprezy to ten sam gruby chłopak, który swego czasu niemal mieszkał w naszej piwnicy.

– Czy on był kiedyś twoim, no wiesz, chłopakiem? – zapytała mnie z udawaną lekkością, kiedy pomagałyśmy mamie sprzątać po imprezie. Nim zdążyłam odpowiedzieć, dodała szybko: – Bo chciał się ze mną umówić, a oczywiście nie spotykałabym się z twoim byłym.

– Nigdy nie był moim chłopakiem – powiedziałam, bo taka była prawda, ale także dlatego, że widziałam, jak bardzo chce to ode mnie usłyszeć. Nie zwróciła uwagi, jak lakonicznie to zabrzmiało. Jej promienny uśmiech potwierdził, że bardzo nie chciała tego słyszeć.

Kiedy wyszła ze śmieciami, mama cicho powiedziała:

– Leia, jeśli źle się z tym czujesz, powinnaś jej powiedzieć.

– On nigdy nie był moim chłopakiem – powtórzyłam, choć kiedyś oczami wyobraźni widziałam nasz początek. Przytulałam jego ciało do swojego i widziałam przyszłość.

– Ja mogłabym – zaproponowała, ale słyszałam niechęć w jej głosie.

Obie z doświadczenia wiedziałyśmy, jak bardzo Rachel czuła się urażona, kiedy mama to mnie udzielała wsparcia. Pokręciłam głową. Nie warto. JJ nie był tego wart, a poza tym uważałam, że nie ma takiej opcji, aby myślała o nim poważnie.

Nigdy nie powiedziałam Rachel o tych siedmiu smutnych, śliskich minutach w piwnicy i byłam przekonana, że JJ także tego nie zrobił. Nie żeby teraz miało to jakieś znaczenie. Z pewnością seks miał jakąś datę ważności. Każda tajemnica w końcu musiała ulec przedawnieniu, ale uważałam, że mężczyzna, który skrywał przed żoną tego rodzaju sekret, równie dobrze może mieć inne.

– Skoro cię nie zdradza... to o co chodzi? Za dużo pije? Jest od czegoś uzależniony? Od porno, narkotyków, hazardu?

Rachel obejrzała się na schody, by się upewnić, czy Lavender nie stoi gdzieś na górze. Byłyśmy same, ale i tak milczała.

– To coś jeszcze dziwniejszego? Ma obsesję na punkcie World of Warcraft albo tych filmików z kobietami, które w szpilkach rozdeptują karaluchy?

– Nie bądź grubiańska – zbesztła mnie, a potem podeszła bliżej. Położyła dłoń na moim ramieniu, a kiedy zakryłam ją swoją dłonią, palce miała zimne jak lód. Nagle nachyliła się i szepnęła: – Zawiódł mnie. – Te słowa ledwie wydostały się z jej ust, jakby każde z nich było ząbkowanym nożem, który musiała przepchnąć przez gardło.

– Jak? W jaki sposób cię zawiódł? – zapytałam. Czułam coraz większą frustrację. Tyle konspiracji dla dwóch słów, które nie powiedziały mi o Jake’u nic nowego? – No mów, Rachel. Zbudował narzędzie zagłady? Jest kanibalem?

Zabrała dłoń z mojego ramienia i objęła się rękami w pasie.

– Nie czuję się swobodnie, gdy poruszam temat pieniędzy.

Nie tego się spodziewałam. Ale w sumie to lepiej, bo kwestie finansowe można było łatwiej rozwiązać niż problem zdrady.

– No więc co, ma długi?

– Aha. Różne. Stracił swój salon samochodowy. Mało nas dzieli od utraty domu. Wczoraj wieczorem powiedziałam pośredniczce, z którą wcześniej rozmawiałam, że jesteśmy gotowi wystawić go na sprzedaż. Musiałam sfałszować podpis Jake’a, a kiedy wyjeżdżałam, zostawiłam jej dokumenty w skrzynce na listy. Powinnam to była zrobić wcześniej, ale chyba nie zniosłabym pytań sąsiadów. Pewnie właśnie w tej chwili ta kobieta wbija w mój trawnik znak z napisem „Na sprzedaż”.

Teraz już wiedziałam, dlaczego pozwoliła Lav i mnie lecieć klasą turystyczną. W sumie to ja zapłaciłam za bilety, a Rachel – która zawsze uzgadniała wcześniej z kelnerkami, że to ona ureguluje rachunek, i proponowała, że wymieni mi całą garderobę na „jakieś dorosłe ciuchy” – tym razem mi na to pozwoliła.

– Tak mi przykro. A co z dawną firmą jego taty? – zapytałam.

– Nie wiem. Jeśli dom szybko się sprzeda za dobrą cenę, może ją uratuje. W części. To nie mój problem.

Gapiałam się na nią.

– Nie twój? Rachel, jeśli ty i Jake wpadliście w...

– My w nic nie wpadliśmy – przerwała mi lodowatym tonem. – Jake sam wpakował nas w kłopoty. Nigdy się nawet nie zająknął na ten temat. Pozwolił, aby działo się coraz gorzej, i to ukrywał, zapożyczając się, żeby pokrywać straty. Od Bóg jeden wie jak dawna ja i Lavender mieszkamy w domku z kart, a w tym czasie Wesoły Tatko zabrał nas na wakacje do Grecji. Kupił mi kaszmirowy sweter za osiemset dolarów, a nie był w stanie spłacać hipoteki.

– Okej, nie jest dobrze – stwierdziłam.

To był grzech, który dla Rachel może się okazać wyjątkowo trudny do wybaczenia. Jake ją... cóż, zachował się identycznie jak moja siostra. Zabrał pluszowego króliczka do pralni, żeby sobie popłakać, gdy tymczasem ona nie miała o tym pojęcia. Była to także

głupota z jego strony, bo gdyby powiedział jej na samym początku, Rachel może by wszystko naprawiła. Wyciągnęłaby ich z tarapatów, następnie założyła blog o oszczędzaniu i dostała zaproszenie do telewizji śniadaniowej.

To, co zrobił Jake Jakoby, było jednak bardzo w jego stylu. Nie znaczy, że brałam go w obronę. Nigdy bym tego nie zrobiła, bez względu na to, jak by postąpił. Ale tym razem potrafiłam to dostrzec. A nawet zrozumieć. Jake stworzył siebie na nowo dla Rachel. Stał się człowiekiem sukcesu, zawdzięczającym wszystko wyłącznie sobie, który był na bieżąco z trendami w męskiej modzie i pasjonował się koszykówką akademicką. Ta konstrukcja wydawała się na wskroś nieuczciwa i to cud, że jego jedyne przewinienie to kłamstwo na temat popadnięcia w długi.

Na szczęście chyba tylko tyle nabroił, a coś takiego dało się wybaczyć. Już ja doskonale wiedziałam, co to znaczy kogoś zawieść: na pewno nie była tym próba pozostania człowiekiem sukcesu w oczach żony.

– To niedobrze, ale Jake jest jedynym tatą, jakiego ma Lavender. – Już podczas wypowiedzania tych słów dotarł do mnie bezmiar mojej hipokryzji. Batman to jedyny ojciec, jakiego będzie miał Digby, w dodatku nieznany. Sama nawet bym go nie szukała na Facebooku, a teraz broniłam ojcowskich praw największego palanta na świecie. Nie chodziło jednak o mnie, więc nie zamierzałam odpuścić. – Mogłabyś to naprawić.

Prychnęła.

– To znaczy: moje małżeństwo? Leia, ty nic nie rozumiesz. Wcale nie chodzi o to, czy mogę je naprawić, czy nie.

– Okej. No to o co chodzi?

Pstryknęła palcami, jakby odpowiedź była oczywista.

– O niczym mi nie powiedział. W ogóle nie miał tego w planach. Zamierzał... – Głos jej się załamał i zacisnęła powieki, jakby Jake stał teraz przed nami, a ona nie mogła znieść dłużej jego widoku. – Zamierzał nas z tym zostawić, mnie i Lavender. Zniknąć, a nam zostawić ten cały bałagan.

– Och. – Teraz rozumiałam. Tak właśnie zrobiła matka Rachel, kiedy moja siostra miała trzy miesiące. Zastanawiałam się, czy to nie powód, dla którego Rachel doszła do takiego wniosku. – Jesteś pewna, że takie miał zamiary? – zapytałam ją.

– Oczywiście, że jestem pewna – rzuciła lodowatym tonem. – Szukałam na komputerze jakiegoś starego przepisu i znalazłam szkic łzawego listu. Wyglądał jak pożegnalny list samobójcy. Leia, ja myślałam, że to list samobójcy, ale potem zaczęłam przeglądać historię jego wyszukiwarki i skrzynkę mailową, no i okazało się, że nasze ostatnie pieniądze Jake wydał na bilet na samolot do Oregonu. Bilet. Jeden. Tylko dla siebie. Gdyby nie zachciało mi się nagle batonów cytrynowych według przepisu babci, już by go tu nie było.

Oto JJ, jakiego znałam. Oto JJ, jakim zawsze był. Oczywiście, że obmyślił plan ucieczki, choć wiedział, iż tego akurat żona nigdy mu nie wybaczy. Kiedy robił coś tak złego, że nie mógł znieść samego siebie, znikał, porzucając każdego, kto był na tyle głupi, aby go kochać. Nadszedł czas JJ'a wersja 3.0. Oczami wyobraźni widziałam go w Portland, hodującego brodę i piwny brzuch, może nawet mieszkającego w jednym z tych tycich domków. Przedstawiał się na przykład jako Jac. Robił to, co się tam robi.

Zniknął fan Supermana, zniknął wysportowany japiszon. Może nawet zaczął grać w boule. Co za skończony dupek.

– Do konfrontacji doszło tamtego dnia, kiedy przyjechałaś z ciastem – kontynuowała Rachel. – Powiedziałam mu, że musi podjąć decyzję. Mógł zostać i stawić razem z nami czoła temu bałaganowi albo uciec jak najpodlejsza glista.

– Jezu, Rachel – rzekłam. Birchie zbeształaby mnie za wzywianie imienia pańskiego nadaremno, ale ja to traktowałam jako swoistą modlitwę. Lav była świadkiem tamtej kłótni. Wiedziała, że planował ją porzucić. – Co powiedział?

– Do tej pory nic – odparła Rachel z taką goryczą, że aż zapiekły mnie oczy. – Nie wiem nawet, czy wsiadł do samolotu. Zabroniłam mu odzywać się do mnie, patrzeć na mnie czy choćby wypowiadać w myślach moje imię, dopóki nie będzie gotowy zachować się jak mężczyzna.

Kiedy więc zrobiło się nieprzyjemnie, JJ zapakował do torby z Whole Foods bieliznę i dał nogę. Miło. Przynajmniej to Rachel miała ostatnie słowo. Ja dałam mu luksus braku konieczności wytłumaczenia się. Oczywiście nie byłam matką jego dziecka.

– Wiem, że dla ciebie to nie do pomyślenia, ale Lav musi przynajmniej z nim porozmawiać. Ona...

Oczy Rachel płonęły.

– Zabroniłam mu wypowiadać w myślach także imię Lavender, skoro zamierzał ją porzucić.

Gdyby Jake nie był takim tchórzem, mimo wszystko skontaktowałby się ze swoim dzieckiem. Przebiłam się przez tarczę ochronną Rachel, która krzyczała: „Nie dotykać!”, i położyłam dłoń na jej ramieniu.

– Jak mogę ci pomóc? Pozwól mi, proszę. Mogę spłacić za ciebie zaległe raty hipoteki, tak żebyś miała czas, aby na spokojnie sprzedać...

Zamrugła kilka razy, szybko, jakby dopiero teraz zauważyła moją obecność. Kąciki jej ust uniosły się lekko.

– To miłe z twojej strony. Wiem, że nieźle zarabiasz na tych swoich rysunkach i to super. Świetnie, że sobie radzisz. Ale nie masz etatu, a jesteś sama. Do głowy by mi nawet nie przyszło obdzierać cię z oszczędności. – Popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby była Supergirl, a ja małym dzieckiem proponującym, że pomogę jej podnieść budynek.

Ależ mnie zirytowała! Rysowałam dla cholernego Marvela, dla DC i Dark Horse, na litość boską! Dosłownie tysiące osób sprzedałyby duszę za moją karierę. Dzięki V & V kupiłam dom za gotówkę. Gdybym tylko chciała, mogłabym sobie sprawić lexusa, miniaturowego psa i ostrzyknąć czoło botoksem, jak jej przyjaciółki z East Beach. Zamiast tego kupiłam kolekcję figurek Wonder Woman i zawartość moich szafek w jadalni była warta pięćdziesiąt razy więcej niż jej zastawa marki Spode. Ona jednak zawsze się tak zachowywała. Jakbym zajmowała się sprzedażą obwoźną ręcznie robionych garnków. Ale nie ma powodu do zmartwień! Już ona zapłaci mój rachunek za prąd, kiedy będę miała gorszy miesiąc.

Rachel i ja byłyśmy dwiema pękniętymi połówkami, które sklejoną razem, by stworzyć rodzinę. Różnica była taka, że mój tato zmarł; ani razu nie pomyślałam, że mógłby wrócić, gdybym była perfekcyjna. Rachel przez całe życie odgrywała rolę

przynęty dla matki, starając się dla kobiety, która nigdy nie przysłała jej nawet kartki na urodziny. Decyzja Jake'a uderzyła Rachel w najstarszą otwartą ranę, a jeśli dzięki traktowaniu mnie w protekcyjny sposób mogła poczuć się lepiej, choćby przez chwilę, proszę bardzo.

– No dobrze, więc jak będzie? – zapytałam. – Co mogę zrobić?

Znów się rozejrzała, omiatając spojrzeniem kanapy, lampy i półki z książkami.

– Tu jest tak ładnie. Myślisz, że mogłybyśmy się tu zatrzymać? Na jakiś czas?

Zawahałam się. Rachel była samicą alfa, a w tym domu mieszkali już Birchie i Wattie.

– Jesteś pewna, że chcesz? Po tym, jak znalazłyśmy... Po tym, co znalazłyśmy?

– Nie tak to sobie wyobrażałam. Ani trochę. – Rozłożyła ręce. – Nie chcę wracać do Norfolk. Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa Jake, a nie dam rady się przyglądać, jak pełna energii agentka nieruchomości oprowadza rodziny po moim domu. Już widzę, jak ściszym głosem mówi jakiejś japiszonowatej suce i jej niedorobionemu mężowi, że powinni złożyć ofertę, jakkolwiek, bo my zrobimy wszystko, byle nie skończyło się zajęciem nieruchomości.

Potrzebowałam tutaj Rachel w takim samym stopniu jak starej, dobrej apokalipsy zombie, ale ona prosiła mnie o pomoc. Po raz pierwszy w życiu. Otworzyło się okienko w murze, który wybudowała wokół siebie, i wolno mi było przez nie zajrzeć. Oczywiście za tym murem znajdowały się fosa pełna potworów, kolejny, jeszcze wyższy mur i pewnie kilka smoków, ale zawsze był to jakiś początek.

– Oczywiście, że możecie – powiedziałam. – Jeśli rzeczywiście tego chcesz. – Uśmiechnęła się promiennie, mimo że dodałam: – Będziesz jednak musiała spać ze mną. Skończyły nam się wolne pokoje.

– W porządku. Super. Będzie tak jak kiedyś, podczas rodzinnych wakacji. – Powiedziała to takim tonem, jakby nie mogła się doczekać.

Mama i Keith zabierali nas co roku na wakacje. Pakowaliśmy się do vana i jeździliśmy po całym kraju, odwiedzając akwaria, kaniony i parki tematyczne. Nikt z nas nie był tak naprawdę fanem kempingu, więc nocowaliśmy w tanich rodzinnych hotelach z dwoma dużymi łóżkami w jednym pokoju, basenem i śniadaniem kontynentalnym wliczonym w cenę. Rachel i ja spałyśmy zawsze na łóżku obok łazienki. Keith musiał być blisko drzwi, jakby sądził, że mogą przez nie wpaść źli piraci albo wrogo nastawieni kosmici, przed którymi powinien chronić swoje kobiety.

– Nie znośiłaś spać wtedy ze mną – przypomniałam jej.

– Tylko dlatego, że zawsze mnie kopałaś! – odparowała. – Zresztą wtedy nie miałam dostępu do ambien⁹.

Podjęłam jeszcze jedną próbę nakłonienia jej, by zrezygnowała z tego naprawdę złego pomysłu, ale tak, żeby nie zamknęła okienka w murze.

– No cóż, jeśli znowu będę kopać, zawsze możesz skorzystać z mojego domu w Norfolk. Stoi pusty.

– Dziękuję ci, ale Lavender nawiązała tu kilka przyjaźni. Zasypała mnie falą esemesów, w których błagała, abym pozwoliła jej zostać, a chciałabym, żeby to lato okazało się dla niej choć trochę przyjemne. Naprawdę nie stać mnie w tej chwili na

Disneyland. – W tym momencie do jej uśmiechu wkradło się coś sztucznego. – Chyba że wolisz, abyśmy wyjechały?

– Nie, nie. Zostańcie. Lav się ucieszy, masz rację. – Kiedy będzie tu Rachel, to nie ja będę odpowiedzialna za Lav i jej kontakty z chłopcami. – Co mogę teraz dla ciebie zrobić? Jesteś głodna? Masz ochotę na herbatę?

– Na drzemkę. Gdybym mogła kimnąć się choć chwilę... – Zabrzmiało to dość żałośnie, ale przecież całą noc spędziła za kółkiem.

Zaprowadziłam ją na górę do swojego pokoju. Ze względu na Digby'ego wniosłam tę mniejszą walizkę, a i tak miałam wrażenie, jakby Rachel zapakowała do niej pół swojej garderoby.

– Lav jest po drugiej stronie – wyjaśniłam, gdy stawiałam bagaż obok łączących nas drzwi.

Uchyliła je i zajrzała do pokoju z wieżyczką. Zobaczyłam, jak na widok córki otulonej kołdrą na jej twarzy pojawia się wyraz spokoju. Na poduszce leżały rozsypane jasne włosy Lav.

– Och, jest taka cudowna – szepnęła. – Co on sobie myśli? Jak mógł nas zostawić? Ją?

Pokręciłam głową. Mój ojciec też mnie zostawił, ale jego akurat nie można było obarczać za to winą. Jake dał nogę, bo był egoistą lub za bardzo się bał. W tym momencie uświadomiłam sobie, że Batman także nie ponosił winy: nie miał pojęcia o istnieniu swojego dziecka.

Poczułam, że opuszczają mnie resztki gniewu na siostrzenicę. Stworzyła niewidzialny łańcuch łączący mnie z Batmanem równie nierozzerwalnie, jak pępowina z Digbym. Oczywiście, że zabrała się do szukania jego taty, bo nie mogła zrobić nic, jeśli chodzi o swojego ojca. Była przerażona, a kiedy wysłała wiadomość do Batmana, nie miało to nic wspólnego ze mną. Wtrąciła się w imieniu Digby'ego, gdyż z całego serca pragnęła, aby jakiś życzliwy intruz nawiązał kontakt z jej tatą. Nie rozpoznałam sygnału. Wkurzyłam się i pozwoliłam, by to pełni testosteronu nastoletni chłopcy zapewniali jej pociechę.

Patrząc na Lav i myśląc o sercu Digby'ego bijącym w moim ciele, wiedziałam już, co muszę zrobić. Dla nich obojga.

Rachel odwróciła się i zdjęła buty, po czym w ubraniu położyła się na łóżku. Myślę, że zasnęła, zanim zdążyłam wyjść z pokoju. Cicho zamknęłam za sobą drzwi.

Zeszłam na dół do pokoju do szycia. To pomieszczenie stanowiło ostatni przystanek dla mebli, które wkrótce dostaną nakaz eksmisji na strych. Obok stołu ze starą, należąca do Birchie, maszyną do szycia marki Singer stały dwa lekko zapadnięte fotele i duża sofa obita pluszem. Jedna ze ścian była zabudowana półkami, ale zamiast książek Birchie trzymała tam swoje materiały, poukładane według kolorów. Laptop ukryłam między belami fioleto.

Wyjęłam go teraz, choć wczoraj powiedziałam sobie, że otworzyłam już wystarczająco dużo skrzyń i dziękuję bardzo. Ale to nie ja miałam rację, a Lav.

Usiadłam na sofie i włączyłam stary komputer. Trwało całe wieki, nim się w końcu uruchomił; przywiozłam go tylko po to, aby mieć pewność, że Lavender trzyma się

z daleka od mojego tabletu.

Gdy tak czekałam, wyjęłam z kieszeni telefon, weszłam w kontakty i poszukałam numeru do Jake'a. Nie miałam go w ulubionych.

Pięć sygnałów, a potem poczta głosowa. Swoją wart tysiąc dolarów telefon, wielki jak tablet i świadczący o kryzysie wieku średniego, trzymał przy pasku spodni. Co dwie minuty brał go do ręki, dyktował wiadomości głosowe i warczał na Siri, jakby to była panna Teschmacher¹⁰. Nie było takiej możliwości, aby nie widział, że dzwonię.

– „Tu poczta głosowa Jake'a Jacoby'ego. Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić” – usłyszałam. Szczere i serdeczne. To była wiadomość skierowana do jego najlepszych klientów: starzejących się byłych sportowców, którzy kupowali wielkie bryki w ramach, jak to nazywałam, przedłużenia penisa. Czekałam na piknięcie.

– Zadzwoń do mnie, JJ. Natychmiast. Jeszcze szybciej niż natychmiast. – Nie zawracałam sobie głowy przedstawianiem się. Już on doskonale wiedział, kto do niego dzwoni. Nikt inny na tej planecie nie nazwałby go JJ'em. – Jesteś mi to winien i doskonale o tym wiesz.

Rozłączyłam się. Będę dzwonić, aż ten gnojek w końcu odbierze. Tymczasem na ekranie laptopa pojawiła się tapeta z Wonder Woman. Wpisałam hasło. Poprzednim razem zamknęłam tylko klapę, nie wylogowałam się z systemu, więc uczynne urządzenie otworzyło każdy dokument i przeniosło mnie dokładnie w miejsce, w którym wczoraj urzędowała Lavender. Czyli na Facebooka.

Zminimalizowane okienko czatu mrugało zadowolone. Lavender napisała jako pierwsza. W nagłówku było widać jego imię. Selcouth. Tak dalekie od Marka czy Marcusa, jak to tylko możliwe, a do tego nie do wymówienia. Pierwsza sylaba prosta, ale czy druga brzmiała jak „cooth” czy „cowth”? A może „coth”? Z tego, co mi było wiadomo, ostatnie litery mogły pozostawać nieme, przez co jego imię kończyłoby się wtedy odgłosem wydawanym przez gołębie. Na nazwisko miał Martin, a więc nie do końca wymyśliłam sobie to M.

W swoim pokoju postanowiłam, że otworzę to okienko, przeczytam odpowiedź i wejdę na jego konto. Miałam wrażenie, że to początek czegoś niebezpiecznego. Czegoś, czego nie byłam w stanie kontrolować. Najechałam kursorem na krzyżyk, który zamknąłby okienko, następnie przesunęłam na pasek, który mógł je otworzyć. I znów powrót do krzyżyka. Telefon do Jake'a okazał się prostszy.

„No cóż, jak się to wszystko zaczyna?” – zapytałam sama siebie.

Może czymś tak prostym jak powitanie.

Wiele mogło wynikać z tego małego początku, dobrego i złego. „Witaj” w okienku prowadziło do Digby'ego. Violence przywitała się tak z Violet, a potem razem zniszczyły świat.

Ale ja już podjęłam decyzję. Dotknęłam palcem touchpada i kliknęłam. Okienko się otworzyło.

Rachel zeszła na dół zmęczona i z podpuchniętymi oczami. Pokonywała kolejne stopnie ostrożnie i z wahaniem. Dziwne. Było tak, jakby moja nieposkromiona i odważna przyrodnia siostra stała się nagle nieśmiała jak łania.

Nadal było dość wcześnie jak na niedzielę, ale ona zdążyła już wziąć prysznic i przebrać się w spodnie capri w kolorze khaki oraz kwiecisty top, pod pachą zaś miała kilka magazynów. Uśmiechnęłam się do niej, lecz unikała mojego wzroku. Z pewnością nie czuła się pewnie w tym nowym świecie, gdzie wolno mi było wiedzieć, kiedy moja siostra cierpi. Zamierzałam ostrożnie się z nią obchodzić. Liczyłam na to, że okno, które otworzyła, się powiększy. Stanie się drzwiami.

Birchie i Wattie piły właśnie kawę w salonie. Ja swoją na razie tylko wachałam w nadziei, że sam zapach da mi kofeinowego kopa. Wattie wyglądała na wykończoną, ale Birchie obudziła się dziwnie radosna jak na kogoś, kogo przyłapano na ukrywaniu ludzkich kości. Może dlatego, że odwołałam ludzi z agencji nieruchomości i ucihły rozmowy o jej przeprowadzce do Norfolk; prokurator rejonowa przekazała nam przez Franka, że wołałaby, aby Birchie w czasie dochodzenia nie wyjeżdżała poza granice stanu. Birchie i Wattie rozpoczęły niedawno rundkę przedśniadaniowych robótek ręcznych, ale tylko babcia przy tym cicho nucila, jakby w ogóle nie pamiętała mrocznych powodów tego odroczenia. A może rzeczywiście nie pamiętała.

Próbowałam czytać *Strażników*, których uwielbiałam, ale byłam zbyt zdenerwowana, żeby cieszyć się lekturą. Czekałam na odpowiedź Batmana.

Kiedy otworzyłam tamto migające okienko, zobaczyłam, że Lav nie wysłała do niego zwykłego powitania. Zdecydowała się na uroczą emotikonkę z żabą trzymającą transparent ze słowem „WITAJ!” wypisanym fioletową czcionką pełną zawijasów. Świetne.

Nie przstraszyło go to, bo wysłał przyjacielską odpowiedź. Może nawet flirciarską: „Hejka. Fajnie było zobaczyć twoje imię na moim ekranie”.

„Rzeczywiście?” – odpisałam. Miałam nadzieję, że nie zabrmi to sceptycznie ani podejrzliwie. Nie odpisał od razu, a ja nie mogłam siedzieć przy komputerze i czekać, aż to zrobi. Czułabym się wtedy jak pryszczata, usychająca z miłości nastolatka w dniu studniówki, czekająca w falbaniastej sukience pod drzwiami na samochód, który nie przyjedzie. Nie chciałam pisać do niego z prywatnego konta. Gdyby zobaczył, że funkcjonuję także jako Leia Birch Briggs, za kilka miesięcy z pewnością by zauważył, że wstawiam zdjęcia niemowlaka z moimi oczami i jego nosem. W następnej wiadomości wysłałam mu numer swojej komórki: „Napisz kiedyś”. Teraz telefon tkwił w tylnej kieszeni moich spodni, a ja miałam wrażenie, że siedzę na bombie.

Zapoznałam Birchie i Wattie z sytuacją Rachel i obie zapewniły, że oczywiście może zostać. Wstałyśmy, kiedy zeszła na dół. Nie zdążyłam dokonać prezentacji, a moja siostra już przeproszała za to, że zjawiała się bez zaproszenia.

– Mam kłopoty rodzinne – dodała cichym i drżącym głosem.

– Wiemy – odparła Wattie. – My też, skarbie.

Ich spojrzenia się skrzyżowały i Rachel skinęła głową. Zobaczyłam wzajemne

zrozumienie. Wattie podeszła do Rachel i spontanicznie wzięła ją w ramiona. Ku mojemu zdziwieniu moja siostra wtuliła się w nią z wdzięcznością, przez co ja pożałowałam, że nie okazałam się na tyle śmiała i sama jej nie przytuliłam. Może i zostałyby tak już na zawsze, ale zegar dziadka wybił siódmą trzydzieści.

– Pora robić śniadanie. Kiedy bułeczki będą w piekarniku, nastawię dla ciebie rosół – oświadczyła Birchie i uśmiechnęła się z sympatią.

– Doskonały pomysł – rzekła Wattie, która w końcu wypuściła Rachel z objęć. – Pomogę ci, a potem, no wiesz, wyjmę z zamrażalnika te wątróbki drobiowe. Możemy je usmażyć na kolację.

To były ich standardowe „dania wzmacniające” dla tych, którzy „kiepsko się czuli”. Gdy tylko podreptały do kuchni, żeby się wziąć do roboty, Rachel stanęła przede mną. Po łani nie został nawet ślad. Spomiędzy dwóch numerów „Vogue’a” wyjęła mój szkicownik, po czym uniosła go i pokazała mój wykonany ołówkiem rysunek Violet. Zostawiłam to na biurku na górze.

– Znowu ją rysujesz? – Głos miała niewiele głośniejszy od szeptu, ale i tak usłyszałam w nim napięcie.

– Aha – odparłam zdziwiona. Rachel z reguły nie zwracała uwagi na moje rysunki, nawet te wiszące na ścianie. Uparcie ich nie dostrzegała, a kiedy próbowałam pokazywać jej panele, ewidentnie ją to nudziło. – Podpisałam kontrakt na prequel.

Rzuciła szkicownik na ławę.

– Na litość boską, czemu nie rysujesz Spideridioty czy Wonderful Woman, tak jak kiedyś? – zapytała.

Patrzyłam na nią osłupiała. Nawet Rachel wiedziała, że to Wonder Woman i że jest moją ulubioną superbohaterką. Kiedy nie odpowiedziałam, odwróciła się, jakbym przestała istnieć, po czym usiadła na kanapie i otworzyła pierwszy z brzegu magazyn. Wwiercała się w kartki laserowym spojrzeniem, a ja się przestraszyłam, że zaczną się palić.

– To szansa na coś swojego – powiedziałam, także cicho. – To nie ja wymyśliłam Wonder Woman.

Prychnęła.

– Jej także nie – rzuciła, pokazując na ławę. – Narysowałeś po prostu mnie. – Przerzuciła kartkę z takim zacięciem, że aż udarła róg.

– Myślisz, że to ty? – zapytałam. – Uważasz, że *Violence & Violet* jest o tobie?

– Tego nie powiedziałam – odparowała Rachel.

Cała się w środku gotowałam, choć starałam się, aby moje kolejne słowa zabrzmiały lekko.

– Może ci się to wydać szokujące, ale moje życie cechuje wiele aspektów, w których wcale nie jesteś obecna.

– Nie powiedziałam, że ta twoja historyjka jest o mnie! Choć w sumie niewykluczone, kto to może wiedzieć? Jest taka poplątana. Równie dobrze może być o czymkolwiek.

– Czytałaś ją? – Zdziwienie zastąpił szok. Przeczytała i mi o tym nie powiedziała? No cóż, wyglądało na to, że nie cierpi *V & V*, więc może milczenie było dla niej oznaką

uprzejmości.

– Przejrzałam i nie jestem ślepa. To moja twarz, moje włosy, moje ciało. – Urwała, pokazując gniewnie na szkicownik. – Jest nawet ubrana w moją ulubioną żółtą sukienkę.

– Jaką żółtą sukienkę? – zapytałam, bo Rachel nie należała do miłośniczek stylu boho.

Zmrużyła oczy.

– No wiesz. Tę, którą miałam jako sześciolatka.

Gwałtownie podniosłam rękę.

– Każda sześciolatka ma żółtą sukienkę.

– Ty nie miałaś – odcięła się. – Twoja była niebieska, a moja ładniejsza. Ubrałyśmy się w nie na spacer do ogrodu botanicznego, a tato mówił na nas Słońce i Niebo.

Próbowałam to sobie przypomnieć. Kiedy byłyśmy małe, bardzo często bywałyśmy w ogrodzie botanicznym. Mama i Rachel uwielbiały obserwować wszystko, co kwitnie. Ja zawsze zabierałam ze sobą książkę, siadałam na ławce i czytałam o Conanie albo Cthulhu.

– Rach, czy kiedykolwiek przejmowałam się ciuchami? – zapytałam.

– Nie. Nie chodziło o tę sukienkę. – Zabrzmiało to jak oskarżenie. – Chciałaś być Słońcem.

– Nie pamiętam żadnych sukienek. Nie pamiętam, żeby Keith nazywał nas Słońcem i Niebem. Violet wcale nie wygląda jak ty. To po prostu ładna blondynka, i tyle.

– Uważasz, że ja jestem ładną blondynką, i tyle? – syknęła. Zrzuciła magazyn z kolan i ponownie wstała. W pokoju rozbrzmiewało echo jej słów. Było w nich tyle potępienia i tyle prawdy. Rzeczywiście tak o niej myślałam, gładkiej jak skorupka jajka, zwykłej, symetrycznej i pięknej, co było z mojej strony okropne, chyba że... Czy wina leżała tylko po mojej stronie, skoro jedyne, co mi prezentowała, to ta urocza i niczym niezmacona fasada? Nim jednak zdążyłam powiedzieć cokolwiek na swoją obronę, ona kontynuowała, cicho, ale głosem przepełnionym tłumionym gniewem: – Sprawiałaś, że pomogłam zniszczyć Ziemię! Zrobiłaś ze mnie tak jakby lesbijkę!

– Violence i Violet nie są kochankami – powiedziałam, choć to akurat miało najmniejsze znaczenie. Nie chciałam, aby uprościła V & V, najlepsze, co wyszło spod moich rąk, do historii, w której przedstawiłam ją jako lesbijkę. Jakby to było coś obraźliwego, a ona, przyjeżdżając do Birchville, rzeczywiście cofnęła się w czasie o trzydzieści lat. – Są sobie bliższe, niż gdyby były kochankami. Są jak dwie strony monety.

W trakcie tej dziwacznej i pełnej gniewu rozmowy, aczkolwiek bardzo cichej z uwagi na śpiące na górze dziecko i krzątające się w kuchni staruszki, artystka we mnie usłyszała nagle własne słowa. Artystka we mnie zrozumiała, że te słowa są ważne.

– Jak siostry? – zapytała drwiąco Rachel. – Skoro to nie ja, czemu ukradłaś imię mojego dziecka i nadałaś je jej?

– Ukradłam imię dziecka?! Co takiego? – zapytałam. – Ja nawet nie mam dziecka.

Digby kopnął, jakby chciał mnie nazwać kłamczuchą, ale jemu dopiero niedawno zaczęły się rozwijać płuca. Zignorowałam go.

– Violet – rzekła, unosząc lewą dłoń, jakby to imię było na niej napisane. –

Lavender. – Uniosła drugą.

Byłam zbyt wkurzona, żeby zachowywać się cicho.

– Violet i Lavender to dwa zupełnie inne imiona, a...

– To ten sam kolor! – przerwała mi.

– A zresztą Violet pojawiła się pierwsza. Jej postać zaczęłam rysować w liceum.

Lav nie była wtedy jeszcze nawet gwiazdą w kąciku twojego oka, więc jeśli rzeczywiście uważasz, że Violet i Lavender to to samo imię, to ty ukradłaś je mnie.

Przez chwilę myślałam, że zaraz wybuchnie, rzuci się na mnie i uderzy albo ugryzie. Odetchnęła jednak głęboko i uniosła brodę.

– Okej, Leia. Pozwalasz mi tu zostać, a ja naprawdę teraz tego potrzebuję, więc skoro tak chcesz to pamiętać, proszę bardzo. Czyli zapomnimy o tym dziecku z domku dla lalek. Tym, które nazwałam Lavender, kiedy chodziłam do przedszkola.

Pokręciłam głową. Nigdy nie przepadałam za zabawą lalkami; wolałam skakać po sofie i zbliżać zabawkowego Sokoła Millennium do sufitu tak bardzo, jak tylko się dało. Zabawa w dom na ziemskiej podłodze nieszczerze mnie interesowała, zwłaszcza że Rachel nie pozwalała mi zainscenizować ataku Ludzi Pustyni na mieszkającą w nim rodzinę. A była tam rodzina. To akurat pamiętałam: mamusia i tatuś, dziewczynka, chłopiec i niemowlę.

Rachel ponadawała lalkom imiona, ale nie pamiętałam wszystkich. Chłopiec miał na imię Jean Pierre albo jakoś tak, a jeśli rzeczywiście myślała poważnie o tym imieniu, jak to dobrze, że Lav przyszła na świat jako dziewczynka.

– Ta lalkowa dziewczynka miała na imię Lavender? – zapytałam.

– Nie, niemowlę. Ta maciupka lalczka. Starsza miała na imię Madeline. Ech, zapomnij o tym. To najmniejszy z moich problemów. No więc dobrze, rysuj mnie znowu. To nie ma znaczenia, bo spójrzmy prawdzie w oczy: nikt, kogo znam, tego nie przeczyta. Rób więc, co chcesz. Stwórz czarny charakter, nazwij go Rachenator i wyposaż w sześć albo siedem głów. Wybaczam ci.

Ponownie klapnęła na kanapę i wzięła do ręki magazyn, jakby skończyła ze mną rozmawiać, ale ręce jej się trzęsły. Usłyszałam szelest kartek.

– Ty mi wybaczasz? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Słyszałaś. – Pociągnęła nosem i przekreśliła kartkę. – Och, patrz, niebieski wraca do łask. Powinnaś się cieszyć, bo dobrze ci w tym kolorze.

– Nie ukradłam ci imienia – powtórzyłam.

– Skoro tak twierdzisz. – Rachel uniosła „Vogue” do poziomu oczu, ale nie potrafiła tak tego zostawić, bo zaraz znowu odezwała się zza tarczy z wychudzoną nastolatką na okładce: – Chcę tylko powiedzieć, że tata zbudował ten domek dla lalek krótko po moim przyjściu na świat, a na długo przed tym, nim w naszym życiu pojawiłaś się ty. Nim dowiedzieliśmy się o twoim istnieniu. Miałam go od zawsze, a dzidzius to zawsze była Lavender.

W końcu to do mnie dotarło. Jej nie chodziło o lalki, ale o rodziców. Jakimś cudem znowu stałyśmy się przedszkolakami i teraz szło o to, kto ma prawo do Keitha. Wybrałam fioletowy, aby uznać za moje coś, co ona uważała za swoją własność? Fiolet we wszystkich odcieniach należał do każdego, kto miał oczy i potrafił rozróżniać kolory.

Należał do nas obu. Tak samo jak Keith. Do pewnego stopnia.

– Nie zrobiłam tego świadomie – rzekłam. Rachel milczała, ze wzrokiem wbitym w kolorowe pismo. – Co chcesz, żebym powiedziała? Jak mam to naprawić? – zapytałam. Kiedy nadal nic nie mówiła, postanowiłam zagłębić się w sedno problemu. – Gdybyśmy obie stanęły w ogniu, ciebie Keith uratowałby jako pierwszą. Obie to wiemy.

Co wcale nie oznaczało, że mnie nie kochał. Kochał. Tyle że Rachel bardziej. Był pierwszym mężczyzną, do którego należałyśmy, ale ona miała do niego większe prawo.

Rachel podniosła w końcu wzrok znad gazety i powiedziała:

– No a twoja mama pierwszą uratowałaby ciebie. Takie już prawo biologii.

– Wcale nie jestem tego taka pewna. – Bo nie byłam. – Mama pewnie próbowałaby uratować nas obie i też zajęłaby się ogniem. Spłonęłybyśmy wszystkie trzy.

– Och, a więc mama jest lepsza niż tato? – warknęła.

– Nie to miałam na... – zaczęłam, ale mi przerwała.

– Czemu o tym rozmawiamy? Co masz nie tak z głową? Nigdy nie zapalimy się jednocześnie w salonie naszych rodziców, tak żeby musieli decydować, kogo i w jakiej kolejności ratować.

„Cóż, obie teraz płoniemy, i żadna nie ma zamiaru im o tym powiedzieć”, pomyślałam, a głośno powiedziałam:

– Ja go nazywam Keithem, a ty na mamę mówisz „mama”. Dodaj dwa do dwóch.

– A kto podjął taką decyzję? – zapytała.

Patrzyłam na nią osłupiała.

– Ty! Ugryzłaś mnie!

– Jestem pewna, że niczego takiego nie zrobiłam – oświadczyła i widziałam, że mówi poważnie.

– Rachel! – zawołałam.

Wzruszyła ramionami i pokręciła głową, jakbym próbowała jej wmówić, że zabrała mi kiedyś młot Thora.

– Raz go nazwałam tatą, a ty mnie ugryzłaś.

Mówiliśmy teraz o niej, a jej się to nie podobało. Zmusiła się do cierpkiego uśmiechu, a w jej oczach widać było chłód. Było tak, jakby wyłączyła tryb wściekłości. I znowu otaczał ją mur, jeszcze wyższy niż do tej pory. Możliwe, że na górze czekały już beczki z wrzącym olejem, ja jednak tego nie widziałam. Nie z miejsca, w którym siedziałam.

– Skoro tak twierdzisz... To w twoim domu teraz jesteśmy, a Lavender i ja nie mamy się gdzie podziać. Tutaj ty jesteś Słońcem, a ja Niebem. Niech więc będzie, jak chcesz – rzuciła.

Zaskoczyła mnie. Czy kłóciłyśmy się dlatego, że Rachel przebywała poza swoim terytorium? Co gorsza, jej teren miał na trawniku tabliczkę „na sprzedaż”, a jej mąż gdzieś się rozpląnął. Nie była gotowa, aby powiedzieć mamie i Keithowi, jak źle się u niej dzieje – może dlatego, że sama nie była jeszcze gotowa, by w to uwierzyć. Albo nie była w stanie znieść litości i współczucia, a to akurat potrafiłam zrozumieć. Przyjechała do mnie, bo ja już wiedziałam. Tylko ja.

– Mam nadzieję, że wiesz, iż jesteś tu mile widziana – powiedziałam, ale

zabrzmiało to zdecydowanie zbyt oficjalnie.

– Dzięki – rzuciła.

Nim zdążyłam cokolwiek dodać, pojawiła się Birchie z własnoręcznie utkanym afganem i kubkiem herbaty z dzikiej róży. Podeszła do Rachel i otuliła ją, a moja siostra odłożyła magazyn i z uśmiechem wzięła od Birchie herbatę. Z reguły ze zniecierpliwieniem przyjmowała takie gesty, teraz jednak zdawała się ich potrzebować, więc akceptowała współczucie, o ile to nie ja ją nim obdarzałam. W porządku.

Ze szkicownikiem w dłoni udałam się do swojego pokoju. Ledwie się powstrzymałam przed tak mocnym trząśnięciem drzwiami, że na pewno obudziłabym Lavender. Ba, pewnie także resztę mieszkańców Birchville. Miałam ochotę tak głośno nimi walnąć, że Martina Mack siadłaby wyprostowana, przyciskając do siebie kołdrę, bo sądziłaby, że przyszedł po nią Szatan.

Ale to nie był już mój pokój. Nie na wyłączność. Rachel może i się wkurzyła, ale nie na tyle, żeby wyjechać. Jej bagaże stały otwarte na podłodze obok moich, wypełnione jedwabnymi koszulkami, koronkową bielizną i letnimi butami.

Na dnie walizki miałam papierowy egzemplarz *Violence & Violet*. Zabrałam go jako pomoc przy tworzeniu prequela i teraz go wyjęłam.

Przycupnęłam na skraju łóżka i zaczęłam przerzucać kartki.

Gdy przeglądałam wcześniejsze rozdziały, musiałam przyznać, że rzeczywiście istnieje pewne podobieństwo. Violet była szczupłą i wysoką blondynką z dużymi oczami i prostym nosem, więc owszem, wyglądała jak Rachel. Trochę. Wyglądała także jak każda prezenterka wiadomości z Fox News.

Wraz z kolejnymi rozdziałami podobieństw ubywało. Coraz mniej przypominała Rachel, bo po tamtej scenie w magazynie coraz mniej przypominała człowieka.

Jej zamordowany chłopak to syn dyplomaty. Jego śmierć staje się incydem na skalę międzynarodową i Violet zaczyna się wplątywać w akcje, podczas których grozi jej coraz większe niebezpieczeństwo. Uważa, że Violence ją uratuje. Widzi, że jej pomoc okazuje się brutalna i bezwzględna, ale ma to gdzieś. Ma złamane serce. Może doprowadza do tak wielu jatek, bo myśli, że Violence powinie się noga i obie zginą, ale ona zawsze wygrywa. Wygrywa, choć stawka staje się coraz większa, a zniszczenia i straty są coraz dotkliwsze, nawet wtedy, gdy rudziki Violet zostają zastąpione krukami, a motyle mają coraz bardziej poszarpane skrzydła. Jej ładne ciało ze szczupłego zmienia się w wychudłe, a sukienka luźno na niej wisi.

W ostatnim rozdziale Violet mieszka na dziko w schronie przeciwbombowym i wzrok ma wbity w ekran telewizora. Jej twarz to właściwie sama czaszka – wystające kości policzkowe, usta naciągnięte na zbyt duże zęby. Jest tam także Violence. Nie może być inaczej, bo na ramieniu Violet siedzi kos, a u jej stóp kręcą się gryzonie. Myszki to teraz szczury z długimi, łysymi ogonami, a królikom wyrosły kły.

W innych bunkrach na całym świecie różne palce wciskają czerwone guziki. Bomby śmigają jedna za drugą ponad oceanem.

„Żegnaj”, myśli Violence. To ostatnie słowo w książce. Pozostawia Violet w schronie, a sama wychodzi na zewnątrz. Czyni to z największą przyjemnością. Uśmiecha się drapieżnie, gdy staje w miejscu, gdzie spadnie pierwsza bomba. Wita ją

z rozpostartymi ramionami i odrzuconą głową. To pocisk o kształcie fallicznym. Część mnie miała ochotę pójść teraz do Rachel i jej to pokazać. „Lesbijki, psia mać. Nie rozumiesz sztuki?”

Teraz Violence to fioletowy cień w samym środku wybuchu, jak knot świecy. Perspektywa oddala się i widać ogromne czarne grzyby, pojawiające się nad całą Ameryką. Ziemia to niebieska kula wisząca w kosmosie, a ze wszystkich kontynentów kielkują takie same grzyby, siejące śmierć i spustoszenie. W końcu zamieniają się w ciemną mgłę, która otacza całą planetę, a w jej wirach i fioletowych cieniach ukrywają się wszystkie zwierzęta Violet. I to właśnie jest ten koniec. Nie ma ciągu dalszego.

Zamknęłam książkę i pomyślałam: „No cóż, czasami rzeczywiście nie ma”.

Czy ukradłam twarz Rachel? Jej imię dla dziecka? Może. Ja tego nie pamiętałam, ale ona z kolei zapomniała, że mnie ugryzła. Możliwe, że mroczny i spragniony ojca fragment mojej duszy kazał wyglądać Violet jak Rachel, żeby wbić jej tym samym szpilę. I wbiłam.

Ta cała sprawa z JJ'em jeszcze wszystko pogorszyła. On kochał jej wyobrażenie, kryjącą się w niej nadzieję, bardziej niż prawdziwą, ludzką mnie, dającą mu wsparcie w najtrudniejszych momentach. Czy miałam o to do niej pretensje? O to, że urzekła JJ'a swoją supermocą, kiedy wszyscy byliśmy w sumie jeszcze dziećmi? Wcale się nie starała. Wtedy nawet go nie chciała, a kiedy rzeczywiście go wybrała, i tak skończyło się katastrofą.

Zresztą tak właśnie wszystko się między nami kończyło. Ona zabierała swoje smutki do pralni, ja czekałam pod drzwiami. Kiedy mnie dopadało nieszczęście, Rachel wparowywała i pomagała, bo uwielbiała być bohaterką i wyciągać mnie z tarapatów, w które sama się wpakowałam.

Słońce i Niebo, od tego się zaczął rozdzwitek między nami. Gdybyśmy się urodziły jako siostry, gdyby mój tata nie umarł, gdyby jej mama nie poszła w długą, gdyby JJ nie był takim palantem... Gdyby, gdyby, gdyby. Tyle już wiedziałam: w naszej relacji od zawsze istniało pęknięcie. Pozwolenie na to, aby Rachel tutaj została, jej krótka chwila bezbronności – to nie było w stanie nas posklejać.

Kiedy coś zaczynało się tak kiepsko, od wojny, utraty, rozdzwiku albo pięciu szotów tequili, wchodziło się na drogę pełną pęknięć, w dodatku bardzo stromą. Sytuacja mogła się tylko pogarszać, coraz bardziej i bardziej, aż w końcu nie istniało nic oprócz zgliszczy. Kiedy następowała apokalipsa, nie było już ciągu dalszego.

Jak na zawołanie bomba w tylnej kieszeni moich spodni zawibrowała i piknęła.

Wyciągnęłam telefon, a serce zaczęło mi walić jak młotem. Dostałam wiadomość z nieznanego numeru, ale wiedziałam, kto jest nadawcą.

„Kopę lat. Nie wybierasz się może do ATL? Chętnie znowu bym się z tobą spotkał”.

Wieczorem Rachel, z twarzą błyszczącą od kremu, położyła się po tej stronie łóżka, gdzie sama lubiłam spać, i oświadczyła, że wzięła już ambien. Przetrzepała poduszkę i założyła maskę na oczy, po czym wygodnie się ułożyła, jakby to było coś najnaturalniejszego pod słońcem. Zasnęła prawie od razu. Ja leżałam nie na tej stronie co zawsze, a oczy miałam wielkie jak spodki.

Za każdym razem, kiedy udało mi się znaleźć względnie wygodną pozycję, siostra kopała mnie w piszczel albo szturchała spiczastym łokciem. Kiedyś to ja byłam tą niespokojną, budzącą ją gadaniem i śpiewaniem przez sen. Mała Rachel sypiała w taki sam sposób, w jaki robiła wszystko inne – ślicznie i tak spokojnie, że równie dobrze mogła znajdować się w szklanej trumnie z kawałkiem jabłka w gardle i ustami wyczekującymi nieuniknionego pocałunku. Nie dzisiaj. Miałam wrażenie, że śpię z workiem pełnym wkurzonych kotów. Kiedy machnęła ręką i oberwałam w twarz, wstałam i postanowiłam się przenieść na sofę w pokoju do szycia. Zabrałam ze sobą walizkę, ale choć narobiłam sporo hałasu, Rachel się nie obudziła.

Zazdrościłam jej tego. Gdyby nie Digby, pogrzebałabym w jej walizce i także zażyła ambien.

Podczas śniadania mnie przeprosiła.

– Ostatnio fatalnie sypiam – oświadczyła, podczas gdy Wattie zsunęła na jej talerz naleśniki i dodatkowy plaster bekonu. – Dziś ja będę spała na sofie.

– Bzdura! – odpowiedziała Wattie, nim ja zdążyłam choćby otworzyć usta.

Dołączyła do niej Birchie.

– Nie, nie, moja droga, tak nie przystoi. Jesteś gościem!

Po śniadaniu Birchie i Wattie rozpakowały coś, co według mnie wyglądało jak cała garderoba Rachel, i poukładały wszystko w szafie w pokoju, który do tej pory uważałam – słusznie – za swój. Minęła kolejna noc, a potem jeszcze jedna. Wobec mnie Rachel zachowywała się chłodno, a im pozwalała się sobą opiekować. Nie robiła w zasadzie nic. Zachowywała się tak, jakbyśmy mieli rok 1800, a jej zalecono odpoczynek. Drzemała i siedziała, wpatrując się w książki i gazety. Telefon miała zawsze przy sobie i rozumiałam, że czeka. Czekaj, aż zadzwoni Jake i przekaże jej swoją decyzję. Powie, czy zachowa się jak mężczyzna, czy jak najpodlejsza glista.

W tym momencie znowu zrobiło mi się jej żal, bo z doświadczenia wiedziałam, że kiedy JJ odchodzi, to odchodzi. Był najpodlejszą glistą, która oddaliła się w kierunku zachodzącego słońca.

Piątego dnia czekania usiadłam obok niej na jednej z sof.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytałam, choć wiedziałam, że to na nic.

Zamrugnęła, jakby widziała jak przez mgłę, a potem jej spojrzenie ponownie się wyostrzyło i skupiło na mnie.

– Przyniesiesz pęsetę? – zapytała. – Przybrałaś trochę na wadze. Mogę dopasować ci kształt brwi do pełniejszej twarzy.

Pokręciłam głową, uśmiechnęłam się z zamkniętymi ustami i powstrzymałam dziewiętnaście cisnących mi się na nie gniewnych słów. Potem dałam jej spokój, bo i tak

nie zamierzała pozwolić mi sobie pomóc. Chyba że za pomoc miałam uznać ucieczkę z pokoju.

W sumie nie było to takie złe. Od czasu znalezienia kości w domu brakowało swoistej równowagi. Było tak, jakby ten marynarski kufer ważył pięćset kilogramów, a w chwili kiedy zniknął ze strychu, stare fundamenty odetchnęły i uniosły nas wszystkich o centymetr w lewo. Pokój do szycia mieścił się na samym końcu domu, za gabinetem, i prowadził do niego długi korytarz. Ścianę dzielił z kuchnią, ale nie było przejścia. Jako że Birchie ostatnio mało szyla, miałam go tylko dla siebie. Kiedy zamykałam za sobą drzwi i ściągałam zbyt ciasny od niedawna stanik, miałam wyjątkowo dużo prywatności w domu pełnym krewnych. Zostawiałam tutaj telefon, bo nie chciałam, aby odgłosy przychodzących wiadomości obwieszczały wszem wobec, że potajemnie koresponduję z mężczyznami. Czterema.

Pierwszym był nasz stary przyjaciel Frank Darian, informujący mnie na bieżąco o działaniach wymiaru sprawiedliwości. Prokurator Regina Tackrey była pitbullem w ciele kobiety, a nastał właśnie rok wyborów. Doktor Pettery złożył zeznanie pod przysięgą, a Frank blokował policji możliwość przesłuchania, zważywszy na chorobę Birchie oraz nieznaną wiek i pochodzenie kości. Na razie. Tackrey w pierwszej kolejności musiała dowieść, że w ogóle popełniono przestępstwo. W tym celu wysłała kości do zakładu medycyny sądowej w Montgomery, gdzie miał się nimi zająć antropolog.

Miałam wrażenie, że Birchie znalazła się w pysku jakiegoś gada. Obracał ją, jeszcze nienaruszoną, jakby była tabletką do ssania. W każdej chwili pysk tego zimnokrwistego zwierzęcia mógł się zacisnąć i ją zmiażdżyć. Jedyne, co mogłam, to czekać na to, co postanowi zrobić – jej i nam wszystkim.

Wymieniałam się także wiadomościami z synami Wattie. Dzięki głuchemu telefonowi kościoła Odkupiciela wiedzieli o wszystkim, co się stało. Tylko stanowczość Wattie powstrzymała obu przed wskoczeniem do samolotów i zjawieniem się w Birchville.

– Nie chcę, żeby mi tu teraz przyjeżdżali – rzekła. – Zwłaszcza Stephen. Na świat przyszedł pełen złości, a do tego lubi sobie powarczeć. Zaufaj mi.

Wcześniej tego nie zrobiłam i proszę, dokąd nas to zaprowadziło. Wspierałam ją więc teraz i zapewniałam obu jej synów, że Wattie nic się nie stało, kiedy mój samochód zatrzymał się na słupie, i że kości to przede wszystkim problem Birchie.

A czwartym mężczyzną, z którym wymieniałam się wiadomościami, był Batman.

„Kopę lat. Nie wybierasz się może do ATL? Chętnie znowu bym się z tobą spotkał” – tak napisał.

Wystarczyło zajrzeć na Facebooka, wysłać wiadomość i już po chwili znałam jego imię i nazwisko, wiedziałam, gdzie mieszka i że chce się ze mną spotkać. Było za wcześnie, żeby napisać: „No więc tak się zastanawiam, zupełnie bez powodu, czy w twojej rodzinie zdarzają się przypadki cukrzycy i choroby psychicznej, czy lubisz dzieci, a może jesteś skończonym palantem”. Musiałam wykazać się większą powściągliwością, ale byłam już w osiemnastym tygodniu ciąży. Digby przypominał podłużną paprykę i z każdym dniem stawał się coraz bardziej realny. Lavender otworzyła okno prowadzące do życia jego ojca, a ja chciałam przez nie zajrzeć.

Przez cały dzień zastanawiałam się, co powinnam odpisać, ale odpowiedź wysłałam dopiero wtedy, kiedy ulokowałam się na noc w pokoju do szycia.

„Owszem, kopę lat. Mógł pan jednak do mnie napisać, psze pana”.

To „psze pana” nieco łagodziło przekaz wiadomości. Może nawet czyniło ją zalotną. Kliknęłam „wyślij”, mimo że wcale nie chodziło o flirtowanie. W ogóle nie chodziło o mnie. Chodziło o moje dziecko. Musiałam się zorientować, jakim człowiekiem jest Batman. Mój podręcznik dla ciężarnych twierdził, że to hormony są winne temu, że czuję się kobieco, pragnę, aby mnie dotykano i głaskano, a może także i temu, że mam ochotę na flirt.

Odpisał niemal natychmiast.

„No nie, to byłby stalking... Jesteś przecież sławną artystką”.

To pochlebstwo sprawiło mi przyjemność i przypomniało, że rzeczywiście bardzo mu się podobała moja twórczość. Byłam sławna w świecie fanów komiksów, czyli mniej niż ten facet z podwójną tęczę na YouTube, mimo to cieszyłam się, że tak napisał. Moje dłonie wisiały nad klawiaturą, pełne pytań, które powinnam zadać, ale zobaczyłam wielokropek oznaczający, że znowu coś pisze.

„Gdybym napisał jako pierwszy? Kurde, dziewczyno, na pewno od razu zajrzałaś do szafy. Żeby sprawdzić, czy nie obcałowuję twoich butów”.

A więc miał poczucie humoru także wtedy, kiedy był trzeźwy. Uśmiechnęłam się. Utrapienie z tymi hormonami, bo oprócz tego w mojej głowie pojawiło się wspomnienie: jego pełne usta przesuwające się po mojej stopie, kostce, coraz wyżej, aż do miejsca, gdzie pracowały zwinne palce.

Musiałam zdusić to flirtowanie w zarodku. Gdyby nie było Digby’ego? Możliwe, że bym w to weszła. Całą sobą. Z całą pewnością czuliśmy do siebie pociąg, a spotkanie na zlocie fanów komiksów świadczyło, że mamy podobne zainteresowania. Ale byłam w ciąży, a to znaczyło, że tak naprawdę to ja jestem tym stalkerem kucającym w jego metaforycznej szafie, razem ze swoim sekretem i długą listą pytań. Flirtowanie sprawiało, że jeszcze gorzej się czułam, robiąc to, co robię, a każda wysyłana przeze mnie wiadomość, w której nie wspominałam o Digbym, była tak nieuczciwa, że wydawała się okrutna.

Nie była to jednak decyzja, którą podjęłam ot tak, od niechcenia. Wcale nie traktowałam tego jak zabawy. Ten mężczyzna spłodził Digby’ego, ale nim dam mu szansę, by stał się tatą, musiałam się przynajmniej dowiedzieć, czy jest człowiekiem porządnym i życzliwym. Nieobecność to dla dziecka lepszy start niż duchowa brzydota. Jeśli Batman był nieznoszącym dzieci mieszkańcem sutereny o agresywnym usposobieniu, musiałam się tego dowiedzieć.

Przez parę ostatnich dni wymienialiśmy się wiadomościami. Zadawałam mu pytanie za pytaniem. Możliwe, że mój stopień zainteresowania jego życiem, rodziną i pracą można było odebrać jako flirtowanie, ale cóż mogłam na to poradzić.

Batmana trudno było uznać za kanalię. Pracował jako wykwalifikowany pielęgniarz specjalizujący się w anestezji. Jego rodzice mieszkali w Columbus w stanie Georgia. Miał trzy starsze siostry rozsiane po Południu, wszystkie zamężne i dzieciate.

Trzydzieści cztery lata. Dziwnie było myśleć, że kiedy ja kończyłam studia, on je

dopiero zaczynał. Był także singlem i kiedy się o tym dowiedziałam, poczułam ulgę. Do listy swoich przewinień nie musiałam przynajmniej dodawać cudzołóstwa.

On także bardzo się mną interesował, tak bardzo, że gdybym nie wiedziała, iż to niemożliwe, mogłabym podejrzewać, że także jest w ciąży. Wypytywał mnie o rodzinę, wyznanie, przyjaciół, ogólnie o życie. Opowiedziałam mu o wtorkach z planszówkami, przyjeździe do Birchville, ciałach Lewy'ego, Lavender i Rachel. Ani słowem nie wspomniałam o kościach.

Liczba wiadomości rosła lawinowo. Kiedy pierwszy tydzień Rachel w Birchville dobiegał końca, Batman pisał do mnie pomiędzy zabiegami, a ja co rusz wymykałam się, żeby mu odpowiedzieć, równie uzależniona od telefonu jak moja nastoletnia siostrzenica. Piątkowy wieczór zastał mnie otuloną kocem na sofie w pokoju do szycia, wymieniającą się z nim wiadomościami niemal do północy. Batman zaproponował, żebyśmy następnego wieczór spędzili na wspólnym graniu online. Grał w *Diablo*, *Counter-Strike'a*, a z kolegami ze studiów nawet w starego *StarCrafta*.

Uwielbiałam *StarCrafta*, ale odpisałam: „Mój sprzęt do gier został w domu, w Wirginii”. Nie lubiłam grać na Cintiqu, a stary laptop był koszmarnie wolny. Poza tym sobotni wieczór spędzony na grze w *StarCrafta* to chyba zbyt nerdowska wersja randki. Jednak w chwili kiedy wysłałam wiadomość, coś mi przyszło do głowy. Dysponował serwerem TeamSpeak, co znaczyło, że w trakcie grania mogliśmy rozmawiać za pośrednictwem komputera. Kusząca perspektywa. Prawdziwa rozmowa z tonem głosu i niuansami szybciej pozwoliłaby mi go poznać. Szybciej podjąć decyzję. Wiedziałam, że im dłużej milczę na temat ciąży, tym trudniej mi będzie, kiedy – czy też jeśli – o niej powiem. Może nie powinnam marnować takiej okazji? Dodałam więc: „Mój stary laptop da sobie jednak radę ze *Scrabble* online. O ile nie uważasz tego za dziwaczne”.

Po chwili odpisał: „Nie ma czegoś takiego. Ale jest *Words with Friends*”.

W sobotni wieczór Wattie i Birchie przystąpiły do swojego rytuału związanego z kładzeniem mojej babci spać. Rachel siedziała na kanapie Birchie; miała nieumyte włosy i jadła słupki marchewki w taki sposób, jak normalny człowiek jadłby chipsy, oglądając jeden z filmów grupy producenckiej Merchant Ivory, które ona i mama tak uwielbiały.

Lavender zdążyła się już zaszyć w swoim pokoju, bez wątplenia po to, aby spędzić sobotni wieczór na wirtualnych rozmowach za pośrednictwem Snapchata albo tego, czego obecnie używały dzieciaki. Skoro ja wiedziałam o jego istnieniu, podejrzewałam, że trzynastolatki korzystają teraz z czegoś innego.

Nadal się na mnie boczyła. Czekala, nieodrodna córka Rachel, aż jej powiem, że dobrze zrobiła, gdy nawiązała kontakt z Batmanem. A może wcale mnie nie unikała? W końcu była młoda, a świat poza murami tego zwichrowanego domu otulało letnie słońce. Hugh i Jeffrey co pięć minut dzwonili do drzwi, żeby ją gdzieś wyciągnąć.

Udałam się do swojej kryjówki w pokoju do szycia, gdzie stół Birchie przekształciłam w prowizoryczne biurko pod komputer. Włożyłam do uszu słuchawki, zalogowałam się na Facebooku i do programu umożliwiającego rozmowy na żywo. Podczas gdy ściągałam *Words with Friends*, usłyszałam mechaniczny głos TeamSpeak: „Użytkownik pojawił się na twoim kanale”.

– Witaj, użytkowniku – odezwałam się.

– Witaj. – To był Batman. Rozpoznałam jego głos, echo wspomnienia z samego dna pamięci. – Masz ochotę na grę jeden na jednego? W stylu *Scrabble*?

Pamiętałam, że głos miał niski, ale nie aż tak. Może to był jego wieczorny głos, lekko już zaspany, który sprawiał, że zaproszenie do gry brzmiało nieco niegrzecznie. Zdążyłam także zapomnieć, jak cicho mówi. W barze musiałam się nachylać, żeby go słyszeć, co zbliżyło nas bardziej, potem jeszcze bardziej, aż w końcu zabrałam go do swojego pokoju, gdzie zbliżyliśmy się do siebie tak bardzo, jak tylko się dało. Dwa razy. Teraz też jak idiotka nachylałam się w stronę komputera, jakby miało mi to pomóc w lepszym słyszeniu. Wyprostowałam się i pogłośniłam dźwięk.

– Nie grałam w to od lat – powiedziałam.

– Ja też. – W tym samym momencie otrzymałam od niego zaproszenie, więc najwyraźniej znał ten program.

– Wyczuwam oszustwo – rzekłam, akceptując je. – Skąd wiedziałeś, jak rozpocząć grę?

– Możliwe, że... eee... zalogowałem się wcześniej, żeby się tego dowiedzieć.

Roześmiałam się, a potem przyglądałam się swoim literkom w ciszy, która stawała się coraz bardziej krępująca. Wylosowałam: C, M, O, I, A, T, Ł. Na szczęście to on musiał ułożyć słowo jako pierwszy. Może milczał, bo też nie wylosował nic fajnego.

Pośrodku planszy pojawiło się słowo „telefon”, na tyle długie, że udało mu się wykorzystać magiczny kwadrat.

– No więc kiedy zamierzasz zajrzeć do Atlanty? – zapytał zaraz po tym.

Dość odważnie. Może tylko ja czułam skrępowanie?

Cóż, ja wiedziałam o czymś, o czym on nie miał pojęcia.

– A czemu ci na tym zależy? – Zabrzmiało to dość niewinnie. Może nawet kokieteryjnie. Boże, oby nie... Kokieteria to jak zaawansowany flirt.

– Od lat nie miałem tak świetnej pierwszej randki. – Jego odpowiedź była tak bezpośrednia, że aż zapało mi dech.

– Och, a więc to była randka? – zapytałam w końcu. Po kokieterii nie został nawet ślad. Teraz sprawiałam wrażenie pruderyjnej i staroświeckiej.

– Może nie na początku. Ale na pewno... tak się zakończyło. – Ponownie pogłośniłam, starając się powstrzymać uczucie, że szepcze mi do ucha.

– Moje pierwsze randki tak się nie kończą – powiedziałam z jeszcze większą pruderią.

– Cóż, wróc do Atlanty. Chętnie się przekonam, w jaki sposób kończysz drugie. – A to flirciarz.

– Boże, mówisz jak rasowy gracz.

– W żadnym razie! G-g-g... – Był taki zaskoczony, że zająknął się na g, po czym rzekł: – Mmm, widzisz? Denerwuję się podczas rozmów z ładnymi kobietami.

– Nieźle wybrnąłeś, feministo.

Roześmiał się, niezrażony moimi słowami.

– Podoba mi się, kiedy mówisz do mnie jak... belferka.

Uśmiechnęłam się. To też zdążyłam zapomnieć. Robił pauzy w środku zdania,

jakby czekał na odpowiednie słowo, i w większości przypadków nie było to wcale słowo, jakiego się spodziewałam.

Spojrzałam na swoje literki i nie potrafiłam z nich ułożyć nic, co nie kojarzyłoby się z seksem. Nie chciałam układać słowa „ciało”. „Miot” także nie wchodził w grę, bo od razu sugerował ciążę. W końcu zdecydowałam się na „atom”.

– Podczas zlotu nie wydawałeś się zdenerwowany – powiedziałam szybko.

– Oj tam. Wcześniej wypilem parę piw, a ja nigdy... Nie podszedłem do ciebie po to, aby cię poderwać. Chciałem jedynie zdjęcie na Facebooka.

– Rozumiesz, że gracz powiedziałby właśnie coś takiego? – zapytałam.

Zachichotał i wykorzystał moje m, by ułożyć słowo „amper”.

– Naprawdę? To ci dopiero. Byłem w trzech poważnych związkach. W jednym w czasach liceum, więc chyba się nie liczy. Nie jestem mmm... – zamruczał, po czym urwał. – Naprawdę łatwo się z tobą rozmawia. – To było słodkie, a może nawet prawdziwe.

Przełknęłam ślinę, bo znów poczułam skrępowanie, i zajęłam się układaniem literek. Chyba to wyczuł, bo od razu rozładował napięcie.

– Czy ty przypadkiem nie wygrywasz? I kto tu jest oszustem?

Roześmiałam się, bo dołożyłam y do jego słowa „telefon”, i zgarnęłam podwójną liczbę punktów.

– No i co ty na to?

– Och, dziewczyno, przegram jak nic! – oświadczył, ale ton głosu miał wesoły. Podobało mi się, że nie przeszkadza mu, iż przegrywa z kobietą.

Podczas drugiej gry nasza plansza wyglądała tak, jakby graczami byli trzecioklasiści z ubogim zasobem słownictwa i mający gdzieś strategię. Długo się zastanawialiśmy, a potem układaliśmy słowa „kot”, „dym”, „lala” czy „pani”. Dzięki układaniu mieliśmy zajęte ręce, gdy tymczasem rozmawialiśmy, rozmawialiśmy i rozmawialiśmy.

Podobało mi się, jak opowiadał o swojej rodzinie. Byli ze sobą zżyci. On szczególnie mocno z ojcem, którego określił mianem „staroświeckiego nerda”, i siostrą Vondą. Przed rokiem wygrała walkę z rakiem piersi. Spotykali się wszyscy w każde Boże Narodzenie, a wakacje spędzali razem w Savannah, w wynajętym domu na plaży. Było już po pierwszej, kiedy moje ciężarne ciało zaczęło sygnalizować, że pora spać, bez względu na to, czy mam ochotę, czy nie.

– Ja też jestem zmęczony – przyznał, a potem dodał cicho: – W poniedziałek pracuję. Nie mogę siedzieć do późna przed dniem wypełnionym operacjami. Czwartek mam wolny. Chcesz... wrócić w środę i... znowu mnie ograć?

To było coś więcej niż flirt. Rozpoznałam to dzięki pauzom i naglej nieśmiałości w jego głosie. Wysłał mi zaproszenie.

Zawahałam się, dręczona poczuciem winy. Nie miałam złudzeń, że go znam. W żadnym razie. Wiedziałam jedynie, że lubię tę drugorandkową wersję Batmana na tyle, że gdybym nie była w ciąży, chętnie bym się z nim umówiła na trzecią. Nie byłam gotowa na to, aby go zaprosić do życia Digby’ego na podstawie fajnego wieczoru, niemniej jednak im więcej spędzałam z nim czasu, tym sympatyczniejszy się wydawał. A ja czułam

się coraz gorzej.

– Tak sobie myślę, że znowu ci będzie trzeba skopać tyłek – rzuciłam lekko, a potem się rozłączyłam.

Tej nocy śniły mi się kości. Leżały w metalowym boksie w sterylnym laboratorium, skąpane w świetle tak ostrym i żółtym jak żółtko jajka. Wiedziały, że zbliża się ich czas. Para dłoni odzianych w rękawiczki przekładała je, aż w końcu utworzyły kształt człowieka, którym kiedyś były. Dłonie na nowo poukładały paliczki, długie piszczele, miednicę, żebra otaczające powietrze.

Na koniec położyły czaszkę. W tylnej części było widać znamienne pęknięcie. Ręce zaczęły podnosić kolejne kości i łamać je na pół. To były długie dłonie, z nienaturalnie wydłużonymi palcami. Ostre paznokcie przebiły się przez lateks; błyszczał na nich fioletowy lakier. Dłonie zabrały żebra gdzieś na bok, tak że ich nie widziałam. Ale słyszałam. Obudziły mnie dźwięki towarzyszące gryzieniu i wysysaniu przez Violence szpiku kostnego.

Moja podświadomość najwyraźniej nie do końca wierzyła, że te kości to historia smutna i zbyt stara, żeby mieć wpływ na teraźniejszość.

Wstałam cała połamana. Było już po dziewiątej, więc postanowiłam zajrzeć do Birchie. Każdy krok przybliżał mnie do tej części domu, która wydawała się tak bardzo przekrzywiona.

Znalazłam babcię przy stole w jadalni. Jak w każdą niedzielę jadła jajko i przez duże wykuszowe okno obserwowała, jak jej miasto budzi się ze snu. Na ścianie za nią jej dziadek uśmiechał się z wyniosłą dobrocią, a wiszący obok ojciec robił to samo. Choć możliwe, że cechowało go nieco więcej surowości, nieco więcej dumy. Obeszłam stół i cmoknęłam ją w biały koczek. Pachniała różanym pudrem i miętą, jak zawsze. To był zapach domu, miłości i dobroci.

– Dzień dobry, Birchie – przywitałam się. Obok niej siedziała Lavender, która spojrzała na mnie z niechęcią. – Hej, Lav. Dobrze spałaś?

– Mmm-hmmm – odparła. Miała na sobie śliczną zielononiebieską sukienkę z rozkloszowanym dołem, a usta pomalowała błyszczkiem.

– Dzień dobry, kotku – rzekła Birchie, unosząc rękę i klepiąc mnie w policzek.

Twarz miała upudrowaną, a włosy starannie ufryzowane. Nie wyglądała jak osoba poważnie chora, ani tym bardziej jak ktoś, kto na strychu przechowuje ludzkie kości. Jej widok, takiej poukładanej, dodał mi otuchy. Wyglądała jak dawna Birchie, a nie staruszka, która w dniu mojego przyjazdu siała pomarańczowe cukierki. Właściwie to wyglądała tak, jakby była gotowa na jedną ze swoich typowych czynności: przyjęcie z okazji narodzin dziecka, spotkanie klubu książki, wykład poświęcony ogrodnictwu...

Z rosnącym przerażeniem prześlizgnęłam się wzrokiem po jej stroju. I sukience Lavender.

– Idziemy do kościoła?

– Jest niedziela. – Z całą pewnością to nie było pytanie.

– Frank mówił, że mamy się nie wychylać i nie odpowiadać na żadne pytania.

W ogóle nie chciałam, aby je zadawano. Birchie i jej ciała Lewy'ego mogliby powiedzieć dosłownie wszystko.

Nie licząc Lavender, cały tydzień spędziłyśmy w domu, ewentualnie w ogrodzie. Mogłyśmy udawać, że się nie ukrywamy – kuchnia była pełna sąsiedzkich zapiekaneek i sałatek, więc w ogóle nie musiałyśmy chodzić do Piggly Wiggly – ale ja wiedziałam, że unikamy zarówno pełnych współczucia uścisków dłoni zmartwionych przyjaciół, jak i oskarżycielskich spojrzeń tych mniej nam przyjaznych. I pytań. Pytań, których starałam się nie zadawać sobie samej. Nie chciałam usłyszeć ich dzisiaj z ust innych osób; pytań biegnących ku Bogu pod dachem Jego świątyni.

– Och, daj spokój, ciociu! – odezwała się Lavender. Wszyscy spojrzeli na nią, a ona zrobiła świętoszkowatą minę. – Nie lubię opuszczać mszy.

– Dobrze z ciebie dziecko – rzekła Birchie, klepiąc ją z aprobatą po rękę. Przewróciłam oczami, nie mając złudzeń, że Lavender odkryła w sobie palącą potrzebę wzięcia udziału we wspólnym nabożeństwie. Kościół to po prostu miejsce, gdzie bywali chłopcy. – Pamiętaj, aby dzień święty święcić – kontynuowała babcia. – Dekalog się nie zmienia, bez względu na to, jak kiepski się miało tydzień.

Musiałam zacisnąć mocno zęby, żeby nie zapytać: „A co z szóstym przykazaniem? Złamałaś je, Birchie?”. Połowa ludzi w kościele pewnie w tej chwili zadawała to pytanie drugiej połowie. Dłonie zaczynały mi się pocić.

Weszła Wattie ze swoim jajkiem i koszykiem pełnym ciepłych bułek. Postawiła go na stole, a Lavender od razu wyciągnęła rękę. Wattie usiadła i poczęstowała się dżemem jeżynowym własnej roboty. Ona także miała na sobie odświętną suknię, tę w listki i stokrotki.

– Myślisz, że powinniśmy iść do kościoła? – zapytałam ją błagalnie.

– Nie ma znaczenia, co ja myślę – odparła Wattie, co wcale nie było równoznaczne ze stwierdzeniem, że według niej to dobry pomysł.

– Tydzień temu nie poszłyśmy do Odkupiciela – przypomniałam jej.

– To mój kościół.

– I nie uważałaś, że Birchie powinna tam iść!

Wattie obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym irytacji.

– Dziecko, nie uważałam, że ja powinnam tam iść.

Natychmiast się zawstydziałam. Myślałam tylko o tym, co ludzie z białego kościoła baptystów będą mówić o mojej babci. Wattie, wdowa po wieloletnim, uwielbianym pastarze kościoła Odkupiciela, była tam tym, kim Birchie u baptystów. Mimo to ukradła samochód i rozbiła go, gdy próbowała uciec z ludzkimi kośćmi znalezionymi na strychu domu, w którym mieszkała. W domu swojej najstarszej i najdroższej przyjaciółki. To oczywiste, że dla społeczności z jej kościoła to był szok.

W Birchville nadal istniała segregacja rasowa, zwłaszcza w kościołach. Funkcjonowały analogiczne wersje baptystów i metodystów, było tu także miejsce na mały, pomalowany na biało kościół prezbiteriański i równie niewielką kongregację AME¹¹. Ulice i dzielnice także podzielono. Podczas odwiedzin u Birchie mieszkałam w jej części miasta, tak samo jak dzieci Wattie mieszkały w jej części. Te światy rzadko na siebie zachodziły. Do największego połączenia dochodziło tutaj, w tym domu, w którym razem mieszkały matki rodu obu części Birchville. We mnie rozwijał się inny rodzaj połączenia. Gdyby Digby już się urodził, musielibyśmy stać się członkami obu

Kościółów, jak Birchie i Wattie. Albo musielibyśmy wybrać Kościół, do którego jedno z nas należałoby w mniejszym stopniu niż drugie.

– Przepraszam, Wattie, to była bezmyślność z mojej strony – powiedziałam. – Ale uważam, że pójście tam dzisiaj jest czystym szaleństwem.

Wattie wzruszyła ramionami.

– Cóż, ja może i bym nie poszła, ale to kościół Birchie. I jej decyzja.

– Dzień dobry, Leia – odezwała się za mną Rachel, a ja aż podskoczyłam.

W ołówkowej spódnicy i bluzce w paski wyglądała niedzielnie i kościelnie, jak pozostałe panie. Włosy miała jednak tłuste i pozbawione życia, a wzrok przytępiony valium. To nie była zwyczajna Rachel. To była wersja przesypiająca depresję, która cały tydzień spędziła na sofie, a teraz przywdziała czólenka i wyprostowała się, mając tylko tyle energii, aby być dla mnie zołą.

– Ty też idziesz?

– Przynajmniej tyle mogę zrobić – oświadczyła drżącym głosem, a ja poczułam, jak do mojej krwi sączy się ocet, rozrzedzając ją.

– Nie chcemy się spóźnić – odezwała się Wattie. Obrzuciła znaczącym spojrzeniem moje włosy i bosa stopy.

Odsunęłam się od Rachel.

– Zaraz będę gotowa.

Birchie i Wattie obdarzyły mnie uśmiechami pełnymi aprobaty. Poczęstowałam się dwiema bułkami i odwróciłam w stronę drzwi.

– Wiesz, że to całe mnóstwo węglowodanów, prawda? – dobiegł mnie głos Rachel.

Zawróciłam tak wściekła, że zamierzałam wzbogacić swoje śniadanie o białko i odgryźć jej głowę. Ale ona nawet na mnie nie patrzyła. Siedziała przygarbiona, a przed sobą miała nietkniętą bułkę. Obok talerza leżał telefon; czekał na decydującą wiadomość od JJ'a, która miała nigdy nie nadejść.

Siedząca po przeciwnej stronie stołu Lavender wpatrywała się w matkę ze strachem i błaganiem rozdzierającym serce. W tym spojrzeniu niemal słyszałam zagubiony i piskliwy głosik trzyletniej Lav, dochodzący z jej ciemnego pokoju: „Mamo, pomocy! W szafie jest potwór!”

Zawibrował jej telefon i natychmiast zniknęło przerażone dziecko, które za rodziców miało zaginionego w akcji Kena i zombie Barbie. Zamiast tego pojawiła się nadąsana nastolatka, czytająca ukradkiem esemesy od chłopców. Nastolatka, której ojciec wciąż do mnie nie oddzwonił, mimo że nagrałam mu trzy wiadomości, a każda kolejna była coraz bardziej nieprzyjemna i ponagląca.

Podjęcie decyzji, że pomogę Lav, to jedno, ale rzeczywista pomoc to zupełnie inna sprawa. Kiedy patrzyłam, jak moja siostrzenica pisze pod stołem wiadomość, przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Hej, mała – rzuciłam. – Nie siadamy do stołu z telefonem. – Wyciągnęłam rękę, a ona zaskoczona uniosła głowę.

– Ciocia ma rację – odezwała się spokojnie Rachel.

Lavender przewróciła oczami i przesunęła aparat po stole w moją stronę.

– Po śniadaniu możesz go ode mnie odebrać – powiedziałam.

– Może lepiej po obiedzie – dodała Rachel.

Szybko udałam się z telefonem do swojego pokoju. Za minutę albo dwie się zablokuje, a nie znałam hasła. Jake nie odbierał moich telefonów, ale może odbierze, jeśli zadzwonię z tego numeru. Zamknęłam drzwi i usiadłam na sofie.

Dopiero po chwili go znalazłam, bo z przyzwyczajenia szukałam pod literą „j”. W świecie Lavender numer Jake’a znajdował się pod hasłem „tatuś”. Dotknęłam go i zobaczyłam, że trzęsą mi się ręce. To nie było słowo, które przynosiło mi szczęście.

Odebrał. I to szybko, bo po drugim sygnale.

– Lav? – zapytał bez tchu.

– Zgadnij jeszcze raz.

– Jezu!

– Dwa do zera – powiedziałam jędzowatym tonem.

To było podłe, ale po raz pierwszy, odkąd Jake pozbył się mnie ze swojego życia, jakbym była jakimś guzem, mogłam być dla niego naprawdę nieprzyjemna. Kiedy tamtego grudniowego wieczoru stanął w progu domu rodziców, wcisnął mi wino i ruszył na poszukiwanie mojej siostry, zbyt mocno byłam wytracona z równowagi. Tamtego wieczoru unikałam go, a potem wyjechałam na studia do Savannah. Rachel studiowała w Richmond, więc stosunkowo niedaleko Norfolk, ale byłam pewna, że ich związek nie przetrwa. Jake nie wydawał się wystarczająco dobry dla mojej siostry, a ona żywiła przekonanie, że zasługuje na to, co najlepsze. Miałam nadzieję, że nie da się nabrać na jego nowe pieniądze i nowy nos. Kiedy się zaręczyli, szukałam ucieczki w dobrych manierach i zachowywałam się aż do przesady uprzejmie. A gdy został ojcem mojej siostrzenicy, ta uprzejmość okazała się obowiązkowa. Ale teraz? Przez te wszystkie lata nagromadziło się we mnie naprawdę dużo złości.

– Czemu dzwonicz z telefonu mojej córki? Jest z tobą? – zapytał.

– Nie wiesz? Ty chyba żartujesz, JJ – powiedziałam z niedowierzaniem. – Czemu do niej nie zadzwoniłeś?

Pauza.

– Rachel mi zabroniła. – Może nawet on usłyszał, jak beznadziejnie to zabrzmiało, bo dodał zaraz defensywnym tonem: – Poza tym przyjechałem do domu. Nikogo nie zastałem. Coś się stało Lavender?

– Oczywiście, że tak, ty palancie. Fizycznie nic jej nie dolega, jeśli to masz na myśli, ale jej tata zaginął – odparłam. – Z każdym kolejnym dniem, kiedy ty się ukrywasz, ona cierpi coraz bardziej.

– To skomplikowane – warknął.

– Pozwól, że ci to uproszczę – odwarknęłam. – Zadzwoń do swojego dziecka. Jeśli potrzebujesz pozwolenia, to ci go udzielam. Jeśli potrzebne ci jaja, w tym akurat nie pomogę, bo wygląda na to, że pozwoliłeś Rachel zapakować je i przywieźć ze sobą do Birchville. Błagaj, pożycz albo ukradnij, ale je zdobądź. I zadzwoń do swojego dziecka. Dzisiaj. Po południu. Po obiedzie dostanie z powrotem telefon.

– Obie są z tobą w Alabamie? – zapytał Jake. – Dobrze się czują?

– Nie. Nie czują się dobrze. Kiedy najważniejsza osoba cię porzuca, masz wrażenie, że wyszarpnęła ci świat spod stóp i zabrała ze sobą. Lądowanie jest długie i z całą

pewnością nie miękkie. – Nie miałam na myśli tylko Lav. Mówiłam także w imieniu samej siebie, broniąc dziecka, którym byłam wtedy, kiedy jako Lay i JJ wszystko robiliśmy razem. Wtedy, kiedy mnie przeleciał, a potem odleciał. – Coś takiego potrafi zniszczyć. Zapytaj, skąd to wiem.

– Pijesz do siebie? – zapytał. Starał się, aby to zabrzmiało lekceważąco, ale słyszałam, że oddech mu przyspieszył.

– Do siebie? Nie. I nie chodzi także o Lavender czy Rachel. Chodzi o ciebie. Ile razy możesz robić coś takiego, JJ? Myślisz, że masz dziewięć żyć, jak jakiś kot? Rób tak dalej, a w wieku dziewięćdziesięciu lat będziesz sobie musiał szukać nowego domu opieki, bo zrobisz w jajo swojego współlokatora. Za każdym razem, kiedy narobisz bałaganu, konsekwencje pozostawiasz tym, którzy najbardziej cię kochają. Spróbuj przeprosić. Spróbuj wszystko naprawić. Z doświadczenia wiem, jak to jest, kiedy zrywasz kontakt i dajesz nogę, bo nie potrafisz stawić czoła temu, co narobiłeś. Ja zapłaciłam za to, co narobiłeś wtedy. Płaci za to każdy facet, z którym się spotyka, a przecież byłam tylko twoją najlepszą przyjaciółką. Tu chodzi o twoją żonę. Tu chodzi o twoje dziecko. Jeśli mu to zrobisz, nie wystarczy, że zwiejesz do Oregonu, aby uciec od samego siebie. Japonia nie wystarczy. Nawet Mars. Będziesz musiał się udać aż do piekła, a jeśli nie zadzwonisz teraz do swojej córki, jeśli porzucisz ją bez słowa, jakby była niczym, zasłużysz na to, aby tam zostać.

Z całą pewnością płakał, ale milczał. Ja także. Nie miałam mu nic więcej do powiedzenia.

Rozłączyłam się. Ręce potwornie mi się trzęsły. Wykrzyczałam JJ'owi słowa, które gniły mi w ustach od dwudziestu lat. Czułam się dziwnie świeżo i czysto. Chciałam go prosić, żeby mi obiecał, że zadzwoni do Lavender, ale w końcu tego nie zrobiłam. Jego obietnice są warte tyle co nic, lży zresztą też. Możliwe, że żal mu się zrobiło JJ'a, że płakał z powodu biednego Jake'a, nie Lavender. Zadzwoni albo nie zadzwoni. Nie miałam nad tym kontroli. Ale, Boże, tak się cieszyłam, że w końcu mu wygarnęłam prawdę.

Miałam ochotę delektować się tą chwilą, jednak do wyjścia zostało jakieś sześć minut. Przeczesałam szczotką włosy potargane po nocy i ponownie założyłam luźną, ukrywającą Digby'ego spódnice. Obecnie w zasadzie chodziłam tylko w niej, spodniach dresowych i piżamie. Położyłam dłonie na brzuchu i wzięłam trzy głębokie oddechy, żeby uspokoić szybkie bicie serca. Tyle się działo, że moje emocje były niczym wiatraczek, lekkie i poruszane najłżejszym wiatrem. W kościele nie mogłam stracić panowania nad sobą ani mówić tego, co myślę.

Idąc korytarzem, zmówiłam szybką modlitwę. Birchie nie była sobą, a zamierzała wkroczyć do jaskini lwa. Nie puszczę jej tam samej.

Przez ulicę przeszliśmy jak mała formacja bitewna. Najpierw ja i Lavender, a każda z nas miała swój powód, żeby prowadzić. Za nami Wattie i Birchie w swoich kapeluszach, sukienkach w kwiaty i butach na niskim obcasie, czyli w południowej wersji bożej zbroi. Orszak zamykała Rachel, poważna i milcząca.

Miałyśmy pecha, bo przed prezbiterium stała Martina Mack w kwiecistej sukni i rozdawała biuletyn. Za nią wyrastał znajomy budynek z czerwonej cegły z wysoką, białą iglicą sięgającą pogodnego nieba. Kiedy nas zobaczyła, na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie, a zaraz potem ogromna, paskudna radość. Przywołała się do porządku tak szybko, że nie miałam pewności, czy widział to ktoś oprócz mnie. Wcisnęła plik kartek swojej prawej ręce, Gayle Beckworth, która rozdawała je po drugiej stronie wejścia, i stanęła u szczytu schodów.

Do kościoła wchodzili właśnie Grangerowie i Lesterowie, ale zatrzymali się, kiedy zobaczyli, że Martina wyraźnie na nas czeka. Widziałam, jak od strony rynku zbliża się rodzina Fincherów. Jerry Fincher był najmłodszym z diakonów. Kiedy on i jego żona nas ujrzeni, Polly Fincher wzięła na ręce towarzyszące im dziecko i przekazała je mężowi, a potem tak szybko zaczęła pchać wózek z młodszym malcem, że aż podskakiwał na wybojach.

Lavender, nieświadoma tych wszystkich niuansów, szybkim krokiem pokonała schody, a potem ominęła Martinę i weszła do środka, rozglądając się za przyjaciółmi. Zostałam ja, linia obrony między Birchie i Martiną. Wszystkie trzy wchodziłyśmy powoli, mając na względzie chore kolana Wattie. Kiedy dotarłam do ostatniego stopnia, Martina Mack wyprostowała się i wyciągnęła chudą szyję, by spojrzeć ponad moim ramieniem na Birchie.

– Tak się cieszę, że przyszedłeś – rzekła, i wcale nie kłamała. Uśmiechnęła się tak chłodno, że niemal zobaczyłam w niej Violence.

– Ja też się cieszę – odparłam, mimo że nie kierowała swoich słów do mnie.

Mówiła do Birchie, jakby moja babcia była sama. Gorzej niż sama. Jakby Birchie była jagnięciem stojącym na stoku.

– Wiesz, że mój wnuk planuje małą wycieczkę do... Charleston?

To pytanie samo w sobie było tak niewinne, że aż zamrugałam zdziwiona. Charleston? A cóż to za nowe piekło?

– To miło. Jest cudowna pogoda na plażowanie – odparła grzecznie Birchie.

Wattie zmrużyła oczy.

– Nie wydaje mi się, aby Cody znalazł czas na plażę – oświadczyła głośno Martina. – Będzie odwiedzał te wszystkie stare cmentarze.

Na słowo „cmentarze” cała się spięłam. A więc miało to jakiś związek z kośćmi? Czasy Birchów w Charleston to była zamierzchna historia. Jeśli kości pochodziły z tamtego okresu, to powinna być dla nas dobra wiadomość.

Nic w rekinim uśmiechu Martiny, tak szerokim, że słońce odbijało się od jej sztucznej szczęki, nie mówiło jednak, iż ma dla nas dobre wieści. Sally Gentry i cała rodzina Boydów wyszli z kościoła, żeby zobaczyć, co się dzieje. Za nami słyszałam

kolejnych wchodzących po schodach. Martina miała coraz większą widownię. Jakieś dziecko się rozplakało. To był synek Polly Fincher. Nie spodobało mu się podskakiwanie w wózku, więc musiała zwolnić swój sprint ku temu dziwnemu przedstawieniu i go uspokoić. Zbliżali się także państwo Gentry'owie i Cobbowie. Ale niestety nie Frank Darian.

– Chodzenie po cmentarzu w taki upał to chyba nieszczególna przyjemność. No ale każdy z nas lubi coś innego – powiedziała Birchie. Dzisiejszego ranka naprawdę była sobą.

– Skoro mowa o upale, to moja babcia nie powinna tak tu stać – odezwałam się.

Zrobiłam krok do przodu, ale to mnie tylko przybliżyło do Martiny Mack. Nie ruszyła się z miejsca. Wydzielala zapach kwaśnego potu i gotowanych jajek. Stałyśmy krępująco blisko siebie, lecz nie ustąpiła. Birchie i Wattie stanęły za mną. Zrobiłam krok w bok i teraz trzy starszki stały naprzeciw siebie.

W otaczającym nas tłumie dało się wyczuć atmosferę wyczekiwania. Bez względu na to, jakie obciążające plotki znała Martina Mack albo jakie sama wymyśliła, wyglądało na to, że już się nimi podzieliła. Miałam co do tego pewność, dlatego że spojrzenia mieszkańców Birchville zmieniły się od ostatniego tygodnia, kiedy przynoszono nam te wszystkie ciasta i zapiekanki. Wtedy towarzyszyła im ciekawość i troska. Teraz niektórzy wyglądali na niezdecydowanych, inni na skonsternowanych, a kilka osób wręcz emanowało wrogością. Wyjęłam telefon i wystukałam szybką wiadomość do Franka Dariana: „Czy Martina Mack wie o czymś, o czym my nie wiemy?”

– Cody na pewno znajdzie grób twojego ojca – kontynuowała Martina. – Prawda? Mógłby zapalić znicz w twoim imieniu. Zawsze uważałam, że to dziwne, iż pochowałeś ojca w Charleston. Kiedy wsiadłaś do tamtego pociągu, wszyscy sądziliśmy, że zamierzasz przywieźć jego ciało do domu. Ani razu nie pojechałaś już potem do tego miasta, ani razu przez te wszystkie lata, które się znamy, więc pewnie byś się ucieszyła, gdyby ktoś zapalił znicz na jego grobie. – W głosie Martiny Mack pobrzmiwała nuta udawanej zadumy.

Włoski na karku stanęły mi dęba. Czy ona sugeruje, że kości należą do ojca Birchie? Nie mogła tego wiedzieć, ale jeśli wszystko wymyśliła, to była w tym całkiem dobra. Czy Cody jej coś powiedział?

Lisbeth i Jack Barleyowie także wyszli z kościoła i ominęli Gayle Beckworth, która przyglądała się nam szeroko otwartymi oczami, przyciskając do piersi gruby plik biuletynów. Przybywało coraz więcej rodzin: ludzie wchodzili po schodach, wyciągali szyje i nastawiali uszu, mimo że Martina nie przekazywała im żadnych nowych informacji.

Całe Birchville wiedziało, że Ellis Birch zmarł w Charleston na zawał, wiedziało, że Birchie pojechała tam, aby ratować rodzinną fortunę, i że pochowała go na miejscu. Kiedy wróciła, od razu wzięła ślub z mężczyzną, którego Ellis nigdy nie uważał za wystarczająco dobrego dla swojej córki. Młodszy mieszkańcy słyszeli tę historię. Starsi byli jej świadkami. Ale, och, jak bardzo pełen insynuacji ton Martiny ją zmienił! W kontekście starych, suchych kości te stare, suche fakty nabrały ciała i krwi.

Tymczasem Martina mówiła dalej:

– Na pewno będzie chciał zobaczyć na własne oczy ten legendarny grób. Mówiłaś, że gdzie dokładnie w Charleston pochowałaś ojca?

Czułam na sobie spojrzenie wiernych czekających na odpowiedź Birchie. Większość wydawała się bardziej zaintrygowana niż wrogo nastawiona i czekała, aż Birchie zaprzeczy, wyjaśni, obroni się. Im dłużej milczała, tym bardziej spojrzenia stawały się powątpiewające, niespokojne i nieprzyjazne.

Stojąca za Wattie Rachel miała twarz pokerzysty, a może rzeczywiście nie zwracała uwagi na to, co się dzieje. Gdyby chociaż na piętnaście sekund dała się wyrwać z tego letargu! Była świetna w tego typu sytuacjach. Nie знаła historii Birchville, starych zatargów i przyjaźni splecionych ze sobą tak ciasno, że tworzyły materiał życia w małym miasteczku, ale była na tyle wyrobiona towarzysko, iż mogła się teraz przydać. Dostrzegła moje błagalne spojrzenie i wzruszyła lekko ramionami. Kto by pomyślał, że ramiona Rachel wiedzą, jak to się robi.

– Dobry Boże... pani Mack, prawda? Ten pani Cody to ma doprawdy makabryczne upodobania – oświadczyła. Wzrost pozwalał jej zerkać ponad ramieniem Birchie. – Zwiedzanie cmentarzy? To jak najgorsza z możliwych tablica na Pinterest.

To było słabe, ale przynajmniej próbowała.

– Zamierza dać nam pani ten biuletyn? – warknęłam do Gayle Beckworth. – Birchie musi usiąść.

Mnie także oblepiała cienka warstwa potu, nie tylko dlatego, że musiałam stać w porannym słońcu. Jeśli Birchie zjawiała się tutaj, aby wy badać temperaturę, odpowiedź była jasna. Było gorąco i robiło się coraz goręcej. Nie zakwestionowała oskarżenia Martiny, no i upał stawał się coraz trudniejszy do zniesienia.

– Ale dlaczego nie sprowadziłaś jego ciała do domu? – zapytała głośno Martina. – Wy, Birchowie, jesteście naszą pierwszą rodziną. – Nie zdołała zaradzić temu, że tym słowem towarzyszyła odrobina goryczy.

Chciałam zareagować, ale się bałam. Nie miałam pojęcia, jak pewne są jej informacje.

Jeśli kości należały do Ellisa Bircha, to czy Birchie... Mój umysł zatrzymał się, bo nie chciał iść w tym kierunku. Ale musiałam coś powiedzieć. Naprawdę się bałam, co ciała Lewy'ego mogą kazać zrobić Birchie, jeśli Martina nie przestanie naciskać. Zerknęłam na babcię i zobaczyłam, że drgają jej lekko nozdrza. Stres pogarszał jej stan, a tej sytuacji trudno było nie określić mianem stresującej.

Martina zrobiła krok w stronę Birchie, odkaszlnęła i oświadczyła:

– Twój tato to jedyny Birch, który nie spoczywa w waszej rodzinnej krypcie w Birchville.

Wattie trzymała Birchie pod ramię i widziałam, jak zaciska na nim dłoń: było to zarówno przypomnienie o jej obecności, jak i ostrzeżenie. Birchie poklepała uspokajająco dłoń przyjaciółki i uśmiechnęła się słodko.

– Ja jestem Birchem – powiedziała czysto i odważnie. – Ja jestem Birchem, a nie spoczywam w tej krypcie.

Nie powiedziała: „jeszcze nie”.

Nie musiała tego mówić, aby wszystkim przypomnieć, że jest chora. Gorzej niż

chora. Umierająca. A ta oślica Martina Mack kazała jej stać na tych schodach w palącym słońcu.

– Przepuść ją! – odezwała się surowo pani Partridge, ale tylko ona.

– Chodź – szepnęła Wattie do ucha Birchie.

Zrobiły razem krok do przodu, tymczasem Martina wykonała przeczący jej wiekowi skok do tyłu i Wattie znowu musiała się zatrzymać. Albo zatrzymać, albo pchnąć tę drobną, jędzowatą staruszkę.

– Nie waż się na mnie pchać – rzuciła Martina do Wattie tonem, którego nigdy by się nie ośmieliła użyć w stosunku do Birchie. Spojrzenie jej zimnych, płazich oczu przesunęło się po Wattie. – Nie waż się na mnie pchać przed moim własnym kościołem!

– To także jej kościół – odezwała się Birchie. – Co drugi tydzień.

Ale to nie była prawda. Wiedziałam, że nie. Zwłaszcza nie dzisiaj. Czułam, jak przez tłum przechodzi fala poruszenia i negacji.

– Och, panno Wattie, biedne te pani kolana! Proszę wejść do środka i usiąść. Panno Birchie, musi pani natychmiast zejść z tego słońca! – zawołała Polly Fincher, przepychając się w naszą stronę. Zostawiła swoje dzieci z mężem i przybiegła po schodach od drugiej strony. Posłała Martinie Mack miażdżące spojrzenie i dodała: – Nie powinna pani przypadkiem rozdawać biuletynów?

W drzwiach obok Gayle pojawił się Cody Mack. Zamiast munduru miał na sobie brązowy garnitur. Popatrzył na nas, po czym zaczął się przepychać przez tłum.

– Babciu! Babciu!

Ujął Martinę pod ramię i odciągnął ją na bok. Weszli do kościoła tuż przed nami. Byłam zdenerwowana i dotarło do mnie, że powinnam się cieszyć, iż Martina Mack to taka podła starucha.

Policja znalazła jakiś dowód albo uzyskała informacje z zakładu medycyny sądowej, wykazujące związek kości z Ellisem Birchem. Wcale nie mieliśmy się o tym dowiedzieć, ale Cody nie potrafił trzymać buzi na kłódkę. Martina także.

Gayle wyciągnęła w naszą stronę biuletyn. Trzymała go w dwóch palcach, jakby podawała stare mięso stada dziczyńskich zwierząt.

Birchie posłała jej świdrujące spojrzenie i powiedziała:

– Dziękuję ci, moja droga.

Weszliśmy do przedsionka. Czerwone ściany wydawały się takie jaskrawe, a długie stoły z drewna tekowego miały zielony odcień, niemal jadowity. Nie potrafiłam przestać pytać samej siebie, czy to prawda.

Birchie upierała się, że przecież wiem, kto był w skrzyni. „Powiedziałam ci tego pierwszego wieczoru po twoim przyjeździe. Powiedziałam ci podczas kolacji”.

Wtedy nie miałam pojęcia, o czym mówi. Ale teraz? Insynuacje Martiny zaczynały rzucać światło na słowa Birchie. Tego pierwszego wieczoru, nad pieczonym kurczakiem i sałatką z dojrzałych pomidorów, zapytałam ją, czy chce, bym zdjęła portret Ellisa.

„Myślisz, że tak łatwo można się pozbyć mojego ojca z tego domu? To niemożliwe! Możesz spalić ten portret, ale on nadal tu będzie”.

Słodki Jezu, ona mówiła poważnie? Jeśli w skrzyni rzeczywiście spoczywał Ellis Birch, to miała rację: do usunięcia go z domu trzeba było trzech Darianów, skradzionego

samochołu i policji.

Polly Fincher niemal ciągnęła nas teraz w stronę prezbiterium. Ludzie, których znaleźliśmy od lat, zbijali się w ciasny tłum; część próbowała się od nas odsunąć, część stanąć tak, aby mieć na nas lepszy widok. Było to jak mozolne brnięcie przez ludzkie błoto.

Wyjęłam telefon i wysłałam do Franka krótki esemes: „Gdzie jesteś? Policja uważa, że kości należą do Ellisa Bircha. Niedobrze”.

– Tak bardzo nas wszystkich zasmuciła wiadomość o pani chorobie – rzekła głośno Polly i spiorunowała wzrokiem otaczających nas wiernych.

Kiedy weszliśmy do prezbiterium, w naszą stronę ruszył pastor Rick. Jego długie, białe ręce trzepotały niczym zdenerwowane ptaki.

– Och, a więc wszyscy się zjawili! Witam! Witam, panno Birchie. Polly ma rację, wszystkich nas smuci wieść o pani kłopotach. To znaczy kłopotach ze zdrowiem. Wszystkich kłopotach. Och, nowa twarz! Gość. Kim jest pani ładna koleżanka? – zwrócił się do mnie. – To na pewno siostra, tak? Matka małej Lavender? – Jakby już przed tygodniem nie dotarły do niego plotki o przyjeździe Rachel, najpóźniej piętnaście sekund po tym, jak jej samochód zaparkował pod domem Birchie. – Mogę odprowadzić panią do ławki? – zwrócił się do Birchie.

Otaczały ją teraz przyjazne twarze; z jednej strony miała Wattie, z drugiej – Polly. Z tyłu stałyśmy ja i Rachel. Pastor Rick zrobił krok w prawo, jakby planował zastąpić Wattie.

– Jest w dobrych rękach, dziękuję, pastorze – powiedziała stanowczo Wattie.

Wszyscy zamarliśmy, gdy stanął tak, jakby się spodziewał, że Wattie się odsunie. Nie zamierzała tego robić. Wzniosła oczy ku niebu. Pewnie prosiła Jezusa o to, by rzucił okiem na tę niedorzeczność. Birchie spiorunowała pastora wzrokiem. Prędzej rozlegną się dźwięki trąb, a zza wzgórza wyłoni się pierwszy z czterech jeźdźców Apokalipsy, niż ona zastąpi Wattie tym tumanem.

Minęło sześć pełnych skrępowania sekund, aż w końcu pastor Rick cofnął się o kilka kroków, przesadnie gestykulując.

– Tędy, drogie panie! Tędy!

Zerknęłam ukradkiem na telefon. Frank odpisał: „Już się tym zająłem. Spotkamy się na balkonie?”.

– Idź z nimi – szepnęłam do Rachel.

Kiwnęła głową, a ja się odwróciłam. Po obu stronach przedsionka znajdowały się schody prowadzące na balkon. Przeszłam szybko przez nawę, skręciłam w lewo i zobaczyłam Cody’ego Macka. Prawie na niego wpadłam. Nie przeprosiłam. On też nie.

Spojrzałam na niego gniewnie, żałując, że nie jestem wyższa, i powiedziałam:

– Niech twoja babcia trzyma się z daleka od Birchie, słyszysz? – Mówiłam cicho, ale tak groźnie, jak tylko potrafiłam.

– Nie gniewaj się na nią – odparł, lecz w jego głosie nie było skruchy.

– Macie rozmawiać z nami tylko za pośrednictwem Franka. Birchie nie jest sobą, a co zrobiła twoja babcia? To było podłe i sąd spokojnie mógłby uznać, że to z twojej strony próba przeprowadzenia przesłuchania.

Zabrzmiało to jak groźba. Nie sądziłam, aby to Cody wysłał Martinę – według mnie jej długi język oddał nam przysługę – ale chciałam mieć cholerną pewność, że uda mu się powstrzymać jej zjadliwość.

– Birchie winna jest nam odpowiedzi – rzekł – ale na jej korzyść pewnie przemawia fakt, że jest bogata.

– Żebyś wiedział.

Nie przyjąłem postawy obronnej, bo to była prawda. Czyjaś inna babcia, biedna i bez ochrony, chora czy nie, sama musiałaby sobie radzić z pytaniami policji. Moja była Birchem w Birchville. Panującym Birchem. Kiedy Cody zobaczył, że jego słowa nie robią na mnie wrażenia, przestąpił z nogi na nogę, jakby coś go swędziało. Nachylił się w moją stronę tak bardzo, że czułam jego oddech zalatujący kwaśną kawą i starym bekonem.

– Bogata czy nie, prawo poważnie traktuje ojczybóstwo.

Minęła cała sekunda, nim do mnie dotarło, że Cody Mack miał na myśli ojcobójstwo. Musiałam się bardzo starać, żeby nie wybuchnąć histerycznym śmiechem.

Spory przeskok od „czy to Ellis Birch?” do „zabójstwo!”. Nie potrafiłam jednak nie myśleć o tym głębokim pęknięciu widocznym na czaszce. Nie byłam w stanie uciec przed logiką Hugh Dariana: ciało osób niezamordowanych nie chowa się do skrzyń.

Pokręciłam głową. To niemożliwe, aby już wiedziano, że kości należą do Ellisa Bircha. Nie tak szybko. Pewnie tylko zgadują, a przecież mogą się mylić.

W głowie jednak słyszałam Birchie: „Myślisz, że tak łatwo można się pozbyć mojego ojca z tego domu? To niemożliwe! Możesz spalić ten portret, ale on nadal tu będzie”.

Cody uśmiechnął się nieprzyjemnie, a jego górna warga odkleiła się od zębów jak u zadowolonego z siebie osła.

– Może powinnaś ją przyprowadzić na komisariat. Pozwolić jej powiedzieć praw... – zaczął, ale w tym momencie stare organy zaczęły wygrywać pierwsze akordy pieśni *Jak błogo wiedzieć*.

Zaskoczyło nas to. Kościelne dzwony nie zdążyły jeszcze wybić dziesiątej. Najwyraźniej pastor Rick przyspieszył początek nabożeństwa. Cody odwrócił się na pięcie i puścił biegiem do prezbiterium.

Poczułam ulgę i równie szybko udałam się w stronę schodów po lewej stronie. Na balkon wchodziła tylko młodzież i pamiętam, że kiedyś zbieraliśmy się wszyscy z prawej strony. Weszłam tam i przekonałam się, że nastolatki rzeczywiście siedzą po drugiej stronie. Grupa nie była tak liczna jak przed laty. Birchville z każdym rokiem coraz bardziej się starzało, ale zgromadziło się tu ze dwudziestu paru nastolatków, a pośród nich Lavender. Frank jeszcze się nie pojawił.

„Jestem po lewej stronie”, napisałam do niego i usiadłam w pierwszej ławce.

Popatrzyłam w dół i poszukałam wzrokiem Birchie. Najpierw znalazłam Wattie, jedyną brązową plamę w tym morzu jasnego różu. Rachel zajmowała miejsce po drugiej stronie Birchie. Próbowałam z tej perspektywy wybadać, jak reagują wierni – na Birchie i jej chorobę, na kości i nieszczególnie zawołowane oskarżenia Martiny.

Wierni rozproszyli się po świątyni, przez co było wyraźnie widać dziwny brak równowagi. Tylko podczas ślubów zajmowano miejsca zgodnie z przynależnością do

rodziny pana młodego albo panny młodej. Teraz każdy obecny tu osioł tłoczył się po stronie pana młodego, za Mackami. Kilka rodzin zostało z nami po lewej stronie; dołączyła do nich większość starych rodów, które zazwyczaj zajmowały miejsca pośrodku: Alstonowie, Gentry'owie, siostra Franka Dariana i jej dzieci. Spora część wiernych przeniosła się na środek i teraz wierciła się ze skrępowaniem w swoich nowych ławkach.

Wcześniej sądziłam, że choroba Birchie na swój sposób jej się przysłuży, ale ona trzymała ciała Lewy'ego w tajemnicy, rozbiła dwa małżeństwa i pozbawiła kościół jednego pastora. Byłam gotowa się założyć, że Martina Mack sączyła truciznę do każdego ucha, jakie tylko napotkała na swojej drodze. Birchie z kolei zaszyła się na wzgórzu, w swoim wielkim, białym domu. Nasze milczenie wyglądało jak przyznanie się do winy. Niezadowolenie miasta rosło z każdą chwilą, którą Birchie spędzała w domu bez słowa wyjaśnienia.

„Jak błogo wiedzieć: Jezus jest mój!

Jakże te słowa słodzą mój znój!”

– śpiewał chór, kołysząc się w tych swoich długich, niebieskich szatach.

Teraz wiedziałam, dlaczego Cody Mack tak ode mnie uciekł. To on odmawiał dziś modlitwę otwierającą nabożeństwo, dlatego siedział na podwyższeniu na jednym z trzech krzeseł, tuż obok pastora. Fotel drugiego pastora pozostawał pusty. Jeannie Anne także nie było.

„On życie z nieba, wieczny w Nim dział
i odpuszczenie grzechów mi dał”.

Połowa chórzystów jakby się zawahała. Szkoda, że pastor Rick nie wybrał hymnu, w którym nie ma mowy o grzechach. Jeśli w następnej kolejności odśpiewają *Dni Eliasza*, jak nic dojdzie do zamieszek przy wersie o kościach.

Pastor już prawie kończył kazanie, z którego zresztą nie słyszałam ani słowa, kiedy Frank Darian w końcu wślizgnął się do mojej ławki.

– Przepraszam, rozmawiałem przez telefon – szepnął mi do ucha. – Mam w prokuraturze znajomego, który wisi mi przysługę, więc zadzwoniłem do niego. Nie jest dobrze.

– Mów. – Wzrok miałam wbity w pastora Ricka. Birchie miała rację: mocno się pocił.

– Regina Tackrey otrzymała wstępny raport antropologa sądowego. Twierdzi, że kości mają więcej niż pięćdziesiąt lat. Ale niewiele więcej.

Serce mi zamarło. Ellis nie żył od mniej więcej sześćdziesięciu. To nie była dobra wiadomość, a Frank jeszcze nie skończył.

– To mężczyzna rasy białej, leworęczny. Lewą nogę miał kiedyś złamaną w trzech miejscach...

– Wszystko wskazuje na Ellisa Bircha.

– Dość mocno, zwłaszcza noga – potwierdził Frank. – Mają pewną teorię i teraz muszą ją udowodnić.

– Cholera – rzuciłam. – Jak to zrobią?

– Tackrey zamierza wystąpić z wnioskiem o wykonanie badań DNA. Birchie

i kości.

Pastor Rick skończył, więc wierni wstali, szykując się na hymn zamykający nabożeństwo. Śpiewała mniej więcej połowa, więc trudno mówić o harmonii.

„Pokładam nadzieję w Jezusie Panu,
Jego miłości i dobroci;
Jego imię to dla mnie świętość,
Choć nie śmiem patrzeć w Jego oczy”.

– Ale najgorsze jest coś innego – szepnął Frank. – Uszkodzenie czaszki. Jeśli to Ellis Birch... Cóż, antropolog twierdzi, że dostał w głowę czymś w rodzaju młotka ciesielskiego. Od tyłu.

„Chrystus to moja opoka;
Nie ma na świecie drugiej takiej...”

Pokręciłam głową. Nie mogłam sobie wyobrazić Birchie z młotkiem i złymi zamiarami. Czy choćby samym młotkiem. Drewniana łyżka, ogrodowy szpadel, patelnia – pewnie. Ale młotek? Nigdy nie widziałam, żeby sama wbiła gwóźdź w ścianę. Miała staroświeckie poglądy na temat podziału prac na męskie i damskie. Do takich rzeczy wołała Franka.

– Mogą to zrobić? Kazać jej się poddać testowi DNA?

Frank lekko kiwnął głową.

– Myślę, że tak. Ten wstępny raport daje Tackrey prawdopodobną przyczynę zgonu, Leia. Będę próbował temu zapobiec, ale owszem.

„Wszystko inne to ruchome piaski...”

Popatrzyłam na Birchie. Stała blisko Wattie, a głowy miały pochylone nad wspólnym zbiorem hymnów. Oczywiście znały tekst. A nawet gdyby było inaczej, słowa wyświetlano na wielkich ekranach wiszących po obu stronach chrzcielnicy. A jednak stały, przygarbione ramię obok przygarbionego ramienia, biodro obok biodra, i wpatrywały się w książeczkę, jakby ekrany w ogóle nie istniały. Na widok białego koczka Birchie nachylającego się ku srebrzystej aureoli włosów Wattie, zalała mnie fala uczucia tak intensywnego, że ledwie zdołałam je zidentyfikować.

To była miłość. Miłość albo jakieś inne, jeszcze nienazwane uczucie, zbliżone do miłości. Przetaczało się przeze mnie, wstrząsało mną całą. W tej chwili nie dbałam o to, czyje kości były w skrzyni, czyja dłoń trzymała przed laty młotek. Nie miało to żadnego znaczenia.

Pomyślałam, że tak właśnie się rodzą czarne charaktery.

Przyglądałam się temu, co kochałam, i mówiono mi, że to coś dopuściło się czegoś bardzo złego. Czy to Birchie i młotek ciesielski zapoczątkowali tę potworną historię? Miałam to gdzieś. A gdyby Birchville zwróciło się przeciwko mojej babci? Zjadłabym je. Zjadłabym je żywcem.

Tego wieczoru to ja zajęłam się Birchie. Miałam niemal pierwotną potrzebę opiekowania się jej ciałem, kochaną i coraz słabszą powłoką, w której kryła się moja babcia.

To był długi i stresujący dzień. Choć po południu ucięła sobie drzemkę, słowa wypowiedane przez nią podczas kolacji raczej nie miały sensu. Wattie jednak powiedziała, że nie możemy jej pozwolić na wcześniejsze pójście do łóżka. Zmiana w rutynie okazałaby się dotkliwsza niż zmęczenie.

Zaprowadziłyśmy ją do pokoju, kiedy zegar wybił siódmą.

Zatrzymała się w progu i położyła mi dłoń na ramieniu.

– One zjedzą wszystkie cynie!

– Nie szkodzi – odparłam. – Posadźmy więcej cynii.

– Te niedobre króliki za bardzo się mnożą! – oświadczyła, dźgając mnie palcem.

– Chcesz słyszeć świerszcze czy ocean? – zapytała Wattie.

Birchie przechyliła głowę, nasłuchując czegoś, czego ja nie słyszałam. Rozluźniła się.

– Świerszcze.

– Zawsze wybiera świerszcze – wyznała Wattie, gdy weszłyśmy do pokoju. – Ja bym nie dała rady przy nich zasnąć, mówię ci. Ale ona je lubi.

W pokoju Birchie wiodły prym kolory charakterystyczne dla wczesnego lata. Jej zamiłowanie do stylu wiktoriańskiego tutaj było jeszcze bardziej widoczne niż w pozostałej części domu, począwszy od szarozielonej tapety w kwieciste pnącza aż po wzory na tapicerce foteli i obitej pluszem ławy, stojącej przed łóżkiem. Pomogłam jej dojść do drewnianego łóżka z wysokim, rzeźbionym zagłówkiem. Po obu stronach stały niewielkie komody z wiśniowego drewna, służące jako stoliki nocne. Tę pod oknem Birchie wciąż nazywała „komodą Floyda”, mimo że była wdową już od ponad półwiecza.

Podczas gdy Wattie podeszła do toaletki, aby włączyć urządzenie emitujące biały szum, ja pomogłam Birchie usiąść na brzegu łóżka. Następnie przyklęknęłam przed nią i zsunęłam jej buty. Nie założyła pończoch. Dwadzieścia lat temu, albo nawet dziesięć, gdybym zasugerowała, żeby wyszła z domu bez pończoch, choćby to był czerwiec, choćby miała na sobie sukienkę sięgającą połowy łydki, zapytałaby mnie, czy poszliśmy wczoraj spać w Alabamie, a obudziliśmy się w Babilonie.

Jej boscie stopy wyglądały młodziej niż reszta ciała. Co piątek ona i Wattie chodziły do salonu manicure na rynku, gdzie zajmowano się także ich stopami. Pięty miała wypumeksowane, paznokcie w kolorze koralowym.

Wattie zaciągnęła adamaszkowe zasłony. Teraz niemal jedynym źródłem światła stała się lampka nocna, stojąca obok łóżka. Następnie z westchnieniem, które mi powiedziało, jak bardzo jest zmęczona, usiadła na fotelu pod oknem. Stamtąd dawała mi instrukcje.

Najpierw w stopy, łydki i dłonie Birchie wmasowałam balsam o zapachu różanym. Rozpuściłam jej włosy, wsuwki włożyłam do szklanej misy, stojącej na komodzie, a potem wzięłam do ręki szczotkę. Różowa skóra prześwitywała przez cienkie pasma,

kiedy zaplatałam warkocz.

Birchie wstała i uniosła ręce jak małe dziecko, żebym mogła zdjąć jej suknię przez głowę. Pod spodem miała staromodną halkę z koronką na górze i dole. Ją także zdjęłam. Dziwnie mi było widzieć babcię w dużym, zwyczajnym staniku i majtkach, które określało się właśnie mianem babcinych. Ostatnimi czasy sama takie nosiłam, luźne, bawełniane i niebieskie na cześć Digby’ego. Majtki Birchie były różowe. Rozpięłam jej stanik i pomogłam go zdjąć.

W ubraniu Birchie wyglądała jak kluska: mała, gładka i okrągła. Naga składała się z fałd i zmarszczek. Piersi wisiały nisko, sflaczały, poprzecinane rozstępami. Miękki brzuch opadał aż na majtki. Uda miała jak u niemowlęcia, z mnóstwem fałdek, ale wyglądało to jakoś tak smutno. Te fałdki nie były wypełnione dobrym tłuszczem, pochodzącym z mleka. To była głównie skóra, zmarszczona i obwisła.

Zalała mnie fala czułości. Każdy fragment tego kochanego, starego ciała świadczył dobitnie o zmęczeniu, ale był także piękny. W to ciało została wpisana historia: w rozstępy zostawione przez mojego ojca, w pooperacyjną bliznę na brzuchu i bliznę po oparzeniu na wewnętrznej części lewej ręki. To ciało od dziewięćdziesięciu lat walczyło z grawitacją. Digby obrócił się we mnie, a moja Birchie stała przede mną naga i ziewała jak małe dziecko.

Ponownie uniosła ręce, a ja założyłam jej przez głowę długą koszulę nocną. Następnie zaprowadziłam ją do łazienki, gdzie pomogłam wyjąć i umyć sztuczną szczękę oraz zaaplikowałam wieczorne lekarstwa. Czekają już w małym kubeczku obok zlewu; do znanych mi wcześniej leków dołączyły dwa nowe: żółto-pomarańczowa kapsułka i mała niebieska pigułka, która wyglądała jak koralik.

– Nie było tam aspiryny – rzekłam do Wattie, kiedy powoli wróciłyśmy do łóżka.

– Ją akurat bierze rano – odparła Wattie i odsunęła kołdrę.

Narzutę zdążyła już ułożyć na obitej pluszem ławie. Spojrzałam na nią z szacunkiem. I przeprasza ją.

– Robisz to wszystko co wieczór? – zapytałam. Przez ostatnią godzinę siedziała na fotelu, ale i tak wyglądała na wykończoną.

Kiwnęła głową.

– Jezu, Wattie. Powinnaś mi była pozwolić... – urwałam. Kogoś zatrudnić? Już próbowałam. Birchie położyła temu kres. Pomóc? Nie miałam pojęcia, że potrzebna jest aż tak duża pomoc.

– Gdybym to ja odchodziła pierwsza, ona zrobiłaby to samo – rzekła Wattie. – Nie miej co do tego żadnych wątpliwości.

Nie miałam. Wattie była małą, gładką kluską w luźnej sukni, ale artystka we mnie potrafiła zajrzeć pod materiał. Wiedziałam, że jej ciało także jest naznaczone historią. Historią, której ja nigdy nie poznam. Birchie ją jednak znała. Opiekowały się sobą nawzajem przez całe życie, razem przeżyły młodość, małżeństwo, macierzyństwo, choroby, straty i sekrety.

– Potrzebuję samolotowych skarpet – odezwała się Birchie, nieco sepleniacz bez zębów.

Spojrzałam pytająco na Wattie.

– W szufladzie obok łóżka.

Otworzyłam ją i zobaczyłam miękkie skarpety w najróżniejszych kolorach. Na żadnych nie dostrzegłam samolotów, a poza tym Birchie latanie określała mianem „niedorzeczności”. Ani ona, ani Wattie ani razu podczas długiego życia nie wsiadły do samolotu.

– Raz przywiozłaś jej takie skarpety z lotniska – wyjaśniła Wattie. Ledwie to pamiętałam. – Bardzo jej się spodobały. Frank pomógł nam zamówić przez internet kolejne pary.

Przykłękałam i założyłam skarpetki na jej stopy. Przyszła pora, aby ją położyć do łóżka i otulić kołdrą. Nie zrobiłam tego jednak. Nadal klęczałam i na nią patrzyłam.

Frank nie kazał pytać. Może lepiej było nie wiedzieć, jednak wiedziałam, że wkrótce i tak się dowiem. Powie mi to nauka. Wołałam usłyszeć prawdę z ust, które kocham. I tak nic się nie zmieni, bez względu na to, co usłyszę.

– Birchie – powiedziałam. – Birchie, czy to Ellis? Czy w tamtej skrzyni jest twój ojciec?

Spojrzała na mnie, a oczy miała błyszczące i tak bardzo niebieskie. Uniosła rękę i poklepała mnie lekko po policzku.

– Tak, skarbie – rzekła niemal takim tonem, jakby jej było mnie żal.

– Leia... – odezwała się Wattie. Dzwonek ostrzegawczy, który zignorowałam.

– Ty go tam wsadziłaś? – zapytałam.

– A pewnie, że ja.

Z tej perspektywy wyglądała jak lalka z głową w kształcie jabłka. Posłała mi bezzębny uśmiech dziecka, szeroki i słodki.

– Czy ty... – O to akurat nie potrafiłam zapytać, ale ona i tak udzieliła mi odpowiedzi.

Uniosła rękę i zgięła ją w łokciu, zaciskając dłoń na wymyślonej rękojeści. Opuściła rękę, raz, zdecydowanym ruchem.

– Boże, Boże. Nigdy nie zapomnę tego dźwięku. Dźwięku łamanej kości. Brzmiało to jak chodzenie po żwirze.

Poczułam, że mam problem z oddychaniem. Podawała tyle szczegółów, że brzmiało to bardzo prawdopodobnie.

– Ale to na pewno była samoobrona – oświadczyłam z pewnością w głosie. W Birchville imię jej ojca łączono ze takimi słowami jak „surowy” i „dumny”. „Znał swoją wartość i pilnował, aby inni także ją znali” – tak zawsze mawiała Myra Rhodes, kiedy w jej obecności wspomiano o Ellisie Birchcu. Był „panem Birchem” dla wszystkich mieszkańców miasteczka, z wyjątkiem córki. Dla niej był „tatusiem”. To on musiał ją do tego zmusić. Kiedy wypowiedziałam kolejne zdanie, zabrzmiało jak pytanie: – Nie miałaś wyboru?

Birchie popatrzyła mi w oczy.

– Miałam wybór. To ja go dokonałam – odparła, ale to mogło znaczyć dosłownie wszystko. Na przykład że wybrała, czy żyć, czy umrzeć lub czy uratować kogoś, komu groziło niebezpieczeństwo. Chciałam, aby był to wybór, który oczyszczał ją z winy, ale ona mówiła dalej: – Siedział w fotelu i czytał gazetę. Stałam za nim.

Ponownie wykonała gest ręką i przypomniała mi się Rachel. Wirginia nie miała drużyny baseballowej, więc Rachel była fanką Bravesów. Tomahawki, tak na siebie mówili ona i Jake, kiedy zakładali czerwone koszulki i zapraszali znajomych na wspólne oglądanie meczu.

– To ciała Lewy’ego przez ciebie przemawiają. To nieprawda – powiedziałam do Birchie, ale sama sobie nie uwierzyłam.

Zadrżały jej nozdrza, a w spojrzeniu dostrzegłam surowość. Irytowałam Birchie, prawdziwą Birchie, tę, która nam towarzyszyła podczas porannych godzin, popołudniowych chwil i wieczornych sekund.

– Dość tego. Jest już za późno, żeby się denerwować – odezwała się Wattie. W rękę trzymała należący do Birchie rozlatujący się egzemplarz *Perswazji*. – Idź już. Pozwól mi ją położyć i poczytać jej przed snem.

Stałam na korytarzu nie wiem jak długo, płacząc i słuchając przez drzwi elektrycznych świerszczy i głębokiego, kochanego głosu Wattie. Płakałam, bo przez całe moje życie na strychu spoczywały kości mojego pradziadka. To moja Birchie je tam ukryła. Teraz była taka krucha, chora i niewinna jak niemowlę. Pomyślałam o jej małej dłoni z krótkimi paznokciami w kolorze koralowym i niebieskimi żyłkami. Nie potrafiłam sobie wyobrazić tych pooranych zmarszczkami palców zaciśniętych wokół trzonka młotka.

Ona nawet nie miała młotka. Ale gest, który wykonała, wyglądał pewnie i zdecydowanie. Kiedyś zamachnęła się młotkiem na drugą osobę, na własnego ojca. Kiedy powiedziałam Lavender, że my, Birchowie, mamy pecha do ojców, och, cóż to było za niedomówienie.

Ellisa Bircha znano jako człowieka dumnego, ale i dobroczyńcę tego miasteczka. Czy był przy tym okropny? Nawet jeśli, znałam wielu okropnych ludzi. Gdyby bycie okropnym stanowiło wystarczający powód, z czaszek połowy ludzi wystawałyby trzonki młotków. Cody’ego Macka sama dziś miałam ochotę walnąć. Pozwolić Violence zjadać papierowych ludzi to jedno, ale w prawdziwym życiu? Kochane starsze panie nie zabijają swoich tatusiów i nie trzymają ich zwłok na strychu.

Z wyjątkiem mojej kochanej starszej pani.

W końcu się wypłakałam. Cała prawda i wszystkie łzy świata nie zmieniłyby mojej decyzji. Ta potężna fala miłości, która mnie zalała, kiedy stałam na kościelnym balkonie, nie odpuściła. Była potężniejsza niż prawda czy łzy.

Zawsze uważałam siebie za osobę przestrzegającą prawa, ale teraz miało być inaczej. Nie byłam nawet pewna, co w takiej sytuacji można uznać za właściwe zachowanie. I tak nie zamierzałam w ten sposób postąpić. Zamiast tego postanowiłam wykorzystać każdą dostępną broń, aby chronić moją Birchie. Współczucie, opinię publiczną, jej pozycję w mieście, pieniądze. Wykorzystam wszystko.

Gdyby Birchie była młodsza i w pełni poczytalna, możliwe, że decyzja nie okazałaby się taka prosta. Ale było za późno, żeby kazać jej płacić za coś, czego dopuściła się wiele lat temu. Prawo może i nie przewidywało przedawnienia dla zabójstwa, ale sprawiedliwość przegapiła dogodny moment.

Z twarzą wilgotną od łez, ale zdecydowana, czekałam na Wattie, słuchając przez

drzwi, jak czyta o Anne Elliot, kapitanie Wentworthcie i utraconej młodości.

W końcu się doczekałam. Wattie ledwie trzymała się na nogach, ale wystarczyło, że na mnie spojrzała, i zaraz rzekła:

– Chodź, smutasku. Potrzebujesz gorącej herbaty.

Powinłam była pozwolić jej pójść spać, ale nie mogłam.

– Myślę, że obie jej potrzebujemy – rzuciłam, gdy szłam za nią do kuchni.

Prychnęła.

– Zapomnij, skarbie. Po dzisiejszym dniu? Ja potrzebuję bourbona.

Zaskoczyła mnie. Birchie należała do baptystów, ale była bogatą białą baptystką, co znaczyło, że raczyła się sherry, w Boże Narodzenie piła szampana i przechowywała butelkę bourbona jako lekarstwo na szok i katar. Wattie, żona pastora, rzadko miała w ustach alkohol.

Na dole było pusto. Rachel i Lavender najwyraźniej udały się już do swoich pokoi. Wyjęłam kubki, miód i herbatę ekspresową Dobry Sen, a Wattie nastawiła wodę. Nie odzywałyśmy się do siebie, dopóki nie usiadłyśmy w kuchennej wnęce, każda z kubkiem parującej herbaty. Do swojej Wattie wlała solidną porcję bourbona. Gdy wzięłyśmy po łyku, skrzywiła się, jednak nawet wtedy milczała.

– Chcę poznać powód – odezwałam się.

Wydawała się zaskoczona.

– Nie mogę ci go podać.

– Nie możesz czy nie chcesz?

Wzruszyła ramionami. Dodała do swojej herbaty miód, wymieszała, odłożyła łyżeczkę i uniosła ręce, pokazując mi jasne, pomarszczone wnętrza dłoni, jakby chciała udowodnić, że nie kryją się tam żadne odpowiedzi.

– Musisz mieć jakieś podejrzenia. Domysły. Cokolwiek.

– Mogłabym czynić tysiąc domysłów, ale tylko Birchie i Jezus wiedzą, co siedziało w jej głowie, co siedziało w jej sercu, kiedy zakradła się z młotkiem w dłoni.

Wzdrygnęłam się, ale nie odpuściłam.

– Myślisz, że Floyd wiedział, dlaczego to zrobiła?

Kąciki ust Wattie opadły.

– Jezu, nie. Ten złoty człowiek! On nie wiedział nawet o skrzyni na strychu.

– Skąd ta pewność? – zapytałam.

Wattie spojrzała na mnie znad krawędzi kubka, pociągnęła kolejny łyk herbaty i powiedziała:

– Tamto pierwsze lato po ich ślubie? W domu unosił się zapach. Bardzo słaby, rozumiesz, bo naprawdę porządnie przygotowałyśmy tę skrzynię. Wyłożyłyśmy ją folią i wapnem. Czasem jednak przez otwory wentylacyjne coś było czuć. Tamtego lipca Floyd cztery razy przeszukiwał piwnicę, by znaleźć oposa czy skunksa, który tam zdechł – rzekła Wattie, po czym pociągnęła spory łyk gorącego płynu. – Nie wiedział.

Mój umysł uczepił się słów „przygotowałyśmy” i „wyłożyłyśmy”.

– Więc byłaś tam, kiedy ona... Kiedy to się stało? Widziałaś?

Nie takie było pytanie. Chciałam wiedzieć, ile drobnych staruszek w tym domu dopuściło się zabójstwa z premedytacją, a ona zdawała sobie z tego sprawę.

– Nie, kotku. Kiedy tu przyszedłam, było po wszystkim. Zdążył ostygnąć. Nigdy nie zapomnę dotyku jego skóry, kiedy go dźwigałyśmy. Była jak nawoskowana. Leżał na dywanie, a obok niego pogięta gazeta. Na stoliku stała szklaneczka porto, więc doszło do tego po obiedzie. Wezwała mnie tylko dlatego, że nie zdołała sama go podnieść, a on zaczynał już sztywnieć.

Słowa Wattie były takie rzeczowe, takie spokojne. W ogóle nie mrugałam. W ustach także miałam sucho, ale nie napiłam się herbaty. Moje gardło zdawało się nie pamiętać, jak się przełyka. Musiałam kazać płucom oddychać, bo one także straciły tę umiejętność.

Te słowa były dla mnie nowością, lecz Wattie żyła z nimi już sześćdziesiąt lat. Możliwe, że dawno temu pogodziła się z tym, w czym brała udział. Choć może i nie, bo teraz jednym haustem wypila całą zawartość swojego kubka, a wiedziałam, że herbata jest jeszcze gorąca. Dała jednak radę, choć na jej czoło wystąpiły maleńkie krople potu. Odstawiła kubek.

– Ty też wypij. Potrzebujesz cukru. Jesteś blada jak ściana.

– Tak się akurat złożyło, że do niej wpadłaś? – zapytałam i posłusznie napiłam się herbaty.

Pokręciła głową.

– Nie. Zadzwoiła do mnie. Było już po dziesiątej. Telefon o tak późnej porze oznaczał, że albo ktoś umarł, albo się pali. Głos miała pełen napięcia i powiedziała coś w rodzaju: „Wattie, możesz przyjść? Musisz mi pomóc spakować tatusia”.

Prychnęłam i zakrztusiłam się lekko herbatą.

Wattie chyba nie zrozumiała tej makabrycznej gry słów. Klepała mnie po plecach, aż przestałam kaszleć, a potem mówiła dalej.

– Powiedziała, że jej tatuś ma kłopoty finansowe. Okropne, dodała. Jak tylko skrzynia będzie spakowana, wyjeżdża do Charleston. Sprytnie to wymyśliła, bo dzięki temu miasteczko miało o czym mówić. Fortuna Birchów znalazła się w niebezpieczeństwie. Nic dziwnego, że przez kilka kolejnych dni chodziła taka blada i zdenerwowana. „Jest już starą panną. Co zrobi, jeśli jej tatuś rzeczywiście wszystko stracił?”, tak mówili. Pieniądze Birchów zapewniały utrzymanie sporej części miasteczka, a ludzie i tak fascynowali się historią z cyklu „od milionera do pucybuta”.

Włała do kubka kolejną porcję burbona. Dodała miód. Wymieszała.

– Kiedy powiedziała, że umarł na zawał w Charleston, mieszkańcy jej uwierzyli. To przecież Emily Birch. Oczywiście, że uwierzyli. Pomocne okazało się to, że od zawsze był tęgi i czerwony na twarzy. No i miał wielki brzuch. A jaki był dumny! Wszystko dusił w sobie. Zgon z powodu zawału to coś dokładnie w jego stylu. Nie miał ani jednego bliskiego przyjaciela. Odcinał siebie i Birchie od innych i siedział na tym swoim wysokim, gównianym tronie.

Zaskoczyły mnie jej słowa. Słyszałam, jak Ellisa Bircha opisywano jako człowieka dumnego, ale z reguły towarzyszył temu ton szacunku. Wattie urwała i napiła się gęstego, słodkiego płynu. Skrzywiła się.

– No i Birchie pojechała do Charleston. Wszyscy sądzili, że sprowadzi tatusia, złoży go w rodzinnej krypcie. Ona jednak nie wróciła. Nie było jej kilka tygodni. Przysłała

wiadomość, że zatrzymały ją jego problemy finansowe i że tam go pochowała. Nie był to może doskonały pomysł, ale wydawał się całkiem dobry. W Charleston spoczywało mnóstwo Birchów. Kiedy w końcu wróciła do domu, nikt nie wiedział, czy jest bogata, czy biedna. Dla nich to było ekscytujące, jak film. Moja matka pojechała po Birchie na stację, a ja razem z nią. Birchie kazała nam zawieźć się prosto do sklepu Floyda Briggsa. Stał akurat za ladą. Wielu innych też tam było. Birchie – w tamtym czasie nazywano ją jeszcze panną Emily – podeszła do Floyda, a tak między nami, żaden był z niego przystojniak. Widziałas jego portret: rudy, z cerą bladą jak księżyc. Ale miał łeb na karku i odwagę. Z konkurentów Birchie to jego najtrudniej było przegnać. Potrafił się posługiwać słowami i w kościele wsuwał jej do kieszeni karteczki z wierszami. Aż przyłapał go na tym jej tatuś. Floyd był mężczyzną o wielkim sercu. No więc weszła do tego sklepu i oświadczyła: „Kiedyś chciałeś się ze mną ożenić”. Odparł: „Pamiętam”. Ona na to: „Tatuś mówił, że chodzi ci tylko o nasze pieniądze. To prawda?”. Wszyscy w sklepie wstrzymali oddech. Co prawda znajdowało się tam tylko sześć czy siedem osób, ale ja byłam jedną z nich, więc wiem i mogę cię zapewnić: nikt nie oddychał. Floyd rzekł: „Nie, to nieprawda”. Wiedziałam, że majątkowi Birchów nic nie grozi. Ani nie groziło. Ale Floyd tego nie wiedział, tak samo jak całe Birchville. Był pyzaty sklepikarzem, a ona korpulentną starą panną ze zmarszczkami wokół oczu. Ale kiedy przykląkł na jedno kolano i ujął jej dłoń, a potem na oczach Boga i wszystkich jej się oświadczył... Cóż. Byli jak Bogie i Bacall. Wszyscy mówili tylko o tym. Śmierć jej taty zeszła na drugi plan. A później miasto się dowiedziało, że udało jej się uratować rodzinną fortunę. Niektórzy twierdzili, że tak naprawdę zrobił to jej tatuś, tuż przed śmiercią. No wiesz, w tamtych czasach panowie nie lubili myśleć, że to kobieta może stać za sukcesami finansowymi. Mielenie jęczorami trwało dwie niedziele. Potem komuś urodziło się dziecko, czyjaś żona uciekła ze sprzedawcą odkurzaczy, a Stany Zjednoczone wystrzeliły w kosmos satelitę. Elvis wstąpił do wojska. Zawsze było coś nowego, o czym można gadać. Na tym się więc skończyło.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak to było wiedzieć. Patrzeć, jak nic się nie dzieje. Birchie niezwłocznie wyszła za męża, by nie tracić ani dnia, bo każdy kolejny mógł stać się tym, w którym zostanie zdemaskowana. Czas mijał, a gorące lato zrobiło swoje. W domu czuć było trochę padliną, potem jesiennymi liśćmi, aż w końcu niczym.

Mijały lata. Urodziła dziecko. Pochowała męża, a potem syna. Pozwalała, aby gromadzone przez dziesięciolecia meble, książki i kartony coraz głębiej grzebały jej ojca. Kiedy byłam małą, żadna z nich nawet nie mrugnęła okiem, kiedy pytałam, czy mogę się pobawić rzeczami poupychanymi na strychu.

– Nigdy nie zapytałaś jej o powód? – odezwałam się.

– Pomogłam, kiedy mnie o to poprosiła, kotku, i tyle. Kochałam ją. Nadal kocham – odparła Wattie. I się skrzywiła. – Na nim nigdy mi nie zależało.

Z moich ust wydostało się coś na kształt śmiechu. Dźwięk wyrażający zmęczenie i niedowierzanie. Gdyby nie Digby, wlałabym sobie resztę burbona. Może nawet prosto do ust. A tymczasem siedziałam i zaciskałam dłonie na stygnącym kubku, jakby to była lina ratunkowa.

Wattie odsunęła kubek. Skończyła pić, skończyła mówić. Położyła dłonie na stole,

by wstać i pójść spać. Złapałam ją za rękę.

– Dlaczego pomogłaś jej ukryć zwłoki i nawet nie zapytałaś o powód? Dlaczego? – W sypialni mi powiedziała, że gdyby ich role uległy odwróceniu, gdyby to Wattie miała ciała Lewy’ego, a Birchie nadal była w dobrej formie, to zajmowałyby się nią równie troskliwie. Skąd wiedziała? Jakiego rodzaju to była miłość? Miłość, która zapewniała tak wielkie wsparcie, bez względu na wszystko. – Co ona dla ciebie zrobiła?

Wattie poklepała moją dłoń, ale i tak wstała. Kiedy jej nie puściłam, położyła mi rękę na głowie.

– Kochana dziewczyna. Przepadam za tobą od czasu, kiedy byłaś ledwie fasolką w brzuchu swojej mamy, ale to naprawdę nie twoja sprawa. Twoja babcia i ja? Żyjemy na tym świecie już bardzo, bardzo długo. Pojawiłyśmy się na nim w zupełnie innych czasach niż twoje. Bywały wieczory, kiedy te południowe drzewa rodziły dziwne owoce. Rozumiesz mnie? No dobrze, nie rozmawiam o tym całym bałaganie. Nie z ładnymi, białymi dziewczynkami, których stopy dotknęły ziemi wiele lat po tym, jak pochowano doktora Kinga. Powiem tylko jedno: w każdej chwili mojego życia twoja babcia była dla mnie dobrą i lojalną przyjaciółką.

Dłoń Wattie nadal spoczywała na mojej głowie, jakby udzielała mi błogosławieństwa, a w jej brązowych oczach malowała się powaga. Pragnęłam zadać jej tysiąc pytań, ale ona dała mi jasno do zrozumienia, że nie mogę.

Miała rację. Nigdy się nie przekonam, jak wyglądało jej życie osiemdziesiąt, siedemdziesiąt czy pięćdziesiąt lat temu. Czy nawet teraz. Odruchowo objęłam się w pasie, tuląc brązowego chłopca, za którym przepadałam, mimo że był zaledwie fasolką w moim brzuchu.

– Idź spać, Wattie. Jesteś wykończona – powiedziałam.

Zachichotała.

– Kotku, i na dodatek wstawiona. Po raz trzeci w ciągu blisko dziewięćdziesięciu lat, niech mi Pan wybaczy. Ty też idź do łóżka i nie zamartwiaj się, słyszysz? Teraz jest ciężko, ale to minie. Wszystko mija, a wkrótce pojawia się coś nowego. – Zmienił się ton jej głosu. Nie mówiła już o mnie. – Nie da się bez przerwy myśleć o najgorszym, co się w życiu zrobiło. Trzeba ugotować obiad, zatankować samochód. Posadzić więcej cynii.

Odwróciła się i poszła do siebie.

Przez chwilę siedziałam zgarbiona. Miałam wrażenie, iż to już trzecia w nocy, ale zegarek twierdził, że jeszcze nawet nie pora na wieczorne wiadomości. W całym domu panowała cisza. Wszystkie przestawiłyśmy się na tryb życia staruszek. Wczesna kolacja, wczesne pójście spać, pobudka o świcie, żeby pobyć z Birchie, kiedy jest w najlepszej formie. Po ósmej w domu musiało być już cicho.

Wstałam i udałam się do swojego pokoju, gdzie się przebrałam w piżamę i umyłam zęby. Położyłam się, ale nie mogłam zasnąć. Nie wiem, jak długo leżałam, ale w pewnym momencie rozległ się sygnał esemesa.

Ten dźwięk przypomniał mi czas sprzed tysiący lat, kiedy wmawiałam sobie, że te kości to makabryczna scheda po wojnie secesyjnej. Kiedy zadzwoniłam do Jake’a i wypaliłam do niego z grubej rury. Był skończonym palantem, jasne, z drugiej strony nikogo nie zamordował. A przynajmniej nic mi nie było o tym wiadomo.

Usiadłam i sięgnęłam po telefon.
To jednak nie był Jake, a Batman.

„Nie śpisz jeszcze?”

Nie byłam w nastroju na bawienie się w stalking.

„Jestem zajęta sprawami rodzinnymi” – odpisałam, co było prawdą, ale te słowa zabrzmiały ostro. Dodałam więc: „Czekam niecierpliwie na środę”. W odpowiedzi przysłał mi emotikonkę przedstawiającą uniesiony kciuk.

Nie odłożyłam telefonu.

Lavender miała problemy z żyjącym ojcem, a ja obiecałam, że im zaradzę. Co prawda dawno, dawno temu, ale obietnica to obietnica. Mimo wszystko żywiłam nadzieję, że Jake zrobił coś, co było choć namiastką przyzwoitości. Mógł wysłać córce fajną emotikonkę przedstawiającą żabę wymachującą transparentem z napisem „WITAJ”. Mógł napisać: „Naprawdę cię kocham” lub „Sorki, że wygrałaś w konkursie na to, kto ma najbardziej gównianego ojca”.

Pokręciłam głową. Rodzicielstwo nie powinno być takie. Ojcowie nie powinni decydować o tym, czy chcą być ojcami, czy nie, po trzynastu latach od narodzin dziecka. Żyjący ojcowie powinni wykonywać swoją cholerną robotę. „Zakładając, że wiedzą o dziecku”, pomyślałam, ale odsunęłam tę myśl na później. Teraz zajmowałam się Lavender.

Właściwie to było lepiej myśleć o jej problemach i zapuszczać się w zakazane rewiry kłopotów Rachel, zamiast rozważać kwestie typu „brak przedawnienia” i „premedytacja”. Teraz, dzięki bourbonowi, mogłam do tego dodać Wattie i słowo „współwina”.

Nie dawało się pogodzić mojej ukochanej Birchie z osobą, która potrafiła zrobić to co Violence. Widzisz złego człowieka? Zlikwiduj go. Pozbaw go życia, gdy czyta gazetę i raczy się porto. Jedyne, co mogłam zrobić, to mimo wszystko ją chronić. Jake z tym swoim tchórzostwem i problemami finansowymi okazał się czymś o wiele prostszym, bo akurat w tym przypadku racja była po mojej stronie. Mogłam spróbować to załatwić i nie myśleć o...

Chwileczkę. Czy właśnie tak było z Rachel?

Może. Pod sercem nosiłam w tajemnicy dwurasowe dziecko, flirtowałam rozpoznawczo z niemającym o niczym pojęcia ojcem tego dziecka, a mimo to miałam najmniej porąbane życie spośród dorosłych mieszkańców tego domu. Na tę myśl zaczęłam chichotać. Nie potrafiłam przestać. A więc tak było z Rachel. Tak było, kiedy zajmowało się uprzywilejowaną pozycję najmniej porąbanej osoby w rodzinie. Wcześniej w ogóle tego nie rozumiałam. Boże, to była całkiem fajna pozycja. Nic dziwnego, że nigdy nie chciała się nią dzielić.

Kiedy w końcu się uspokoiłam, wysłałam do Jake’a jeszcze jedną wiadomość:

„Zadzwoń do swojej córki. Jeśli tego nie zrobisz, stanę się jak Eryk Krwawy Topór. Możesz by tego pewny, Jake. Na tym etapie jestem zdolna do wszystkiego”.

To była prawda. Krew w przeszłości, morderstwo w genach, Violence w sercu. Wattie wyjaśniła mi sposób działania, ale nikt z wyjątkiem Birchie nie znał powodu.

Zastanawiałam się, ile mamy czasu, nim ciała Lewy’ego przejmą także i tę

odpowiedź.

Spałam naprawdę mocno. Na tyle, że na poduszce widniała strużka śliny. Obudził mnie jakiś dźwięk. Coś jakby kliknięcie.

Mój pokój dzielił ścianę z kuchnią. Nastął już ranek i ktoś robił śniadanie? Było tak ciemno. Zerknęłam zdezorientowana na zegar. Druga cztery.

Wtedy usłyszałam kroki kogoś zbiegającego po drewnianych schodach, które prowadziły do ogrodu.

Usiadłam. Jasna cholera, to kliknięcie to były drzwi.

Od razu się rozbudziłam. Oczami wyobraźni widziałam, jak Birchie chwieje się na tych długich, stromych schodach, a pomiędzy jej nogami biegają wymaginowane króliki. Niecałą sekundę później udało mi się wyplątać z kołdry.

Czy ciała Lewy'ego wysłały ją, żeby coś załatwiła w środku nocy? Wattie mi mówiła, że Birchie niespokojnie sypia. Zdarzało się, kiedy była mocno zestresowana, że wstawała i próbowała wybrać się do ogrodu na maliny, na targ albo, raz, na pogrzeb dawno nieżyjącego męża. Wattie miała lekki sen, a jej pokój znajdował się po sąsiedzku, więc zawsze udawało jej się zatrzymać Birchie i łagodnie odprowadzić do łóżka. Ale Wattie odpoczywała dzisiaj w ciepłych i kochających ramionach burbona.

Podbiegłam do okna i wyrzesałam przez nie. Jeśli to moja babcia, Birchville po raz kolejny będzie miało okazję zobaczyć moją idiotyczną piżamę.

To jednak nie była Birchie, lecz Lavender.

W blasku księżycy widziałam jej jasne włosy. Zdażyła już zbiec po schodach i teraz szła szybko przez ogród ubrana w sukienkę w kolorze cytrynowym, równie widoczną jak jej włosy.

Najgorszy ninja świata.

W jednej ręce trzymała zieloną butelkę – miałam nadzieję, że to sprite – a w drugiej wypchaną czymś foliową reklamówkę. Zmrużyłam oczy. Poduszka? Duży, biały złożony w kostkę koc? Tak czy inaczej, nie było to coś, co chciało się widzieć, jak trzynastolatka wynosi w ciemną noc pełną chłopców.

Ninja był z niej kiepski, ale zapowiadała się na niezłą femme fatale. Wymykanie się w środku nocy na spotkanie z chłopakiem to raczej domena licealistek, a nie uczennic gimnazjum. Pościel i butelka? Zmierzała ku temu, czym ja nie potrafiłam się zająć w sposób odpowiedzialny w wieku trzydziestu ośmiu lat. Digby i ja mogliśmy jej opowiedzieć, jak zakończyła się ta historia.

Lavender zdażyła już zniknąć, ale ja byłam boso i miałam na sobie luźne spodnie od piżamy w różową kratkę, a do tego wyciągnięty czarny T-shirt z napisem „KEEP CALM I WALCZ ZE ZŁEM”. Pomyślałam, żeby otworzyć okno i krzyknąć, aby natychmiast wracała, ale nie chciałam stawiać na nogi całego domu. Rutyna Birchie to świętość, a w Rachel obudziłaby się od razu She-Hulk. Zresztą Lav i tak by mnie nie usłyszała. W uszach pewnie miała słuchawki i wysłuchiwała, jak Selena Gomez śpiewa o byciu *hot*, pocałunkach i dotyku, nie wspominając ani słowem o chlamydii.

Spodnie od piżamy zamieniłam na czarne legginsy, T-shirt zostawiłam – był tak obszerny, że na pewno ukryje Digby'ego i brak stanika – a potem szybko i jak najciszej

przebiegłam przez dom. Nie miałam czasu szukać skarpetek i sznurować converse'ów. Obok drzwi w kuchni Wattie trzymała jaskrawoniebieskie crocsy, buty ogrodowe, jak je nazywała. Wsunęłam w nie stopy i pobiegłam za Lavender. Nie licząc butów i różowych liter na koszulce, całkiem porządny był ze mnie ninja.

Tymczasem Lavender zdążyła zniknąć mi z oczu. Obeszłam dom i znalazłam się na dobrze oświetlonej ulicy biegnącej wokół rynku. Nieszczególnie się zmartwiłam. Wiedziałam, dokąd ona zmierza. Podreptałam w stronę domu Darianów i weszłam na ich trawnik.

Nie było jej tam. Okno w pokoju Jeffreya było zamknięte i ciemne, za to okno Hugh, szeroko otwarte, wypuszczało z domu klimatyzowane powietrze. Z parapetu zwisała neonowa drabina przeciwpożarowa, taka składana, jaką w szafie trzymają rodzice dzieci mających pokoje na piętrze. Hugh w końcu zrobił z niej użytek, a potem rozplynął się w ciemności.

Przez chwilę przyciskałam dłonie do oczu, przeklinając własną głupotę. Kiedy jako nastolatka poznałam, czym jest bezsenność, często się wymykałam, żeby spotkać się z JJ'em. Zabieraliśmy latarki i przesiadywaliśmy na placu zabaw w pobliskim parku, czytając komiksy. Wtedy rzucałam w jego okno kamykami, bo nie było jeszcze komórek. Teraz kamyki były cyfrowe, a Lavender wcale nie musiała iść po Hugh. Przez telefon uzgodnili miejsce spotkania i właśnie tam teraz zmierzali.

Nie sądziłam, aby groziło jej niebezpieczeństwo. Hugh to dobry chłopak. Problem jedynie w tym, że na froncie miłosnym był gotowy na więcej niż ona. Lav nie była na tyle dojrzała, aby zdecydować, jak daleko mogą się posunąć. Trzynastolatka nie powinna podejmować takich decyzji i to do rodziców należy dbanie, by tak się nie działo, ale Lavender prześlizgnęła się przez szczelinę między nimi.

Wykonałam powolny półobrót i przeczesalam wzrokiem śpiący rynek.

Dokąd mogły się udać w letnią noc dzieciaki bez samochodu, ale za to z torbą pełną pościeli i ciałami pełnymi hormonów? Za moich czasów młode pary spotykały się na starym cmentarzu za kościołem. Ruszyłam szybko w tamtą stronę. Pomiedzy kryptami Alstonów i Rhodesów porośnięty trawą teren lekko opadał, zapewniając całkiem sporo prywatności. Bliskość Boga czyniła tam całowanie z języczkiem owocem podwójnie zakazanym. A może chodziło o milczące rzędy starych nagrobków i przyglądające się temu wszystkiemu niszczące anioły?

Pewnego lata, kiedy wybrałam się na nocną przechadzkę, na trawie za kryptą mojej rodziny natknęłam się na Jeannie Anne i jej ówczesnego chłopaka. Za tą kryptą, w której chowano wszystkich Birchów.

Cichy głos w mojej głowie nie mógł nie dodać: „Wszystkich Birchów oprócz Ellisa”.

No dobrze, to był temat, w który nie chciałam się teraz zagłębiać. Kości mojego pradziadka nieustannie mnie prześladowały, nawet wtedy, kiedy przypomniawszy mi się Jeannie Anne leżącą na trawie skąpanej w rosie, złączona ustami z chłopakiem, który wciskał nogę między jej uda. Dłoń zdążył już wsunąć pod jej T-shirt. Ta wyglądała jak żywe stworzenie, które przesuwa się pod cienkim materiałem.

Przeprosiłam i się wycofałam. Nawet mnie nie usłyszeli.

Miałam wtedy szesnaście lat. Na ich widok moje policzki zrobiły się różowe, nie tylko z zakłopotania. Byłam dziwaczką, która jeszcze nigdy się nie całowała, skrępowana w towarzystwie każdego oprócz JJ'a.

„Pewnego dnia to będę ja”, pomyślałam wtedy, wyobrażając sobie, jak wymieniam z jakimś chłopakiem cmentarne pocałunki, a każdy to wyzwanie rzucał śmierci. Nie wyobrażałam sobie, że całuję się z JJ'em. Nigdy. Nie myślałam o nim w taki sposób. Był dla mnie czymś ważniejszym niż jakieś tam zadurzenie. Dlatego pewnie tak łatwo udało mu się mnie zranić.

A teraz w środku nocy szłam szybko w stronę cmentarnej bramy, aby gonić między nagrobkami jego córkę, dlatego że on znowu to zrobił – okropnie się zachował, a potem zniknął. Nie zadzwonił do Lavender. Gdyby to zadzwonił, napisałby mi o tym, choćby po to, żebym w końcu dała mu spokój. Porzucił ją tak, jakby życie było czymś równie błahym jak film, a hitem tego lata okazał się tytuł *JJ to palant. Część druga: Ucieczka JJ'a*.

Tym razem przynajmniej nie siedziałam cicho. Ludzie nie traktowali tego wystarczająco poważnie, zachowując się tak, jakby seks został wymyślony przez nowojorskich speców od reklamy w celu sprzedawania coli i mydła. Seks aplikowano jak aspirynę. „Musisz się po prostu bzyknąć”, mówili ładni ludzie w telewizji i filmach po rozstaniach, podczas kłopotów w pracy i kiedy ktoś miał nos spuszczoney na kwintę. Tak jakby seks był równie prostym grzechem jak zjedzenie drugiej porcji lodów.

Tak naprawdę stanowił potężną siłę. Był częścią natury, tak jak ocean. Mieszkając w Norfolk, sporą część lata spędzałam na plaży z siostrzenicą, gdzie obie traktowałyśmy Atlantyk niczym prywatny brodzik. Pluskając się w nim, łatwo było zapomnieć, jak wielką ma moc. Było fajnie, dopóki ktoś się nie utopił albo nie został zjedzony przez rekina. Z seksem tak samo: był tak przyjemny, że zapomniałam o jego mocy. Zachowywałam się, jakbym miała nad nim władzę, co było doprawdy śmieszne. Seks mnie połknął i wypłuł mocno zmienioną już dwa razy.

Dotarłam do najbliższej bramy prowadzącej na cmentarz zaraz za kościołem. Obejrzałam się na dom babci, widoczny po drugiej stronie ulicy. Był cichy i ciemny. Żadna z nas nie obudziła swoim wyjściem Birchie. To dobrze.

Przeszłam przez bramę. Księżyc wisiał wysoko na niebie, obmywając swoim światłem kruszące się nagrobki i krypty. Na płytach nagrobnych widniały same stare nazwiska. Swoje miejsce mieli tu pierwsi Gentry'owie, Grangerowie i Mackowie. Od ponad stu lat nie było już miejsca na nowe groby. Tylko członkowie pięciu rodzin z kryptami mogli tutaj spocząć, kiedy nadszedł ich czas. Zatrzymałam się za bramą, nasłuchując jakiegoś szelestu albo zdyszanych szeptów. Cisza.

Żałowałam, że nie zabrałam komórki. Zadzwoniłabym do Lavender i poinformowała ją, że ma szlaban. Ewentualnie mogłabym do niej napisać i podążyć za dźwiękiem jej telefonu. Teraz słyszałam jedynie pohukiwanie sowy, tajemnicze i dociekliwe.

Sprawdziłam zбочe między dwiema pierwszymi kryptami, ale okazało się puste. Przeszłam na drugą stronę tak szybko, jak tylko zdołałam, aby zajrzeć między grobowce Darianów i Fincherów, choć wysypana kamykami ścieżka między nimi mocno mi to utrudniła. Na koniec udałam się do krypty rodziny Birch, tej największej, pośrodku

cmentarza. Na granitowej płycie dużymi, surowymi literami wyryto nasze nazwisko. Metalowa bramka była zamknięta, a po obu stronach strzegły jej kamienne anioły. Obeszłam kryptę, ale za nią znalazłam tylko drugą bramę. Wychodziła na park. Rozejrzałam się; on także okazał się pusty. O tej porze zamknięte były wszystkie miejscowe sklepy i restauracje.

Hugh i Lav z każdą minutą coraz bardziej się ode mnie oddalali. Czyżby miejsce schadzek zmieniło lokalizację?

Nasłuchiwałam, kombinując, gdzie pójść jeszcze. Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch, zaraz za tą większą cmentarną bramą. Kiedy się odwróciłam w tamtą stronę, nic już nie zobaczyłam; pozostało tylko wrażenie, że ktoś tamtędy przeszedł.

Nie bałam się, nie w swoim rodzinnym mieście. Nie myślałam także o duchach, choć otaczali mnie zmarli. Słowo, które przychodziło mi do głowy, to „Batman”.

Ale to przecież było niemądre. Birchville to nie Gotham, a Batman był postacią fikcyjną. Niby co tu miałby robić mój Batman? Dla niego na naszą relację składała się zakrapiana alkoholem wspólna noc na zjeździe fanów komiksów, trochę esemesów i coś w rodzaju randki z grą *Words with Friends*. Gdyby rzeczywiście się tu zjawił, oznaczałoby to przyprawiające o gęsią skórkę przekroczenie granicy stalkingu. Nie wyglądał na kogoś takiego.

Nie potrafiłam się jednak pozbyć tego wrażenia. Postać, którą widziałam za bramą, była wysoka, ciemna i z całą pewnością był to mężczyzna. Z uszami. Małymi, spiczastymi uszami na czubku głowy.

Księżyc i cienie jak nic płatały mi figle. To musiał być Hugh, jakiś pies albo nic. Odwróciłam się w stronę drugiej bramy.

W tym momencie z przeciwnej strony dobiegł cichy pisk, wysoki i wesoły. Lavender. Na pewno była gdzieś poza rynkiem, bo w nocy dźwięk niósł się naprawdę daleko.

Wyimaginowany pies (czy Batman) będzie musiał zaczekać. Biegiem ruszyłam przez park, kierując się w stronę Pine Street. Dzięki gumowym butom Wattie nie wydawałam przy tym niemal żadnego dźwięku. Pine kończyła się rozwidleniem na Oak Street. Zatrzymałam się tam, ciężko oddychając i nasłuchując. Wydawało mi się, że słyszę coś z lewej strony. Chyba nie szli w stronę głównej szosy?

O tej porze ulice były puste. Domy, mniejsze niż w okolicy rynku i wybudowane w większości w latach czterdziestych, miały kształt klockowaty.

Nic nie słyszałam, zmówiłam więc krótką modlitwę i pobiegłam w lewo, ku Cypress Street. Na następnym rozwidleniu zatrzymałam się i z dłońmi opartymi na kolanach oraz pochyloną głową próbowałam złapać oddech i coś usłyszeć. Cisza. Albo byli cicho, albo podjęłam złą decyzję i teraz się od nich oddalałam. Dokąd w tej okolicy mogły się wybrać dzieciaki, żeby się trochę poobściskować?

Nie bardzo było gdzie. Gdyby poszli w dół, w stronę Loblolly, dotarliby do stacji benzynowej. Naszła ich ochota na snickersy albo lody? Pokręciłam głową. Hugh na pewno wiedział, że stację zamykano o północy.

Oprócz tego wszędzie wokół stały domy. Kto tu mieszkał?

I to było właściwe pytanie. Nie minęła sekunda, a wiedziałam, dokąd się wybierają.

Wiedziałam także, co kryje się w torbie. Okazało się, że martwiłam się zupełnie nie tym, co trzeba.

Znów puściłam się biegiem. Dzieciaki znajdę na Crepe Myrtle, ale nie miałam ochoty obchodzić całej przecznicy. Poszukałam działki bez psa i ogrodzenia, a potem zrobiłam sobie skrót.

Minęłam klomb azalii i oto znalazłam się na tyłach domu Martiny Mack. Działki nie ogrodzono w całości, ale można było się natknąć na psy.

Usłyszałam, że Lavender coś mówi, Hugh ją ucisza i oboje cicho się śmieją. Miałam nadzieję, że nie obudzą psów Martiny. Hodowała trzy albo cztery, średniej wielkości, z kwadratowymi głowami i małymi oczkami. Swoim szczekaniem obudziłyby zmarłego.

Kiedy skręciłam za róg, zobaczyłam ich. Nie towarzyszył im Jeffrey. Wcześniej miałam nadzieję, że może on także skorzystał z drabiny w pokoju Hugh, ale byli tylko we dwoje. Zatrzymałam się i rozejrzałam. Mieli nade mną ledwie kilka minut przewagi, ale dobrze je wykorzystali.

Hugh miał w dłoni rolkę papieru toaletowego. Przytrzymał za koniec i wyrzucił ją w powietrze. Poszybowała idealnym łukiem, pozostawiając za sobą biały ogon, a potem przefrunęła nad gałęzią wysokiej sosny, która rosła na środku ogrodu przed domem Martiny Mack. Całe drzewo było opatulone papierem; między gałęziami krzyżowały się pasy, intensywnie białe w świetle księżyca. Papierem owinięto także duży krzew gardenii obok skrzynki na listy; białe kwiaty w większości zostały zakryte, tak że całość wyglądem przypominała wielką różę z papieru toaletowego.

Foliowa torba leżała na trawie i dostrzegłam, że zużyli już co najmniej połowę rolek z dużej paki.

– Doskonale! – oceniła scenicznym szeptem Lavender, podziwiając rzut Hugh.

Lav nie poszło tak dobrze. Rzuciła za mocno i papier się rozerwał, a rolka spadła i potoczyła się po trawie. Natychmiast rzuciła się za nią, gibka jak łania i pełna wdzięku.

Upojeni własną zuchwałością, owijali papierem dom w odpowiedzi na paskudne zachowanie Martiny Mack wobec Birchie. W kategoriach zemsty było to zarazem zbyt łagodne – gdybym miała szansę rzucić Martinę na pożarcie sarlaccowi¹², który trawiłby ją przez tysiąc lat, odczuwałabym naprawdę silną pokusę – i zbyt surowe. Nie wolno ozdabiać papierem toaletowym ogrodów i domów starszych pań, nawet tych podłych i złośliwych. Zwłaszcza Martiny, która była taka dumna ze swojego domu z okiennicami z wyciętymi serduszkami i klombów pełnych kwiatów.

Musiałam to zdusić w zarodku, ale widziałam, jaką mają z tego frajdę. Aż miło było patrzeć na to ich niewinne brykanie. A dzisiejszej nocy niewinność była tym, czego bardzo potrzebowałam.

Weszłam na niską werandę, by schować się tam przed blaskiem księżyca. Ręce skrzyżowałam na piersi, chcąc ukryć jasnorożowe litery na koszulce. Ubrana na czarno pozostawałam niewidoczna, więc postanowiłam dać dzieciom jeszcze chwilę. Rano każę im tu wrócić, przeprosić i posprzątać.

Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Drzwi z siatką przeciwko komarom otworzyły się bezszelestnie. Psy były cicho, co oznaczało, że ktoś im tak kazał.

Na werandę wyszła Martina Mack w długiej koszuli nocnej w kwiatki i podomce uszytej z takiego samego materiału. Spod koszuli wystawały chude łydki kończące się puchatymi kapciami. Na jej ramiona opadały siwe, rzadkie włosy. Poruszała się powoli i ostrożnie, a dzieci, pochłonięte swoim małym zamętem, nawet jej nie zauważyły.

Jej górna warga uniosła się jak u zagniewanego osła i zobaczyłam, że zdążyła włożyć protezę. Musiała wszystko widzieć od samego początku. Już miałam się do niej odezwać, zapewnić, że cały proces zostanie odwrócony, kiedy spostrzegłam, co trzyma w rękach.

Tak mnie zaszokował widok dubeltówki, że głos uwiązł mi w gardle. Uniosła broń i wycelowała. Nie w niebo. Nie w ziemię. Martina Mack uniosła lufę starczymi dłońmi pokrytymi plamami i wycelowała prosto w dzieci.

Nie była to kwestia gorąca, lecz wilgotności – tak dużej, że miałam wrażenie, jakbym poruszała się zanurzona w cieczy. Rzuciłam się w stronę broni, brodząc w gęstym i słonym powietrzu. Byłam taka powolna. Moje ruchy wyglądały tak jak Digby’ego, były delikatne i trzepoczące. Lufa przechyliła się do góry; ona także poruszała się powoli. W metalu odbijał się blask księżyca. Dubeltówka to niemal jedyne, co widziały moje oczy, skupione na połyskującej lufie.

Zacisnęłam na niej dłoń. Metal wydał mi się tak zimny, że aż parzący. Broń wierzgnęła raz w moim uścisku jak zwierzę, a ryczący wystrzał okazał się głośniejszy niż zderzenie planet. W tej potwornej chwili, jaka po nim nastąpiła, kiedy dzwoniło mi w uszach, a w powietrzu unosił się smród dymu i chemikaliów, nie potrafiłam stwierdzić, czy okazałam się wystarczająco szybka.

W końcu jednak spojrzałam i przekonałam się, że lufa jest skierowana do góry, jakbyśmy zmówiły się z Martiną, by potraktować śrutem tę wielką, zadowoloną z siebie twarz księżyca.

A potem powietrze na powrót stało się skwarne. Zadrzałam, zlana potem. Dzieciaki rozbiegły się w dwie różne strony. T-shirt Hugh był biały jak ogon czmychającego jelenia. Porzuciły reklamówkę, z której na trawę wysypały się pozostałe rolki papieru toaletowego. Lav wiedziała, że tu jestem? A może zobaczyła po prostu cień, który stanął na drodze Martiny Mack? Kobieta-Kot kontra Potwór z bagien.

W uszach nadal dzwonił mi huk wystrzału, ale teraz z oddali docierał też jazgot szalejących psów. Martina nie miała trzech czy czterech, myliłam się. Miała ich co najmniej tysiąc, a sądząc po coraz głośniejszym ujadaniu, były to piekielne ogary. Ujadały potwornie, bliskie hysterii z radości czy wściekłości, kto to wiedział? Wrzaskliwy chór stawał się coraz głośniejszy, co świadczyło o tym, że wraca mi słuch. Kątem oka widziałam, jak skaczą i się kotłują. Gdyby nie zamknęła za sobą drzwi, rzuciłyby się na mnie.

Martina Mack warknęła, a perłowe protezy zalśniły w blasku księżyca, po czym żyłastymi łapskami szarpnęła za broń. Miała jednak tysiąc lat, a we mnie buzowało tyle adrenaliny, że mogłam się pochwalić supermocą. Ja także szarpnęłam, a siła mojego pociągnięcia wyrwała dubeltówkę z jej rąk. Zapiszczała z oburzeniem.

– Oszalała pani?! – wrzasnęłam jej prosto w twarz. – Postradała pani zmysły, do kurwy nędzy?!

Kobieta, która przed chwilą strzeliła do dzieci, wzdrygnęła się, gdy usłyszała, jak klnę.

– Ci gówniarze wtargnęli na mój teren! Miałam prawo!

– Strzelać? Strzelać do dzieci? Kilka rolek papieru toaletowego stanowiło zagrożenie dla pani życia?

Palce zaciskałam mocno na jej głupiej, głupiej broni i przekrzykiwałam cały ten hałas. Krzyczałam tak głośno, że aż mnie bolało gardło. Zrobiłam krok do tyłu, aby się uspokoić.

Odwróciła się w stronę drzwi i zaskrzeczała:

– Psy! Spokój! – Ujadanie ucichło. Całkowicie. – Siad! – Posłusznie wykonały polecenie. Widziałam, że przyglądają nam się przez siatkę. Ostatecznie były tylko trzy, co wydawało się niemożliwe, zważywszy na hałas.

Mierzyłyśmy się gniewnym wzrokiem, Martina Mack i ja, tak zdenerwowane, że nasze klatki piersiowe zgodnie unosiły się i opadały.

– Oddaj mi broń – warknęła.

– Niby czemu? – odparowałam. – Nie widzę żadnych dzieci, do których można strzelać. Będzie pani szukać jelonka Bambi?

Wyciągnęła rękę.

– Dawaj.

Złamałam dubeltówkę i wyjęłam nabój. Okazał się dziwnie lekki. Podałam jej nienaładowaną broń.

Wyrwała mi ją z rąk.

– Jaka dorosła kobieta przyprowadza nocą bandę nastolatków, żeby dokuczyć staruszce? – zapytała ostro.

Aż mnie zatkało.

– Myśli pani, że to ja ich tu przyprowadziłam?

– Na to wygląda – odparła.

– Wcale tak nie było! Usłyszałam, jak Lavender wymyka się z domu, więc oczywiście udałam się za nią, żeby ją postrzelić. Och, nie, chwileczkę. Przecież to szalone. Wysłałam, żeby ją znaleźć i zabrać do domu. – Nie do końca było to zgodne prawdą. Przecież przez długą chwilę stałam i przyglądałam się temu, co robią. – Kiedy zobaczyłam, co wyrabiają, postanowiłam zgarnąć ich do domu, a rano kazać tu przyjść i przeprosić. Nadal zamierzam tak zrobić. Zjawią się zaraz po śniadaniu, aby wszystko posprzątać, oczywiście jeśli nie zakopie pani w ogrodzie min przeciwpiechotnych, by pourywały im nogi.

Przycisnęła broń do piersi, a na jej twarzy malowało się niedowierzanie. Ona naprawdę myślała, że dowodziłam grupą małoletnich wandalów.

– Martina? – zawołał nagle czyjś drżący głos. To była jej równie wiekowa sąsiadka, pani Teasedale. Należała do metodystów, ale ją znałam. – Nic ci się nie stało? Mam zadzwonić na policję? – Słowo „policja” wypowiedziała, akcentując pierwszą sylabę.

– Nic się nie dzieje, Fanny! Wracaj do siebie! – zawołała do niej Martina.

– Co to za białe coś w twoim ogrodzie?

– Nic się nie dzieje! – powtórzyła Martina. Tym razem jej głos przybrał formę nieprzyjemnego skrzeku i pani Teasedale się wycofała.

Pewnie po to, aby zadzwonić na policję, o ile nie ubiegł jej inny sąsiad. Funkcjonariusz, który miał dziś nocną służbę, pewnie już tu jechał. Błagam cię, panie Jezu, niech to nie będzie Cody...

– Sama to teraz posprzątaj, inaczej każę cię aresztować.

Nachyliłam się ku niej. Byłam krępująco blisko.

– Proszę to zrobić, śmiało. Nie mogę się doczekać, aby opowiedzieć sędziemu, jak wstała pani z łóżka i miała czas, by włożyć protezę. Jak najpierw uciszyła pani psy, żeby dzieciaków nie spłoszyło szczekanie. Jak wielki był księżyc i jakie jasne ciuchy miały na

sobie te niemądre dzieci. Widziała je pani, wiedziała, kim są i co robią. Nie czuła się pani zagrożona, ani trochę, i nie celowała pani w niebo, żeby je nastraszyć. Widziałam. Chciała pani im zrobić krzywdę. Więc śmiało, niech pani wnuk mnie aresztuje, powodzenia. Wykorzystam swój telefon na rozmowę z komendantem, powiem mu, co pani zrobiła, a raniem obie będziemy siedzieć w celi. Dla siebie zaklepuję łóżko.

Wyzywająco wysunęła biodro w moją stronę, jak nie tak dawno Lavender.

– Broń mam naładowaną tylko solą – rzekła nadąsana. – Używam jej do odstraszenia kotów i oposów.

Solą? Nic dziwnego, że nabój wydawał się taki lekki. Mimo to nie zdołałam się uspokoić. Wydzielane przez mój mózg substancje chemiczne dotarły do Digby’ego i teraz kręcił się w brzuchu jak mały bączek. Odetchnęłam głęboko, by spowolnić szybkie bicie serca.

– No cóż, w takim razie zamierzała pani jedynie poharatać im skórę i je poparzyć. Może nawet wybić oko. – Moje słowa aż ociekały sarkazmem i jadem.

– Owszem, zamierzałam lekko poparzyć tych wandalów. I co z tego? Mieliby nauczkę, nic więcej. My, Mackowie, nie zabijamy ludzi. – Dostrzegła wyraz mojej twarzy. Jej górna warga znów się uniosła i odsłoniła sztuczne zęby. Mina, którą zrobiła, była dla mnie tak znajoma, że zamrugalam i zrobiłam krok w tył. Zbliżyła się do mnie, wykorzystując swoją przewagę. – Tak sobie myślę, że w tej małej celi robi się ciasno, kiedy dołączy do nas twoja babcia.

– Nikt nie wyśle Birchie do więzienia – oświadczyłam, ale lekko drżał mi głos i obie to słyszałyśmy. – Ma dziewięćdziesiąt lat. Cierpi na nieuleczalną chorobę.

Martina wzruszyła ramionami i znowu uniosła górną wargę. Boże, znałam tę minę! Z czego ona się tak cieszy? Jej groźba wezwania policji spłynęła po mnie jak woda po kaczce, a ona była z siebie zadowolona jak nie wiem co.

– Może i tak. Ma na tyle dużo pieniędzy, żeby wykupić się i z pięćdziesięciu morderstw. Ale Cody mówi, że każdy, kto jej pomagał, też może trafić do pudła. Takie jest prawo.

Poczułam, że płoną mi policzki.

– Wattie nie miała z tym nic wspólnego – oświadczyłam, nim zdążyłam się ugryźć w język. Powinnam była udawać, że nie mam pojęcia, o kogo jej chodzi.

– Pewnie, że miała. Wszyscy to wiedzą – powiedziała Martina Mack. W jej głosie było słycać pewność. – Jeśli dobrze wyszkolisz czarnucha, będzie równie lojalny jak te psy. – Pokazała kciukiem na siatkowe drzwi, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. Czekala na moją reakcję.

Jej słowa były dla mnie niczym policzek. Zacisnęłam pięść na niewykorzystanym plastikowym pocisku. Czułam, że sól chrzęści i się przemieszcza. Drugą dłoń położyłam na brzuchu, jakby te okropne słowa mogły wypalić załączki uszu Digby’ego.

Cody naprawdę musiał przestać zwierzać się babci. Nie potrafiła trzymać języka za zębami. A więc zamierzali się dobrać do Birchie przez Wattie, ja zaś powinnam to była wiedzieć, jeszcze zanim Martina Mack wypowiedziała te paskudne słowa. Powinnam się była domyślić w niedzielę, gdy usłyszałam wymowną ciszę, jaka zapadła po tym, jak Birchie oświadczyła, że pierwszy zbor baptystów to także kościół Wattie. Kiedy

patrzyłam, jak pastor próbuje zająć miejsce Wattie u boku Birchie. Kiedy Cody zatrzymał mnie w przedsionku z tym grymasem odsłaniającym górne zęby; to dlatego mina zadowolonej z siebie Martiny wydała mi się teraz tak cholernie znajoma.

Widziałam już tę minę u Cody'ego wiele lat temu, kiedy jako uczennica siódmej klasy brałam udział w Letnim Pikniku Młodych Pierwszego Kościoła Baptystów. Trzydzieścioro parę dzieciaków, od szóstej do ostatniej klasy, zajadało się podgrzewanymi w mikrofalówce s'mores¹³, śpiewało *Błękitne niebo i tęczę*, bawiło się w chowanego, a o północy zbierało w kręgu na modlitwę. O drugiej w nocy większość już spała, dziewczęta w salce dla młodzieży, chłopcy w kaplicy. Ja jeszcze nie – kręciłam się, szukając spokojnego miejsca, gdzie mogłabym się zaszyć z komiksem *Mroczny rycerz – Powrót*.

W kuchni natknęłam się na Cody'ego Macka i trzech innych chłopaków z liceum. Robił coś, co dla mnie wyglądało jak magiczna sztuczka. Na pokrytym linoleum kontuarze łączącym kuchnię z salą parafialną stała miska z wodą.

– To jest rzeka – odezwał się, wcale nie szeptem, a ton jego głosu powiedział mi, że szykuje się coś niegrzecznego.

Było trochę tak jak przed rokiem, kiedy przemycił butelkę drinka Fuzzy Navel. Łyka dostał każdy dzieciak, który o trzeciej w nocy jeszcze nie spał. Cierpiałam na bezsenność i okazałam się najmłodszą osobą w tej grupie. W łańcuchu pokarmowym znajdowałam się najdalej, więc butelkę dostałam jako ostatnia, kiedy na dnie zostało ledwie pół centymetra pomarańczowego płynu w temperaturze pokojowej. Przez wiele lat sądziłam, że alkohol smakuje głównie jak ślina, ale dzięki temu, że uznano mnie za część grupy, poczułam się odważna i dorosła. Dlatego teraz, zamiast wyjść, podeszłam z ciekawością do kontuaru.

Cody zabrał z kuchni solniczkę i pieprzniczkę; odwrócił tę pierwszą nad miską.

– Widzicie? Oto białe dzieci pływające w rzece Coosa. Fajnie im tam, no nie? – Od razu napięły mi się mięśnie brzucha. Domyśliłam się, co powie, jeszcze zanim wsypał do wody trochę pieprzu.

– Ale potem zjawiają się te wszystkie małe czarnuchy.

Oczywiście, że znałam to słowo. Słyszałam je w szkole. Słyszałam je w tym tygodniu w Montgomery z ust zażywnego mężczyzny w domu towarowym Dillard's. Ale nie w świątyni Birchie. Zawsze robiło mi się gorąco, kiedy je słyszałam. Ale tutaj? Tutaj brzmiało o wiele gorzej. Po południu w kościele zjawiała się Wattie, aby nauczyć nas robić krówki. Przygotowaliśmy trzy blachy, a ona pocięła je na duże kwadraty. Kiedy usłyszałam, jak jedna z osób, która zajadała się jej pysznymi krówkami, wypowiada to słowo, poczułam się jak podczas jazdy kolejką górską.

– Nie mów tak – odezwał się wysoki, nieszczęśliwy głos. Mój głos.

Cody Mack mnie zignorował. To znaczy prawie.

– No więc białe dzieci pływają teraz razem z tymi małymi czarnuchami, brudzącymi ich fajną białą rzekę. – Nie mówił bezpośrednio do mnie, ale wystarczyło, że odpowiednio zaakcentował słowo.

Jeden z chłopców, James Beecham, odezwał się:

– Ja nie... ja...

Ale głos miał drżący i cichy, a Cody Mack wziął do ręki butelkę płynu do naczyń i wszedł mu w słowo.

– Och, patrzcie! Oto nadchodzi KKK¹⁴! – Wlał do wody trochę płynu, a unoszące się okruszki pieprzu weszły w reakcję chemiczną i odpłynęły na brzeg miski. Sól pozostała na dnie.

Cody Mack i inni chłopcy zaczęli się śmiać, z wyjątkiem Jamesa Beechama, który był zielony na twarzy. Za nic nie chciałam spojrzeć mu w oczy, bo wiedziałam, oboje wiedzieliśmy, że powinniśmy byli zrobić więcej, powiedzieć więcej, powstrzymać ich. Ale James był pryszczatym chudzielcem. Ja byłam Birchchem, lecz przyjechałam tu tylko na wakacje. Tamci chłopcy chodzili do drugiej klasy liceum, grali w baseball i mieli gdzieś to, co mówią dziewczyny, zwłaszcza płaskie jak deska dziwaczki z gimnazjum.

Zamiast tego napotkałam spojrzenie Cody'ego, a na jego twarzy dostrzegłam minę, którą dwadzieścia pięć lat później zobaczyłam u jego babci. Ta unosząca się z zadowoleniem ośła wargą... Cody zachowywał się tak, jakby to on był właścicielem Pierwszego Kościoła Baptistów, budynku wzniesionego przez moją rodzinę ku czci wiary nawołującej do miłości i miłosierdzia. Jednak to słowo i cała kryjąca się za nim historia dały mu władzę. Jego szydercze usta, brudne od krówek Wattie, ochoczo wypowiedziały je przy mnie, dokładnie tak, jak usta Martiny teraz.

W tej zastygłej chwili otaczające mnie Birchville przełamało się na pół. Nie, nie tylko Birchville. Zobaczyłam, że istnieje drugie Południe.

Kochałam je przez całe życie, choć wiedziałam, jak bardzo jest rozbite i nadal dręczone spuścizną niewolnictwa, wojny i segregacji. Dzieliły je historia i tysiąc niewidzialnych murów. Mieliśmy Kościoły czarny i biały, a wąskie przejście między oznaczonymi kolorami stolikami na stołówce w liceum stanowiło niewidzialną przepaść pełną smoków. Mimo to zawsze uważałam swoją ojczyznę za całość. Myliłam się.

Południe było niczym ten będący złudzeniem optycznym rysunek kaczki, która jest jednocześnie królikiem. Pierwszą dostrzegałam zawsze kaczkę z okrągłymi, wesołymi oczami i dziobem, który zdawał się uśmiechać. Ale jeśli minimalnie zmieniałam kąt widzenia, kaczy dziób przekształcał się w spłaszczone uszy. W oczach czaił się strach i widziałam już tylko poważnego królika. Dwa Południa były jak ten rysunek. Istniały osobno, ale pozostawały ze sobą tak połączone, że bez żadnego ruchu mogłam przenieść się z jednego do drugiego.

Południe, gdzie przyszedł na świat, to słodka herbata, przyzwoitość i Jezus. I to było prawdziwe miejsce. Wychowałam się tu, bo tu mieszkała moja rodzina. Rodzina Wattie także miała tutaj dom. Na tym drugim Południu przyzwoitość oznaczała cienką zieloną plandekę zakrywającą mroczną historię. Obydwa zawsze były obecne, obecne w każdym centymetrze kwadratowym, w obu Kościołach, przy obu stołach. Martina Mack przeniosła mnie z mojego Południa do swojego, choć stałyśmy dokładnie w tym samym miejscu.

Mackowie przychodzili na świat i wychowywali się na tym drugim Południu. Mieszkali tam przez całe życie, jakby nie istniała żadna inna opcja. Ich spojrzenia nigdy się nie przesuwają. Nigdy nie widzieli kaczki, a nawet jeśli zaczynali ją dostrzegać, zamykali oczy albo kłamali, że nie widzą. A ja? Nie chciałam widzieć królika.

Upuściłam plastikowy nabój, bo teraz brzuch musiałam chronić obiema dłońmi. W samym środku tej nocy skąpanej w blasku księżyca zapuściłam się na drugie Południe i przekonałam, że moje Południe to luksus, z którego dotąd nie zdawałam sobie sprawy.

Po raz pierwszy dotarło do mnie, że pod sercem noszę chłopca, który zawsze będzie to odczuwał. W tej akurat chwili, ukryte we mnie, moje dziecko było chronione przez grubą warstwę białej skóry. Jeśli chciałam, mogłam oglądać tylko najlepszą wersję Południa. Ale kiedy mój syn przyjdzie na świat? Mój syn z brązową skórą? On nie będzie miał wyboru.

Już wcześniej wiedziałam na pewno, że nie będę chciała wychowywać tego chłopca w Birchville, ale nie rozumiałam dlaczego.

Drugie Południe zamierzało dopaść także Wattie. Wattie, która przez część parafian w Pierwszym Kościele Baptystów była mile widziana, lubiana i ceniona. Jednak znajdowały się też ławki zajmowane przez ludzi, których mentalność tkwiła głęboko w drugim Południu. Tolerowano Wattie jako dodatek do Birchie. Osoby siedzące w nich nie pamiętały o tym, że nie była – ani teraz, ani nigdy – pracownicą Birchie. Skoro mogły skierować oczy wszystkich w miejsce, gdzie Wattie jest niczym więcej jak tym brzydkim słowem, mogli ją także zniszczyć.

Tylko ja wiedziałam, jaki był jej udział w wydarzeniach sprzed sześćdziesięciu lat, ale wszyscy widzieli, że pomogła Birchie przenieść skrzynię. Ukradła mi samochód i rozbiła go, próbując chronić moją babcię. To Birchie wyrządziła najwięcej złego. Wattie była bezbronna, tak jak Birchie nigdy nie była i nigdy nie będzie. I właśnie ta niesprawiedliwość tak bardzo mną wstrząsnęła.

– No to rzuć się na nią, ty rasistowski śmieciu – oświadczyłam teraz i uniosłam wysoko głowę, by dopasować się do Martiny. Przypomniał mi się zaciekły upór Wattie, z jakim nie pozwalała swoim synom i ich rodzinom przyjechać do Birchville, i pomyślałam o Martinie Mack, gotowej celować z dubeltówki nabitej solą do zamożnych białych dzieci. Z czego by wycelowała do porywczego Stephena, gdyby stanął w obronie matki? Co zrobiłby Cody, któremu wsparcie zapewniała policyjna odznaka? Wattie przewidziała to dużo wcześniej i postanowiła trzymać rodzinę z dala od linii ognia. Swoim kruchym ciałem chciała uchronić przed kłopotami sześćdziesięcioparoletnich synów. Wyglądało na to, że macierzyństwo to zadanie na całe życie, i poczułam, iż serce puchnie mi z dumy na myśl o jej męstwie. Zamierzała sama stawić czoło drugiemu Południu, ale teraz ja też przestałam być ślepa. – Nie wygrasz z nią. Ani z nami wszystkimi. I nie waz się myśleć, że będziemy walczyć przy boku Wattie dlatego, że jakaś część jej jest naszą własnością. Ona nie jest nasza. Ona to my.

Zeszłam z werandy i minęłam sosnę owiniętą papierem toaletowym porozwieszanym na krzyż. Cieszyłam się, że pozostawiam ten dom naznaczony w ten właśnie sposób, nawet jeśli będzie taki tylko do rana. Rodzina Macków przed laty sama zostawiała po sobie krzyże. Przy drzewie skręciłam i otoczyły mnie cienie.

– Lepiej, żeby jutro to wszystko zniknęło! Słyszysz?! – zawołała za mną Martina.

I zniknie. Przyjdę tu razem z dziećmi i będę patrzeć, jak sprzątają. Poproszę, aby Birchie i Wattie przybyły tu ze mną. Miasteczko musi zobaczyć, że każemy dzieciom robić to, co należy. Potrzebowałam wsparcia każdego mieszkańca mojego Południa

i miałam nadzieję, że je otrzymam. Bądź co bądź, w Odkupicielu Wattie była bardzo poważana, a w Pierwszym Kościele Baptystów tylko jakieś dwadzieścia osób przeniosło się do ławek za Martiną Mack.

Z drugiej strony ławki za moją rodziną nie były pełne. W niedzielę zrobiło mi się cieplej na duszy, kiedy zobaczyłam, jak część młodszych wiernych bierze przykład z Jima i Polly Fincherów i siada w ławce Partridge'ów, zaraz za nami. Kochani Partridge'owie przesiedli się po prostu o ławkę dalej i tak już zostali. Mieliśmy co najmniej pięć rodzin więcej niż Martina Mack. Niemniej większość parafian ulokowała się w ławkach pośrodku. Niepewna. Niezdecydowana.

Wyprostowałam się. Nie miałam już dwunastu lat. Byłam Birchem w Birchville. Mój ciemnoskóry syn także będzie Birchem w Birchville, mimo to dla śmiecia pokroju Cody'ego Macka nie stanie się niczym więcej jak brzydkim słowem. Nie będzie miał życia w tym mieście. Nie będzie miał życia na Południu czy nawet w Ameryce, które znałam. Dopiero dzisiejszej nocy zrozumiałam, jak bardzo jest to niebezpieczne.

Nie mogliśmy zaszyć się w domu i czekać, aż oni się zdecydują. To była wojna. Stara wojna, która zaczęła się na długo przed moim przyjściem na świat i wiedziałam, że najpewniej nie dożyję jej końca. Musiałam walczyć i zamierzałam się dowiedzieć jak.

Ruszyłam w stronę domu tak pogrążona w myślach, że doznałam szoku, kiedy z ciemnej części ogrodu Martiny wyszła Lavender.

– Ale jej przygadałaś! Ale z ciebie dzaga! – oświadczyła i wzięła mnie za rękę.

A więc wróciła i słyszała naszą kłótnię. I dobrze.

– Nie mów tak – zbeształam ją, co może nie czyniło ze mnie supercioci, ale w tej akurat chwili funkcjonowałam w trybie matczynym. Byłam przepełniona gniewem i za wszelką cenę pragnęłam chronić Digby’ego. Mój syn z każdym dniem robił się coraz większy. Niedługo przyjdzie na świat, a ja ten świat zobaczyłam właśnie jakby na nowo. – I nigdy, słyszysz mnie, nigdy się nie wymykaj w środku nocy, aby spotkać się z chłopakiem. Powinnaś być w domu, a nie włóczyć się w ciemnościach i słuchać, jak wrzeszczę na staruszkę. Będziesz miała szlaban.

Nieszczególnie przejęta, wzruszyła ramionami.

– Warto było.

Pokręciłam głową. No cóż, może z jej perspektywy tak to wyglądało. Hugh był bardzo, bardzo słodki. Odetchnęłam głęboko; poczułam się nieco lepiej z ręką siostrzenicy w swojej. W duchu podobało mi się, że nazwała mnie dzagą, że była po mojej stronie. Co więcej, była po stronie Digby’ego. Miałam wielką nadzieję, że całe jej pokolenie będzie takie.

– Używa się jeszcze w ogóle słowa „dzaga”? – zapytałam.

– Jasne. Ale w znaczeniu ironicznym – odparła. – Czy ja i Hugh naprawdę musimy tam wrócić i posprzątać?

– Jak najbardziej.

Postanowiłam chronić Birchie, mimo że dopuściła się najgorszego czynu, do jakiego zdolny jest człowiek. Odebrała życie. Stałam także po stronie Wattie, a przecież ona pomogła ukryć ciało. Ale czy mogłam kochanej siostrzenicy puścić płazem ten mały akt wandalizmu? W żadnym razie.

Lavender prychnęła.

– Ale ona na to zasłużyła!

– Och, jak najbardziej – rzekłam, a Lav się zaśmiała. – Pomogę wam sprzątać.

Dotarliśmy już na sam koniec Pine Street, gdzie zaczynał się rynek. Skręciłyśmy i szłyśmy dalej chodnikiem po stronie ze starymi domami. Latarnie stały naprzeciwko, ale uznałam, że podczas tej rozmowy odrobina ciemności nie zaszkodzi.

Pod domem Darianów zatrzymałyśmy się na chwilę. Obeszłam go. Chciałam się upewnić, czy drugi przestępca dotarł bezpiecznie do siebie. Drabina zniknęła, a okno w pokoju Hugh było zamknięte. Uznałam to za dobry znak.

Lavender popatrzyła w ciemne okno i rzekła:

– Chciał zaczekać ze mną. Powiedziałam mu, że mnie nic z tobą nie grozi, ale jego możesz zamordować.

– Nadal mogę to zrobić, ale nie za potraktowanie papierem toaletowym domu Martiny. Ten chłopak jest dla ciebie za stary – odparłam. Zdażyłam się już uspokoić i Digby chyba też.

– To nie jest tak, jak myślisz. My się tylko przyjaźnimy.

– Ależ jest bardzo tak, jak myślę, w przeciwnym razie na waszą nocną wycieczkę zabralibyście Jeffreya – stwierdziłam. Rzuciłam jej spojrzenie z ukosa, ale ona milczała. Było to bardzo wymowne milczenie. – Przyjaźnij się z nim w salonie, gdy na górze krząta się twoja mama, a w kuchni ja. Przyjaźnij się z nim w kawiarni na rynku, dokąd wyskoczycie razem z Jeffreyem. Nie przyjaźnij się z nim sam na sam o drugiej w nocy. Nie jesteś gotowa na tego rodzaju nocną przyjaźń.

– Okej – rzuciła ze zbytnim pośpiechem i zbyt dużą nonszalancją, żebym jej uwierzyła. Ale kiedy ponownie się odezwała, ton głosu miała poważny. – Chodzi o to, że Hugh mnie rozumie, wiesz? Przysięgam, że nie flirtujemy ani nie gadamy o głupotach. Rozmawiamy o życiu. Moim tacie i jego mamie. Jeffrey za bardzo się denerwuje. On nie chce o tym mówić, ale ja i Hugh tak.

Jej słowa miały mnie uspokoić, tak się jednak nie stało. Była za młoda, aby wiedzieć, że ich rozmowy o tym, co najważniejsze, są znacznie bardziej niebezpieczne. Stanowiły konwersacyjny ekwiwalent tequili i szybciej prowadziły do intymności niż flirtowanie. Pociągnęła mnie za rękę w stronę ciemnego domu Birchie. Światło na werandzie się nie paliło i tylko w oknie w salonie rozchodziła się blada poświata. Wattie zawsze zostawiała zapaloną lampkę, aby odstraszać złodziei, których w Birchville i tak nie było. Pociągnęłam Lav na bok, uznawszy, że powinniśmy skorzystać z drzwi na tyłach domu. Czekwały otwarte i dzięki temu może uda nam się niepostrzeżenie wślizgnąć. Nie chciałam budzić naszych wykończonych staruszek. Ani Rachel. Miałam dość wrażeń.

Gdy skręciłyśmy, dostrzegłam coś kątem oka. Coś kryjącego się w cieniu na werandzie. Stałam jak wryta. W ciemnościach udało mi się wypatrzyć sylwetkę mężczyzny. Siedział na huśtawce. Księżyc powoli zachodził, ale jego postać odbijała się w złotej poświacie lampki Wattie.

Poznałam, że to ten cień, który wcześniej widziałam, jak przemyka koło bramy cementarza. Nie była to moja wyobraźnia ani pies. To ten facet. Zobaczyłam teraz na czubku jego głowy to spiczaste coś, co wyglądało trochę jak małe uszy.

Przez jedną szaloną chwilę, trwającą nie dłużej niż uderzenie serca, wiedziałam, po prostu wiedziałam, że to Batman. Jakoś się dowiedział o Digbym, a ta wiadomość okazała się dla niego tak ważna, jak powinna. Przygnał z Georgii do Alabamy, aby zająć się synem.

Lavender także się zatrzymała.

– Co jest? – zapytała zbyt głośno, wyraźnie zdenerwowana. – Czemu stanęliśmy? Wyglądasz na wystraszoną.

W tym momencie postać na werandzie wstała. Mężczyzna okazał się wysoki jak Batman, ale może za wysoki, i zdecydowanie zbyt szeroki w ramionach, zbyt zwalisty. Kiedy zaczął schodzić po schodach, poczułam jednocześnie ulgę i rozczarowanie. Lavender go usłyszała, a kiedy go zobaczyła, ona także znieruchomiała.

– Tatusi?

W tym momencie go rozpoznałam. Trochę mu się przytyło w ciągu dwóch ostatnich tygodni. A te sterczące różki na głowie to były po prostu zmierzwione loki. Od lat nie widziałam u niego takiej fryzury – zawsze starannie suszył włosy, pozwalając, aby

grzywka opadała mu na czoło.

Niemniej to był Jake. Kiedy usłyszał głos Lav, przyspieszył. Gdy zbiegł po schodach, wyrwała dłoń z mojej i puściła się biegiem tak szybkim, że w coraz bledszym świetle księżycy wyglądała jak nastoletni Flash. Jake także zaczął biec. Spotkali się w połowie trawnika. Rzuciła się w jego stronę, a on w tym samym momencie wziął ją w ramiona i podniósł. Zarzuciła mu ręce na szyję. Jej stopy zawisły w powietrzu i jeden sandał spadł na ziemię. W ogóle nie zwróciła na to uwagi. Słyszałam, że coś mówi, ale głos miała zbyt zduszony łzami, abym mogła cokolwiek zrozumieć. Nic nie szkodzi. Te słowa nie były skierowane do mnie.

Gdy się im przyglądałam, poczułam lekkie ukłucie w sercu z powodu Hugh, bo wszystko już było jasne. Ona może jeszcze o tym nie wiedziała, ale ja tak. Jake kołysał się delikatnie, jakby zamiast prawie dorosłej dziewczyny tulił do siebie marudzące niemowlę.

– Ćśś, kotku, ćśś. Jestem przy tobie – rzekł cicho, a Lav nadal coś mówiła i płakała z twarzą wtuloną w jego szyję.

Rozejrzałam się i po drugiej stronie ulicy dostrzegłam samochód Jake'a. Musiał przyjechać wtedy, kiedy przy bramie cmentarnej mignął mi jego cień.

Ruszyłam w ich stronę. Z bliska wyglądał gorzej. Miał wielkie worki pod oczami, a twarz niezdrowo mu błyszczała, jakby w czasie kiedy Rachel nie faszzerowała go dzikim łososiem i organicznymi warzywami, żył tylko dzięki gotowcom i burbonowi.

– Już dobrze – powiedział do Lav, ale wzrok miał wbity we mnie.

– Jeśli chcecie porozmawiać na spokojnie tutaj, na werandzie, tylne drzwi zostawię otwarte – rzekłam cicho. Bardzo się starałam, aby zabrzmiało to uprzejmie i zapraszająco, wcale nie gorzko.

To było lepsze niż telefon. Przyjechał i widziałam, że właśnie tego Lav potrzebowała.

– Dziękuję – rzekł tylko, ale to jedno słowo zabrzmiało tak, jakby dziękował mi za coś więcej niż pozostawienie otwartych drzwi.

– Nie ma za co. – Z tych akurat słów nie udało mi się usunąć goryczy. Szkoda. Kiwnęłam znacząco głową w stronę Lav i dodałam: – Nie zrobiłam tego dla ciebie.

– Przepraszam – powiedział. Nadal kołysał córkę, mocno ją przytulając, ale jego wzrok był wbity we mnie. Oczy miał tak wielkie, że właściwie widziałam białka wokół tęczówek. – Spanikowałem i uciekłem. To było złe i jest mi cholernie przykro. Nie powinienem był tak znikać.

Twarz miał opuchniętą od dodatkowych kilogramów i zapewne alkoholu. Łagodziło to nieco surową linię jego zuchwy. Do tego sterczące, kręcone włosy. Wyglądał bardziej jak mój dawny przyjaciel JJ. Zaczęłam się zastanawiać, czy w jego planie ucieczki do Portland nie chodziło o stworzenie dla siebie trzeciego życia. Być może stało się jednak tak, że ostatnie niepowodzenia sprawiły, iż coś w nim pękło, odsłaniając wrażliwego chłopaka, którego ukrył pod grubą warstwą męskiego śmiechu oraz fascynacji futbolem i golfem. Może po prostu uciekał. Tchórzliwie i nieodpowiedzialnie.

– W porządku – powiedziała Lavender zduszonym głosem, ale on nie mówił przecież do córki.

A przynajmniej nie tylko do niej.

W tym Jake'u, który przeproszał swoje dziecko, widziałam JJ'a, grubego dziwaka beznadziejnie zakochanego w Rachel, kierującego swoje słowa do siedemnastoletniej mnie. O dwadzieścia lat za późno. Nadal był tym samym palantem, który wparował na przyjęcie moich rodziców i pognął prosto do niej. Z drugiej strony w końcu przyznał, że mnie zranił. Chciał spłacić teraz stary dług monetą o cholernie niskim nominale, ale przynajmniej próbował. Być może tylko taką dysponował.

– Teraz robisz to, co należy – rzekłam do niego, a w moim głosie prawie nie było słyhać niechęci. – I to się liczy.

JJ potraktował moje słowa jako wybaczenie. Na jego twarzy dostrzegłam wdzięczność i ku swemu zdziwieniu przekonałam się, że rzeczywiście o to mi chodziło. Przez kolejną chwilę stał z córką w ramionach i kołysał ją bez słowa. Wybaczenie mu było niczym balsam na starą, bolącą ranę i dało mi więcej niż jego przeprosiny. Więcej niż ten moment, kiedy powiedziałam te wszystkie słowa, które trzymałam w ustach przez dwadzieścia gniewnych lat. Gdy mu wybaczyłam, poczułam ulgę.

Postawił Lav na ziemi. Miała zatknięty nos i obejmowała ojca w pasie, mokrą twarz przyciskając do jego boku.

– Wejdźcie, kiedy będziecie gotowi, tylko zachowujcie się cicho. Moja babcia nie czuje się dobrze i nie chcę, żeby się obudziła – powiedziałam, a potem zostawiłam ich samych.

Obeszłam dom, żeby skorzystać z tylnych schodów. „Cholerny JJ” – pomyślałam, ale z mniejszą niechęcią, niż gdybym to zrobiła cztery minuty temu.

Jeśliby się tutaj zjawił pół godziny wcześniej, możliwe, że przyłapałby córkę na wymykaniu się z domu, a ja nie musiałabym jutro pomagać dzieciom zdejmować mokrego od rosy papieru toaletowego z gardenii Martiny Mack. Nie od razu wsiadł do samochodu i ruszył do Birchville. Nie tak jak Rachel. Walczył ze sobą przez kilka godzin, próbując podjąć decyzję. Tak jakby przyjazd do tego smutnego, zamartwiającego się dziecka był decyzją, a nie jedyną możliwością.

Wybaczenie wybaczeniem, ale Przepraszający Ken to nadal palant. Jasne, istnieli gorsi ojcowie. Jake nie bił swojej rodziny ani nie dawał w żyłę, ale to akurat ustawiało poprzeczkę dość nisko. Ucieczka od ojcostwa dla mnie wyglądała jak jedzenie kredy. Nie była trująca. Nikogo by nie zabiła, jednak to wcale nie dodawało jej smaku.

Pomyślałam o twarzy Lavender, kiedy go rozpoznała. O tym, jak do niego pobiegła, i nawet o tym, jak ją złapał, jakby była brakującą częścią jego ciała. Może ojciec palant jest jednak lepszy od ojca, którego nie ma.

Pewności mieć nie mogłam. Znałam tylko ten drugi typ.

Weszłam do domu i zapaliłam dla nich światło na tylnej werandzie i we wnęce kuchennej.

Jake będzie się musiał tutaj przespać, ale nie miałam pojęcia, gdzie go położyć. W pokoju księżniczki? Lavender mogła pójść do matki. Choć może to jednak nie najlepszy pomysł. Kiedy Rachel się obudzi i go tu zastanie, może dojść do tego, że wszyscy będziemy zbierać mokre od rosy strzępy Jake'a z naszych gardenii.

Udałam się do swojej kryjówki w pokoju do szycia, choć byłam tak nabuzowana,

że wiedziałam, iż na pewno nie zasnę. Kiedy wracałyśmy do domu, częściowo się spodziewałam, że zastanę tu Cody'ego Macka, czekającego na mnie w radiowozie. Może nie był akurat na służbie, a może miał na tyle pomysłu, by wiedzieć, że strzelanie z dubeltówki do dzieci to coś znacznie poważniejszego niż papier toaletowy na sośnie. No ale noc się jeszcze nie skończyła. W każdej chwili mógł się tutaj zjawić i aresztować mnie za wandalizm.

Na stole leżał szkicownik otwarty na rysunku, który tak wzburzył Rachel. Usiadłam i przyjrzałam się swojej wersji zrujnowanego rynku. Po prawej Violet tuliła apokaliptycznego Batkota. Przebywała w świetle, jaki pozostawiła Violence, świetle, który nie miał przyszłości, a ja nagle poczułam impuls, żeby wlać w niego odrobinę nadziei. Umieścić w nim dziecko. Miałam ochotę dorysować Digby'ego.

Wzięłam do ręki ołówek i narysowałam swojego chłopczyka w samym środku świata Violence. Nie przedstawiłam go jako płód czy niemowlę. Nowo narodzone dzieci wszystkie wyglądały tak samo, jak urocze ziemniaki. Narysowałam Digby'ego takiego, jakim może się stać za jakieś pięć lat, kiedy dziecięce krągłości zamienią się w proste, cienkie linie. W wieku pięciu lat Digby będzie miał własną, charakterystyczną twarz.

Dałam mu moje wysokie kości policzkowe, moją prostą, poważną linię brwi i moje głęboko osadzone oczy. Pozwoliłam mu mieć gęste rzęsy Batmana – proszę bardzo, mały – i jego prosty, szeroki nos. Dodałam ciemne, krótko ostrzyżone włosy. Teraz używałam ołówka, kiedy jednak go pokoloruję, będzie miał ciepły, brązowy odcień skóry, która wydawała się rozświetlona od zewnątrz, jak dobry burbon. Już to widziałam.

Digby nabrał kształtu na rachitycznej trawie: miniaturowe traperki, szorty w kolorze khaki, nogi cienkie jak patyczki, sękate kolana. Emanowała z niego pewność siebie. Ręce trzymał w kieszeniach, a w sposobie, w jaki prostował ramiona, było widać swobodę, może nawet odwagę. Znajdował się w przerażającym miejscu, mimo to się uśmiechał, dlatego że to ja dzierżyłam ołówek i miałam na to ochotę. Popatrzyłam na tego pogodnego, pewnego siebie chłopca, stojącego na trawie w zrujnowanym parku Violet.

„Digby na drugim Południu”, pomyślałam.

Przez ścianę słyszałam ciche głosy i brzęk naczyń. Kiedy pracowałam, Lavender i jej ojciec weszli do domu. Cicho rozmawiali, gotując sobie jajka albo kakao.

Wróciłam do rysunku. Linia zuchwy Digby'ego nie była taka, jak należy. Za okrągła. Chciałam, aby miała kształt jak u Batmana. Delikatniejsza, młodsza, ale podobna.

Włączyłam laptop i weszłam na jego konto. Ustawienia prywatności miał tak słabe, że mogłam przejrzeć wszystkie jego albumy. Trochę mi to trąciło stalkingiem, więc zamiast tego otworzyłam zdjęcia profilowe. Pewnie znajdę tam zbliżenia twarzy.

Zaczęłam przeglądać. Proszę bardzo, oto ojciec mojego dziecka utrwalony podczas różnych momentów w swoim prawdziwym, pełnym życiu. Batman uśmiechnięty, Batman poważny. Na sofie, nad jeziorem, w kasku narciarskim i z zaśnieżonym stokiem w tle.

Nieczęsto zmieniał zdjęcie profilowe. Kolejne kliknięcie przeniosło mnie do fotki przedstawiającej choinkę sprzed trzech lat. Opowiedział mi o tym, kiedy graliśmy w *Words with Friends*. Tamtego roku on i jego tato w tajemnicy spiskowali ze starszymi wnukami, żeby zgorszyć jego bardzo religijną mamę. Przekształcili choinkę w scenę

rodem z *Gwiezdnych wojen*.

Wybrali najciemniejszą daglezję, jaką tylko znaleźli, następnie ozdobili ją migającymi białymi światełkami oznaczającymi gwiazdy i dużymi kolorowymi kulami symbolizującymi planety. Na całym drzewku porozwieszali figurki przedstawiające myśliwce TIE szykujące się do walki z X-wingsami. Kluczowo poumieszczane łańcuchy pełniły funkcję laserów. Poskręcali razem kawałki czerwonej, pomarańczowej i żółtej bibuły, formując płomienie, i przykleili je strategicznie do zniszczonych statków. Jego ojcu udało się nawet znaleźć czubek do drzewka w kształcie Sokoła Millennium.

Przez wiele niemających końca minut siedziałam i wpatrywałam się w ekran. Nie potrafiłam oderwać wzroku. Nie z powodu choinki. No cóż, drzewko wyglądało super, jasna sprawa, i stało w samym środku kadru. Niemniej nie było to tak naprawdę zdjęcie choinki.

To była rodzina. Cała rodzina. Jego rodzice, on i wszystkie pomagające dzieciaki.

Miałam problem z przełykaniem śliny. Matka Batmana była wysoką i elegancką kobietą o bardzo ciemnej skórze. Na głowie nosiła koronę siwiejących warkoczy i patrzyła na choinkę z komicznym, udawanym przerażeniem. Jego ojciec, chudy i w okularach, miał wydatne jabłko Adama i nosił dziadkowe spodnie z wysokim pasem. Był największym dziwakiem, jakiego widziałam na zdjęciu, może z wyjątkiem mojego taty. Mogli sobie podać dłonie. To po nim Batman odziedziczył te wielkie oczy i absurdalnie długie rzęsy.

Batman też tam był: jedną ręką obejmował tatę, na drugiej trzymał uroczego malucha z okrągłym brzuszkiem. Jego tata trzymał na rękach niemowlę. Pozostałe dzieciaki tłoczyły się wokół drzewka; troje najstarszych kucalo i teatralnym gestem pokazywało na choinkę. Razem było ich siedmioro, a karnację mieli w odcieniach od jasnego brązu do umbry cypryjskiej. Bez względu na to, jaki kolor skóry będzie miał Digby, na pewno wpasuje się w to spektrum.

Nie patrzyłam na choinkę; patrzyłam na skrzynię skarbów. Babciusię i dziadzię, jak nazywały ich dzieci jego siostry. Ciocie i wujków, nieobecnych na zdjęciu, ale niewątpliwie znajdujących się gdzieś blisko. Siedmioro kuzynów, nie: wkrótce ośmioro; jego najmłodsza siostra za kilka tygodni miała rodzić. Kuzynów, którzy byli w wieku od Digby'ego do Lavender. Kuzynów, którzy wyglądali jak jego ojciec. Kuzynów, ciotki, wujków i dziadków, którzy wiedzieli, jak to jest wychowywać się w Ameryce, mając brązową skórę. Byli rozrzućeni po Georgii, Alabamie i Karolinie Południowej. Mnóstwo krewnych, którzy nie musieli przesuwać spojrzenia, aby wiedzieć, kiedy się przenieśli na drugie Południe. Krewnych, którzy zawsze to czuli.

Digby zasługiwał na to, aby ich mieć, tych uśmiechniętych ludzi trzymających się razem. Dziadzia tulił najmłodsze dziecko w ramionach, które wyglądały, jakby wytuliły już całe mnóstwo niemowląt. Te ramiona zasługiwały na możliwość przytulania Digby'ego, a Digby zasługiwał na to, aby być przez nie przytulonym.

Przede wszystkim jednak zasługiwał na ojca. Mogłam przeświecić Batmana bez końca, jeśli tylko chciałam. W końcu i tak dotarłabym do jego wad, bez względu na to, jakie były. Może się okaże, że to niezły palant, ale w kuchni mojej Birchie znajdował się w tej chwili palant jakich mało i szykował kakao dla swojego dziecka.

– Jezu Chryste – powiedziałam na głos, i była to bardziej modlitwa niż bluźnierstwo. Głos dziwnie wiązał mi w gardle. Musiałam powiedzieć mu t e r a z, kiedy jestem wystarczająco odważna i wykończona. Jeśli poczekam, znajdę tysiąc powodów, żeby tego nie zrobić. Będę udawać, że tchórzostwo to logika.

Wzięłam do ręki telefon i wybrałam jego numer. Serce waliło mi tak mocno, że czułam je w oczach, w gardle, w trzęsących się dłoniach.

Odebrał po drugim sygnale. Tak jak JJ, kiedy zadzwoniłam do niego z telefonu jego córki. Może tyle właśnie trzeba sygnałów, aby wezwać mężczyznę do ojcostwa.

– Halo? – Spał. Nawet gdyby nie była czwarta nad ranem, poznałabym to po jego głosie. Nie potrafiłam odpowiedzieć. Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Musiał spojrzeć na wyświetlacz i zobaczyć, że to ja, bo dodał: – Leia? Halo? Jeśli wybrałaś mój numer przez pomyłkę, to cię zabiję. – Nie wydawał się jednak zły. Wydawał się rozbawiony, aczkolwiek zaspany.

– Nie przez pomyłkę – odezwałam się. Głos miałam cichy i wystraszony.

– Hej. Czy ty ddd... wszystko dobrze? – zapytał, bardziej już rozbudzony, z lekkim wahaniem.

– Tak. Dobrze. Ja tylko... – urwałam, a serce waliło mi jak młotem. W tym momencie miałam ochotę powiedzieć, że to jednak pomyłka. Chciałam się rozłączyć. Ale przed oczami miałam jego siostrzeńców i siostrzenice, uśmiechających się wokół tej zwariowanej choinki. – Jestem w ciąży.

Tylko tak mogłam dokończyć to zdanie.

– Sssłucham? – zapytał spokojnie. Grzecznie, jakby mnie nie dosłyszał.

– Jestem w ciąży. My jesteście. Ty i ja – wyjaśniłam, tyle że wcale tak nie było. Tak naprawdę w ciąży byłam tylko ja. – Cóż, nie, nie tak działa biologia. Chodzi mi o to, że jestem w ciąży z tobą.

Cisza.

– Ja... ja... ja...

Znowu cisza.

Ścisnęłam telefon tak mocno, że dziwne, iż nie popękał wyświetlacz. Batman oddychał tak ciężko, jakby właśnie skończył biegać. Uświadomiłam sobie, że ja także. Oboje dyszeliśmy jak psy, w niemal pełnej synchronizacji. Kiepsko to szło, choć wcale nie miałam pewności, co by się musiało wydarzyć, żeby zakwalifikować ten telefon jako udany.

– Mógłbyś coś powiedzieć – odezwałam się.

– Ja... ja... – Znowu urwał. – Nie mogę.

– Okej – rzuciłam do telefonu. – To w sumie uczciwe.

Bo tak było. Przez kilka miesięcy nie chciałam o tym rozmawiać, a teraz go obudziłam i wygłosiłam nowinę do jego ledwie przytomnego ucha. Ale w tym samym czasie ta egoistyczna część mnie chciała, aby jego pierwsza reakcja okazała się inna albo przynajmniej konkretna. Mógłby nawet wrzasnąć, że to mój cholerny problem, lub oświadczyć, że wątpi, iż to jego dziecko, i się rozłączyć. To byłoby okropne, ale przynajmniej coś już bym wiedziała. A w świecie idealnym mógłby zarzucić mnie pytaniami, powiedzieć coś wspierającego lub dającego nadzieję.

– Wiem, że potrzebujesz czasu. Musisz się z tym oswoić. Tak przynajmniej było ze mną. Na początku nie wydawało się to realne i przepraszam, że dopiero teraz ci mówię. Ale jest, jak jest, więc musisz się zastanowić, co chcesz zrobić. Ja wiem, co zrobię. Urodzę dziecko. – Sądziłam, że na tym zakończę, ale postanowiłam wyłożyć na stół wszystkie karty. Nie chciałam być jedną z tych pełnych poświęcenia kobiet z telewizyjnych talk-show, które mówią facetowi: „Nie musisz się angażować. Dam sobie radę sama”, a potem widownia bije brawo, jakby czymś szlachetnym było powiedzieć mężczyźnie, że nie jest wart więcej niż odrobina spermy, że jego dziecko nie będzie go potrzebować. – Chcę, abys wiedział, że bardzo się cieszę. Po mojej stronie telefonu twoje dziecko jest bardzo, bardzo wyczekiwane. I mam szczęście. Mam dobrą pracę, dobrą rodzinę, mnóstwo przyjaciół z dziećmi. Wiele maluchów ma znacznie, znacznie mniej, kiedy się rodzi, a mimo to ma dobre życie... Wiem o tym. Chodzi po prostu o to, że kocham go jak wariatka. Chcę, żeby miał wszystko. Dlatego ci to mówię. I chcę, żeby znał swojego tatę. Chcę, żeby znał swoją rodzinę.

Cisza. Długa. Aż w końcu Batman przemówił. Wypowiedział jedno słowo, bardzo cicho:

– On?

– Och, no tak. Przepraszam. – Skrzywiłam się, bo kiepsko mi to wyszło. Kiedy Rachel była w ciąży, dzień po badaniu USG urządziła przyjęcie. Mama, Keith, ja i kilkoro jej najlepszych przyjaciół zobaczyliśmy w domu Rach czarno-białe ozdoby. Kupiła biały tort i postawiła go przed JJ'em. Kiedy go rozkroił, wszyscy zobaczyliśmy, że jest różowy i przekładany truskawkami. A teraz Batman o tym, że będzie miał syna, dowiedział się przypadkiem podczas rozmowy, w której mu oświadczyłam, iż jego przygoda na jedną noc podczas zlotu fanów komiksów ma konsekwencje. – To chłopiec. Urodzę chłopca.

W tym momencie telefon zabuczał i zawibrował mi prosto do ucha. Odsunęłam go zaskoczona. Dostałam wiadomość. Przesłał ją, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

„W dosłownym sensie nie mogę teraz mówić”.

Przyglądałam się tym słowom i nagle zdjął mnie strach, że nie jest sam. Przełknęłam ślinę. Jego facebookowy profil twierdził, że jest singlem, a poza tym sprawiał wrażenie zadowolonego, kiedy się do niego odezwałam, ale różnie mogło być. Oczami wyobraźni widziałam inną kobietę, którą poznał wczoraj wieczorem, która także lubiła bojowników w pelerynach i tequilę. Możliwe, że spała teraz obok niego, wyczerpana długą, długą nocą robienia Digby'emu siostrzyczki.

Czemu nie? Nie był mi nic winien. Ba, ledwie mnie znał. Wymienialiśmy fajne wiadomości na Facebooku. I flirtowaliśmy za pomocą esemesów. W tej chwili pewnie był sam, ale równie dobrze mógł co wieczór grać w *Words with Friends* z innymi kobietami, z którymi miał już dzieci rozsiane po całym Wschodnim Wybrzeżu.

Nie, żeby miało to znaczenie. Czemu więc głupie oczy mnie piekły, a gardło było ściśnięte?

– No to zadzwoń, kiedy będziesz mógł mówić – rzuciłam do telefonu i się rozłączyłam.

Do domu Martiny Mack udaliśmy się zaraz po śniadaniu, kiedy Birchie miała jeszcze siłę. Tego ranka była trochę nieobecna duchem, ale chciałam, aby widziano zarówno Wattie, jak i ją. Tamta niedziela w Pierwszym Kościele Baptistów pokazała mi, że nawet najbliższe otoczenie Birchie jest podzielone, a większość osób nie ma pewności, co o niej myśleć. Wattie dla Odkupiciela była tym samym, czym Birchie dla Pierwszego Kościoła Baptistów, i tamci parafianie z pewnością byli równie poruszeni. Na tyle nie ufała temu, jak zostanie odebrana w swoim kościele, że w zeszłą niedzielę w ogóle nie poszła na nabożeństwo.

Potrzebowałam po naszej stronie więcej osób, filarów lokalnej społeczności. Prokurator okręgowa wnioskuje o testy DNA. Jeśli – czy też: kiedy – udowodni, że kości należały do ojca Birchie, to opinia publiczna zdeterminuje dalsze działania Reginy Tackrey. Czy Birchie była potworem, w końcu zdemaskowanym, czy też najukochańszym ze wszystkich Birchów, zbyt już starym i chorym, żeby się teraz tłumaczyć?

Odpowiedzi rozniosą się po całym hrabstwie. Do tej pory siedzieliśmy cicho i pozwalałyśmy, aby ton rozmowie nadawali Martina i jej podobni. Kiepski pomysł, zwłaszcza że Mackowie i Tackreyowie mieli jakieś dawne powiązania. Dwa ostatnie dni pokazały, że Cody i Martina ciągnęli nas w stronę ścieżki, która kończyła się widłami i pochodniami. I dubeltówkami.

Nie pracowaliśmy dłużej niż pół godziny, kiedy na Crepe Myrtle Avenue pojawiła się Alston Rhodes, na pozór nieświadoma tego, co się dzieje przed domem Martiny. Każdego lata bawiłam się z Alston, więc poznałam ją od razu, gdy tylko wyszła zza rogu. Jej fryzura nie zmieniła się od 1994 roku, kiedy obcięła włosy, by wyglądać tak, jakby właśnie zeszła z planu *Przyjaciół*. Była w pełnym makijażu, ale także w spodniach od dresu i adidasach. Na smyczy ciągnęła Punchkina, swojego tłustego mopsa. Punchkin to najgorszy pretekst do spaceru, jaki dane mi było widzieć. Co kilka metrów próbował usiąść, lecz Alston nieugięcie ciągnęła go za sobą.

Po drodze do Martiny minęliśmy całkiem sporo członków Pierwszego Kościoła Baptistów. Głuchy telefon zdążył się już aktywować, Alston zaś stała się pierwszym zwiadowcą. Pilnowała, żeby wzrok mieć wbity w niebo i trawę, i zaparkowane samochody, i drzewa, i w cokolwiek, byle nie w nas, nawet kiedy szła prosto na nas, kobieta z misją. Ucieszyłam się, że wybrano Alston. Albo że zgłosiła się na ochotnika. Dobrze to wróżyło. W zeszłą niedzielę zajęła miejsce po naszej stronie kościoła.

Birchie i Wattie usadowiłam w cieniu calliandry. Stanowiły przynętę, a Alston nie mogła się do nich dostać, jeśli nie przeszła obok Rachel i mnie, zbierających kawałki papieru toaletowego z liści wielkiego krzewu gardenii. Dałam Rachel worek na śmieci i podeszłam do Alston.

– Och, witaj! – zawołała z udawanym zaskoczeniem, wyglądała jednak na prawdziwie zadowoloną z tego, że przestałyśmy się ukrywać. W chwili kiedy się zatrzymała, Punchkin położył się na chodniku, ciężko dysząc. – Mój Boże, co tu się stało?

– Jesteś matką nastolatków – odparłam z szerokim uśmiechem. – Chyba się

domyślasz.

Obie popatrzyłyśmy, jak Lavender ściąga z azalii kolejny skrawek papieru. Frank Darian musiał jechać do sądu, ale Hugh się zjawił. Razem z Jakiem przynieśli dużą drabinę jego ojca.

Dziwnie było widzieć Jake'a w Birchville, czerwonego na twarzy i pocącego się, w koszulce polo. Kiedy w końcu przestałam rysować, żeby skombinować jakieś śniadanie, w kuchni zastałam Birchie i Wattie, a Lavender siedziała przy stole w jadalni, racząc się smażonym jajkiem i bułkami. Powiedziała mi, że jej rodzice wybrali się na spacer. Zastanawiałam się, czy Jake z niego wróci. Rachel mogła odesłać go do Norfolk lub, co było bardziej prawdopodobne, jakiś mój potomek mógł po wielu latach znaleźć jego kości ukryte w skrzyni na strychu. Ale Lavender nie wyglądała na przejętą tym, że jej tato może znowu zniknąć. Była rozpromieniona.

– Skończ jeść i załóż buty – poleciłam jej. – Kiedy będziecie gotowe, idziemy do pani Mack.

Kiedy wychodziłyśmy, wrócili Jake i Rachel. On wyglądał na zmieszanego i miał zaczerwienione, zmęczone oczy. Ją otaczała aura spokojnej, blondwłosej godności. Nie trzymali się za ręce, ale on nie wsiadł do auta i nie odjechał. Podziękował za drzemkę, jaką zaproponowała mu Birchie. Wolał iść z nami.

Teraz Jake trzymał drabinę opartą o pień wysokiej sosny. Na górze stał Hugh Darian, jak na mój gust zdecydowanie za wysoko, i próbował ściągnąć białe pasy, które w nocy tak profesjonalnie poprzerzucił przez gałęzie. Nie szło mu zbyt dobrze.

Prześiąknięty rosą papier kleił się do wszystkiego i łatwo się rozpadał. Musieliśmy go usuwać niemal centymetr po centymetrze. Kiedy Hugh pociągał za pasy, urwały się, a te fragmenty na górze znajdowały się zdecydowanie poza zasięgiem drabiny. Do ich usunięcia potrzebne były straż albo Cirque du Soleil. Nie świadczyło to pewnie dobrze o moim charakterze, ale w duchu pragnęłam, aby te białe krzyże powiewały jeszcze przez kilka dni, dopóki nie zniszczą ich deszcz lub wiatr. Wyglądały jak małe flagi obwieszczające, jak wielką oślicą jest Martina.

– Och, na litość boską, Hugh Darianie! Myślałam, że jesteś mądrzejszy. Mam nadzieję, że mój Connor ci nie pomagał? – zawołała do niego Alston, do mnie zaś rzekła: – Znają się jak łyse konie.

– Nie, psze pani! – odkrzyknął Hugh. – Tylko ja i Lavender.

Zobaczyłam, jak z przeciwnego kierunku zacierają w naszą stronę Grady i Esme Franklinowie, korpulentna para po pięćdziesiątce, której dzieci niedawno wyfrunęły w świat. Grady był diakonem w kościele Wattie, tym, który najczęściej przyjeżdżał po Birchie i Wattie w te niedziele, kiedy przychodziła kolej na kościół Odkupiciela. Nasz marsz wokół rynku aktywował także i drugi głuchy telefon.

Franklinowie mieszkali niedaleko, na zachodniej części Cypress Street. W ich okolicy znajdowały się takie same miniaturowe ogródki i podwórka, domy w takim samym stylu. Większość była zadbana, aczkolwiek przy kilku trawa miała łyse placki, a na werandzie stały butwiejące kanapy. Tak jak i tutaj. Ale po tamtej stronie Cypress Street mieszkały czarne rodziny, a po tej – wszyscy sąsiedzi byli biali.

Zacisnęłam dłoń na ramieniu Alston.

– Och, patrz, idą Esme i Grady Franklinowie. – Ruszyłam szybko w ich stronę i pociągnęłam za sobą niechętną Alston i wykończonego Punchkina. Zdusiłam jej protesty, rzucając wesoło: – Znacie się? Chodź, poznasz ich...

Gdy wymienialiśmy uściski dłoni i słowa powitania, podeszła do nas Lavender. Przykucnęła, aby pogłaskać Punchkina, i powiedziała:

– Powinniśmy byli zabrać ze sobą wodę. Temu biedakowi chce się pić.

– Jak nam wszystkim. – I znowu ten cholernie dziarski ton. Szkoda, że ja nie miałam butelki z tequilą. – Lav, może zabierz Punkchina i nalej mu wody z węża ogrodowego. Wątpię, żeby pani Mack miała coś przeciwko. Sama ma psy, a zanosi się na niezły upał.

Martina najpewniej miała coś przeciwko. No cóż, a to szkoda. Ja tu wykonywałam robotę godną specja od public relations. Super by było, gdyby wyszła na ulicę i publicznie pożałowała wody mopsowi. Lavender wzięła od Alston smycz i odciągnęła Punchkina na bok.

– To prawda – przytaknęła Alston. – Czy Birchie i Wattie powinny tak tu stać?

Właśnie na to czekałam.

– Ja uważam, że nie, ale nalegały. Czują się odpowiedzialne. Lav i Hugh bronili przecież ich honoru. – Kiwnęłam znacząco głową w stronę domu, a Alston podążyła za moim spojrzeniem. Firanki w jednym z okien się poruszyły; Martina Mack wszystko bacznie obserwowała. W stronę Esme i Grady'ego rzuciłam: – Pani, która tu mieszka, przed niedzielnym nabożeństwem u baptystów opowiadała bardzo nieładne rzeczy o mojej babci i pannie Wattie.

W naszą stronę zbliżała się Rachel, zbierając po drodze fragmenty papieru. Była już na tyle blisko, by słyszeć rozmowę.

– O nie! – rzekła Esme i dodała z lekkim rozbawieniem: – I dzieci obrzuciły jej za to dom papierem toaletowym?

– Reakcja godna młodzieży, prawda? – zaśmiała się Alston.

– Tak, ale dla Birchie i Wattie trochę za bardzo w stylu oko za oko. Chciały pokazać Lav i Hugh, że trzeba nadstawić drugi policzek. – Choć te słowa zostały skrojone na miarę tej małomiasteczkowej widowni, tkwiło w nich ziarno prawdy. Przypominałam im, jakimi kobietami były Birchie i Wattie. Teraz i dawniej. – Nawet jeśli to oznaczało stanie w upale i pilnowanie, aby dzieciaki zdjęły z krzaków nawet najmniejszy skrawek papieru.

Cała trójka wymieniła spojrzenia pełne aprobaty; pokiwali głowami w rodzicielskiej solidarności. Ja byłam z niej na razie wyłączona, gdyż dopiero miałam stać się członkiem ich klubu.

– W zasadzie trudno winić te dzieci po tym wszystkim, co sugerowała pani Martina... – powiedziała Alston.

To było delikatne, niebezpośrednie pytanie, niemniej jednak pytanie. Alston nawiązywała do Birchie i kości. Dlatego właśnie się tu dzisiaj znaleźli, prawda? Grady wyglądał na skrupowanego. Włożył ręce do kieszeni, tymczasem Esme nachyliła się w naszą stronę.

– To było okropne. Wiedziałam, że tak będzie. Nie chciałam iść do kościoła – rzekłam zgodnie z prawdą, a do Esme powiedziałam: – Dlatego właśnie w zeszłą

niedzielę nie byliśmy w Odkupicielu. Wattie i Birchie w ostatnim tygodniu nie chodziły nawet do warzywniaka czy pasmanterii. Czuły się niemile widziane.

Rachel w tym czasie dołączyła do nas. Do tej pory zachowywała powściągliwość i nie zadawała mi żadnych pytań, co jak na nią było bardzo dziwne. Kiedy się przekonała, że Lav nie grozi niebezpieczeństwo, nie zapytała w ogóle o kości. Było tak, jakby dołączyła do spisku i w zamian za możliwość schronienia się w domu Birchie nie zadawała żadnych pytań. No ale teraz Alston skierowała rozmowę na najważniejszy tor.

– Mam nadzieję, że panna Wattie wie, iż to nieprawda. Była mile widziana w naszym kościele – oświadczyła Esme, po czym dodała: – Ty i panna Birchie także.

– Dziękuję – rzekłam. Wielokrotnie bywałam w Odkupicielu, a Birchie modliła się w nim teraz w co drugą niedzielę, ale byliśmy tam akceptowane dlatego, że Wattie nas kochała. – Zdawałyśmy sobie sprawę, że pewni ludzie będą gadać, co im ślina na język przyniesie, ale co mogłyśmy zrobić? Wystarczy spojrzeć, co się stało, kiedy poszliśmy do Pierwszego Kościoła Baptistów. Martina doskonale wiedziała, że zadaje pytania, na które Birchie nie wolno udzielać odpowiedzi. – A do Franklinów rzuciłam: – Jej wnuk jest policjantem. Cody Mack.

Franklin kiwnął głową.

– Znam go. – Ton jego głosu był spokojny i starannie neutralny. A więc rzeczywiście znał Cody'ego. Na wskroś.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie wolno jej udzielać odpowiedzi? – zapytała Esme.

– Z powodów prawnych? – wtrąciła Alston.

Dotarliśmy do sedna i oczy całej trójki rozbłysły. A właściwie czwórki, bo Rachel także. No cóż, wszyscy byli tylko ludźmi.

– Częściowo – odparłam. – Ale spójrzcie na nią.

Zgodnie odwróciliśmy głowy w jej stronę i może to dobrze, że Birchie nie była dziś w najlepszej formie. Akurat machała rękami w stronę swoich stóp, a Wattie stała bokiem i szeptała jej coś do ucha.

– Co ona robi? – zapytała Esme.

Pewności nie miałam, ale podejrzenia owszem.

– Próbuje zmusić parzące się króliki do zaprzestania... cóż, parzenia się.

– Króliki! – zachłysnął się Grady.

– Tak. Ma halucynacje – wyjaśniłam. – Ta choroba sprawia, że ma się przywidzenia; najczęściej widzi się zwierzęta lub ludzi. Ma także wpływ na pamięć. Policjanci mogą ją pytać o te kości pięć razy, ale uzyskają pięć różnych odpowiedzi. Kto wie, która będzie prawdziwa? O ile w ogóle jakaś będzie. Nie możemy dopuścić do tego, aby obciążyla winą samą siebie, kiedy nie mamy pojęcia, co jest prawdą, a co każą jej mówić ciała Lewy'ego.

– Dobry Boże, to straszne – rzekła Alston. Życzliwym gestem położyła dłoń na moim ramieniu i dodała konfidencjonalnie: – Wiedziała, że coś było nie tak z panną Birchie podczas Pikniku Rybnego, kiedy powiedziała to słowo na „p” i... – Urwała.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, o jakie słowo jej chodzi. Parę gorszych opcji zdążyło mi przyjść do głowy, nim zrozumiałam, że Alston miała na myśli penisa. Był to

termin medyczny, kiedy jednak Birchie użyła go do opisanie części ciała pastora, wykorzystywanej ukradkiem w salce chóru, okazał się na tyle bluźnierczy, by zasłużyć na skrót.

Kiwnęłam głową i rzekłam:

– Możliwe, że nigdy nie będzie nam w stanie opowiedzieć całej historii.

To znowu było prawdą. Podczas większości poranków Birchie wydawała się sobą. Ale skąd miałam wiedzieć, ile jeszcze dobrych poranków przed nią? Teraz nie minęła jeszcze dziesiąta, a ona już przeganiała króliki. Gdyby policja przesłuchała ją podczas kiepskiego dnia, mogłaby im powiedzieć cokolwiek.

– Więc wy też nie wiecie? – zapytała zaskoczona Esme. Patrzyła to na mnie, to na Rachel.

– Nie. Nie mamy pojęcia – odparła szczerze moja siostra, a ja pokręciłam głową z nieco mniejszą dozą szczerości.

– A Wattie? – zapytał Grady.

– Nie – skłamałam, patrząc mu prosto w oczy.

– Pytaliście ją? – chciała wiedzieć Esme. Porzuciła pozory, że to zwykły spacer, w momencie kiedy przeszłam do sedna sprawy. Mało to było z mojej strony południowe.

– Oczywiście! – zapewniałam. Poczulałam się swobodniej. Wcześniej skłamałam, ponieważ musiałam chronić babcię i jej najstarszą, najdroższą przyjaciółkę. Cała reszta była czystą prawdą. – Tak między nami, zrobiłabym dokładnie to samo, co Wattie. Pomogłabym Birchie wywieźć tę skrzynię, gdyby mnie poprosiła. Do diabła z prawem. Jest chora, a Wattie ją kocha. – Troje małomiasteczkowych baptystów, a żadne z nich nie wzdrygnęło się nawet, słysząc to łagodne bluźnierstwo. – Naprawdę nie uważam, aby było ważne, kto jest w tej skrzyni i jak się tam znalazł. Nie teraz. Pogodziłam się z tym, że mogę także nigdy nie poznać powodu... – Urwałam i to wcale nie była z mojej strony gra. Naprawdę chciałam poznać powód. Chciałam, aby Birchie mi go podała. Ale nawet jeśli nigdy do tego nie dojdzie, w to, co musiałam teraz powiedzieć, wierzyłam całą sobą. – Znam jednak Birchie. Znam jej charakter. Wy także, i Wattie, i całe to miasto. Od niemal wieku jest tą samą osobą. Wydarzyło się coś niedobrego, ale skrzynia kości nie może wymazać dziewięćdziesięciu lat. Bez względu na to, co Birchie zrobiła, o czym wiedziała albo co trzymała w tajemnicy – ja jej wybaczam. Za późno na cokolwiek innego. Jest bardzo stara i zbyt chora, żeby się tłumaczyć albo bronić. Wybaczam jej więc wszystko, co potrzebuje wybaczenia, i zamierzam jej bronić. Wattie także. Nie będziemy ukrywać się w domu, jakbyśmy się jej wstydzili. Zamierzamy pomagać Birchie, jak długo będzie trzeba. Nie pozwolimy jej wypytywać czy osądzać. Wattie nie pozwoli. Ja nie pozwolę. Tak nie można.

To były słowa Birchie. Wypowiedziałam je w jej imieniu, wykorzystując jej autorytet, a w odpowiedzi Alston uniosła wysoko głowę, a Esme uściśnęła mi ramię.

– I bardzo dobrze – oświadczyła, a Grady powtórzył za nią:

– I bardzo dobrze.

– Oczywiście wszyscy znamy twoją babcię. Znam pannę Birchie przez całe swoje życie. – Oczy Alston błyszczały.

– I bardzo dobrze, co? – zapytała Lavender. Wróciła właśnie z Punchkinem.

Alston pokręciła lekko głową. Uśmiechnęła się do Lav i wzięła od niej smycz.

– Nieważne, młoda damo. Wracaj do pracy! Ja ruszam dalej.

– Och tak, my też – wtrąciła Esme. – Lekarz Grady’ego każe mu spacerować co najmniej trzy kilometry codziennie.

Wymienili jeszcze pozdrowienia z Birchie i Wattie, a potem Esme i Grady ruszyli żwawym krokiem w stronę swojego domu i chwilę później zniknęli za rogiem. Alston także obrała szybkie tempo, a biedny Punchkin włókł się za nią. Po kilku energicznych ruchach zatrzymała się i spojrzała na niego z pełną czułości irytacją. Od razu usiadł. W Birchville plotki, „wiadomości”, były towarzyską walutą. Alston i Franklinowie właśnie sporo jej ode mnie dostali. Alston podniosła psa i wsadziła go sobie pod ramię jak włochatą kopertówkę, po czym ruszyła dziarsko przed siebie.

Wszyscy wróciliśmy do pracy. Alston musiała skorzystać z telefonu od razu, gdy tylko zniknęła nam z oczu, bo nie minęło dziesięć minut, a ze swojego różowego domu wyszli Darnette i Larry Pearsonowie i przeszli przez ulicę. Każde z nich trzymało wyściełane krzesło z tarasu. Podeszli do Birchie i Wattie, usadowili je w cieniu, a potem stanęli obok nich i ucieli sobie pogawędkę ze starszankami.

Miałam nadzieję, że nikt nie zada Birchie pytań, na które nie powinna udzielać odpowiedzi. Zwłaszcza że znów widziała króliki. Gdyby ktoś jednak próbował, u swego boku miała niezawodną Wattie. Wróciłam do sprzątania papieru toaletowego. Powietrze wręcz drżało od setki telefonów wykonywanych jednocześnie. Krzesła były jednak dobrym znakiem, bo tamtej niedzieli Pearsonowie zdecydowali się zająć miejsca pośrodku. Mogło to oznaczać, iż przeszli na stronę Birchie.

W ciągu następnych trzydziestu minut nawet najbardziej niemrawi baptyści z obu kościołów poczuli nagłą ochotę na przedpołudniowy spacer, który kazał im przejść obok domu Martiny Mack. Większości z tych osób nie było przy otwieraniu skrzyni. Oni tylko słyszeli o kościach, czaszce z pustymi oczodołami i pęknięciu. A to nie to samo.

Tutaj, w ten słoneczny dzień, trudno im było sobie wyobrazić Birchie z młotkiem albo Wattie kradnącą samochód. Sama miałam z tym problem, a przecież byłam świadkiem tego, jak moje auto wylądowało na słupie. Zakładałam Birchie puchate skarpetki i na własne oczy widziałam, jak imituje ręką cios młotkiem. Teraz to wszystko wydawało się złym snem.

Przerwałam sprzątanie i po prostu się przyglądałam. Zaczęły podjeżdżać pierwsze samochody. Przywiozły tych, którzy mieszkali za daleko, aby dotrzeć pieszo. Zjawili się tutaj, wcale nawet nie udając, że przypadkiem. Naliczyłam emisariuszy ponad trzydziestu rodzin, a wiele z tych osób podczas niedzielnego nabożeństwa zajęło miejsca pośrodku. Przyszła nawet RaeAnn Leefly, którą widziałam w jednej z ławek za Martiną. Początkowo była sztywna i skępowana, ale się odprężyła, kiedy Birchie zapytała o jej półpasiec i najmłodszą córkę, przeżywającą problemy małżeńskie w Montgomery. Birchie, choć choroba niszczyła jej mózg, była tak bardzo zanurzona w codziennym życiu Birchville, że pamiętała. A może to szepcząca Wattie pamiętała? W każdym razie nikt nie miał wątpliwości co do troski kryjącej się w jej pytaniach.

Czas spędzony w gronie znajomych służył Birchie. Jej niebieskie oczy błyszczały, a kiedy kończyliśmy sprzątanie, co rusz rozlegał się jej śmiech. Firanki w oknie nadal się

poruszały. Martina Mack z pewnością nie była zadowolona. Zepsuło jej to przyjemność przyglądania się, jak w pocie czoła sprzątamy ogród. I dobrze.

– Radzą sobie z ludźmi, prawda? – szepnęła do mnie Rachel, a ja przytaknęłam.

Ale chodziło o coś więcej. Moja babcia i Wattie w życiu wszystkich tych osób były wspólną siłą. Dobrą siłą. Przynosiły ręcznie robione kocyki na powitanie nowych dzieci i ciepłe półmiski z zapiekanką z szynki i ziemniaków na niezliczoną liczbę pogrzebów. Birchie była właścicielką budynków, w których mieściły się ich sklepy i inne biznesy, i podczas chudych lat pomagała im je utrzymać. Nie tylko sklepy, ale czasem także domy. Mąż Wattie przez kilka dekad był pastorem w Odkupicielu, a Wattie dzielnie mu pomagała, nauczając w szkółce niedzielnej, udzielając nauk przedślubnych, czuwając przy zmarłych.

Trawnik przed domem cały się zappełnił; ludzie wylewali się na ulicę i nagle do mnie dotarło, że jeszcze nigdy nie widziałam aż tylu osób z obu parafii tak ze sobą wymieszanych. Birchie i Wattie brylowały pod drzewem, siedząc obok siebie z uniesionymi głowami i nogami skrzyżowanymi w kostkach. Stały strumień pielgrzymów dostarczał im uśmiechów i wiadomości, a Lois Gainey dodatkowo przyniosła wielki talerz muffinek. Birchie i Wattie przyjmowały to wszystko z uprzejmymi uśmiechami. Te dwie staruszki stanowiły zawias łączący obie społeczności.

We mnie rozwijał się chłopiec, który należał tutaj, do tego miejsca. Dzisiaj, w tej niepowtarzalnej godzinie, trawnik Martiny Mack wyglądał jak świat mojego syna.

Zajechał samochód kombi, wypakowany aż po dach liczną rodziną Ridleyów. Wysypały się dzieciaki z wielkimi dzbankami zimnej lemoniady i plastikowym pojemnikiem z ciasteczkami imbirowymi domowej roboty. Zaczęły rozlewać napój i częstować wypiekami.

Podbiegła do mnie mała Denise Ridley z papierowym kubkiem w kwiatki. Wręczyła mi niewielką porcję lemoniady i równie małe ciasteczko.

– Dziękuję ci, skarbie – powiedziałam do niej.

Włożyłam ciastko do ust. Wypiłam lemoniadę, nie odrywając wzroku od społeczności, do której należał mój syn. Wiedziałam, że będzie istnieć tylko przez chwilę. Przełknęłam i poczułam się tak, jakbym się dzieliła imbirową komunią.

W domu poruszyły się firanki. To był rzeczywisty świat. Ten spokój, to piękno – wszystko było tymczasowe. Świat taki, jakim był, nadal chciał nas dorwać.

W drodze do domu Rachel została w tyle. Najwyraźniej celowo, bo jeszcze do tego znacząco uniosła brwi. Jedyne, co byłam w stanie pomyśleć, to „co znowu?”. Przez cały ranek nie zawracałam sobie głowy swoimi problemami. Chciałam, by tak pozostało i abym nadal mogła wdychać to czyste, słodkie powietrze. Kiedy Rachel pociągnęła mnie za rękaw, oczami wyobraźni ujrzałam pewien obraz: zdjęcie bladoniebieskiego nieba co rusz pojawiające się na Facebooku. Ten mem miał białą czcionkę i bredził coś o tym, jak to Bóg nigdy nie daje nam więcej, niż jesteśmy w stanie udźwignąć. Poczułam nagłe, irracjonalne pragnienie, aby poprosić Rachel, by dała mi chwilę. Na tyle długą, żebym mogła odszukać wszystkich znajomych, którzy to udostępnili, i walnąć ich w te puste łby.

Zwolniłam jednak, Rachel także. Naprawdę musiała się starać, żeby iść wolniej niż Birchie i Wattie. Szły, trzymając się pod ramię. Pochód otwierali Jake i Hugh, niosący długą drabinę Franka. Lav szła z przodu z ojcem, nawet nie udając, że im pomaga. Buzia jej się nie zamykała.

Dopasowałam się do ślimaczego tempa Rachel, a kiedy zostałyśmy tak bardzo z tyłu, że na pewno nikt nas nie mógł usłyszeć, w końcu się odezwała.

– Jake nam powiedział, że do niego zadzwoniłaś. – Wzrok miała spuszczonej, a policzki lekko jej się zaróżowiły. – Chciałam ci podziękować. – Nie tego się spodziewałam. Wtargnęłam do jej nienaruszalnego, zamkniętego życia. Wcześniej miałam nadzieję, że Jake nic jej nie powie, bo nie miałam ochoty słuchać, jak lodowatym tonem każe mi się nie wtrącać w ich sprawy. – Chce, żebyśmy poszli na terapię. Zobaczymy, jak to będzie. Jutro jedziemy do domu, by zabrać się do porządkowania tego bałaganu, na razie przynajmniej tej papierowej części. – Nie tylko podziękowanie, ale także konkretne informacje dotyczące jej życia. Minusów jej życia. Do mnie pierwszej zawsze dzwoniła, kiedy Jake niespodziewanie zaprosił ją na rejs albo Lav pojawiła się na tablicy z nazwiskami wyróżniających się uczniów, ale smutki zachowywała dla siebie. Choć może to jednak była dobra wiadomość, a przynajmniej najlepsza w tej chwili. Ten nasz powolny spacer wydawał się całkiem sympatyczny. Zerknęła ukradkiem na moją twarz i rzekła: – Złożono już ofertę kupna domu, więc nie jest źle. W sumie się nie dziwię. Stoi w pierwszej linii brzegowej. Musimy zdecydować, co dalej. Wcześniej wspomniałaś, że możemy pomieszkać trochę u ciebie...

– Oczywiście. Obiecay mi tylko, że nie przeorganizujesz szaf.

Rachel zachichotała i wsunęła mi rękę pod ramię.

– Postaram się.

Była wyższa ode mnie o głowę i średnio mi było wygodnie, mimo to nie puszczałam jej dłoni, kiedy szłyśmy razem w stronę rynku. Po raz pierwszy w historii naszej siostrzanej relacji czułyśmy się dziwnie równe. Rachel nie wykorzystywała pozycji najmniej porąbanej osoby w rodzinie i nie oferowała mi z uśmiechem pomocy. Ja zaś się przed nią nie wzbraniałam.

Nie miałam złudzeń, że taka sytuacja będzie trwać wiecznie. Rachel odzyska kontrolę nad swoim życiem, wdrażając program oszczędnościowy i naprawczy. Wróci do pracy i okaże się w niej fantastyczna; przed urodzeniem Lavender była piekielnie dobrą

organizatorką ślubów. Miałam nadzieję, że jej małżeństwo przetrwa, dla dobra Lavender, ale jeśli rozwiedzie się z Jakiem, zrobi to tak perfekcyjnie, że świadome rozstanie Gwyneth Paltrow będzie się przy tym wydawać burdą w barze. Nie miałam wątpliwości, że *Rachel: Powrót* okaże się epicką, porywającą historią z wieloma morałami i niezliczonymi okazjami, aby mi je wyjaśniać, nie sądziłam jednak, że po Birchville będę się tym jakoś szczególnie przejmować.

Dotarliśmy do parku. Jake i Hugh skręcili w lewo, żeby pójść skrótem do domu. Birchie i Wattie skręciły w prawo, a Lavender postanowiła do nich dołączyć. Rachel i ja pozostawałyśmy z tyłu. Teraz to ja nas spowalniałam, bo w tej rzadkiej chwili, kiedy Rachel była bezbronna, także chciałam ją za coś przeprosić.

– Rachel? Przepraszam, że Violet wygląda jak ty – odezwałam się. – Jej postać nie jest wzorowana na tobie, ale...chciałam, żeby była ładna. A w mojej głowie to ty uosabiasz piękno.

Uśmiechnęła się, ale nie był to ten irytujący uśmiech z Olimpu. Nieco mocniej ścisnęła moje ramię.

– Naprawdę? To urocze. Sądziłam, że narysowałaś ją taką, by robić sobie ze mnie jaja. Ona jest taka głupia. Jaka dziewczyna zapuszcza się w uliczkę, która tak wygląda?

– To metafora – wyjaśniłam. – Ale w sumie to chyba ja, bo tak naprawdę wzorowałam ją na sobie.

Skręciłyśmy w prawo.

– Myślisz, że są kochankami?

– Nie, absolutnie tak nie uważam – odparłam, choć na forach poświęconych *Violence & Violet* ta teoria była dość popularna.

Ci, którzy chcieli, aby się kochały, ostro kłócili się ze zwolennikami teorii „doktor Jekyll i pan Hyde”, uważającymi, że w chwilach zagrożenia Violet zmienia się w Violence. Istniała jeszcze trzecia frakcja, która była zdania, że Violence nie istnieje, że to jedynie przedłużenie woli Violet. Była to spora nadinterpretacja, ale zapisali naprawdę mnóstwo stron, udowadniając, że Violet ją wymyśliła, aby mieć pretekst do późniejszego rozbicia planety w drobny mak.

Na zlotach i na fanpage’u nieustannie mnie pytano o te wszystkie teorie, ale ja zawsze odpowiadałam, że każdy musi sam zdecydować. A co sądziłam? Violence była prawdziwa, a Violet musiała być osobnym bytem, bo rzeczywiście widziałam ją w sobie. Pragnęłam, aby Violence, która zjadała ludzi i ostatecznie zniszczyła Ziemię, nie była częścią mnie.

Niedawno jednak, gdy tak stałam na balkonie Pierwszego Kościoła Baptistów, patrząc na Birchie i Wattie, poczułam, że jestem zdolna do tylu złych czynów. W tamtej chwili na prawą część kościoła zrzuciłabym bombę, gdybym tylko miała taką supermoc. Ochoczo zjadłabym Martinę Mack w dwóch kruchych, kościstych kęsach. Okazało się, że drzemie we mnie zażartość. Pewnego dnia, sześćdziesiąt lat temu, pojawiła się także u mojej babci.

To siedząca we mnie Violence psuła każdy mój związek, który mógł się przerodzić w coś prawdziwego. Zrozumiałam to, kiedy przyjąłam te słabe przeprosiny Jake’a, którymi obdzielił mnie, Lavender, może i Boga. A kiedy to zrobiłam, uwolniłam się od

bólu tak starego, że się do niego przyzwyczaiłam tak bardzo, iż nie dostrzegałam go nawet wtedy, kiedy niszczyłam każdą potencjalną przyszłość, każdą rodzinę, którą mogłam mieć.

W sumie to zwolennicy teorii „doktor Jekyll, pan Hyde” mogli mieć rację.

– Zawsze uważałam, że Violence darzy Violet uczuciami macierzyńskimi albo siostrzanymi, nie romantycznymi – powiedziałam głównie do siebie. – Ale teraz tak sobie myślę... A co, jeśli Violet to Violence? Nie jestem w stanie napisać historii jej powstania, nie uwzględniając Violet. Nie potrafię wyobrazić sobie Violence bez niej. To, jak Violence na nią patrzy, i te ptaszki, króliczki, słodkie i niewinne... Może właśnie tak postrzega siebie na początku. Chroni samą siebie, tyle że w ogóle nie ma takiej świadomości.

Rachel zachichotała.

– Nie chodziło mi o tę twoją książkę. Chodziło mi o nie. Birchie i Wattie. Myślisz, że są kochankami?

– Faj! Nie! – odparłam natychmiast. Birchie i Wattie szły przed nami, gawędząc z Lavender. Były niemal tego samego wzrostu, a ich przygarbione ramiona tworzyły idealny, łagodny łuk. – Obie miały mężów!

– No i? – zapytała Rachel. – To były inne czasy. Może...

– W żadnym razie – przerwałam jej. Mój dziadek zmarł przed moimi narodzinami, ale znałam męża Wattie. Byli dobrym małżeństwem. Nieustannie kładł rękę na jej biodrze, plecach, ramieniu, a ona nachylała się ku niemu. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, aby Wattie rodziła mu dzieci, pomagała w kościele, nazywała go Wielkim Misiem, a przez cały ten czas sekretnie marzyła o mojej babci. – Nie bądź ordynarna!

– I twierdzisz, że to ja jestem homofobką – oświadczyła Rachel, sztywno, ale bez urazy w głosie.

Zaśmiałam się.

– Bo jesteś. Trochę. Słuchaj, to nie jest tak. One dzieliły jedno łóżeczko. Miały właściwie tę samą mamę. – Birchie opowiadała mi historie Viny, tak jak pewnego dnia ja będę opowiadać Digby’emu historie Birchie. Kruche ciasto, które piekły razem z Wattie, to był rodzinny przepis Viny. Birchie stała przy łóżku umierającej Viny razem z Wattie i wszystkimi jej starszymi braćmi, a cztery razy w roku zanosila kwiaty na jej grób. – Birchie i Wattie urodziły się w odstępie roku. Razem się wychowały.

– Ale tak naprawdę nie łączą ich więzy krwi – rzekła Rachel, przechyliwszy lekko głowę.

– Mnie i ciebie także nie łączą. Twierdzisz, że gdybyśmy były lesbijkami, to miałybyś mnie ochotę pocałować z jęczyzkiem?

– Faj! – odparła natychmiast.

Uśmiechnęłam się.

– Miałybyś ochotę leżeć ze mną na plaży i słodko, delikatnie się ze mną...

– Przestań! Faj, przestań! – zapiszczała Rachel i także się roześmiała. – W porządku! Niech ci będzie. Rozumiem.

To była kolejna bardzo przyjemna chwila. Obie przyspieszyłyśmy, może dlatego, aby zakończyć tę niemal doskonałą rozmowę, nim stanie się coś niefajnego. Mijałyśmy

Pierwszy Kościół Baptistów, a więc byliśmy już prawie w domu. Gdy patrzyłam na moje staruszki, żałowałam, że nie zabrałam dla nich parasolki. Nie podobało mi się, że grzało je słońce, które zamieniało krótkie włosy Wattie w płynne srebro i odbijało się od koczka Birchie.

Kiedy je dogoniłyśmy, Rachel się odezwała:

– Uważam, że mogłaś nadać Violet swój wygląd. Jesteś bardzo ładna, Leia. – Zrobiło mi się ciepło na duszy, ale wtedy dodała: – Choć więcej osób by to dostrzegало, gdybyś mi pozwoliła wyregulować sobie brwi. Rzeczywiście trochę przytyłaś. Może po powrocie do domu zaczniesz ze mną biegać? Zamierzam zrezygnować z członkostwa w swoim klubie...

Pokręciłam głową i szturchnęłam ją w ramię. Oto Rachel, gotowa wkroczyć i przejąć kontrolę nad moją wagą i wszystkim innym, co nie jest doskonałe. Dzisiaj jednak jakoś mnie to nie denerwowało.

Lav zobaczyła, że je dogoniłyśmy, i wcisnęła się między nas, po czym wzięła nas za ręce i zaczęła nimi wymachiwać.

– Gotowa na jutrzejszy powrót do domu? – zapytała ją Rachel.

– Aha – odparła beztrzesko.

Biedny Hugh!

Pociągnęła nas do przodu, niemal w podskokach, dodając naszemu tempu młodzieńczego zapału. Kiedy przechodziłyśmy przez ulicę, zrównałyśmy się z Birchie i Wattie. Dobrze, że zaraz dotrzemy do domu. Digby i ja musieliśmy się położyć.

Birchie i Wattie skrzyły na nasz podjazd, po chwili jednak się zatrzymały. Wzrok miały utkwiony w werandzie.

– Co się stało? – zapytałam. – Czy...

Podążyłam za ich spojrzeniem i zobaczyłam go, jak siedzi na huśtawce i coś czyta. Zamarłam i urwałam w pół zdania. Miałam wrażenie, że serce przestało mi bić. A może tylko zrobiło sobie na chwilę przerwę.

– A niech mnie! To Batman! – oświadczyła Lav.

Jednak niezupełnie był to Batman.

To był Selcouth Martin, prawie nieznanomy, z krótko obciętych włosami zamiast kaptura. Bez peleryny czy choćby paska, za to w ciemnych dżinsach, szarym T-shircie i czerwonych converse'ach. Czytał jakąś powieść graficzną, siedząc na tej samej huśtawce, na której nocą czekał Jake, i mając dokładnie taki sam cel. Selcouth Martin przybył po to, aby zaopiekować się swoim dzieckiem.

– Batman? – zapytała skonsternowana Rachel.

– Aha! – odparła Lav, ściskając mi rękę tak mocno, że niemal boleśnie. – To on, prawda? To on!

Moje usta jeszcze nie pracowały, dobrze więc, że sama odpowiedziała sobie na to pytanie. Zjawił się osobiście, zaledwie kilka godzin po moim telefonie. Wiedział, że jestem u babci w Birchville, więc pewnie wstukał nazwę miasta do nawigacji i ruszył w moją stronę. Sporo mu opowiadałam o Birchville, także o tym, że Birchie mieszka naprzeciw Pierwszego Kościoła Baptistów. Sam znalazł jej dom? Miałam szczerą nadzieję, że nie zatrzymał się na stacji benzynowej Tiger albo nie zajrzał do kawiarni i nie

zapytał o to, gdzie mieszkam. Stałoby się to tematem spekulacji w całym miasteczku, zwłaszcza że potem czekał na naszej werandzie dłużej niż pięć minut.

Birchie i Wattie spojrzały na mnie. Oczy babci błyszczały.

– To on? – szepnęła Birchie. Uczepiła się mocniej ramienia Wattie, a z jej gardła wydobył się piskliwy chichot. Pobrzmiewała w nim nutka hysterii, co wcale mi się nie podobało. „Może do domu Martiny powinnyśmy jednak podjechać samochodem”, pomyślałam, ale w tym momencie Birchie dodała: – Wattie, myślę, że to ojciec!

Wattie zmrużyła spekulacyjnie oczy, po czym rzekła:

– Ten młody człowiek nie jest osobą, której się spodziewałam.

– Czyj ojciec? – zapytała Rachel, ale byłam zbyt oszołomiona, żeby odpowiedzieć. Spojrzała na Batmana, który właśnie przewracał kartkę. Stałyśmy niżej, na końcu podjazdu, a rozmawiałyśmy ściszymi głosami, więc jeszcze nas nie dostrzegł. – Czy to... Masz chłopaka, Leia?

– Wy wiecie? – zapytałam Birchie i Wattie, kiedy moje usta zdecydowały się uwolnić dwa słowa.

– Och, kotku. Oczywiście. – Wattie powiedziała to takim tonem, jakbym zachowywała się niemądrze.

– Wiecie co? – zapytała Rachel. – To utrzymywany w tajemnicy chłopak? Nie mówiłaś o nim dlatego, że jest czarny? – Ostatnie słowo wypowiedziała jeszcze ciszej, po czym spojrzała przepraszająco na Wattie i rzekła do niej: – My tacy nie jesteśmy. Nikt w naszej rodzinie taki nie jest.

– Wiedziałyśmy od razu, jak cię tylko zobaczyłyśmy – powiedziała Wattie, ignorując Rachel.

– Wyglądasz zupełnie jak ja w czwartym miesiącu – wtrąciła Birchie.

– W czwartym miesiącu czego? O czym ja nie wiem? – W głosie Rachel było słyhać coraz większą frustrację. – Kim jest Batman?

Powiedziała to na tyle głośno, że usłyszał. Uniósł głowę. Gdy tylko nas zobaczył, wsunął książkę do torby, która stała u jego stóp, po czym wstał i uniósł rękę w geście zakłopotanego powitania. Na koszulce miał obrazek prezentujący ewolucję człowieka, z *homo habilis* na początku rzędu postaci, które stawały się coraz wyższe i bardziej wyprostowane. Człowiekiem współczesnym na samym końcu był wielki robot. To żart, ale w Birchville nie przejdzie. Ani Birchie, ani Wattie nie uważały, że ewolucja jest zabawna.

– Przytyłaś głównie w tyłku – stwierdziła Wattie.

A Birchie:

– W naszej rodzinie to oznacza chłopca.

Rachel patrzyła na nas z konsternacją. Zamrugła, pokręciła lekko głową i dostrzegłam, że na jej twarzy w końcu pojawia się zrozumienie. Spojrzała mi szybko w oczy.

– Mama wie? – Pokręciłam przecząco głową, a jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. – O Boże! Nie powinnam była mówić, że jesteś gruba! Wcale nie jesteś gruba!

To było tak idealnie w stylu mojej siostry, że poczułam, jak wzbiera we mnie szalony, histeryczny śmiech. Niełatwo mi było go zdusić.

– No to chodźmy – oświadczyła Birchie, a potem ruszyła w stronę schodów prowadzących na werandę, wypuszczając głośno powietrze. Towarzyszył temu ciąg ledwie słyszalnych sylab. – Tatuś, tatuś, tatuś...

Nie wiedziałam, czy ma na myśli Batmana, czy swojego ojca. Tego, którego załatwiła młotkiem. Tak czy inaczej, na dziś miała dość.

Poszłam za nią. Wszystkie poszłyśmy. Gdy dotarliśmy do schodów, Selcouth Martin podniósł torbę i stanął u ich szczytu. Wyglądał inaczej – lepiej – niż na zdjęciach profilowych. Wcześniej zakładałam, że podczas tamtej nocy patrzyłam na niego przez różowe okulary, które miałam na nosie dzięki piwu i tequili, ale okazało się, że po prostu nie jest fotogeniczny. Teraz widziałam mężczyznę, którego zabrałam do swojego łóżka. Oto piękne usta i szeroko osadzone oczy z tymi absurdalnie długimi rzęsami. Zdjęcia nie oddawały jego prawdziwego wyglądu.

Lavender puściła nasze ręce i wbiegła po schodach, mijając Birchie i Wattie. Dotarła do niego jako pierwsza.

– Witaj, Batmanie – rzekła, uśmiechając się do niego szeroko.

– Witaj – odparł Batman.

– Lavender zna twojego chłopaka? – zapytała szeptem Rachel. – Chwila, Lavender wie, że jesteś w ciąży?

Selcouth Martin ją usłyszał. Drgnął mu mięsień w policzku, a ja wzruszyłam bezradnie ramionami. Sądziłam, że zadzwoni do mnie za kilka dni albo zaprosi do rozmowy przez TeamSpeak. Zakładałam, że będę mieć czas na zastanowienie się, co dalej. Zamiast tego to „dalej” działało się już teraz.

– Zejdźmy z tego gorąca – rzekła Wattie i otworzyła drzwi.

Weszłam do domu jako ostatnia, ale nie miałam wcale wrażenia, że uciekam przed gorącem. O nie. Ja dopiero do niego wkraczałam.

Tłoczyliśmy się w przejściu między salonem a dużą jadalnią. Lavender zostawiła na stole brudny talerz po śniadaniu i widelec z przyklejonymi do niego resztkami żółtka, ale poza tym w domu panował nieskazitelny porządek, jak zawsze. Birchie i Wattie zatrzymały się przed schodami i odwróciły w naszą stronę. Stanęliśmy przed nimi w półkolu, jakbyśmy wszyscy byli dziećmi czekającymi na burę.

Najpierw ja, potem Rachel, obok niej Lav, a na końcu Selcouth Martin i jego torba. Lav stanęła blisko niego, cała w uśmiechach. Ja przywróciłam jej ojca, a teraz jej emotikonka z żabą sprawiła, że zmaterializował się tato Digby'ego. Była z siebie zadowolona.

Zerknęłam na niego ukradkiem; z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Przyjechał tu tak szybko, że musiał być już chyba zdecydowany, jakby wiedział, w jakim ma to zmierzać kierunku. Przestraszyłam się. Przez moją głowę przebiegały różne scenariusze. Zjawił się, żeby zażądać ode mnie podpisania papierów zwalniających go z ojcostwa. Nie, chciał prawa do wspólnej opieki. Czy prawo mogło mnie zmusić do wysyłania noworodka co drugi weekend tysiąc dwieście kilometrów od Norfolk? Zadzwoiłam, bo Digby zasługiwał na ojca, zasługiwał na to, aby znać swoją rodzinę. Ale teraz Selcouth Martin przyjechał do Birchville. Stał się rzeczywistą osobą. Miał serce i głowę pełną własnych pomysłów. I te potencjalne pomysły napawały mnie przerażeniem.

Znieruchomiałam w otoczeniu rodziny, niczym łania, która w stadzie czuje się bezpieczniej. Ale łanie nie potrafią mówić. Cóż za luksus! Żałowałam, że ja też nie, kiedy miałam dokonać prezentacji, i dotarło do mnie, iż nigdy nie słyszałam, w jaki sposób wypowiada swoje imię. A przynajmniej nie na trzeźwo. A jeśli powiem „Selcouth”, a on mnie poprawi: „Właściwie to Selcoth”, przez co od razu jasne stanie się, że jestem w ciąży z mężczyzną, którego imienia nie umiem wymówić? Co w sumie było prawdą. No ale przecież nie mogłam oświadczyć: „Hej, to Batman”, jakbym była Lavender. Przedstawienie go jako pana Martina wydawało się stanowczo zbyt oficjalne, zważywszy na fakt, że pod sercem nosiłam jego dziecko.

W sukurs przyszła mi Birchie.

– Jestem Emily Birch Briggs, młody człowieku. Babcia Lei – oświadczyła, robiąc krok w jego stronę i wyciągając rękę. Oczy nadal jej błyszczały, jakby palił się w nich niebieski ogień. – A ty jesteś...?

– Selcouth Martin – odparł, ściskając jej dłoń. „Selcooth”, przynajmniej już wiedziałam. – Większość ludzi mówi na mnie... Sel.

– My wszystkie jesteśmy, jak pan się zapewne domyśla, bardzo przejęte poznaniem pana, panie Martin – powiedziała moja babcia, pozornie do rzeczy. Była blada i choć w domu panował chłód, czoło miała błyszczące od potu. – Chciałabym wiedzieć, od jak dawna wie pan o dziecku.

Selcouth – Sel – zerknął na zegarek i odparł:

– Eee... od jakichś siedmiu godzin?

– To o sześć godzin i pięćdziesiąt pięć minut dłużej niż ja – rzuciła Rachel

półgłosem.

– No cóż, on jest ojcem – szepnęłam.

W świecie idealnym ta różnica byłaby o wiele większa. W świecie, w którym znalazłbym jego zamiary i wymowę imienia. Przez moją głowę nadal przelatywały ponure powody jego natychmiastowego przyjazdu, a najgorsze scenariusze brzmiały tak: chciał bezpośredniej pieczy nad dzieckiem albo zamierzał mnie zmusić do aborcji.

– A moja nastoletnia córka wie? – szepnęła Rachel, przez co nie dosłyszałam początku tego, co powiedziała Wattie.

– ...loty z Norfolk. Miał pan szczęście, że udało się tak od razu – zakończyła z aprobatą.

Oblałam się rumieńcem. Atlantę od Birchville dzieliły ledwie dwie godziny jazdy samochodem, ale, podobnie jak Rachel, Wattie zakładała, że Sel Martin to mój chłopak i że przyleciał z Virginii.

Dla Sela to oczywiście nie miało sensu.

– Ja... ja... ja...

Uratowałam go.

– To pani Wattie Price – rzuciłam. – Kochana przyjaciółka naszej rodziny. – Z powagą uścisnęła jej dłoń. Sprawiał wrażenie bardziej nieśmiałego niż podczas zlotu. No ale tu czekali na niego moi krewni i jego nienarodzony syn. – A to moja przyrodnia siostra, Rachel, i jej córka, Lavender.

Zerknął na mnie, kiedy się odwrócił, aby uścisnąć dłoń Rachel. Zdążyłam już zapomnieć, jak ciemne ma oczy. Z daleka wydawały się czarne, tak że tęczęwki zlewały się ze źrenicami, przez co trudno było odgadnąć, o czym myśli. Poczułam nagłe pragnienie, aby podejść bliżej. Bardzo blisko, tak żebym mogła popatrzeć mu w oczy i cokolwiek z nich wyczytać.

Wyciągnął rękę do Lavender. Ujęła ją w obie dłonie i obdarzyła go promiennym uśmiechem, tak podekscytowana, że ledwie mogła ustać w miejscu.

– To ja cię znalazłam! – oznajmiła.

Zamrugał speszony i rzekł:

– A czy ja z... za... za...

„Zaginąłem”, pomyślałam. To było słowo kończące jego pytanie, ale uwięzło mu w gardle. Niemal widziałam, jak się zablokowało. Miałam silną pokusę, żeby je wypowiedzieć, stłumiłam ją jednak. Mówienie za niego wydawało mi się czymś wścibskim i aroganckim.

Zamknął usta, przełknął ślinę, a potem wydostało się z nich inne słowo:

– Zawieruszyłem się?

– Nie powiedziałaś mu? – rzuciła przez ramię Lav, a potem rzekła do Batmana: – To ja wysłałam ci tę zabę.

– Słucham? – zapytał, a jego spojrzenie ponownie pomknęło ku mojej twarzy.

– Słucham? – powtórzyła Rachel, bardzo, bardzo ostrym tonem, a potem zwróciła się do Sela: – Jak to możliwe, że tak szybko dostałeś się tutaj z Norfolk?

– Nie, on jest z Atlanty – poprawiła ją Lavender, wesolutka jak szczeniaczek.

– Mm, mm, mm – zamruczała Wattie. – Nieźle namieszaliście.

– Poznali się na zlocie fanów komiksów – wyjaśniła Lav – a potem stracili kontakt, ale znalazłam go na Facebooku. To znaczy razem z Hugh.

Powiedziała to takim tonem, jakby to wszystko było cholernie romantyczne, jakby to była scena z jednego z tych starych filmów z Julią Roberts, tak bardzo lubianych przez Rachel. Powinam wyznać: „Jestem po prostu dziewczyną noszącą pod sercem dziecko Batmana”, a w tle rozbrzmiałyby dźwięki skrzypiec i wszyscy zaczęliby klaskać, patrząc z zachwytem, jak się całujemy.

Tymczasem Rachel zapytała bez zachwyty:

– Zlot fanów komiksów? Powiedziałaś mojej córce, mojej trzynastoletniej córce, że poderwałaś faceta na... – Urwała na pół sekundy, jakby przyszło jej do głowy coś innego. – Mój Boże, Leia, czy ty w ogóle go znasz?

Wattie posłała mi spojrzenie bardzo, ale to bardzo baptystowskie.

– Cóż, w sensie biblijnym mamy prawo uważać, że Leia zna pana Martina całkiem dobrze.

Tylko Birchie wydawała się nieporuszona.

– Święte słowa! – Po chwili jednak ton jej głosu uległ zmianie i zapytała mnie głośno i płaczkliwie: – Zamierzasz nas sobie przedstawić? Powinnaś mnie była przedstawić jako pierwszą. Jestem twoją babcią.

Zacząłam wyjaśniać, że już sama zdążyła to zrobić, ale Wattie odwróciła się do niej i weszła mi w słowo:

– Bardzo przepraszamy. Nie zrobiliśmy tego jak należy. Panie Martin, to Emily Birch Briggs, babcia Lei.

Trzeba mu oddać, że bez mrugnięcia okiem ponownie uściśnął dłoń Birchie i się uśmiechnął. Był w końcu pielęgniarzem, a ja mu opowiedziałam o jej chorobie.

Zaczął zadawać Birchie jakieś pytanie. Zaczynało się od „w”, a potem się zaciął, i to mocno. Brzmiało to tak, jakby wiatr ugrzązł mu w ustach. Wydmuchiwał „w”, ale pozostała część słowa nie chciała się wydostać. Zamilkł i na chwilę zasłonił dłonią oczy.

Stan Birchie był gorszy teraz, przed obiadem, niż normalnie wieczorem. Rachel miała mnie ochotę zamordować, a w każdej chwili mógł wrócić Jake, możliwe, że w towarzystwie Hugh i Jeffreya. Ostatnie, czego tu było trzeba, to palant i jeszcze dwóch nastolatków.

– Święte słowa! – powtórzyła Birchie, a Wattie odwróciła się i szepnęła jej coś do ucha.

Batman spojrział na mnie i rozłożył ręce, jakby przepraszał.

– Jąkam się. – To pierwsze słowa, które wypowiedział bezpośrednio do mnie.

– Okej – odparłam, zdziwiona. Nie jąkał się na zlocie ani kiedy graliśmy w *Words with Friends*.

Uśmiechnął się i rzekł, jakby czytał mi w myślach:

– Piwo pomaga, a stres wprost prz... prz... a stres to potęguje. Teraz jestem ch... ch... bardzo zestresowany. Dziwię się, że w... w... ogóle udało mi się coś wydukać. – Tylko parę razy się zaciął, tak jakby poczuł ulgę, że mi powiedział o jakananiu.

Rachel zatknęła włosy za uszy, wyraźnie skrępowana. Tak dobrze ją znałam; nie miała pewności, czy czymś politycznie poprawnym jest dalsze wyrażanie

niezadowolenia, skoro poinformował o swoim kłopotcie. Lavender wyglądała na zaniepokojoną. Oto znalazła go dla mnie, sprowadziła tutaj, jakby był prezentem, a on nie jest doskonały.

– Okej – powtórzyłam, a tym, co teraz czułam, była ulga. Zalała mnie falą tak intensywną, że na mojej twarzy pojawił się niemądry uśmiech, szeroki od ucha do ucha. On się jąkał! Dlatego właśnie nie mógł mówić, kiedy powiedziałam mu o Digbym. Nie towarzyszyła mu żadna kobieta. Po prostu nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. – Dla nas wszystkich ta cała sytuacja jest dość stresująca.

Uśmiechnąłem się i przez chwilę miałam wrażenie, że jesteśmy tu tylko ja i on.

– Chciałem być obecny. Chciałem, byś wiedziała, że będę obecny.

Wypowiedział to bez żadnego jękania i tego właśnie było nam trzeba. Prywatności. Wyjęłam z kieszeni dwudziestaka i podałam Lavender.

– Lav, biegnij i złap swojego tatę, nim tu dotrze. Powiedz mu, żeby zabrał cię na lody. Darianów też weźcie.

– Och, ciociu, daj spokój! – zaprotestowała, ale Rachel mnie poparła.

– Doskonały pomysł. Idź.

Wypowiedziała te słowa Tonem Stanowczej Matki. O rany, też będę musiała się tego nauczyć. Był skuteczny. Lav przewróciła oczami, ale wzięła pieniądze.

– Rachel, najlepiej będzie, jeśli potowarzyszysz Lavender – odezwała się Wattie, cicho i spokojnie. Nie chodziło jednak tylko o mnie. Babcia kołysała się w jakimś wewnętrznym rytmie, stojąc ze wzrokiem wbitym w jadalnię. – Myślę, że Birchie przyda się teraz trochę spokoju.

– Potrzebujecie pomocy? – zapytała od razu moja siostra.

– Raczej nie, hm, Birchie? Napijemy się czegoś zimnego, coś przekąsimy, a potem się położymy. Lepiej, żebyśmy zostały same.

– Nigdy nie zostaniemy same – powiedziała złowieszczo Birchie, patrząc w stronę jadalni, po czym pogroziła gniewnie krzesłu u szczytu stołu. – Wyoście się stamtąd.

Nie mówiła do nas. Zwracała się do niegrzecznych królików albo jakichś innych zwierząt, które bezczęściły jej jadalnię.

Rachel spojrzała na mnie wymownie, ale położyła ręce na ramionach Lavender i skierowała ją ku drzwiom.

– Sorki – szepnęła Lav.

– W porządku, mała.

Wattie szeptała do ucha Birchie. Namawiała ją, żeby odpoczęła, i obiecywała zimną lemoniadę.

Birchie wyglądała tak, jakby z gniewu miała się zaraz rozpląkać.

– Powinien być szampan. Floyd w ogóle nie pił. Przez całe życie. Ja też. Ani tatuś, ale nie przez to idzie się do piekła.

Choć drzwi były zamknięte, usłyszałam, jak Lav woła do ojca, zbiegając po schodach niczym wesoły kucyk, co znaczyło, że za trzydzieści sekund mielibyśmy na głowie także Jake'a. Dzięki Bogu choć za to.

Wattie szeptała tak cicho, że jej słowa były przeznaczone już tylko dla Birchie. Prowadziła ją w stronę stołu.

– Napijemy się lemoniady. My, nie wy – oświadczyła Birchie królikom, nadal gniewnie, ale także zimno i spokojnie, jakby recytowała fakty. „Słońce jest żółtą gwiazdą; na Ziemi istnieje grawitacja, a lemoniada jest tylko dla starszych pań, wy niemądre króliki”.

Wattie machnęła za plecami ręką. Dawała nam sygnał. Mieliśmy zniknąć.

– Chodź – szepnęłam do Sela Martina.

W milczeniu zaprowadziłam go do pokoju do szycia. Otworzyłam drzwi, a on wszedł do środka. Poszedł na sam koniec pomieszczenia, gdzie stanął na tle leżących na półkach materiałów we wszystkich kolorach tęczy. Przed sobą trzymał torbę. Zamknęłam drzwi i stanęłam tuż przy nich.

Żałowałam, że też nie mam torby, bo nie wiedziałam, co zrobić z rękami. Wszystkie możliwości wydawały się sztuczne, udawane i pełne podtekstów. Dłonie splecione przed sobą wyrażały protekcjonalizm, za plecami czyniły ze mnie niegrzeczne dziecko, a skrzyżowanie rąk na piersi wyglądało na gest obronny albo oznakę gniewu. Opuściłam je więc wzdłuż tułowia, co też wydawało mi się niezgrabne.

Wcześniej tego właśnie chciałam, ale teraz, kiedy zamknęły się za nami drzwi, przypomniało mi się, że kiedy ostatni raz byliśmy sami, spłodziliśmy Digby’ego. Wiedziałam, że ten niemal obcy mi człowiek ma na brzuchu bliznę. „Wyrostek robaczkowy”, tak powiedział, kiedy prześlizgnęłam się po niej językiem. To był mężczyzna, który całował moje maleńkie znamię, kryjące się wysoko na wewnętrznej stronie uda, a teraz stał w ubraniu po przeciwnej stronie pokoju.

– Powinniśmy porozmawiać – odezwałam się i od razu oblałam rumieńcem. Najgorsze, co można powiedzieć mężczyźnie, który dopiero co oznajmił, że się jąka. – To znaczy, chcę cię przeprosić – poprawiłam się. – Nie powinnam dzwonić do ciebie w środku nocy i wyskakiwać z Digbym.

– Di... Di... D... – próbował powtórzyć imię, a ja znowu to zrobiłam: ważnej informacji pozwoliłam wymknąć się od niechcienia, tak jak wtedy, kiedy mu powiedziałam, że urodzę chłopca.

– Przepraszam. Tak na niego mówię.

– Och. – Wyraźnie starał się nie skrzywić.

– Nie podoba ci się? – zapytałam, bo do tej pory nie przyszło mi do głowy, że ojcu Digby’ego może się nie spodobać jego imię. Dopóki nie stanęłam twarzą w twarz z ojcem Digby’ego.

– Bbbbardzo mi się podoba – skłamał. Nie był w tym dobry.

Dziwne, ale lepiej się poczułam, gdy usłyszałam to oczywiste kłamstwo wypowiedziane po to, żeby sprawić mi przyjemność. Może było tak jak z wężami – on bał się mnie równie mocno, jak ja jego. Pozostałam w swojej części pokoju, starając się wyczytać cokolwiek z jego milczenia, ciemnych oczu, starannie neutralnego języka ciała. Czy przez jego głowę także przebiegały najgorsze scenariusze?

Pierwsze, co do mnie powiedział, to: „Chciałem być obecny. Chciałem, byś wiedziała, że będę obecny”. To się właśnie liczyło. Kiedy się dowiedział o ciąży, rzucił wszystko i po kilku godzinach po prostu się zjawił.

A tymczasem ja nosiłam w sobie jego dziecko. Na razie Digby był tylko mój. Przez

kilka miesięcy nie skontaktowałam się z Selem, a kiedy to w końcu zrobiłam, ani słowem nie wspomniałam o dziecku. Jego istnienie mogłam zachować dla siebie na zawsze i on o tym wiedział.

Może tak właśnie wyglądał jego najgorszy scenariusz. Bał się, że zostanie wykluczony z życia swojego dziecka? Chciałam, żeby mi to powiedział, własnymi słowami, ale te tkwiły uwięzione w jego ustach. Postanowiłam więc założyć, że tak jest.

– Digby może być imieniem, jakiego używamy w czasie ciąży. Rachel na przykład nazywała Lav Fasolką. Później możemy się zastanowić nad prawdziwym imieniem. Takim, które spodoba się nam obojgu. Jeśli chcesz.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, śliczny i pełen ulgi, i już wiedziałam, że dobrze go wyczułam, jeszcze zanim powiedział:

– Do-do-do...

Pewnie chciał powiedzieć „dobrze”. Zamknął usta i widziałam, że jest sfrustrowany.

– Nie denerwuj się. Wydaje mi się, że jesteśmy po tej samej stronie. Jesteśmy? Myślę o Digbym, tymczasowym Digbym, potem możemy nazwać go inaczej, i jestem po jego stronie. A ty? – Kiwnął poważnie głową. – W takim razie dobrze. Musimy znaleźć jakiś sposób na to, aby porozmawiać. Zaproponowałabym ci piwo, ale mamy jedynie burbon, a jeśli do T-shirta z ewolucją dojdzie jeszcze picie alkoholu przed południem, możliwe, że Wattie poszuka starej dubeltówki i cię przepędzi. – Spojrzał na mnie pytająco. Ze zdenerwowania wyrzucałam z siebie słowa. – A może wykorzystamy telefony? Moglibyśmy siedzieć w tym samym pokoju i pisać do siebie. To bardzo nowoczesne. Lavender i jej przyjaciele robią tak na okrągło.

Znowu zakrył oczy dłonią. Kiedy ją opuścił, na jego twarzy malował się żal. Uniósł palec w geście „chwileczkę”. Teraz to on się zarumienił. Mocno. Tak mocno, że czerwień przebijała przez jego skórę, zwłaszcza na końcach uszu.

Odwrócił się i postawił torbę obok laptopa, otworzył ją i wyjął książkę. Była to *Saga* w twardej oprawie, z równie zniszczonymi rogami jak mój ukochany egzemplarz w Norfolk. On rzeczywiście miał cholernie dobry gust, jeśli chodzi o komiksy. Wyjął także jakiś czarny materiał, rozłożył go, stojąc plecami do mnie, a potem założył na głowę.

To był kaptur, ten sam, który pamiętałam ze zlotu, ze sterczącymi uszami Batmana. Na plecy opadła mu peleryna, sięgająca połowy łydek. Poprawił materiał przy szyi, jednocześnie poruszając ramionami, a potem odwrócił się przodem do mnie.

– Cześć – powiedział Batman. I to był on. Zniknął Sel Martin. To był seksowny Batman ze zmysłowymi ustami i pewnym siebie uśmiechem. Facet, który podszedł do mnie w barze. Przez otwory w masce widać było błyszczące oczy.

– Cześć – odpowiedziałam.

Torba była pusta. Nie zabrał ze sobą reszty stroju, ale nie szkodzi. To, co miał, doskonale się zgrywało z szarą koszulką i ciemnymi dżinsami. Było trochę tak, jakbym wpadła na Batmana, który ma akurat wolny piątek.

– Porozmawiajmy o dziecku. – Żadnego jąkania.

– A niech mnie. – Przyłapałam się na tym, że się uśmiecham jak idiotka. Pokazałam

na kaptur i pelerynę. – To działa?

– Zawsze. – Wzruszył ramionami. – Nawet kiedy jako dzieciak biegałem po domu w piżamie z Mrocznym Rycerzem, a na głowie miałem poszewkę na poduszkę z wyciętymi otworami na oczy.

– Chodzisz tak ubrany do pracy? – zapytałam zafascynowana.

Niemal chciałam, żeby tak było. Osobiście chętnie poddałabym się operacji, gdyby do snu miał mnie układać jeden z Super Friendsów. Dla „zwykłych” ludzi mogło to być jednak nieco niepokojące.

– W pracy mało się jąkam – powiedział cicho, ale nie miałam problemu z usłyszeniem jego głosu. – W gronie przyjaciół też. Problem mam wtedy, kiedy próbuję rozmawiać z ładnymi kobietami. Albo kiedy się dowiaduję, że przypadkowo spłodziłem dziecko. Albo kiedy jestem sam na samą z jedną z moich ulubionych autorek. Dzisiaj mogę zakreślić wszystkie trzy okienka.

– To dopiero niezła ściema. – Zrobiłam krok w jego stronę. Miałam ochotę dowiedzieć się, jacy inni autorzy należą do jego ulubionych i na którym miejscu plasuje się moja twórczość, ale zostawiłam to na później.

Wzruszył ramionami, w ogóle niespieszony.

– Jesteś ładna. Jesteś w ciąży. I jesteś cholerną Leią Birch. Wiesz, ile razy czytałem *Violence & Violet*? Do tego kolekcjonuję wszystkie serie, których jesteś współautorką.

– Wszystkie? Chyba nie specjalne wydanie *Hellboya*? – To była edycja limitowana, którą współtworzyłam.

– Ależ tak – odparł. – Ta sekwencja, kiedy Hellboy biegnie tunelami, a za nim toczy się kula ognia? Jego twarz... Super.

Przylapałam się na tym, że dotykam włosów. Schlebiał mi. Byłam dumna, że udało mi się uchwycić minę Hellboya, połączenie przyjemności i wstydu. Zdradzieckie ręce. Opuściłam je znowu wzdłuż tułowia.

– Test nerda – oświadczyłam, by zmienić temat. – DC czy Marvel?

– DC? – powiedział takim tonem, jakby to było oczywiste.

Wonder Woman to DC, poza tym miał na sobie połowę stroju Batmana, więc rzeczywiście, to było jasne.

– *Fantastyczna Czwórka* czy *Doom Patrol*? – zapytał, co było śmielsze. Bardziej ryzykowne.

– *Doom Patrol* – odparłam. – Zwłaszcza wydanie Granta Morrisona.

– O tak. Richard Case – zgodził się i zrobił krok w moją stronę. – Nie przyjechałem prosto tutaj. Najpierw skierowałem się do Macon, do domu rodziców. – Wyglądało tak, jakby nasza udana runda testu nerda pozwoliła poruszyć poważniejsze tematy. – Była czwarta rano, ale musiałem porozmawiać z tatą.

– Jesteście blisko? – zapytałam i znowu się przysunęłam. Wiedziałam już, że mają dobre relacje. Widać to było na tym zdjęciu z choinką z *Gwiezdnych wojen*.

– To mój najlepszy przyjaciel – wyjaśnił Batman. – Ćwok ze mnie, co?

– Zdecydowanie. – Uśmiechnęłam się. – Lubię jednak ćwoków. Ba, sama jestem ćwokiem.

– No dobra. Powiedziałem mu. O dziecku. Tobie. Złocie. Udzielił mi paru rad, ale

nie miało to znaczenia. Wiedziałem, że przyjadę tutaj, prosto do ciebie. Wiedziałem, kiedy otworzył drzwi. Było tak wcześnie, że go obudziłem, więc wyszedł naburmuszony, kiedy jednak zobaczył, że to ja, od razu się rozpromienił. – W jego głosie było słycać powagę. – Nie chcę, żeby moje dziecko wychowywało się dwanaście godzin jazdy ode mnie. Mam siostrzeńców i siostrzenice, których kocham, ale widuję ich tylko trzy albo cztery razy w roku. Podczas każdego spotkania są zupełnie innymi ludźmi. Nie chcę, żeby tak było z moim dzieckiem. Pragnę być takim ojcem, jakiego sam mam.

Ręce trzymałam teraz z przodu i wykręcałam dłonie. To wszystko, czego pragnęłam dla Digby'ego, oferował mi z własnej woli. Nie miałam jednak pewności, jak z tego skorzystać. Zbyt wielką byłam pragmatystką.

– Podoba mi się to, co mówisz, ale jak by to wyglądało? Przecież nie spakujesz jutro wszystkich swoich rzeczy i nie przeprowadzisz się do Norfolk.

– Oczywiście, że nie – powiedział, ale od razu dodał: – A przynajmniej nie jutro. Nigdy nie byłem w Norfolk. Ale tam zamieszasz wychowywać moje dziecko. Pewnie, że chcę przyjrzeć się temu miejscu. – Teraz to ja nie mogłam mówić. – Chcę, abyś ty także przyjechała do Atlanty. Może się w niej zakochasz. Moje miasto ma do zaoferowania znacznie więcej niż zlot fanów komiksów.

Przełknęłam ślinę. Jezu, to dopiero gra o wysoką stawkę.

– A jeśli mi się nie spodoba?

– Przyjedź i się przekonaj – powiedział. – A jeśli ci się spodoba?

– A co, jeśli tobie nie spodoba się Norfolk, a mnie Atlanta? – zapytałam. W moim głosie pobrzmiwała nutka paniki. – Co wtedy?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Sprawdzimy Wilmington. Sprawdzimy Asheville. Czemu nie? Ty pracujesz jako wolny strzelec, a ja mam taki zawód, że znajdę pracę niemal wszędzie. Jeśli nie spodoba nam się Wilmington czy Asheville, możemy pojechać do Myrtle Beach i Greensboro. Razem wybierzemy miejsce, tak samo jak imię.

Oboje zrobiliśmy krok w swoją stronę. Zbliżyliśmy się do środka pokoju i widziałam teraz oczy kryjące się pod maską. Zrenice miał rozszerzone, niemal równie duże jak tęczówki.

W jego ustach brzmiało to tak prosto, że może rzeczywiście takie było. Oby, bo Digby właśnie się obudził i kręcił się w kółko, coraz bliżej poznania świata. W tym momencie bardzo pożałowałam, że nie jestem optymistką. Rachel była. Kiedyś, zirytowana moim czarnowidztwem, zapytała: „Czy szklanka nigdy nie jest dla ciebie w połowie pełna?”. Na co ja warknęłam: „Pewnie, że jest. W połowie pełna os”. Zaśmiała się wtedy i rzekła: „W połowie pełna trucizny. W połowie pełna śmiertelności, ale zawsze w połowie pusta, jeśli chodzi o cukier czy słońce”. Miała rację. Zresztą wystarczyło spojrzeć, jak zakończyłam V & V.

– A jeśli będziemy się kłócić i nienawidzić tak bardzo, że nie będziemy mogli mieszkać w tym samym mieście, i zniszczymy życie naszemu dziecku, zniszczymy życie sobie, a potem umrzemy? – zapytałam niby żartem.

Przez kilka sekund zastanawiał się nad moim złowieszczym scenariuszem, a potem rzekł:

– Test nerda: *Preacher* czy *Pretty Deadly*?

Tym razem musiałam chwilę pomyśleć.

– *Pretty Deadly* – odpowiedziałam. – Ale tylko o włos.

– Widzisz? Będzie dobrze.

Roześmiałam się.

– Och, spokojne wody – rzekłam. – Żadnej burzy.

– Może nie. – On też się uśmiechnął. – Ale jest pewne miejsce pomiędzy twoją a moją rodziną, gdzie oboje możemy być szczęśliwi. Gdzie on może dorastać z nami obojgiem. – Batman spuścił na chwilę wzrok i ściszył głos, przez co musiałam zrobić kolejny krok w jego stronę. – Jestem tutaj. Niech to będzie początkiem. Spędź ze mną dzień. Oprowadź mnie po tym miejscu.

A to mnie zaszokował.

– Birchville? Brałbyś pod uwagę Birchville?

– Pewnie – odparł. – Jesteś z nim silnie związana. Leży na tyle blisko Montgomery, że mógłbym dojeżdżać tam do pracy.

– Może to nie jest najlepsze miejsce dla dziecka dwurasowego? Nie ma tu kościoła, gdzie... – zaczęłam, po czym umilkłam zażenowana, kiedy sobie uświadomiłam, że zamierzam tłumaczyć czarnoskóremu mężczyźnie, czym jest rasizm. Z pewnością dostrzegł już raz czy dwa razy, bez mojej pomocy, że nasza wspólna ojczyzna ma z tym pewne kłopoty. – Przepraszam. – Teraz to ja oblałam się rumieńcem.

Podszedł bliżej.

– Hej, przestań. Tak jest wszędzie. Będzie czarny bez względu na to, gdzie go wychowamy.

Chciałam zaprotestować, bo Digby był przecież w połowie mój. Nie będzie czarny. Będzie... Tym razem zdążyłam ugryźć się w język. Sel Martin miał rację.

Mój syn będzie czarny. A ja będę białą kobietą z czarnym dzieckiem w ramionach. Na Południu, zresztą i w całej Ameryce, nie istniało coś takiego jak wielorasowość. Cały kraj nazywał mężczyznę dwurasowego „naszym pierwszym czarnoskórym prezydentem”. Lou Elle Peterson, która prowadziła w Odkupicielu Klub Kobiet, miała złote oczy, a jej skóra nie wydawała się ciemniejsza niż u opalanej Rachel, a była czarna. Wszyscy tak uważali. Ja także, a kiedy się do tego przyznałam, zalała mnie fala paniki. Tysiąc facebookowych filmików, nad którymi płakałam, nagle zaczęło odnosić się do mnie. Położyłam dłonie na brzuchu i pokręciłam głową, nie mogąc wydobyć głosu.

– Nigdy nie będzie mógł nosić bluzy z kapturem – powiedziałam w końcu, co może brzmiało nedorzecznie, ale zaczęłam panikować.

– Okej. – W głosie Sela było słycać spokój. – O wielu rzeczach musimy porozmawiać. Ale jest na to czas, wiesz?

Spojrzałam na niego i od razu zrobiłam się spokojniejsza. Dzieliło nas teraz nie więcej niż trzydzieści centymetrów. Dobrze się czułam tak blisko. Z jego spojrzenia wyczytałam, że wcale nie uważa mnie za głupią; nie winił mnie za to, że jestem ślepa. Potrafił wyobrazić sobie życie Digby’ego o wiele lepiej niż ja, bo znał świat, po którym będzie żeglował nasz syn. Był obecny i już zajmował się synem, o którego istnieniu dowiedział się przed kilkoma godzinami.

Poczułam ściskanie w sercu. Zasłużył na tę pelerynę. Zasłużył na kaptur. Jakie dziecko mogłoby być bezpieczniejsze niż to skulone ledwie krok od Batmana?

– W porządku – rzekłam i nachyliłam się w jego stronę. – Jest czas.

– Och, pewnie. Tylko że mamy jeden problem.

– Jaki? – zapytałam, a on pochylił się i mnie pocałował.

Bez kontaktu cielesnego. Tylko jego usta, zdecydowane i stanowcze, dopasowujące się do moich, szukające reakcji. Udzieliło jej moje ciało, które przechyliło się w jego stronę. Wtedy jego dłoń dotknęła mojego karku, a palce wplotły się we włosy.

W brzuchu miałam to dziwne uczucie znane z jazdy kolejką górską. Zabrakło mi tchu i objęłam Batmana. Dłonie wsunęłam pod pelerynę, a palce przypominały sobie jego umięśnione plecy. Drugą rękę położył na moim biodrze i przyciągnął mnie bliżej. Bicie serca czułam dosłownie w całym ciele: za oczami, w trzęsących się dłoniach, w podbrzuszu.

Przerwał, ale się nie odsunął, a ja zaczerpnęłam powietrza i rzuciłam:

– Cholera.

Mogłam sobie wmawiać, że to hormony drugiego trymestru. Mogłam sobie wmawiać, że to przez ten kaptur Batmana. Ale to było coś więcej, tak samo jak podczas zlotu nie chodziło tylko o tequilę.

Teraz, gdy znajdował się tak blisko mnie, przypomniawszy mi się jego zapach. Pod delikatną wonią wody toaletowej ukrywał się zapach mężczyzny, tego konkretnego. I bardzo mi się podobał. Kiedy Sel mnie pocałował, wszystko wskoczyło nagle na właściwe miejsce. Niewiele wiedziałam o samym Batmanie, ale to? To funkcjonowało bez zakłóceń. Aż za dobrze.

Zdjął z głowy kaptur i pozwolił mu opaść na pelerynę.

– Och, to dobrze. Martwiłem się, że to tylko mój p-problem – oświadczył.

– Nie. Jest nas dwoje – odpowiedziałam, a on uśmiechnął się szeroko. – Nie szczerz się tak. Mnie to przeraża. – Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, więc zmarszczyłam brwi. – Naprawdę. Musimy być ostrożni.

Nie przestawał się uśmiechać.

– Cholerna Leia Birch – powiedział, a w jego głosie było słycać całe mnóstwo podziwu. Aż tyle, że wbrew sobie także się uśmiechnęłam.

Właściwie to nic nie ustaliliśmy. Nadal byliśmy niemal nieznajomymi, spodziewającymi się dziecka, mieszkającymi w miastach bardzo od siebie oddalonych. Żyliśmy w różnych Amerykach. Jego była bardziej niebezpieczna niż moja i nasze dziecko też miało tam zamieszkać. W zasadzie to nawet dodaliśmy kolejny punkt na liście rzeczy do przedyskutowania – za kilka krótkich miesięcy Digby będzie potrzebował prawdziwego imienia. Staliśmy zbyt blisko siebie, szczerząc się jak idioci, którzy całują się, zamiast poważnie rozmawiać i podejmować trudne decyzje.

Cóż za idioci! Jego dłoń nadal spoczywała na moim biodrze, jakby to było jej miejsce, a ja pomyślałam, że może najlepsze, co mogłabym zrobić, to przyciągnąć jego twarz do swojej i go pocałować.

I w tym właśnie momencie Birchie zaczęła krzyczeć.

To było staccato krzyków, krótkich i przejmujących, po których rozległy się głuche walnięcie i brzęk. Wybiegłam na korytarz i popędziłam w stronę odgłosu tłuczonego szkła. Batman ruszył za mną, a za nami powiewała jego peleryna. Minęliśmy schody i zatrzymaliśmy się zaraz za Wattie. W tym samym momencie rozległ się najdłuższy krzyk Birchie:

– Nie!

Przy stole w jadalni siedział wyraźnie spanikowany Frank Darian. Ręce miał uniesione w niemal komicznym geście obronnym, jakby próbował przebłagać szaloną boginię z rozwianymi włosami.

Birchie stała na drugim końcu stołu. Jej twarz błyszczała od potu, a na policzkach miała intensywnie czerwone rumieńce. W jednej ręce niczym broń trzymała widelec.

Wattie odezwała się śpiewnie:

– No już, już, ćśś. – Uniosła rękę, by powstrzymać mnie i Batmana, po czym zerknęła na nas przez ramię. – Nie teraz. Birchie potrzebuje trochę miejsca.

Jeszcze nigdy jej takiej nie widziałam, gwałtownej, poruszonej, sapiącej. Wattie zachowywała jednak taki spokój, że pomyślałam: „Ona już to widziała. Widziała już Birchie w takim stanie, i to nie raz. Boże, miej nas w swojej opiece”. Posłuchałam jej i dotknęłam ramienia Sela Martina, żeby został przy mnie.

Krzesło Birchie było przewrócone, a dzbanek z lemoniadą spadł albo został zrzucony ze stołu. Na podłodze utworzyła się duża kałuża z topiącym się lodem i odłamkami szkła. Szklanka Birchie też leżała i po drewnianym stole rozlewała się lemoniada. Po chwili pierwsze krople zaczęły skapywać na podłogę. Był to kojący dźwięk; ciche bębnienie, jak letni deszcz.

Ten odgłos nie pasował jednak do tego pełnego napięcia pokoju, w którym Birchie nam oświadczyła, głosem piskliwym i przepelnionym wściekłością:

– Powiedziałam nie, powiedziałam nie, powiedziałam nie, powiedziałam! – Przenosiła wzrok z jednej osoby na drugą, a w ręce trzymała brudny widelec, którym celowała w nas tak, jakby to był rzeźnicki nóż.

Frank Darian coś do niej mówił. Przepraszał? Nie dosłyszałam, bo Batman zapytał cicho:

– Jakie bierze leki?

Nie pamiętałam nazw, ale Wattie owszem.

– Exelon i sinemet.

– Bardzo mi przykro – powtórzył Frank. – Niepotrzebnie przyszedłem.

– Nic na uspokojenie? – Jąkanie Batmana nie przyszło tu razem z nami. Może to sprawka długiej peleryny, która nadal okrywała mu plecy, a może wszedł w tryb pielęgniarski.

– Co tak szepczecie? – zapytała Birchie, kierując na nas zęby widelca. – Macie przede mną tajemnice? Kolejne?

– Mówiłam panu Martinowi, że kiedy się denerwujesz, tak jak teraz, to bierzesz valium – odparła Wattie. – W szafce w kuchni, na lewo od piecyka. Może Frank ci

przyniesie? – Choć wypowiedziała to słodkim głosem, wszyscy oprócz Birchie usłyszeli rozkaz, nie pytanie.

– Oczywiście – powiedział Frank.

– Idź naokoło – poleciła mu Wattie, a on posłusznie wyszedł z jadalni, żeby dotrzeć do kuchni od strony korytarza. – Może wszyscy powinniśmy usiąść – kontynuowała, ignorując widelec i sapanie Birchie.

– Niby jak mam usiąść? Zabrał mi krzesło! – oświadczyła Birchie. – Tak nie można! Nie można i już!

– Krzesło się przewróciło. Frank go nie zabrał. Poszedł po twoje lekarstwa – powiedziała Wattie, spokojnie i rzeczowo.

– Leci pani krew – odezwał się Sel Martin.

– Nie Frank! Nie bądź niemądra. Miałam na myśli jego. – Birchie wycelowała widelec w powietrze, w swoje puste miejsce u szczytu stołu.

Kiedy stała bokiem, Sel zrobił krok w przód. Zignorował chrzęst szkła pod butami i wziął ze stołu serwetkę Lavender. Podeszedł do Wattie i nachylił się, żeby obejrzeć jej ramię.

– Mmm, rana jest dość głęboka – powiedział. Przycisnął serwetkę do skóry i przez białe płótno zaczęły przesiąkać plamy czerwieni.

– Ona to zrobiła? – zapytałam Wattie, ale mnie zignorowała. – Birchie cię zraniła?

– Jak się dostałeś z powrotem do mojego domu, ty wstrętny draniu? – W głosie Birchie było słycać wściekłość. Wpatrywała się w portret wiszący po lewej stronie stołu. Portret swojego ojca, Ellisa Bircha. – Wynieśliśmy cię. Jak się na nowo zakradłeś do mojego domu? Rozbiłyśmy cię w samochodzie! – Była oburzona, jakby to kości uciekły z zakładu medycyny sądowej, obrosły ciałem i przyszły tutaj, aby odzyskać miejsce u szczytu stołu. Miejsce, które od sześćdziesięciu lat zajmowała ona.

Zatęskniłam za królikami. Moja babcia przynajmniej wiedziała, że tak naprawdę nie istnieją. Nie przeklinała ich ani nie krzyczała. To było zarezerwowane dla Ellisa Bircha, jej ojca, mężczyzny, którego załatwiła młotkiem. Najgorsze, że ta skrzecząca wersja mojej Birchie, dzierzająca widelec, w ogóle nie miała wyrzutów sumienia. Wyglądała na gotową rozprawić się z nim po raz drugi.

– Proszę dociskać i trzymać rękę uniesioną. Musimy to oczyścić – rzekł Sel do Wattie. – Kiedy po raz ostatni była pani szczepiona przeciw tężcowi?

Birchie go usłyszała i się obejrzała. Na widok Sela zaczęła chichotać. To był wysoki, dziewczęcy śmiech, wydobywający się z jej małych ust staruszki.

Pogroziła portretowi widelcem i zapytała, nadal chichocząc:

– Wiesz, że on jest czarny? Zobacz jak bardzo!

– Zauważyłam – odezwała się niewzruszona Wattie, jakby Birchie mówiła do niej. Bardzo się starała nakłonić moją babcie do dostrzeżenia albo odezwania się do kogoś, kto był obecny.

Oblałam się rumieńcem i powiedziałam do Sela:

– Ona jest chora.

– Spoko. Wiedziałem, że jestem czarny. – Uśmiechnął się do mnie, a potem odwrócił w stronę Franka, który wrócił z tabletkami. Zauważyłam go dopiero, kiedy

podał mi ciemną fiolkę. – Może pan przynieść apteczkę?

– Patrz, jaki jest czarny, ty wstrętny draniu! – Birchie nadal zwracała się do portretu.

Tymczasem Frank, z twarzą poróżowiałą z zażenowania, odparł:

– Pewnie, tak, jest w spiżarni. – I poszedł po nią.

Birchie ponownie wbiła wzrok w portret.

– Będziemy mieli czarne dziecko. Przyjdź tu za rok, a zobaczysz przy swoim stole małego czarnego Bircha, jedzącego słodkie ziemniaki według przepisu Viny. Jedzącego twoją łyżeczką. Małe opiekane pianki. Twoją łyżeczką. Co na to powiesz? – I znowu ten dziewczęcy, ale przy tym okropny śmiech. – Co powiesz na to, aby siedzieć wtedy przy stole?

Sapnęła, następnie wzięła płytki oddech. Rumieńce na policzkach rozlały się w plamy, które dotarły aż do szyi.

– Jak się robi te słodkie ziemniaki? – zapytała Wattie, która ciągle przyciskała serwetkę do ramienia. – Zapomniałam. Dodaje się cukier trzcinowy czy melasę?

Birchie zachwiała się i przekrzywiła głowę. Słuchała, ale nie Wattie. Widelec zadrżał jej w dłoni. W kąciку ust zebrała się ślina.

– Nie podoba mu się to, Wattie – oświadczyła. Radośnie wpatrywała się przy tym w portret.

– Och, z pewnością – powiedziała Wattie. – Ale musisz mi powiedzieć, ile masła.

– Pieprzyć te ziemniaki. – Wróciła wściekłość, ale przynajmniej Birchie zwracała się teraz do Wattie, a nie do obrazu. Nie do kości. – Czemu nie chcesz mnie słuchać, Wattie? Znasz go. Znasz, a mimo to nigdy nie chcesz mnie słuchać. – Jej spojrzenie przeniosło się z powrotem na portret i już wiedziałam, że znowu ją straciliśmy. – Ona cię zna, ty kutasie, kutasie, kutasie, kutasie, kutasie.

– Birchie? – odezwałam się, ale babcia mnie nie słyszała.

Ruszyła w stronę obrazu, wykrzykując nieprzyzwoite słowa. Od kilku dekad nie widziałam, żeby poruszała się tak szybko. Wbiła widelec w namalowaną twarz ojca. Krzyk zmienił się w zwierzęcy skowyt, a potem wbiła widelec jeszcze raz, i kolejny. W prawe oko. Po brodzie ciekła jej ślina. Wyrwała widelec z płótna, całkowicie niszcząc oko. Wycelowała w drugie i je rozerwała.

Nie znałam jej. Nie znałam tej wersji mojej babci. Przyłożyłam dłonie do policzków i przekonałam się, że są mokre.

Sel tak szybko znalazł się po drugiej stronie stołu, że nawet nie zauważyłam, iż zamierza to zrobić. Stanął za nią, ignorując nieludzkie zawrodożenie i szaleńcze ruchy ręki dzierzżącej widelec. Jednym płynnym ruchem mocno ją objął i chwycił za nadgarstek, nim znowu wbiła widelec w obraz. Jego długie ręce unieruchamiały Birchie. Krzyczała, prężyła się i kopała, a wokół jej twarzy fruwały siwe włosy.

– Och nie! Nie! – Przyglądałam się bezradnie, jak moja babcia rzuca się i krzyczy w jego ramionach.

– Już dobrze, już dobrze – mówił Sel Martin, równie spokojnie jak Wattie, odciągając Birchie o kilka kroków, żeby nie mogła kopnąć w ścianę i zrobić sobie krzywdy. Na nogach nie miała już butów i miałam nadzieję, że odłamki szkła leżą tylko

po mojej stronie stołu.

– Nie zrób jej krzywdy – poprosiłam.

Stanowczo i pewnie trzymał Birchie, gdy tymczasem ona rzucała się jak ryba wyłowiona z wody.

Jej krzyki w końcu osłabły i przekształciły się w słowo. Imię.

– Wattie! Wattie! – zawołała drżącym głosem. Jej ciało stopniowo nieruchomiało. Kiedy tylko przestała kopać, Wattie podeszła. Rzuciła zakrwawioną serwetkę na podłogę, żeby odgiąć palce Birchie i zabrać widelec. – Wattie!

– Ćśś, skarbie, ćśś – rzekła Wattie. Upuściła widelec, który z brzękiem wylądował na podłodze. Położyła dłonie na policzkach Birchie, jakby chciała unieruchomić jej rzucającą się na boki głowę. Z ręki leciała jej krew, ignorowała to jednak. Zbliżyła twarz do twarzy Birchie i spojrzała jej w oczy. – Jestem tu. Jestem. Ćśś. Ćśś.

– Zadzwoń po karetkę – powiedział do mnie Sel. Jego głos był spokojny i pewny.

– Ani się waż – rzuciła Wattie takim tonem, jakiego Rachel użyła, żeby odprawić Lavender. Ton Stanowczej Matki działał na wszystkich. Z wyjątkiem pracownika służby zdrowia.

– Myślę, że trzeba – oświadczył Sel. – A przynajmniej należałoby wezwać jej lekarza.

– Tak bardzo mi przykro. Nie zamierzałem jej denerwować! – powiedział Frank, który wrócił z apteczką Birchie. Postawił ją na stole, podniósł krzesło, a mnie zalała fala wdzięczności. Jedna niewłaściwa rzecz mniej w tym pokoju pełnym niewłaściwych rzeczy.

– Już wszystko dobrze – rzekła Wattie. Nadal patrzyła Birchie w oczy. – Jestem tutaj. Widzisz mnie? Jestem tutaj. Jesteśmy tylko my. Weźmiemy lekarstwo? Tak? – Trzymała twarz Birchie w dłoniach. Babcia zaczęła płakać.

– Jestem taka zmęczona – jęknęła. – Jestem taka zmęczona.

Ręce mi się trzęsły, więc miałam problem z otworzeniem fiołki. W końcu udało mi się wydobyć niebieską pigułkę. Na stole ocalała jedna porcja lemoniady. Odstawiłam fiołkę, otarłam oczy i wzięłam szklankę do ręki, po czym obesłam stół i powiedziałam:

– Birchie, przyniosłam ci lekarstwo. Dobrze?

Po długiej chwili odparła:

– Dobrze.

Sel nadal ją trzymał, ale puścił nadgarstek. Podałam jej pigułkę, a ona wsadziła ją do ust, popiła lemoniadą i przełknęła. Sel poluzował uścisk i postawił Birchie na podłodze. Stała, lekko się chwiejąc; niebieskie oczy były pozbawione wyrazu, usta – zaciśnięte. Wyglądała, jakby miała tysiąc lat. Na ramiona opadały splątane pasma rzadkich włosów. Odstawiłam szklankę na stół, a kiedy podniosłam wzrok, Birchie mrugała, skonsternowana, ale uśmiechnięta.

– Leia! Skarbie, kiedy przyjechałaś? – Zmarszczyła lekko brwi. – Chyba nie kupiłam indyka. Wattie, kupiłyśmy indyka?

– Kupiłam, nic się nie martw. Dużego, tłustego indyka – powiedziała do niej Wattie, po czym zwróciła się do Sela: – Może pan ją puścić.

Nie tyle ją puścił, ile przekazał mnie. Objęłam ją w pasie, podtrzymując. Kiedy

szłyśmy blisko ściany, odgradzałam ją sobą od szkła leżącego na podłodze. Po drodze zerknęłam na portret Ellisa Bircha. Był nie do uratowania. Po jednym oku została dziura w płótnie, a drugie wyglądało, jakby pocałował je mały Wolverine.

– Zajmiesz się ręką Wattie? – zapytałam cicho Sela, oglądając się przez ramię. – Frank przyniósł apteczkę.

– Tak. Zaraz... – zaczął Sel.

– Ćśś, panie Martin – przerwała mu Wattie, niezbyt głośno, ale bardzo stanowczo. Ton Stanowczej Matki działał nawet wtedy, kiedy nie podnosiła głosu. Fajna sztuczka. – Proszę chwilkę poczekać. Jeśli pana usłyszy albo zobaczy, może się znowu zdenerwować.

Szepnęłam do Birchie:

– Chcesz się przespać? Chcesz się położyć razem ze mną? Pójdziemy na górę, włączymy wentylator i odpoczniesz sobie w chłodzie.

– Cudowny pomysł, kotku – odparła Birchie.

Powoli i ostrożnie weszłyśmy po schodach. Zamknęłam za nami drzwi pokoju, zdjęłam narzutę i odsunęłam kołdrę. Nie buzowała już we mnie adrenalina i czułam potworne zmęczenie. Nawet Digby, obracający się lekko w moim brzuchu, sprawiał wrażenie wolniejszego niż zwykle.

Ziewając, Birchie usiadła na brzegu łóżka, a ja delikatnie rozczesałam jej włosy i splotłam je w warkocz. Była spokojna jak zaspane dziecko. Kiedy pomogłam jej się położyć i zgasiłam światło, powieki miała już ciężkie z powodu wyczerpania i valium.

Zdjęłam buty i położyłam się obok niej na kołdrze. Też byłam wyczerpana. W nocy nie zmrużyłam oka: goniłam Lavender, dzwoniłam do Batmana i się martwiłam. Wiedziałam, że na pewno nie zasnę. Byłam zbyt niespokojna. Wattie została zraniona – co gorsza, zrobiła to Birchie. Przyniesione przez Franka wieści musiały okazać się bardzo złe, skoro doprowadziły ją do takiego stanu. Czy Tackrey zdobyła nakaz sądowy? Musiałam zejść na dół i się tego dowiedzieć. Co więcej, porzuciłam tam Batmana. Wattie będzie go chciała wybadać, poza tym w każdej chwili może wrócić Rachel. Nie mogłam zostawić go z tymi dwiema kobietami bez nadzoru i opieki, nie chciałam jednak opuszczać babci, dopóki valium w pełni nie zadziała. Czekałam cicho, delikatnie głaszcząc ją po plecach, aż w końcu jej oddech zwolnił i stał się miarowy.

Pomyślałam: „Lepiej zaczekam jeszcze chwilę, upewnię się, że...”. To było ostatnie, co pamiętam.

Kiedy się obudziłam, w pokoju było już prawie ciemno. Wieczne słońce podświetlało na pomarańczowo brzegi adamaszkowych zasłon. Birchie nie było w łóżku. Wstałam i wyszłam na korytarz. Podeszłam do schodów. Chciałam zejść od razu na dół i poznać te złe wiadomości Franka, ale pośród szumu głosów usłyszałam Batmana.

Zawahałam się, po czym wycofałam do sypialni dla gości. Nie chciałam z nim rozmawiać, kiedy miałam nieświeży oddech. Tyle że szczoteczkę do zębów i resztę przyborów toaletowych zniosłam do łazienki na parterze. Przyszło mi do głowy, żeby ukradkiem skorzystać ze szczoteczki Rachel, ale gdyby się o tym dowiedziała, jak nie musiałaby się zapisać na terapię. Poczęstowałam się więc należąca do niej nicią dentystyczną i płynem do płukania ust. Oczy miałam zapuchnięte i zmęczone, ale to byłoby zbyt oczywiste i panienkowate, gdybym się teraz próbowała upiększyć za pomocą jej kremu z dodatkiem podkładu, brązowego tuszu do rzęs i błyszczczyku. Zdecydowałam się na kompromis: podkrałam odrobinę drogiego kremu pod oczy i rozczesałam splątane włosy.

Na stolikach w salonie stały puste talerzyki po cieście. Birchie i Wattie siedzieli obok siebie na jednej z kanap. Wattie rękę miała owiniętą białym bandażem. Drugą sofę zajmowali Batman i Lavender. Moja siostrzenica znowu wyglądała na dumną z siebie, co kazało mi podejrzewać, że popołudnie było udane. Znow się cieszyła, że go znalazła, mimo że się jąkał.

Jake i Rachel nie chcieli wspólnie siedzieć na małej kanapie, więc wybrali fotele ustawione przed kominkiem. Dzielili ich dobre pół metra, niemniej jednak znajdowali się w tym samym pomieszczeniu. Zanim nie wkroczyła nieproszona do akcji, dzieliły ich cztery stany. Kiedy spojrzałam na Jake'a, poczułam dziwną dumę. Jake Jacoby, kto by pomyślał.

Miałam nadzieję, że Lav nie zasmakowała we wtrącaniu się w cudze sprawy. Byłam pewna, że po powrocie do domu na powrót stanę się dawną Leią pilnującą własnego nosa, ale Lav może mieć z tym mały problem; wtrącanie się miała w genach, a nasze pierwsze prawdziwe próby zakończyły się sukcesem. W salonie siedzieli w tej chwili dwaj zaginioni ojcowie, w tym domu zaś to rekordowa liczba. Jasne, jeden był tajemnicą, a drugi swego rodzaju narzędziem, ale jednak.

Pierwsza zobaczyła mnie Birchie. Miała zaróżowione policzki i była cała w uśmiechach. Albo valium nie przestało jeszcze działać, albo Wattie się złamała i dała jej jeszcze jedną tabletkę. Zeszłam po dwóch ostatnich stopniach i zobaczyłam, że babcia siedzi boso. Na dole. Aż do dzisiaj bose stopy Birchie miałam okazję oglądać tylko w jej pokoju. Było to równie niepokojące, jak gdyby Rachel tu wparowała w samym body. Miałam ochotę pobiec na górę po samolotowe skarpetki. A może chciałam mieć pretekst, aby stąd uciec.

– Och, wspaniale, że wstałaś! – oświadczyła Birchie i spojrzenia wszystkich zwróciły się na mnie. Gdyby w domu grasowały myszy, one także teraz patrzyłyby w moją stronę. – Nie chcieliśmy cię budzić. Potrzebny ci odpoczynek. Ale zaczynałam się martwić, że nie obudzisz się aż do rana.

Kiedy to powiedziała, Lav odwróciła się i obdarzyła mnie szerokim uśmiechem. Przyklęła i położyła ręce na oparciu kanapy. Sel pomachał mi ostrożnie, jakby nie był pewien mojej reakcji. Przede wszystkim mi zaimponował i pozwoliłam, aby wyczytał to z mojej twarzy. Jake się nie liczył, ale znałam obecne w tym pokoju kobiety, łącznie z tą nastoletnią. Z pewnością wzięły Batmana w krzyżowy ogień pytań, ale ciągle twardo tu siedział. Jednak obok kanapy stała jego spakowana torba, był więc przygotowany na ucieczkę. Sprytnie. Żałowałam, że ja także nie mogę uciec. Wszyscy patrzyli to na mnie, to na niego. Miałam wrażenie, że każdy mój ruch i oddech są katalogowane, mierzone i interpretowane.

– Nie chcieliśmy, żebyś minęła się z Selem – wtrąciła Wattie i teraz już miałam pewność, że wszystko jest w porządku. Kiedy zabierałam Birchie na górę, Batman był jeszcze „panem Martinem”. – Niedługo musi jechać. Nie może nie przyjść do pracy drugi dzień z rzędu.

– Zaczekał jednak na ciebie, prawda, Sel? – zapytała Birchie. – A teraz będzie musiał jechać przez większość drogi po ciemku.

Batman wstał.

– Przynajmniej nie utknę w k-k-k...

– Korkach – dokończyła za niego Rachel, a ja wiedziałam, że on tego nie znosi. Nie dał tego po sobie poznać, lecz ja dostrzegłam wyjątkowo powolne mrugnięcie; było to coś, co sama często robiłam, żeby zachować cierpliwość. Niełatwo być przyrodnią siostrą Rachel.

– Podobno w Atlancie są okropne korki – odezwał się Jake.

– Mmm – odparł Sel, co zapewne stanowiło potwierdzenie.

Miałam nadzieję, że popołudnie spędzone w towarzystwie Rachel nie zniechęciło go całkowicie do Norfolk. Jednocześnie przez moją głowę przebiegła myśl, że być może trzydzieści pięć lat życia z Rachel albo niedaleko niej to wystarczająco długi czas.

– Odprowadzę cię – powiedziałam.

– Ja też – odezwała się Lav i zeskoczyła z kanapy.

Zamarłam. Zbyt wiele jej zawdzięczałam, żeby ją teraz odsunąć. Na szczęście do akcji wkroczyła Rachel i oświadczyła:

– Nie, ty musisz odnieść te wszystkie talerzyki do kuchni.

Musiałam przyznać po raz milionowy, że okazuje się przydatna. Przez połowę czasu doprowadzała mnie do szaleństwa, ale nie miałam wątpliwości, że mnie kocha.

– Jak już tam będziesz, możesz od razu załadować zmywarę – dodał Jake.

Lav jęknęła i zaprotestowała, ale słabo. Myślę, że część jej delektowała się tymi poleceniami rodziców.

Sel wstał, aby się z nią pożegnać, a następnie podszedł do Wattie i Birchie. Wykorzystałam to i szepnęłam do Rachel:

– Przepraszam, że pozwoliłam Lav wściubić nos w moje bardzo dorosłe sprawy. To naprawdę stało się niechcący.

– Już się nie gniewam. Lavender mi powiedziała, jak do tego doszło. Czasem... nie da się jej powstrzymać – odparła Rachel, a potem ona i Jake wstali, by się pożegnać. – Liczę, że się zobaczymy. Niedługo – dodała znacząco.

Kiedy tylko zamknęły się za nami drzwi, Sel i ja zgodnie odetchnęliśmy z ulgą.

– Przeżyłeś! – powiedziałam, kiedy schodziliśmy po schodach. – Niezle cię musiały maglować. Jak sobie dałeś radę?

– J-j-j... – Urwał i pokręcił głową. Wsunął dłoń do na wpół otwartej torby i zacisnął ją na pelerynie. Wdech. Wydech. Spojrzał na mnie. – Jąkałem się. Dużo. Nie wyciągnęły więc ze mnie zbyt wiele.

– Bardzo sprytnie – pochwaliłam. Schodziliśmy po schodach bardzo, bardzo powoli. – Dzięki, że zostałeś. Uspokoił je fakt, że mogły cię trochę poznać. Widzę to.

– To nie było takie trudne – powiedział i uniósł brew. – Twoja s-siostra kończyła za mnie wszystkie zdania.

Roześmiałam się.

– Moje także kończy.

– Hmm. Widzę to tak, że wiesz mi teraz o-o-o... kolację z moimi r-rodzicami – zmienił temat. Nie powiedział nic więcej na temat Rachel, a to stanowiło nowość. Większość mężczyzn dostrzegła jej urodę i czuła się w obowiązku, aby mi o tym powiedzieć. Dopiero później – o ile w ogóle – zauważali, jak bardzo jest kontrolująca.

– Przynajmniej tyle – odparłam. Naprawdę miałam ochotę poznać jego rodziców.

Zeszliśmy na dół. Skręcił w prawo, w stronę podjazdu, a ja razem z nim. Zachowywaliśmy ostrożną odległość dwudziestu centymetrów. Myślę, że oboje czuliśmy, iż obserwuje nas moja rodzina. Pochodził z dużego miasta, więc może tylko ja czułam, że jesteśmy także obserwowani z okien każdego domu po naszej stronie rynku. Byłam gotowa się założyć, że w użyciu były teraz wszystkie telefony w Birchville.

– Jesteś teraz tak blisko M-m-m... Atlanty i M...

Próbował powiedzieć „Macon”. Wiedziałam, ale czekałam. Nie zamierzałam być drugą Rachel. Nozdrza mu zadrżały i znowu oblał się rumieńcem. Położyłam mu dłoń na ramieniu mimo tych wszystkich oczu. Przystanęliśmy na końcu trawnika.

– Nic się nie przejmuj – powiedziałam. – Twoje jąkanie mi nie przeszkadza. I w sumie podobasz mi się w tym kapturze. – Poczulałam, że ja także się czerwienię. Rzeczywiście podobał mi się w kapturze. Do tego długa, powiewająca peleryna. Zaczynałam się dziwić, po co w ogóle wymyślono bieliznę.

– Jasne – rzekł. – Właśnie tutaj, na rynku w S-s-smallville.

– Czemu nie? Przyzwyczaiłam ich do tego. Kiedyś każdego lata biegałam po mieście w stroju Wonder Woman.

Absurdalnie długie rzęsy rzuciły cień na jego policzki.

– A-a-ale miałaś wtedy pewnie ppp-pp-pięć lat.

– Raczej piętnaście. Przestałam to robić tylko dlatego, że w końcu urosły mi piersi. Birchie orzekła, że to skandal i że ona i Wattie nie uszyją mi nowego stroju.

Zachichotał, ale jednocześnie bacznie mi się przyglądał, jakby sprawdzał, czy mówię poważnie. Mówiłam bardzo poważnie i widziałam, że nieco się odprężył.

– Macon – powiedział wyraźnie, a potem uniósł ręce w geście zwycięstwa. – Nie z-z-zawsze będę się tak przy tobie denerwował. Mam nadzieję.

Znowu ruszyliśmy, kierując się ku samochodom zaparkowanym wokół rynku. Tak właśnie się działo, kiedy facet był nowy, odpowiednio pachniał, a wszystko, co mówił,

wydawało się tak bardzo interesujące. Choć sporo czasu minęło, jeszcze to pamiętałam. Byliśmy jak dzieci bawiące się w „nie, ty pierwszy się rozłącz”, tyle że obserwowało nas przy tym całe miasto. On także musiał to wyczuć, bo mnie nie pocałował. A miał ochotę. Czułam to.

– Ja także się denerwuję – wyznałam. – Ale to takie dobre nerwy. Wiesz?

Posłał mi ten pewny siebie uśmiech, który tak lubiłam. Wiedział.

– Sporo się u ciebie dzieje, a w takim m-m-m... miejscu musisz mieć trochę wolnego. Zrób sobie dzień wolny. Przyjedź i zobacz moje miasto. P-poznaj moją rodzinę.

– Dobrze. Kiedy tylko mi się uda. Najpierw muszę przywrócić rutynę do życia Birchie.

Sel kiwnął głową ze zrozumieniem. Jej stan był tak niestabilny, że dźgnęła widelcem swoją najdroższą Wattie. Oczywiście zakładałam, że Regina Tackrey pójdzie po rozum do głowy i nie wsadzi Birchie i Wattie do więzienia.

– To skomplikowane. Birchie ma obecnie sporo kłopotów. Nie chodzi tylko o chorobę. To długa i okropna historia, bardzo trudna do streszczenia, ale wiedz, że dzieją się tu rzeczy, których muszę osobiście dopilnować.

– Aha. K-k-kości.

– Skąd ty... – Nie musiałam kończyć zdania. – Lavender – powiedzieliśmy razem. Zająknął się lekko, więc skończył po mnie.

– Przydatny dzieciak – stwierdził.

Czekałam na więcej, ale już nic nie dodał.

Ulżyło mi, że nie zamierza zadawać nieprzyjemnych pytań. A przynajmniej nie w tej chwili. Wcześniej martwiłam się trochę, że będzie się dąsał albo robił mi wyrzuty, skoro już wiedział od Lavender, iż tak naprawdę to ona nawiązała z nim kontakt. Z drugiej strony cieszyłam się, że zostałam rozgrzeszona z wysyłania powitalnych emotikoniek z żabą. Ale teraz wiedział, że tamtego ranka na zlocie obudziłam się i wyrzuciłam kartkę z jego numerem. Prawdę mówiąc, to spuściłam ją w ubikacji, razem z jedną użytą prezerwatywą. A powinny być dwie. Na pewno się domyślił, że gdybym znalazła dwie, nie byłoby dziecka, a on więcej by mnie nie spotkał. Mężczyzna pokroju Jake'a Jacoby'ego miałby zranione ego i wymagał ugłaskiwania i uspokajania. Batman skwitował to dwoma słowami: „przydatny dzieciak”. Coś mi mówiło, że Sel Martin to wyrozumiały facet.

– Kości. Taa – rzekłam. Bez jego pytań łatwiej mi było o nich mówić. – Uznałam, że trochę by było za dużo wyjaśniania jak na wieczór z *Words with Friends*.

– To nie rozmowa na d-drugą randkę – przyznał i zatrzymał się przy jednym z aut. – To mój.

– Nie przypuszczałam, że batmobilem okaże się subaru – powiedziałam, a on się uśmiechnął.

W mojej głowie pojawiła się myśl, że możliwe, iż obecnie wie więcej niż ja. Na przykład zna powód, dla którego Frank zjawił się u nas i wysłał Birchie na orbitę.

– Tackrey zdobyła nakaz przeprowadzenia badań DNA? – zapytałam.

– Och, tak, ominęło cię to. Zdobyla – odparł.

– Cholera. Cholera. – Tak naprawdę nie czułam zdziwienia. Spodziewałam się

tego.

Rachel miała rację. Nie byłam optymistką. Tak naprawdę nie wierzyłam, że mój improwizowany piknik public relations na trawniku Martiny Mack powstrzyma obracanie się prawniczej maszyny.

– Więc... wynik okaże się pozytywny? – zapytał Sel Martin. W końcu był tylko człowiekiem.

– Tak myślę – przyznałam. – Ale na tym etapie to niedorzeczne. Szkoda, że nie nagrałam dziś Birchie. To nie jest kobieta, którą można pociągnąć do odpowiedzialności za coś, co widziała, o czym wiedziała czy nawet... za coś, co zrobiła. To działo się sześćdziesiąt lat temu, a teraz nie jest się w stanie bronić. – Ciało Lewy'ego przywróciły jej początkową niewinność. Kradły wspomnienia, rozum i umiejętność dokonywania wyborów. Ale w sumie wątpiłam, żeby nagranie, na którym Birchie po raz drugi zabija ojca, tym razem widelcem, okazało się pomocne. Ten szaleńczy atak stanowił przeciwieństwo wyrzutów sumienia.

– Zgadza się – rzekł Sel. – Być może powstrzymają ich zeznania jej l-lekarza.

A więc był optymistą. Nawet jeśli Birchie nie da się skazać, jeśli Tackrey odpuści, stres ją zabije albo nasili objawy choroby do tego stopnia, że moja babcia na stałe zamieszka w Krainie Królików. Poza tym trzeba jeszcze myśleć o Wattie. Ona była zdrowa i w pełni poczytalna, a nie miała nazwiska ani wpływów rodziny Birchie. Gdyby Tackrey się uparła, Wattie ostatnie lata życia mogłaby spędzić w więzieniu. Zastanawiałam się, nie po raz pierwszy, czy powinnam powiadomić jej synów o tym, jak wielkie jej grozi niebezpieczeństwo. Nie podziękowałyby mi jednak za to ani tego nie wybaczyła. Musiałam pozwolić, aby to ona podjęła decyzję.

– Tak czy inaczej, to także nie jest rozmowa na drugą randkę – stwierdziłam. – Tyle że czuję się tak bardzo sfrustrowana. Na pewnym etapie, kiedy wszystko się sypie, nie czeka na ciebie już nic więcej, wiesz? Jest po wszystkim. Game over. Koniec. Nie ma kolejnego etapu.

Jego spojrzenie było szczere i zaciekawione. Oparł się o samochód.

– Nie twierdzą, że twoja babcia powinna stanąć przed sądem. Ale podchodząc do tego filozoficznie? Zawsze jest kolejny etap.

– Podchodząc do tego filozoficznie, nie, jeśli się umrze – powiedziałam tak ponurym tonem, że aż się roześmiał. Ucieszyłam się, że mogę zmienić temat na coś mniej namacalnego niż ludzkie szczątki i procesy sądowe moich ukochanych staruszek.

– Nawet jeśli się umrze – zripostował. Może zapomniał o tym, żeby się denerwować, bo w ogóle się już nie jąkał. – Nie widzi się tego, ale zawsze następuje kolejny etap. Z tobą czy bez ciebie.

– Wiem, ale... – zaczęłam i urwałam, bo zwrot „zawsze następuje kolejny etap”, te słowa, właśnie w takiej kolejności, połączyły się z czymś skrywającym się w moim umyśle. – Naprawdę w to wierzysz?

– Aha. Przynajmniej dopóki świat się nie skończy – odparł.

A może ten etap istniał także wtedy? Mój umysł zrobił ten irytujący myk artysty i już nie znajdowałam się ani na ulicy, ani w swoim ciele. Nagle wskoczyłam do świata Violet i Violence. Zniszczonego, bez żadnej przyszłości. Kiedy się z niego ponownie

wynurzyłam, miałam pytanie.

– Test nerda. Pytanie za milion. Gotowy?

Kiwnął głową z udawaną powagą, a ja zadałam mu pytanie Rachel:

– Violence i Violet są kochankami?

– A gdzie tam – odparł od razu, a w jego głosie pobrzmiwała pewność, jakby to było coś oczywistego. – Violet jest Violence, tylko o tym nie wie. – Wcześniej też się ku temu skłaniałam, kiedy jednak usłyszałam, jak wypowiada to na głos, artystka we mnie wiedziała, że to prawda. – Ta scena w magazynie? Violet zakrywa dłońmi oczy i większość małych ptaszków i zwierzątek także się chowa, ale nie króliki. Przyglądają się, jak Violet zjada tego narkotykowego barona, a ty ukryłaś we włosach Violence cienie królików. Przy pierwszym czytaniu nie wyłapałam tego. Spryciara. Ale kiedy je zobaczyłem, wszystko stało się jasne. One są swoimi odbiciami.

Miał rację. W tej książce poukrywałam mnóstwo rzeczy: jajka wielkanocne, aluzje i żarty wizualne, często we włosach Violence i otaczających ją cieniach. W tamtym panelu odbijały się obserwujące króliki, jeden do jednego. To były części Violet i gdy patrzyły na Violence, widziały siebie. Narysowałam je tak, więc podświadomie zawsze musiałam wiedzieć, że to jedna i ta sama postać.

Musiałam zadzwonić do Dark Horse i wyplątać się z tego kontraktu. Zmienić go. Nie mogłam napisać początku, bo nie dało się cofnąć w czasie. Violet i Violence zostawiłam w świecie, który uczyniły – uczyniła – pustynią, ale teraz wiedziałam, że kilka rzeczy przetrwało. Już je narysowałam. Koty, w pewnej formie, i te przygarbione, szczerzące się ciała Lewy’ego z patykowatymi nogami. Te spersonifikowane ciała Lewy’ego mogły być tym, co pozostało z ludzkiej rasy. Ludzie zmutowani w potwory. Możliwe, że przetrwały także niewielkie grupki prawdziwych ludzi, kruchych i bezbronnych. I że pojawiło się kilka innych mutacji. Supermutantów. Wszyscy będą próbowali przeżyć, choć dysponują bardzo ograniczonymi środkami...

W mojej głowie pojawiały się obrazy, początek historii. Widziałam je. Widziałam świat, a V i V musiały się nauczyć w nim żyć. Żyć z tym, co zrobiły. Istniał kolejny etap, nawet po apokalipsie.

Nie wiem, jak długo tak stałam, pogrążona we własnych myślach, ale kiedy wróciłam do swojego ciała, Sel na mnie czekał.

– Masz rację. To jedna osoba – oświadczyłam. – A teraz światełka, dzwonki i nagrody. Co byś chciał?

– C-ciebie. Żebyś odwiedziła m-m-mnie w Atlancie – odparł, znowu nieśmiały. – Niedługo.

– Dobrze. Obiecuję.

– N-no to b-b-będę się zbierał – powiedział, ale żadne z nas nie ruszyło się z miejsca.

– No tak, powinieneś już jechać. – Dalej nic.

– Mm-hm.

„Ty rozłącz się pierwszy. Nie, ty”.

– Jedź – rzuciłam szybko. Miałam ochotę go pocałować, ale Boże, te wszystkie spojrzenia... Zamiast tego dodałam: – Tutaj też jest kolejny etap.

Uśmiechnął się. Nie byłam optymistką, ale nawet ja wiedziałam, że to prawda.

Wsiadł do samochodu i przyglądałam się, jak odjeżdża w stronę zachodzącego słońca. Dosłownie. Z Main Street skręcił w kierunku zachodnim; ciemny zarys na tle pomarańczowej kuli. Pojadę do Atlanty. Raczej prędzej niż później. Ja i Sel Martin narobiliśmy niezłego bajzlu, spłodziliśmy dziecko i czekał nas wszystkich kolejny etap. Różnica była taka, że nie napawało mnie to już strachem. Coś się zmieniło, kiedy doprowadziłam do konfrontacji z Jakiem, wyciskając z niego te byle jakie przeprosiny. A kiedy Płód Zwany Dawniej Digbym ulokował się w moim wnętrzu, odkryłam w sobie nową odwagę. Razem to wszystko stanowiło kolosalną zmianę. Będzie następny etap – w miejscu, gdzie połowa moich krewnych i jedna trzecia społeczności nie będzie patrzeć na nas z okien.

Kiedy się odwróciłam, aby wrócić do domu Birchie, firanki od razu się poruszyły, a ludzie pospiesznie odeszli od okien. Najśłabsza część mnie żałowała, że nie wsiadłam do batmobilu i nie odjechałam w stronę zachodzącego słońca razem z Selem.

Zamiast tego ruszyłam w kierunku domu. Tam także istniał następny etap i musiałam się na niego przygotować. Tym etapem była uzbrojona w szkiełko i oko Regina Tackrey, zamierzająca wycisnąć prawdę ze słabowitego ciała mojej Birchie.

Mimo wczesnej pory na strychu było gorąco. Czulałam, że zaraz zacznę się pocić, kiedy torowałam sobie drogę między stertami śmieci. Frank Darian i jego chłopcy wykopali w tylnej części sporą dziurę, żeby dostać się do skrzyni Birchie. Rozpadające się meble, kartony i skrzynie poustawiali między bardziej znajomym krajobrazem w przedniej części strychu. Od niemal trzydziestu minut szukałyśmy z Rachel tych dwóch obrazów ze statkami, które podobały się Birchie.

Musiałam je znaleźć, bo o dziewiątej miał się zjawić nie kto inny, jak Cody Mack, aby pobrać próbkę DNA mojej babci. Kilka dni temu święta rutyna Birchie została wrzucona do piekła. Musieliśmy teraz zapewnić babci spokój i miejsce, w którym będzie się czuła swobodnie i komfortowo. Ciągnięcie jej do nieznanego laboratorium, gdzie obca osoba będzie grzebać jej w buzi, wyglądało jak najkrótsza droga do następnego dźgania widelcem. Tackrey wyraziła zgodę, aby próbkę pobrano w domu, uparła się jednak, by zrobił to Cody. Niezłe to sobie wymyśliła; miejscowa policja zawdzięczała Birchie wszystko, od apteczek po kamizelki kuloodporne, a Cody był jedynym funkcjonariuszem w Birchville, który z pewnością nie zamierzał zrobić nic, co mogłoby się nam przysłużyć.

Nie chciałam, żeby zobaczył ten portret Ellisa Bircha z wydrapanymi oczami, bo wiadomo było, co pomyśli: „Panna Birchie w jadalni z brudnym widelcem. Panna Birchie w salonie z młotkiem”.

Wczoraj wieczorem zdjęłam portrety i schowałam je w tylnej części strychu. Ethana starannie zapakowałam, ale zniszczonym Ellisem nie zawracałam sobie głowy. Położyłam ich na komodzie, Ellisa na górze, skąd niewidzącymi oczami wpatrywał się w wentylator.

Niestety, po zdjęciu obrazów okazało się, że na tapecie w jadalni pozostały sugestywne jaśniejsze prostokąty. Jak by powiedziała Birchie: tak nie można.

Przeszukiwanie strychu okazało się żmudną pracą: trzeba było uważać, aby nie przewracać rupieci, a do tego czulałam się podminowana. Tak naprawdę nie sądziłam, aby kryły się tu szczątki jeszcze innych krewnych, mimo to dreszcz przebiegał mi wzdłuż kręgosłupa za każdym razem, kiedy unosiłam wieko jakiejś skrzyni.

Rachel i ja byłyśmy tu same. Jake wyjechał o siódmej, bo czekała go dziesięciogodzinna jazda do Norfolk. Towarzyszyła mu Lav. Pewnie się bała, że jeśli tylko spuści tatę z oczu, ten znowu gdzieś zniknie.

Rachel ściągnęła zrolowany dywan z rzędu bardzo dużych, obiecujących kartonów. To ona dźwigała wszystkie ciężkie rzeczy – plus bycia w ciąży – i pracowała zdecydowanie szybciej niż ja, niecierpliwie czekając, kiedy będzie mogła ruszyć w drogę. Każda minuta coraz bardziej oddalała od siebie jej rodzinę, a nie tylko Lavender wołała nie pozostawiać Jake’a bez nadzoru.

Gdy przykucnęłam, żeby otworzyć pierwszy karton, rzuciła:

- Coś mi przyszło do głowy wczoraj wieczorem.
- Oho. – Niebezpieczne słowa.
- Nie, to dobry pomysł. Myślę, że powinnam powiedzieć tacie i mamie o dziecku –

oświadczyła, odciągając dywan na bok. – Kiedy wrócę do domu.

Podniosłam głowę znad starych ciuchów i dziwacznych kuchennych gadżetów z lat siedemdziesiątych.

– O moim dziecku? A to niby czemu?!

– No bo wiesz, co się stanie. – Rachel zdmuchnęła z twarzy pasmo włosów. – Mama zacznie svirować, martwić się tym, co ludzie pomyślą, a tata, zamiast dać jej się wygadać, będzie od razu szukał rozwiązań. – Oparła dywan o szafę, którą już przeszukałyśmy, a potem kucnęła obok mnie, żeby otworzyć następny karton. – Pokłóć się, a potem ona się rozplacze, a on, skruszony, odpracuje pięćdziesiąt godzin robót ogrodowych. A na koniec wszystko będzie dobrze. To przecież ich wnuk. Czemu masz się dodatkowo stresować? I bez tego masz dużo na głowie.

To prawda, miałam. Ostatniej nocy nie mogłam zasnąć, martwiłam się badaniem DNA. Jedyne, co mogłam zrobić, to stać twardo u boku Birchie. Czułam bezradność, jakbym kręciła młynka palcami i patrzyła, jak wielki kamień zbliża się ku niej, żeby ją zgnieść. Najpierw ją, a potem Wattie.

Nie mogłam brać na swoje barki nic więcej, więc pokręciłam głową.

– Rzeczywiście będą svirować. Od razu wsiądą do samochodu i tu przyjadą. – Bo czemu miałoby być inaczej? Wszyscy inni by tak zrobili.

– Nie przyjadą – zapewniła Rachel. – Powiem, że mówię im o tym w tajemnicy, bo się martwisz ich reakcją. Każę obiecać, że nie wspomną o tym ani słowem, dopóki sama nie powiesz. Rozumiesz?

Chwilę trwało, nim przetrzymałam ten pomysł, ale kiedy tak się stało, uznałam go za genialny. Mama i Keith będą mieli czas zaplanować swoją reakcję, a ze mnie zdejmowało to spory ciężar. Było to manipulacyjne i bardzo w stylu Rachel, ale, Boże, niezwykle kuszące. Zawahałam się z rękami zanurzonymi w poliestrze w wiosennych kolorach.

– A kiedy wrócisz do domu, minie panika i wejdą w tryb wspierania – dodała Rachel.

– Rzeczywiście może tak byłoby lepiej – przyznałam, ale w żadnym razie nie zamierzałam się pod tym podpisać. Tak zachowuje się Rachel, nie ja.

– To dobrze. Bo już to zrobiłam – oświadczyła teraz. – Wczoraj wieczorem zadzwoniłam do taty.

Klapnęłam na tyłek, zdziwiona tym, że jestem zdziwiona, bo to przecież oczywiste, że już to zrobiła. To także było w jej stylu.

– Do cholery, Rachel... – zaczęłam, ale mi przerwała.

– To te statki? – Pokazała coś palcem.

Dzięki temu, że siedziałyśmy na podłodze, widziałyśmy dwa owinięte plandeką prostokąty oparte o ścianę za stolikiem kawowym.

– Chyba tak – odparłam, bo co innego mogłam powiedzieć. Mama i Keith wiedzieli. Co się stało, to się nie odstanie, Rachel to Rachel. Tak naprawdę to mi ulżyło. Może powinnam zadzwonić do Margot Phan i upoważnić ją do poinformowania w taki sam sposób naszych wtorkowych graczy i znajomych z kościoła? Mogliby to na spokojnie przetrwać beze mnie. Po powrocie czekałoby mnie przyjęcie niespodzianka, a problem z wyborem rodzaju pieluszek sam by się rozwiązał. – Wiem, że chciałaś dobrze, Rachel,

ale następnym razem najpierw ze mną porozmawiaj.

To chyba najczęstsze słowa, jakie wypowiadałam do mojej siostry. Na próżno, bo kiedy znosiłyśmy ze strychu obrazy, oświadczyła:

– Skoro zamieszkałam w twoim domu, powinnam zacząć ci szykować pokój dla dziecka. A przynajmniej pomalować ściany. Nie możesz przecież wdychać oparów.

Zobaczyłam, jak moje wymarzone ściany w kolorze błękitu Supermana znikają pod warstwą Nowoczesnej Gołębiej Szarości czy Miętowej Smugi Zieleni.

– Dzięki. To miło z twojej strony. Ale możliwe, że Sel będzie chciał mi pomóc wybrać kolor i motyw przewodni.

Choć powiedziałam to, żeby ją zniechęcić, dotarło do mnie, że to może być prawda. Obchodziło go imię, ale czy facetów interesuje dziecięca pościel? Był Mrocznym Rycerzem, więc Supermana pewnie uważał za cieniasa. Może motywem przewodnim pokoju powinien być John Henry Irons? Jego alter ego, Steel, miał ciuchy w kolorach Supermana i podzielał jego ideały, no i w sumie wyglądał trochę jak Digby. Prawdopodobnie.

– Och, oczywiście! – Rachel się wycofała. Wyglądała niemal na zmieszaną, co w jej przypadku było nowością. Rzuciła mi spojrzenie spod rzęs i dodała: – Wy wybieriecie, a ja pomaluję, może tak być? Nie chciałabym wchodzić w drogę... temu, co się dzieje. Z wami.

Choć nie było to pytanie, udzieliłam odpowiedzi.

– Coś się dzieje. Staram się to rozdzielić. W myślach tak jakby spotykam się z Batmanem, a to może się różnie skończyć. Ale Sel Martin? On będzie w naszym życiu obecny już zawsze. Muszę pozostawać z nim w dobrych stosunkach, bez względu na to, co się stanie z jego alter ego. Ma to dla ciebie w ogóle jakiś sens? – zapytałam.

– Nawet tak – odparła, czym mnie zaskoczyła. Bardzo niewiele zdań ze słowami „Batman” i „alter ego” miało dla Rachel jakikolwiek sens. Na dole schodów zatrzymała się i dodała tonem bardzo sztywnym, pruderyjnym: – Takie same uczucia żywię względem mojego męża.

Ja też się zatrzymałam. Rachel mi się zwierzyła. Tak jakby. Siedem słów w ślad za swoją ostatnią manipulacją dotyczącą wieści o dziecku. Niemniej było to całe zdanie.

Wcześniej miałam wyrzuty sumienia, że się wtrąciłam i zadzwoniłam do Jake’a, ale od tamtej pory Rachel stała się wobec mnie bardziej otwarta niż kiedykolwiek wcześniej, nawet w dzieciństwie. Dla niej wtrącanie się oznaczało miłość. Może w jej języku powiedziałam w końcu, że ją kocham. Kierowana impulsem, oparłam obraz o ścianę i przytuliłam siostrę.

– O rety! – powiedziała i oddała mi uścisk najlepiej, jak tylko mogła, zważywszy na to, że trzymała w objęciach drugi obraz.

– Dzięki, Rachel – rzuciłam i tym razem moim słowom nie towarzyszył żaden podtekst.

– To ja ci dziękuję, Leia – odparła. W jej ustach były to tak obce słowa, że równie dobrze mogłaby teraz mówić po klingońsku. – Przyjeżdż niedługo – dodała tym swoim starym, znajomym apodyktycznym tonem.

„Oby tak się stało”, pomyślałam, kiedy zeszłyśmy do jadalni i powiesiłyśmy obrazy

na tych samych gwoździach, które wcześniej przytrzymały Ethana i Ellisa. Chciałam jechać do domu. Albo żeby przynajmniej ta część – kości i dramaty wykopane o sześćdziesiąt lat za późno – dobiegła końca. Nawet zwykłe, ludzkie bicie serca mojej starzejącej się babci, jej szwankujące umysł i pamięć byłyby lepsze niż grzebanie w tych zatęchłych sekretach. Czytanie broszur domów opieki i kłócenie się z Birchie i Wattie nie było fajne, ale wolałam to, niż przyglądanie się, jak Regina Tackrey posyła je obie do więzienia.

– Twój wisi wyżej – rzekła Rachel, kiedy się odsunęła, aby przyjrzeć się obrazom.

Nawet ja widziałam, że ma rację. Szkuner miał ciut dłuższą ramę, ale jasne prostokąty tapety zostały zakryte.

– Może być – odpowiedziałam.

– Będzie cię to doprowadzać do szału – stwierdziła Rachel, co miało znaczyć, że ją będzie, nie mnie. Wzruszyłam ramionami, ale ona powiedziała: – Naprawię to.

Nie wszystko można naprawić, nawet gdy jest się moją przyrodnią siostrą.

– A niby jak? Myślisz, że Birchie ma w domu młotek? – zapytałam. Nie, Birchie nie miała żadnych narzędzi. Może kierowała się przesadami, jak matka Śpiącej Królowy urządzająca krucjatę przeciwko wrzecionom sześćdziesiąt lat po tym, jak jej dziecko zapadło w sen.

Przyszły Birchie i Wattie z garnkiem owsianki z owocami oraz półmiskiem z bułeczkami i bekonem. Uświadomiłam sobie, że to dania, które je się wyłącznie łyżką i palcami. Rzeczywiście, na stole nie leżał ani jeden widelec. Ani nóż. Wattie posmarowała już bułki masłem, a zamiast dżemu przyniosła miód.

– Może jednak zjesz z nami? – zapytałam Rachel. – Nie będziesz się musiała zatrzymywać po drodze.

Na pierwszy rzut oka z Birchie nie było wcale źle. Miała na sobie długą spódnicę w kwiatki i letni bliźniak. Może jej oczy wydawały się nieco zbyt błyszczące, ale włosy miała starannie upięte w koczek, twarz upudrowaną i policzki muśnięte różem. Od razu wiedziała, kim jest Rachel. Zważywszy na piekło wczorajszego dnia i stres towarzyszący temu, co czekało ją dzisiaj, jej stan okazał się lepszy, niż się spodziewałam. Podczas posiłku prowadziłyśmy uprzejmą rozmowę, a Birchie co rusz wtrącała jakąś uwagę. Większość była sensowna. Adresatami tylko jednej okazały się króliki. Kiedy nadeszła pora, aby się pożegnać z Rachel, miałam niemal pewność, że nie zaatakuje Cody'ego Macka nabierakiem do miodu.

Rachel podziękowała Birchie i Wattie za gościnę i pocałowała je w policzki. Mnie zostawiła sobie na koniec. Przytuliła mnie mocno i szepnęła:

– Do rychłego zobaczenia, ciężarówko.

Rychłego? Rzeczywiście niezła z niej optymistka. Martwiłam się, że Digby może się jednak urodzić w Birchville.

– Powinniśmy odprowadzić Rachel? – zapytała Wattie. Skierowała te słowa do Birchie, ale ta nie odpowiedziała. Jej wzrok był utkwiony w krzesło u szczytu stołu.

– Birchie? – odezwałam się, a ona się cicho zaśmiała.

To był krewniak wczorajszego przenikliwego śmiechu, tego, który okazał się zwiastunem złego. Włoski na karku stanęły mi dęba.

– Birchie? – Wattie próbowała przywołać ją z powrotem do nas. Położyła jej dłonie na ramionach i delikatnie odwróciła w naszą stronę. – Birchie?

Moja babcia przestała się śmiać i jej spojrzenie skupiło się na nas.

– Mój ojciec jest łodzią – oświadczyła głosem pełnym zdumienia.

Cody Mack zjawił się w policyjnych okularach przeciwsłonecznych i z zadowolonym uśmiechem. W rękę miał aktówkę z brązowej ekoskóry, bardzo błyszczącą, z mosiężnymi okuciami. Zupełnie nie pasowała do sytuacji. Zawiasy były całe zakurzone. Wyglądała jak rekwizyt, który daje się dziecku grającemu w musicalu rolę grubej ryby, tak żeby widzowie od razu wiedzieli, że to ktoś ważny.

Razem z nim przyszedł Frank Darian z naprawdą używaną aktówką. Wyglądał na zmęczonego. Zasugerował wcześniej, że pora, abyśmy wynajęły adwokata od spraw karnych. Naprawdą dobrego, tak powiedział i wręczył nam listę nazwisk. I właśnie te słowa przstraszyły mnie bardziej niż cokolwiek innego. Nie miało to żadnego związku z jego problemami i rozwodem. Chciał, żebyśmy miały co do tego pewność. Kiedy będzie już znany wynik badania DNA, kiedy się potwierdzi, że Birchie ukrywała na strychu kości ojca, według niego Tackrey wniesie oskarżenie. I to szybko, chyba że opinia publiczna zmieni zdanie. Po raz pierwszy od lat pani prokurator okręgowa miała mocnego przeciwnika.

Weszli do salonu, a Birchie i Wattie nie wstały na ich widok z kanapy. Wzięłam z nich przykład i pozostałam na fotelu, który stał najbliżej Birchie. Buzowała we mnie złość. Nienawidziłam tego, że moja rodzina dopuściła się czegoś niedobrego. Nienawidziłam tego, że Cody Mack, rasista i palant, zjawił się tutaj jako reprezentant prawa i porządku. Ale najbardziej nienawidziłam poczucia bezradności.

Frank stanął czujnie przed kominkiem; stopy miał rozsunięte, ręce za plecami. Wymieniliśmy grzeczne, chłodne słowa powitania. To znaczy zrobili to wszyscy oprócz Birchie. Ona milczała, choć z jej miny można było wywnioskować, że w pomieszczeniu unosi się brzydki zapach.

Cody zakołysał lekko biodrami i postawił pretensjonalną aktówkę na stoliku między Birchie a mną. Niespiesznie ją otworzył. W środku była jeszcze bardziej zakurzona. Musiał ją ściągnąć z wolnego od zwłok strychu swojej babci w ramach czegoś w rodzaju kompensacji, bo jedyne, co się w niej znajdowało, to trzy zestawy do pobierania wymazów, każdy w osobnym pudełeczku. Równie dobrze mógł je przynieść w foliowej reklamówce z Piggly Wiggly. Albo w ręce.

– Badanie jest proste i nie boli – rzekł Cody do Birchie. Wyjął jeden zestaw, rozpakował go i rozłożył elementy na dnie otwartej aktówki: usztywnianą kopertę, przezroczysty woreczek z suwakiem, owinięty w papier patyczek higieniczny, parę intensywnie niebieskich lateksowych rękawiczek oraz kilka kartek i naklejek. – Jeśli zechce pani współpracować, za pięć minut już mnie tu nie będzie. A nawet szybciej – kontynuował, zakładając rękawiczki.

Birchie spuściła wzrok na swoje dłonie splecione na kolanach. Siedząca obok niej Wattie przyjęła niemal identyczną pozę. Ich przygarbione ramiona stykały się ze sobą.

– Proszę opisać nam cały proces – odezwał się Frank.

Cody wziął do ręki patyczek i go odpakował.

– Ten oto patyczek włożę jej do ust – rzekł, po czym zwrócił się bezpośrednio do Birchie: – Wsunę go na bok, więc proszę się nie martwić, nie zakrztusi się pani. Następnie

potrę wewnątrz pani policzka. To trochę potrwa, gdyż muszę zebrać na niego komórki. Wypróbowałem to na sobie, więc wiem, że to nic nieprzyjemnego. I tyle. Pani rola na tym się kończy. Okej?

Zachowywał się bardzo grzecznie i pomyślałam, że Tackrey musiała go nieźle przeszkolić. Ona sama nie mogła się tu zjawić, gdyż wtedy musiałaby być świadkiem we własnej sprawie.

Birchie w końcu oderwała wzrok od swoich dłoni, po czym posłała mu ten swój uprzejmy, niebezpieczny uśmiech. Ten, za którym kryły się stal i lód.

– Chyba... nie – powiedziała.

Cody popatrzył na Franka, a następnie na mnie. Zero pomocy z żadnej strony. Wattie nadal siedziała w pozie niewiniątka.

Dla dobra dziecka starałam się oddychać powoli i miarowo. Sądząc po tym, jak upłynęły pierwsze cztery miesiące ciąży, mój syn przyjdzie na świat twardy jak stal albo będzie z niego straszny neurotyk. Koniecznie musiałam zacząć ćwiczyć jogę albo medytować.

Cody spróbował jeszcze raz.

– No dobrze, panno Birchie, nie może pani odmówić, bo dostaliśmy nakaz sądowy. Już go pokazywałem Frankowi. Nie ma pani wyboru.

Do akcji w końcu wkroczył Frank.

– Miejmy to już za sobą, dobrze, panno Birchie?

– Dziękuję, nie – odparła grzecznie moja babcia i zamknęła usta.

Naprawdę zamknęła. Zawsze miała małe usta, zbyt małe w stosunku do jej twarzy, a z upływem lat stały się jeszcze mniejsze. Zacisnęła je teraz w cienką, krótką linię. Mierzyła lodowatym wzrokiem Cody'ego Macka, którego ogarnęła taka frustracja, że zdjął z nosa okulary i popatrzył po kolei na całą naszą czwórkę. Zakończył na Franku.

– Musisz nakłonić swoją klientkę do zastosowania się do nakazu – oświadczył i ponownie zakolysał biodrami. Do przodu, do tyłu. – Albo wy to zróbcie – zwrócił się do mnie i Wattie. – Jesteście tu tylko po to, aby zmusić tę kobietę do współpracy.

– Panno Birchie, odmowa nie wchodzi w grę – rzekł do niej Frank. – Takie jest prawo.

Birchie słuchała, ale nie jego. Jej spojrzenie pomknęło ku jadalni. Przechyliła głowę. Słyszała króliki. Albo coś gorszego.

– Możemy to zrobić innego dnia? – zapytałam grzecznie. Wcale nie chciałam tego robić, ale im później, tym lepiej. Najlepszą opcją byłoby nigdy. – Jest nieobecna duchem.

– Nie, nie możemy – odparł Cody. – I tak idziemy wam, Birchom, na rękę. No dobrze, skoro chcecie, żeby zrobiło się niefajnie, to tak się robi. Jeśli ona odmawia, mam prawo wyrwać kilka włosów. To metoda bardziej inwazyjna, bo potrzebne są cebulki.

Przez chwilę nie wierzyłam własnym uszom.

– Ty naprawdę grozisz, że wyrwiesz włosy z głowy Birchie?

– Właśnie tak. A jeśli będzie się opierać, możliwe, że będę musiał użyć nieco siły.

Już to widziałam. Birchie będzie się opierać. Co do tego nie miałam wątpliwości. Nie miał ich nikt, kto widział jej wczorajsze zachowanie, a była przecież taka słaba i mała. Będzie się opierać i stanie się jej krzywda.

Wattie zaczęła szeptać jej do ucha. Wyłapywałam co któreś słowo. Próbowąa nakłonić ją do współpracy. Spokojnie. Bez widelców.

Birchie poklepała jej kolano i rzekła:

– Przecież wiesz, że tak być nie może, Wattie. Nie może, i już.

Wpadłam w rozpacz.

Chciałam to powstrzymać, ale na myśl o szkodach, jakie mogą jej wyrządzić łąpska Cody'ego, powiedziałam błagalnie:

– Birchie, proszę. Miejmy to z głowy.

– To jest wstrętne.

Zacisnęła usta jeszcze mocniej. To zaczynało się robić naprawdę absurdalne. Miałam wrażenie, że obserwuję, jak troje dorosłych próbuje namówić dziecko kochające słodycze do zjedzenia szpinaku. Niemal się spodziewałam, że Cody Mack przetnie powietrze patyczkiem ze słowami: „Leci samolocik, brum, brum!”. Ale to dziecko miało w sobie Violence, a jego kości były kruche jak rozgwiazda. Rozejrzałam się, katalogując w myślach przedmioty, które Birchie mogłaby wykorzystać jako broń. Pogrzebacz, świeczka zapachowa w ciężkim słoiku, paznokcie pomalowane koralowym lakierem. Gdyby udało jej się wziąć go z zaskoczenia, mogłaby mu zrobić krzywdę. A Cody, starając się bronić, zgniótłby wtedy jej stare kości na proszek.

– To nie jest wstrętne! – oświadczył Cody. Słysząc było, że zaczyna się wkurzać. Nachylił się w stronę babci z patyczkiem, wymachując nim przed jej twarzą. – Wyjąłem go ze sterylnego opakowania. Sama pani widziała, jak to robię. No dobrze, ostatnia szansa, proszę otworzyć te cholerne usta.

Birchie także traciła cierpliwość. Widziałam to w sposobie, w jaki uniosła brodę.

Wstałam.

– Daj mi ten patyczek, Cody.

– Nie. To ja muszę pobrać materiał. Certyfikat kontroli.

– No cóż, masz jeszcze dwa zestawy. Pozwól mi jej pokazać, co będziesz robił. – Staralam się mówić grzecznie i spokojnie, ale w końcu górę wzięły emocje. – Może uda nam się to dokończyć bez rozlewu krwi i zanim reszta z nas także dobiegnie dziewięćdziesiątki. Jestem pewna, że masz długą listę chorych staruszek do dręczenia.

Wzruszył ramionami, wykonał sarkastyczny ukłon, po czym podał mi patyczek.

Nachyliłam się nad Birchie.

– Ja ci tylko pokażę – powiedziałam. – Możesz, proszę, otworzyć buzię?

Jeszcze mocniej zacisnęła usta. Nie sądziłam, że to w ogóle jest możliwe.

– Brawo! – oświadczył Cody Mack, uradowany moją porażką. Co za palant.

– Pokaż jej na mnie – odezwała się Wattie i otworzyła usta.

To był dobry pomysł. Zrobiłam krok w bok, a zbyt błyszczące oczy Birchie śledziły każdy mój ruch.

– Włóż go z boku – polecił mi Cody. – Potem podrap wnętrze policzka, jakbyś myła zęby.

– Mówiłeś to już trzy minuty temu – odcięłam mu się, po czym zrobiłam, co mi kazał. Wsunęłam patyczek i zaczęłam pocierać wewnętrzną część policzka. – Jak długo?

– Czterdzieści pięć sekund. Włączyłem timer – odparł. Pocierałam, a Wattie

zerkała zachęcająco na Birchie, rozchyliwszy usta w najbardziej plastikowym uśmiechu, jaki dane mi było widzieć. Uświadomiłam sobie, że w niej także gotuje się to przemożne pragnienie, by dać sobie z tym wszystkim spokój. Mimo to obie starałyśmy się pomóc. Po upływie, jak mi się zdawało, dwudziestu lat, Cody w końcu powiedział: – Wystarczy.

– No proszę, nic straszego – oświadczyła Wattie, kiedy wyjęłam patyczek z jej ust i pokazałam go Birchie. Nie było na nim ani odrobiny krwi ani niczego niepokojącego. Mokry patyczek higieniczny, tyle.

– Widzisz? To wszystko. Wattie dała radę. – Groźby udania się do laboratorium i wyrwania włosów spłynęły po niej jak po kaczce, ale przypomniało mi się, jak Wattie wykorzystywała przepisy i inne rutynowe aspekty ich życia, żeby przywoływać ją do porządku. Teraz wykorzystałam to przeciwko niej, mówiąc: – Wattie chce, żebyście posadziły dzisiaj dynie, bo jeśli tego nie zrobicie, to w październiku na werandzie będziecie miały dynie ze sklepu. Tego chcesz?

W końcu otworzyła usta, ale tylko po to, żeby mnie zrugać.

– Leiu Birch Briggs, to już wolałabym nie mieć żadnych dyń! Wiedziałaś, że rok temu połowa dyń w Piggly nie pochodziła nawet z Ameryki?

– No to daj sobie włożyć patyczek, a potem pójdziemy sadzić. Czerwiec nie będzie trwał wiecznie – oświadczyłam, choć bez względu na to, jak się wszystko potoczy, Birchie i tak nie będzie tu w październiku, żeby zebrać dynie.

Popatrzyła nieufnie na patyczek, ale Wattie kiwnęła lekko głową, niemal niezauważalnie. Był to gest zachęty.

– Tak być nie może – rzekła Birchie. Przynajmniej zwracała się teraz do mnie. – Patrz, jest na nim jej ślina. A ty stoisz w salonie i go trzymasz.

– Już odkładałam – powiedziałam. Odsunęłam Cody'ego na bok i wzięłam do ręki woreczek z plastikowym suwakiem. Pokazałam go jej, a potem włożyłam do niego patyczek i zasunęłam. – Widzisz? Można go nawet zamknąć. No to do roboty. Nie pójdziemy do ogrodu, zanim się z tym nie uporamy.

Była to moja pierwsza próba użycia Tonu Stanowczej Matki. Starałam się mówić jak Rachel, która każe Lavender posprzątać po śniadaniu. I jak Birchie z czasów mojego dzieciństwa, która każe mi posprzątać kredki przed wyjściem na dwór. Poczułam jednocześnie radość i smutek, kiedy to zadziało. Zamieniło babcie w dziecko.

– Mój Boże, i po co to całe zamieszanie – rzekła nadąsana Birchie i otworzyła buzię jak mały ptaszek.

Usunęłam się z drogi Cody'emu bardzo szybko, zanim zdążyła zapomnieć, że wyraziła zgodę. Wkroczył do akcji, mając na tyle oleju w głowie, żeby przez chwilę się nie odzywać. Otworzył nowe opakowanie i teatralnym gestem założył czyste rękawiczki. Wattie nachyliła się ku Birchie i szeptała jej do ucha nazwy roślin, które muszą teraz posadzić – słodkie ziemniaki, bób i melony – a w tym czasie Cody pobierał próbkę. Była to tak długa minuta, że nim dobiegła końca, Wattie już recytowała zimowy plan prac w ogrodzie. Wyjął patyczek z ust babci, włożył do woreczka i dzięki nam nikomu nie stała się krzywda. Dzięki nam państwo miało wszystko, czego potrzebowało, aby nas zniszczyć.

Frank udał, że ociera z ulgą czoło, i uśmiechnął się cierpko. Nie było to

zwycięstwo, które zamierzałam świętować.

– No i co, takie to było trudne? – Cody pokazał woreczek.

Birchie przyłożyła dłoń do piersi, a w opuszczonych kącikach jej ust i ściągniętych brwiach było widać niesmak.

– Naprawdę? – zapytałam go cicho. – Bo kiedy wytrąci ci to z ręki, będę się śmiała do rozpuku. I powodzenia z kolejną próbką. Nie mogę się doczekać, jak dzwonisz do pani Tackrey i wyjaśniasz...

Ale on już wkładał woreczek na dno aktówki.

– Okej, okej, okej – powtarzał, aż w końcu umilkł. – Ja jej tylko pokazywałem.

Bzdura. Próbował się z nią drażnić. Był takim samym draniem jak w dzieciństwie. Zamiast wyrosnąć z najgorszych cech, on je jeszcze pielęgnował, aby teraz móc wyrządzać prawdziwą szkodę.

Birchie spuściła wzrok na swoje dłonie. Znow była skromną staruszką.

– Co teraz? – zapytałam, gdy Cody sięgnął do kieszeni koszuli po długopis, aby uzupełnić okienko na naklejce.

– Teraz pakuję to do pudełka i zawożę prosto do laboratorium – odparł. Zajrzał do aktówki, a potem zaczął szukać w tylnej kieszeni spodni długopisu, którego tam nie było.

Myślę, że jeśli w ogóle miałam plan, to wykrystalizował się właśnie w tym momencie. To było bardziej spostrzeżenie, uświadomienie sobie czegoś tak szybko, że miałam za mało czasu, aby ubrać to w słowa: na zakurzonej dnie aktówki leżał mały woreczek pełen komórek. Komórek, które pomogłam pobrać, mimo że przez to Birchie mogła trafić do więzienia. W dłoni trzymałam drugi woreczek pełen komórek, anonimowy, identyczny. Komórek, które w ogóle nie okażą się pomocne.

– Ja mam – odezwał się Frank. Pokazał Cody'emu długopis. Ten odwrócił się w stronę kominka i na chwilę obaj stracili z oczu aktówkę. To była sekunda, może dwie. Za mało czasu, gdybym miała się nad tym zastanawiać, ale ja się nie zastanawiałam. Moje ciało było gotowe, pełne energii. Zadziałałam instynktownie. Włożyłam do aktówki mój woreczek, a zabrałam tamten. Raz i dwa.

Wattie widziała. Tylko ona. W jej oczach pojawiło się przerażenie i otworzyła usta. A potem je zamknęła. Cody już się zdążył odwrócić. Pisał coś na naklejce. Patrzyłam, jak przykleja ją do niewłaściwego woreczka, równie przerażona jak Wattie. Ręce mi drżały tak mocno, że musiałam się bardzo pilnować, aby nie upuścić woreczka z prawdziwą próbką.

„To przestępstwo – pomyślałam. – Popełniłam przestępstwo. Jak szybko może się poruszyć ręka, niemal samowolnie. Impuls, oddech i już, popełniło się przestępstwo”.

Nie chciałam myśleć o Birchie z młotkiem, o tym, co zrobiła w swoim najgorszym momencie, ale i tak myślałam. Zacisnęłam dłonie na woreczku tak mocno, że aż mi zbiały kostki.

Wattie była spanikowana. Widziałam to w jej szeroko otwartych oczach. Otworzyła ponownie usta i zaraz je zamknęła. W zupełnej ciszy przekazywałyśmy sobie oczami pilne wiadomości.

Mówiła mi, że jestem głupia, i, na Boga, miała rację. Moje ręce popełniły przestępstwo i nie dało się tego cofnąć. Cody schował już niewłaściwą próbkę do pudełka

i ją opisał.

Gdyby to był nasz komendant Willard Dalton, mogłabym powiedzieć: „Och, chwileczkę, zrobiłam coś złego i głupiego”. On mógłby z powrotem zamienić próbki albo pobrać nową. Ba, gdyby to był Willard Dalton, czujny i bystry, moim dłońmi w ogóle nie przytrafiłaby się taka sposobność. Ale to był Cody Mack. Gdybym teraz coś powiedziała, opuściłabym dom zakuta w kajdanki.

„Ćśś! Ćśś! Nie chcę urodzić dziecka w więzieniu”, przekazałam wzrokiem Wattie, a ona zamknęła usta po raz trzeci.

Frank, niczego nieświadomy, zaczął się spokojnie i chłodno żegnać z Codym, który zamknął swoją głupią aktówkę. Ja także wychrypiałam słowa pożegnania. I Wattie. Miałam nadzieję, że nie jestem czerwona na twarzy i spocona. Krew tak głośno dudniła mi w uszach, że ledwie słyszałam swój głos.

– Ile trzeba czekać na wyniki? – zapytał Frank.

– Cóż, tego rodzaju badania mogą potrwać i kilka miesięcy – odparł Cody, a jego słowa stały się dla mnie jednocześnie ulgą i ciężkim mieczem, wiszącym na cienkim sznurku nad moją głową. Miesiące? Miesiące, podczas których nie będę wiedziała, czy mi się upiecze. Miesiące, podczas których moje dziecko będzie rosnać tutaj, w Birchville, a moja babcia nie będzie mogła wyjechać poza granice stanu, zdana na ten niebezpieczny dom, pełen widelców i schodów. Nie mogłam umieścić jej w jakimś tymczasowym miejscu, dopóki nie będę mogła przenieść jej bliżej siebie. Nie teraz, kiedy nawet nie wiedziałam, gdzie będę mieszkać, a najdrobniejsza zmiana miała na nią tak druzgocący wpływ. Ale to także oznaczało miesiące odkładania procesu. Co było gorsze? W tym momencie Cody posłał nam triumfujący uśmiech i dodał: – Ale Tackrey udało się załatwić ekspres. Więc może tydzień? Dziesięć dni?

Już miałam odpowiedź. Szybciej znaczy gorzej.

Frank odprowadził Cody’ego do drzwi i wyszedł razem z nim. Birchie i Wattie zostały przyklejone do kanapy, obie milczące, choć z różnych powodów.

Zamknęłam za mężczyznami drzwi. Odwróciłam się i oparłam o nie, bo nogi mi się trzęsły jak galareta.

– Chodźmy sadzić dynie – oświadczyła pogodnie Birchie, jakby wszystkie nieprzyjemności dobiegły końca.

Nie odpowiedziałam. Wattie i ja nasłuchiwałyśmy z przechylnymi głowami głosów i męskich kroków na schodach, aż w końcu ucichły. Wtedy Wattie wstała tak szybko, jakby pożyczyla od kogoś zdrowsze kolana. Chwilę potem znalazła się przy mnie i zacisnęła mi dłoń na ramieniu tak mocno, że aż poczułam ból.

– Dziewczyno, co ty zrobiłaś?

– Nie wiem, przepraszam, nie wiem! – Złapałam ją za ramiona.

– Co się stało? – zapytała Birchie z kanapy.

– Będziesz siedzieć w sąsiedniej celi. Na woreczku na pewno zostały twoje odciski palców – oświadczyła Wattie. Była w takim stanie, że ledwie udawało jej się kontrolować, by nie krzyknąć mi prosto w twarz.

– Czemu mieliby zdejmować z niego odciski palców? Nie dowiedzą się. Może to dobrze. Jeśli nie uda im się zidentyfikować ciała, to co ze sprawą w sądzie? Bez żadnej

potwierdzonej teorii? – Siebie starałam się przekonać w takim samym stopniu jak ją. – Ta sprawa nigdy nie zostanie rozwiązana, a pewnego dnia ludzie będą opowiadać o tych kościach, tak jak opowiadają o Pig Manie w Holler czy gigantycznym aligatorze w jeziorze Martin: tajemnicze szczątki znalezione w domu Birchie.

Wattie wzniosła oczy ku niebu, jakby trochę spokojniejsza, ale tylko trochę.

– Jesteś głupia? Dałaś im moje geny, dziecko! Moje geny! Boże, dopomóż. Boże, dopomóż twojemu dziecku. Myślisz, że jestem czarna dlatego, że mam farbę na skórze? Myślisz, że z nim też tak będzie?

Przez chwilę nie rozumiałam, o czym ona mówi.

– Chodzi ci o to, że po próbce można stwierdzić, że jest się czarnym? – Nie było to fajne. Właściwie to zakrawało na rasizm. Geny były rasistami. Chciałam, żebyśmy wszyscy w środku byli tacy sami.

– Oczywiście, że tak! Boże, dopomóż twojemu dziecku – powtórzyła Wattie i wyrzuciła ręce do góry. Następnie zacisnęła dłonie na swoich krótkich lokach i wróciła do salonu. Poszłam za nią. – Musimy zadzwonić do Willarda Daltona. Natychmiast. Kazać mu zamienić próbki.

Pokręciłam przecząco głową.

– Nie możemy. Tackrey mu nie ufa. Cody ma zawieźć próbkę prosto do niej albo do laboratorium. Ona nie zostanie w Birchville.

– Co ty zrobiłaś? – zapytała Birchie, która zdążyła się już zaniepokoić. Siedziała wyprostowana i czujna.

– Zamieniła próbki. Twoją i moją – odparła Wattie, chodząc po salonie z dłońmi nadal ściskającymi loki. – Dała im moje komórki.

Birchie uniosła brwi i przyłożyła dłoń do piersi.

– To nie ma znaczenia. – Nadal mówiłam do Wattie. – Nie będą sprawdzać, czy geny pochodzą od osoby białej czy czarnej. Nie w przypadku testu na ojcostwo – oświadczyłam z autorytetem osoby, która swego czasu ugrzęzła w poczekalni u dentysty bez żadnej książki, więc gapiała się w telewizor, gdzie akurat puszczano jakiś tandetny talk-show. Robili tam coś, co wazeliniański gospodarz nazwał „ojcowskim objawieniem”. Facet, który sądził, że jest tatą, wcale nim nie był i dowiadywał się o tym w telewizji. – Będą sprawdzać tylko te markery. Konkretnie. Tak myślę. Jestem niemal pewna. – Chciałam zapytać o to Google, ale wolałam, by akurat to zapytanie nie znajdowało się w historii mojej wyszukiwarki. Musiałam wybrać się do biblioteki. Takiej z dużą liczbą anonimowych komputerów. Daleko stąd.

– Zamieniłaś je? Moje komórki i Wattie? – zapytała mnie Birchie, po czym wstała. Wciąż przyciskała rękę do serca.

Kiwnęłam głową, zaskoczona, że babcia tak dużo rozumie.

– Tak mi przykro – powiedziała Birchie. Do Wattie. Nie do mnie.

Nozdrza Wattie zadrżały.

– Przestań.

– Tak mi przykro, tak mi przykro – powtórzyła Birchie. Przeszła przez pokój i ją objęła.

– My nie wiemy – powiedziała Wattie. Stała sztywno i bez ruchu w jej objęciach. –

Ty nie wiesz.

Prowadziły rozmowę, z której ja byłam wyłączona.

– Ja wiem, ty także wiesz – kontynuowała Birchie, a z ust Wattie wydobył się straszny dźwięk, długi i przeszywający, niczym wycie. Dłonie w końcu oderwała od włosów i zakryła nimi twarz. Wycie zamieniło się w przejmujący szloch. Tak bardzo się trzęsła, że pomyślałam, iż bez ramion Birchie jej ciało mogłoby się rozpaść na kawałki. Dłonie przyciskała do twarzy tak mocno, że musiało ją to boleć.

– Co się dzieje? – zapytałam, ale one w ogóle nie dostrzegały mojej obecności. Byłam równie nieobecna jak jeden z królików Birchie, niemal wyimaginowana. Birchie kołysała szlochającą Wattie.

– Ty wiesz – powiedziała. – Tak mi przykro.

Wattie drżała w jej ramionach i powiedziała coś, czego nie zrozumiałam.

– Co się dzieje? – powtórzyłam.

Birchie spojrzała mi w oczy ponad ramieniem Wattie i kolejne słowa zdawała się kierować do nas obu.

– Wynik testu okaże się pozytywny. Nieważne, że je zamieniłaś. Odpowiedź będzie taka sama.

– Nie – wyrzuciłam z siebie. Czerwony błysk negacji.

To niemożliwe. Ale moje oczy artystki już się temu przyglądały, bez pozwolenia. Kiedy to zostało powiedziane, one już nie umiały tego nie widzieć. Nie w ich twarzach. Birchie miała małe oczy, blisko osadzone. Wattie były duże, okrągłe i daleko od siebie. Miały inne nosy, inne usta, no i skórę w zupełnie innym odcieniu.

Prawda była zapisana w ich ciałach. Kiedy się przytulały, Wattie wstrząsana szlochaniem, widziałam to w ich sylwetkach. Przygarbionych ramionach, krągłości bioder i brzuchów, kształcie tak samo krótkich łydek. Miały szerokie czoła i małe, spiczaste brody – twarze w kształcie serca. Ich ciała pokazywały moją przyszłość, a moje ich przeszłość; wystarczyło, że na mnie spojrzały, a obie wiedziały o ciąży. Wiedziały, bo obie rozpoznały we mnie swój kształt.

– Jezu – powiedziałam. – Jezu, Jezu.

Nie mogłam tego odzobaczyć, więc stałam i patrzyłam. Nie wiedziałam, co innego miałabym zrobić w obecności tak potwornego bólu.

Wattie w końcu podniosła głowę. Z jej oczu płynęły łzy.

– Posłuchaj mnie – zaczęła. Głos miała czysty i wyraźny. – Moim tatą był Earl John Weathers, i koniec.

– Wiem. Wiem, że tak – powiedziała Birchie. Po jej twarzy także płynęły łzy. – A Vina Weathers była jedyną matką, jaką znałam. Bez względu na to, czy mnie urodziła, czy nie.

Mówiła, że to miłość Viny uczyniła je siostrami, ale moje oczy artystki widziały, iż były siostrami i w sercach, i w swoich losach, dwie połówki złączone dobrą miłością i złą historią.

Do tej pory myślałam, że każda tajemnica musi w końcu się przedawnić, ale teraz cały pokój wypełniały echa tego sekretu. Szlochały w swoich ramionach; ja także płakałam. Stały się dla mnie jedną zamazaną całością. Zwróciły swoje twarze w kształcie

serca ku mnie, a ich różne cechy były wymalowane na takich samych płótnach. Wiedziałam, że już zawsze będę to widzieć. To była przeszłość budząca się do życia, aby nas pożreć. Żyjąca w ich ciałach. Odbijająca się we mnie.

Dwudziestodwujęcioletnia Emily Birch była starą panną na własne życzenie. Była Birchem w Birchville, a chłopcom, którzy kiedyś o nią zabiegali, brakowało pewności siebie i przed jej ojcem kulili się jak psy. Wiedziała to bez niczyjej podpowiedzi: tak być nie mogło.

Było to widać szczególnie wtedy, kiedy Ellis Birch zapraszał ich domu. Zjawiali się w czystych koszulach i z włosami zaczesanymi do tyłu. Pocili się przez te pół godziny w salonie i żadna ilość chłodnej wody nie zdołała powstrzymać polnych stokrotek i leśnych trybul przed wędnięciem w ich obecności.

Clayton Mack przyjął inną strategię. Dołączał do Emily, kiedy ta wychodziła z domu sama: pewnie i z nadmierną poufałością zachodził ją od tyłu i ciągnął za warkocz. Śmiała się. Nie pojawiał się w domu, jak należy, więc wkrótce został poproszony o szukanie okazji gdzie indziej. Powiedzmy w Georgii lub w Missisipi. Gdy Alabama zamknęła przed nim podwoje, skłóciło to dwie rodziny.

Emily była zbyt lubiana i zbyt zajęta, aby czuć się samotnie, zwłaszcza że jej ojciec postępował zgodnie z głoszonymi zasadami; była jedyną osobą w Birchville, którą uważał za wartą jego miłości. Był majętnym wdowcem, więc i panny, i wdowy obrały go sobie za cel. Pozostawał nieczuły na zapiekanki, współczucie i matczyne zapędy względem swojego dziecka, bez szwanku wychodząc z zastawianych na niego pułapek. Robił to z taką samą rozbawioną protekcyjnością, jaką później obdarzał zalotników Emily.

Taka postawa sprawiała, że Ellis Birch był zdecydowanie bardziej poważany niż lubiany. Jego ojciec dla kilku rodzin był „Ethanem”, ale on zawsze i dla wszystkich pozostawał „panem Birchem”. Oprócz Emily: dla niej był „tatusiem”.

„Ależ on kocha tę swoją córkę”, powtarzali ludzie w Birchville. Ich mały, zimny bóg okazał się na tyle wielki, żeby przeprowadzić Birchville przez Wielki Kryzys, i nie tylko. Poza tym nigdy nie kazał Emily grać roli ozdoby. Od urodzenia słyszała, iż jej życiu przyświeca wyższy cel, i przesyiała na jego kolanach zebrania rady miejskiej, kiedy była tak mała, że nawet jeszcze nie mówiła. Kiedy skończyła dwadzieścia lat, przewodziła tym wszystkim klubom dla pań, którymi zarządzałyby jej matka, gdyby żyła: Przyjaciele Biblioteki, Klub Ogrodniczy, Zakątek Marii i Marty.

Floyd Briggs nie od razu zaczął się o nią starać. Był po prostu zabawny i życzliwy, kiedy przychodziła do jego sklepu po sadzonki. Zauważyła, że podczas ładnej pogody lubił przesiadywać na ławce w parku, czytać poezję i powieści Austen, E.M. Forstera, sióstr Brontë. Jej ulubionych autorów. Nie minęło wiele czasu, a w kościele wymieniali się książkami. Pomiędzy kartki zaczął wkładać własne wiersze, napisane odręcznie i niepodpisane. Były całkiem dobre i pewnego dnia Emily przyłapała się na tym, że kupuje w jego sklepie wiosenną cebulę, choć doskonale wie, iż ma ją w swoim ogrodzie.

Wiedziała także, jeszcze zanim usłyszała pytanie, że Floyd Briggs nie zda egzaminu u jej tatusia. Ellis odprawiał chłopców z lepszym pochodzeniem, większymi perspektywami, starszymi nazwiskami. Był Jedynym Prawdziwym Birchem, a Emily jego jedyną spadkobierczynią. Kiedy jednak pytanie się pojawiło, czuła silną pokusę, żeby porozmawiać o tym z ojcem.

Nie pomstował ani nie zakazywał – to akurat mogło pchnąć jego uparte dziecko w ramiona Floyda. Ze spokojem i życzliwością zakwestionował jego motyw. Emily będzie przecież bardzo zamożna. Nie próbował wpędzać jej w poczucie winy łączące się ze świadomością, że gdyby wyszła za męża, on zostałby sam w tym wielkim domu na wzgórzu. To akurat już wiedziała. Sam nigdy ponownie się nie ożenił, przez co przekazał jej, że ona mu wystarcza. To byłaby zbyt wielka zdrada, gdyby mu powiedziała, że on jej jednak nie. Pozostała przy swoim nazwisku i pozwoliła Floydowi odejść.

Mniej więcej wtedy zaczęła tracić dziewczęcą figurę. Tylko ona i ojciec zjadali te dobre kolacje, które Vina zostawiała im co wieczór. Pewnego dnia Emily stanie się Ostatnim Birchem w Birchville. Gdy o tym myślała, nakładała sobie na talerz jeszcze jednego pieczonego ziemniaka, jeszcze jeden kawałek ciasta.

Gdyby nie nosiła nazwiska Birch, w wieku dwudziestu dziewięciu lat byłaby obiektem litości. Kolejną starą panną siedzącą w krótkim rządzie niechcianych, powoli zmierzającą ku otyłości. Zamiast tego wzięła ślub z miastem. Wiernie trwała przy Birchville, przeprowadzając je przez niepewne czasy, jak to zawsze robili Birchowie. Udzielała się w wielu komitetach; dzięki niej przebudowano lokalną bibliotekę. Jezus wyraźnie określił w jakiejś niemożliwej do odnalezienia księdze, że kobiety nie mogą stać na czele Kościoła, ale diakonat wybrał ją na swoją sekretarkę. Następnie zmieniono przepisy wewnętrzne, tak że sekretarka miała prawo zabierać głos podczas zebrań i głosować.

Kochała to miasteczko i kochała swojego ojca. Kochała Vinę i Wattie, i pokochała wielbego Wielkiego Misia Price'a, kiedy Wattie wzięła z nim ślub. Kochała dzieci Wattie, kiedy te przyszły na świat. A wszystko, co kochała, odwdzięczało jej się takim samym uczuciem. Miała dobre życie. Ojciec jej powiedział, że jest dobre, satysfakcjonujące i wystarczające. Uwierzyła.

Wierzyła mu do czasu, aż pewnego dnia z powodu bólu głowy wróciła wcześniej z Klubu Ogrodniczego. Poszła do gabinetu ojca, aby mu powiedzieć, że zdrzemnie się przed kolacją. Drzwi były otwarte i właśnie wtedy to zobaczyła.

Od tej pory wydarzenia toczą się błyskawicznie. Emily rozumie, co się dzieje. Oczywiście, że tak. Birchville to małe miasto, pełne psów, koni i kotów. Partridge'owie hodują kozy, a sama Birchie ma kury i dostojnego koguta. Widziała zwierzęta w takiej pozycji, z pyskami pozbawionymi wyrazu, niezdolnymi do krzywienia się i uśmiechania. Pyski zwierząt pozostają pasywne, dziwnie niezainteresowane, nawet kiedy płodzą inne zwierzęta.

Tak właśnie wygląda teraz twarz Viny. Vina, pochylona nad biurkiem ojca, jest zwierzęciem. Tylko zwierzęciem, dlatego że nie przebywa teraz w swoim ciele. Usta ma zwiotczałe. Oczy niewidzące. Jej policzek jest rozplaszczony na drewnianym blacie, a twarz przesuwana się tam i z powrotem, kołysana pchnięciami ciała znajdującego się za nią.

To perwersja w najgorszym wydaniu, ponieważ Vina jest jedyną matką, jaką Emily zna. Ten mężczyzna, jej ojciec, nadal przypomina człowieka, skoncentrowanego człowieka. Jego twarz zdaje się oddzielać od ciała, kiedy Ellis Birch zajmuje się zwierzęcymi pchnięciami. Emily widuje u niego tę minę, kiedy uzupełnia księgi, liczy,

myśli nad czymś.

Emily wycofuje się, ale z jej gardła wydobywa się cichy dźwięk. Vina, której nie ma w tym pomieszczeniu, w tym domu, na tej planecie, w ogóle nie reaguje, lecz ojciec ją dostrzega. Na jego twarzy maluje się szok, ale jego ciało nadal wykonuje pchnięcia: jedno, drugie. Emily ucieka, nim jego zaszokowana ludzka twarz zdoła zatrzymać ciało.

Biegnie korytarzem i wpada do kuchni, gdzie na wolnym ogniu gotuje się bób, błyszczący od tłuszczu z bekonu. Vina go przyrządziła. Miał ich nakarmić, kiedy horror w gabinecie ojca dobiegnie końca i będzie mogła pójść do domu. Emily pędzi do jadalni. Portret Ethana stoi na podłodze, oparty o ścianę. Wypadł gwóźdź i ojciec ma go wbić właśnie teraz, kiedy ona jest w Klubie Ogrodniczym. Nie robi tego. Zajmuje się czymś innym.

Ellis nadal jest w gabinecie, ale oczy jego portretu śledzą ją, kiedy Emily chodzi niespokojnie wokół stołu. Idzie do salonu, a namalowane spojrzenie udaje się za nią, surowsze niż to, którym ojciec obdarza ją na co dzień. Nagle słyszy jego kroki. Wychodzi z gabinetu na korytarz. Emily biegnie szybko na górę i głośno zamyka za sobą drzwi swojego pokoju. Ojciec nie idzie za nią.

Emily krąży po pokoju, w końcu sadowi się pod oknem, ale jej ciało nie potrafi siedzieć. Chodzi tam i z powrotem; ledwie może znieść przebywanie w swoim ciele. W każdej innej chwili Vina ma twarz człowieka. Twarz, która patrzy na nią z miłością. To, co zobaczyła Emily, było gorsze niż widok kozy Billa Palmera. Gorsze niż jej kogut, który wskakuje na każdą kurę, która mu się spodoba.

Znowu siada pod oknem i natychmiast wstaje, żeby zwymiotować do ceramicznej miski, która stoi na półce. Na dole spódnica Viny wróciła na swoje miejsce. Vina będzie mieszać bób, odliczać jajka na chlebek kukurydziany.

Emily myśli o Wattie, która jest teraz w swoim domu z Wielkim Misiem i tłusciutkim niemowlęciem. Teraz to widzi. Widzi w tym, jak jej ciało pasuje do ciała przyjaciółki. Od jak dawna to się dzieje pod jej dachem? Jej umysł Bircha, dobrze zaznajomiony z liczbami, przeprowadza szybką kalkulację. Wattie ma dwadzieścia dziewięć lat.

Gdy Emily stoi w swoim pokoju, słońce biegnie po niebie. Chlebek kukurydziany został już wyjęty z pieca. Czuje jego zapach, ale dla niej czas się zatrzymał. Jak to możliwe, że Vina dzwoni mosiężnym dzwonkiem na werandzie, co oznacza, że podano kolację? Jak to możliwe, że udała się już do domu do swojego męża? Jak to możliwe, że słońce już prawie zaszło?

Ktoś musi powstrzymać ojca. Ktoś musi mu powiedzieć, że nie wolno mu tego robić. Nie przychodzi jej do głowy kto. Nie tutejsi porządni, biali mężczyźni, którzy prowadzą swoje biznesy w budynkach należących do jej ojca, pracują w jego młynie, przychodzą do niego po pożyczki, kiedy ich dzieci są chore albo wołki zbożowe zjadają połowę upraw. Wszyscy policjanci kłaniają mu się na ulicy. Diakoni przed tygodniem zjawili się z prośbą o pieniądze na nowe organy. Wypisał im czek na całą sumę.

Nie porządni, czarni mężczyźni z Odkupiciela, którzy piją z fontann dla kolorowych i na Ellisa mówią „sir”. Gdyby jeden z nich zabrał do łóżka białą kobietę, na drzewach za miastem zawisłby dziwny owoc.

Może iść z tym w takim razie do kobiet? Żon. Co wiedzą? Pewnie płodząc dzieci twarzą w twarz z mężami, uśmiechają się, tak jak Wattie z Wielkim Misiem. Wattie powiedziała jej w tajemnicy, że to, co się dzieje w małżeńskim łóżku, jest naprawdę wspaniałe. Nie takie jak to, co Emily widziała dziś we własnym domu.

Nie, żaden mężczyzna nie zdoła powstrzymać jej ojca, nie mówiąc o kobiecie czy dziecku.

Sama Vina nie zdoła go powstrzymać. Ojciec robi to dłużej, niż Wattie jest na świecie. Mąż Viny stracił nogę z powodu gangreny. Ta praca uratowała mu życie, zapłaciła za jego operację i leki, karmiła jej dzieci, zapewniała dach nad głową. Jeśli Vina coś powie, kto jej uwierzy? Jeśli Birchowie ją wyrzucą, kto w Birchville przyjmie ją do pracy? Vina nie ma głosu.

Jedyna osoba, którą Ellis Birch uważa za równą sobie, ukrywa się w pokoju z wieżyczką i wymiotuje. Jego córka to jedyna osoba, której wysłucha.

Emily nie pamięta swojego zejścia na dół, ale musiało minąć sporo czasu. Ojciec już zjadł. Jej talerz jest pusty i czysty. Bób i kapusta czekają na nią w przykrytych garnkach. Chlebek leży zawinięty w ściereczkę, żeby pozostał ciepły.

Ojciec zdążył już powiesić portret Ethana. Na końcu stołu leżą młotek i mała puszka gwoździ. Rano znajdzie je Vina i odniesie do skrzynki z narzędziami pod werandą z tyłu domu. Emily zastanawia się, czy Vina zrobi to przed kolejnym gwałtem czy po nim.

Ojciec siedzi w wygodnym fotelu w salonie i raczy się porto.

– O, jesteś – mówi na jej widok. – Spałaś?

– Nie – odpowiada. Musi z nim porozmawiać. Nikt inny tego nie robi. – Było mi niedobrze po tym, co zobaczyłam.

– Cóż, oczywiście – oświadcza ojciec ze spokojem, a nawet współczuciem. – Nie jest to widok odpowiedni dla dam. Nie myśl o tym. Usiądź i zjedz kolację.

Jej posłuszne stopy wiodą ją do stołu, ale ona nie może sobie wyobrazić, że wkłada bób do ust. Potrawa śmierdzi jak siarka polana zjełczałym tłuszczem. Zdejmuje pokrywkę z kapusty, lecz ta wydaje jej się oślizgła.

– Musisz przestać – mówi do kapusty.

To jedyne słowa, które wydobywają się z jej ust. Za to ojciec ma do powiedzenia znacznie więcej. Jego głos dochodzi do niej z bardzo daleka, a niebo jest ciemne, choć Emily nie pamięta, kiedy słońce zniknęło za horyzontem. A może wcale nie zniknęło. Może nadal jest popołudnie, a słońce po prostu poczerniało i teraz jest świadectwem tego, jak zmienił się świat. A mimo to pozostał taki sam. Nic się nie zmieniło, może z wyjątkiem jej wyobrażeń. Przed chwilą dostrzegła tego sekretnego, drugiego ojca. Teraz widzi, że istnieje także sekretne, drugie miasto, obecne od zawsze, leżące w granicach tego miejsca, w którym żyje od dawna. Miejsca, które kocha.

Może ta ciemność nastąpiła po to, aby pożreć jej oczy. Emily bardzo by chciała nie widzieć. Chciałaby też nie słyszeć, jak jej tatuś spokojnym i chłodnym tonem wyjaśnia, że mężczyźni mają potrzeby, których ona nigdy nie zrozumie. Nie zrozumie ich żadna prawdziwa dama i tak właśnie ma być. Mówi, żeby się nie martwiła o Vinę. Vina nie jest taka jak ona. Vinie to nie przeszkadza.

Mówi, że Vina to zwierzę. Mówi Emily, że matka jej serca jest niczym więcej niż

tamtym czymś leżącym na jego biurku. Nie tylko wtedy. Zawsze. Ale ona wie swoje. Ojciec wypędza Vinę z jej ciała, kiedy je bezczęści. W tych minutach zabija ją i wierzy, że ma do tego prawo. Emily Birch znajduje się teraz w samym środku drugiego Południa. Jej rodzina pomogła w jego zbudowaniu, a ojciec je utrzymuje. On jest tą rzeczywistością, a ona jest nim.

– Musisz przestać – mówi, bo nie powie mu tego nikt inny. – Musisz przestać. Musisz przestać. – To jedyne słowa, jakie ma.

– Już dobrze, skarbie. Nie martw się. Zjedz kolację – uspokaja ją ojciec tonem kończącym rozmowę. Odwraca się. Pociąga łyk porto. – Na deser jest placek cytrynowy.

On nie przestanie i nikt mu nie przeszkodzi. Emily to wie, bo poślubiła to miasteczko. Ona i Birchville dzielą tego potężnego ojca, który uczynił ich swoimi poddanymi.

Emily staje przy stole, patrzy na młotek i mówi ostatni raz:

– Masz przestać.

– Kochanie, nie będziemy o tym rozmawiać – oświadcza ojciec z rosnącym zniecierpliwieniem. – Zaufaj mi. Oni nie są tacy jak ty. Im to nie przeszkadza.

Oni. Nie „Vina” ani nawet nie „ona”, zaimek w liczbie pojedynczej, który czyniłby z niej osobę. Emily wie, że „oni” to czarnuchy, choć nie jest to słowo, które ojciec wypowiada. Birchowie mówią „kolorowi”, bo nie są takimi śmieciami jak Mackowie czy Beckworthowie. Są lepsi. Ona sama była za dobra, żeby ją marnować na Cartera Macka, który potrafił ją rozbawić. Za dobra dla Floyda Briggsa, który poprosił Emily o rękę słowami wiersza tak pięknego, że aż poruszył jej serce.

Zamiast tego postanowiła być córką godną tego człowieka, a on okazał się zły. Jej serce przepełnia potworna miłość do niego. Jest pełen przyzwoitości, słodkiej herbaty i Jezusa, ale nie przestanie krzywdzić Viny, dalej będzie uważał, że Birchowie są od niej lepsi.

Dłoń Emily wędruje w stronę młotka, a ona mówi ostatni raz:

– Masz przestać. – Jest w rozpacz. Wie, że on nie przestanie, a ona nie pozwoli, by robił to dalej. Unosi rękę, a on mówi surowo:

– Nie będziemy więcej o tym rozmawiać. Temat zamknięty.

On jest tym miastem, on jest czasem i on ma rację: temat zamknięty. Młotek zdążył już opaść, a chrzest kości przypomniawszy jej szelest muszelek, które ojciec sprowadził z zagranicy specjalnie na ich podjazd.

Zawsze wiedziała, że jest silna, bo on jej tak mówił. Nie wiedziała, że może być zła, ale to tylko potwierdziło, że jest jego córką.

„Teraz nikt mi nie powie, że jestem za dobra dla Floyda”, myśli i słyszy swój śmiech. Ten śmiech jest pozbawiony radości.

Siedzi na jego fotelu z zakrwawionym młotkiem na kolanach, pije porto i czeka na rano. Czas, który wcześniej tak pędził, teraz się zatrzymał. Za tysiąc lat, kiedy wszędzie słońce, przyjdzie Vina, zobaczy gwoździe i odłoży je na miejsce. Policja zabierze młotek. Wyprowadzą ją, pulchną starą pannę znaną przy stygnącym ciele ojca. Zaczyna się zastanawiać, co z tego wyniknie. Nic dobrego. Pozbawią ją trzydziestu kolejnych lat życia, tak jak ojciec pozbawił ją trzydziestu pierwszych. To miasto, ten świat dalej będą

takie, jakimi on je stworzył.

„Nie – myśli Emily. – Nie, jeśli mogę temu zaradzić”.

Dopuściła się czynu najgorszego z możliwych, ale w tej mrocznej godzinie postanawia, że odbędzie pokutę na własnych zasadach. Jest w końcu Emily Birch.

Bierze się do pracy, tworzy własną historię. Wychodzi za Floyda i zastępuje to, co widziała, lepszą przyszłością. W jej świecie mężczyzna jest dla kobiety partnerem. Mija czas. Do domu wkrada się nieładny zapach, a potem go opuszcza. Stany Zjednoczone wysyłają w kosmos satelitę, a Elvis wstępuje do wojska. Wattie ma rację. Nie da się trzymać w ręku najgorszego, co się zrobiło, i ciągle się w to wpatrywać. Emily Birch Briggs chowa głęboko swój grzech, zakrywa go dniami, miesiącami i latami, a w zamian służy miastu.

Tak właśnie brzmi historia, którą moja babcia opowiedziała Reginie Tackrey w jej biurze niedaleko jeziora Martin. Był ranek, najlepsza pora dla Birchie. Siedziałyśmy w sterylnej sali konferencyjnej z Frankiem, Wattie i Willardem Daltonem po naszej stronie stołu. Drugą stronę zajmowali Regina i czterech pracowników prokuratury, których nie znałam. Żółte włosy Tackrey były mocno polakierowane. Miała na sobie sukienkę w kwiaty i zielony żakiet. Ten strój zupełnie nie pasował do jej bystrych oczu i szerokich ramion. Za nią jakiś mężczyzna trzymał na statywie kamerę i wszystko nagrywał. Birchie widziałam obok siebie, ale także na dużym ekranie u szczytu stołu. W różowej garsonce, rajstopach i różowym kapelusiku przytwierdzonym do koka wyglądała równie łagodnie i słodko jak tysiącletnia pisanka.

Obok niej siedziała Wattie i trzymała ją za rękę, płacząc i kołysząc się cicho. Birchie była spokojna i smutna, a jej opowieść na tyle prawdziwa, na ile pozwalały czas i ciała Lewy’ego. Czaiły się gdzieś w cieniu, pożerając coraz większe fragmenty historii. Sześć miesięcy, rok i zjedzą także tę prawdę, a kiedy patrzyłam na płaczącą Wattie, niemal żałowałam, że jeszcze tego nie zrobiły.

Minęły zaledwie trzy dni. Birchie zjadła dziewięć porządnych posiłków, dobrze przespala trzy noce i nie chciała czekać ani chwili dłużej. Chciała złożyć zeznania, zanim przyjdą wyniki badania DNA. Nie słuchała ani Franka, ani mnie, ani Wattie. Nie zamierzała zatrudniać nowego prawnika. Uparła się, żebyśmy przywieźli ją tutaj, aby mogła opowiedzieć całą prawdę. Po chwili zaczęła ją jednak naginać i wtedy pomyślałam, że właśnie dlatego tak nalegała. Birchie chciała złożyć zeznania teraz, dopóki jest na tyle przebiegła, by dobrze kłamać.

W pewnym momencie dostrzegłam, że Wattie sztywnieje. Całą rolę Wattie moja babcia przekazała Floydowi. Floydowi, który ją kochał i który nie będzie mógł stanąć przed sądem. Powiedziała, że Wattie o zawartości skrzyni dowiedziała się dopiero w chwili jej otwarcia; pomogła Birchie ją wywieźć tylko dlatego, że ta ją o to błagała. Wattie nie odezwała się ani słowem, jednak usta miała zaciśnięte z dezaprobatą.

– Dlaczego pani mi to teraz opowiada? – zapytała Tackrey. – Dlaczego teraz, a nie kiedy znaleźliśmy kości?

Niebieskie oczy Birchie się zaszklily, ale nie poleciała z nich żadna łza, a głos jej nie zadrżał, kiedy odparła:

– Nie chciałam, aby Wattie wiedziała. Nigdy nie chciałam, aby się dowiedziała, że

mój ojciec jest także jej ojcem.

Trzymała siostrę za rękę, a ja dostrzegłam, że w ciągu ostatnich trudnych dni palce Wattie poszarzały. Oczy miała czerwone od płaczu. Wyglądała jak ktoś, kogo świat przewrócił się do góry nogami. I tak się właśnie stało, choć podejrzewałam, że od zawsze знаła część prawdy. Wiedziała, dlaczego Birchie wzięła do ręki młotek, ale nigdy nie dokonała w głowie obliczeń. Nie chciała stać się siostrą Birchie w taki sposób.

– Ale teraz wie? – zapytała Tackrey. – Skąd?

– Powiedziały jej ciała Lewy’ego – wyjaśniła Birchie pełna żalu. – Mówię rzeczy, których wcale nie chcę mówić. Robię rzeczy, których nie chcę robić. Okropne rzeczy. Proszę zapytać Franka.

Zobaczyłam, jak dwaj mężczyźni po przeciwnej stronie stołu wymieniają znaczące spojrzenia. Wiedzieli o Pikniku Rybnym, to zaś znaczyło, że mają jakieś powiązania z Birchville. Teraz, kiedy się im uważniej przyjrzałam, dostrzegałam, że ten po lewej ma coś z Partridge’ów. A więc opowieść Birchie dotrze do Birchville prędzej niż my.

Tymczasem babcia nadal mówiła:

– Czasami widzę mojego ojca. Kiedy ciała Lewy’ego mu pozwalają, przychodzi, aby mnie prześladować. Widzę także króliki. Za panią siedzi w tej chwili sześć tych zwierząt.

– Więc powiedziała pani pani Price? – zapytała Tackrey.

– Niezupełnie – odparła Birchie i uśmiechnęła się słodko. – Zamieniłam nasze DNA. Jej zamiast mojego.

W tym momencie zapłonęła mi twarz. Spuściłam wzrok i poczułam, że moje usta się otwierają. Jak wiele wspólnych grzechów weźmie na siebie? Wolną rękę położyła na mojej dłoni i uścisnęła ją mocno. Tak mocno, że zabolowały mnie kości, a usta się zamknęły.

– Wattie pierwsza oddała próbkę, żeby mi pokazać, jak to się robi.

– Jak, u licha... – zaczęła zdumiona Tackrey.

Birchie cmoknęła.

– Moja wnuczka położyła patyczek Wattie blisko mnie i zamieniłam go, kiedy Cody akurat nie patrzył. Musicie wiedzieć, że kiepski z niego policjant. Naprawdę powinniście byli przysłać do mnie Willarda – oświadczyła, po czym zwróciła się do niego: – Ty byś mi nigdy na coś takiego nie pozwolił, prawda?

Komendant Dalton, wyglądający na równie przerażonego jak ja, ale z innych powodów, wyksztusił z siebie tylko dwa słowa:

– Boże, nie!

– Ale dlaczego? – zapytała zbulwersowana Tackrey. – To przecież nie ma sensu!

– Tak już bywa z ciałami Lewy’ego – powiedziała babcia i pokręciła głową.

– Czemu pani to zrobiła? – powtórzyła Tackrey. Przepelniała ją słuszna wściekłość, ale w jej głowie obracały się trybiki polityka. To ona upierała się przy Codym. To był jej człowiek i nawalił. Cóż, to akurat prawda: nawalił. – Po co zamieniać DNA, jeśli nie chciała pani, aby pani Price poznała prawdę?

– Króliki mi powiedziały, że to dobry pomysł. Choć teraz dostrzegam problem – odparła Birchie, po czym dotknęła kapelusza i dodała nadąsana: – Nie rozumiem także, dlaczego muszą teraz siedzieć po waszej stronie stołu. Naprzeciw mnie. To przecież moje

króliki.

Już miałam coś powiedzieć, ale w tym momencie Digby się przeciągnął. Położyłam na nim dłonie i postanowiłam, że będę milczeć. Bo komu by pomogło, gdybym pozwoliła, aby mój syn urodził się w więzieniu? Birchie, skromna w tym swoim różowym kapelusiku, kontrolowała się znacznie lepiej niż w ciągu ostatnich tygodni. Nie sądziłam, aby choć jeden królik znajdował się teraz w pomieszczeniu, w którym przyznała się do najgorszego, co może zrobić człowiek.

– Myślę, że moja klientka dotarła niemal do kresu swoich sił – odezwał się Frank. – To nie jest zdrowa kobieta.

Tackrey okazała się na tyle łebska, żeby wyłączyć kamerę, a dopiero potem rzekła:

– Co też pan powie.

Wyszliśmy z budynku i udaliśmy się do samochodów.

Kiedy Frank wsiadał do swojego, powiedział do mnie ściszym głosem:

– Możliwe, że to koniec sprawy.

Jeśli myślał o postępowaniu prawnym, pewnie miał rację. Wybuchłby skandal, gdyby wyszła na jaw zamiana próbek, a winą zostałaby obarczona Tackrey. Słowa Birchie uniewinniły Wattie, a nie żył już nikt, kto mógłby zakwestionować jej wersję. Pod względem prawnym możliwe, że już nic nam nie groziło, ale jeśli Frank sądził, iż to koniec, no cóż, to była z jego strony wielka naiwność. Przy tamtym stole siedział Partridge, a Tackrey, której rodzina od zawsze miała powiązania z Mackami, dopiero będzie miała co opowiadać.

Powietrze wibrowało od rozmów telefonicznych prowadzonych w całym hrabstwie. Nasza trójka wsiadła do drugiego samochodu, który wypożyczyłam, i podążyła za historią Birchie do domu.

Zaczyna się od Digby'ego. Digby'ego na drugim Południu.

Kilka miesięcy przed narodzinami syna powołałam go do życia za pomocą ołówka. Kiedy postawiłam go obok Violet na zrujnowanym rynku, do mojej pracy wpuściłam jego imię. Pasował tam, awatar prawdziwego chłopca. Nie mogłam się doczekać, kiedy go poznam. Zapoczątkował tę historię. Nie udało się to nawet Violet.

Na pierwszym panelu Digby nie ma pojęcia, że grozi mu niebezpieczeństwo. Przeskakuje przez resztki trawy na skraju parku, biegnie wzdłuż rynku. Po lewej stronie widać kilka sklepów, a za nim rysuje się dach kościoła. Iglica jest uszkodzona i mierzy poharatanym palcem w zasłonięte słońce.

Chłopiec ma na sobie krótkie spodenki i traperki. Trzyma procę i poluje na postapokaliptycznego królika. Ten wygląda jak króliki, które otaczały Violet na końcu wcześniejszej opowieści, ale uszy ma nieco podobne do Batmana z *Red Rain*. Digby jest taki chudy, taki głodny, że skórę na głowie ma naciągniętą. Jednak kiedy poluje, w jego ciele widać tę dziecięcą, nieśmiertelną odwagę. Na pierwszej stronie widnieje tylko jedno słowo, wpisane do białego kwadratu, by pokazać, że to myśl, a nie dialog.

„Witaj”.

Perspektywa staje się szersza. Violet, chowająca się pod kamienną ścianą cmentarza, obserwuje, jak Digby przechodzi przez bramę z kutego żelaza. Jest ubrana w komplet moro, do paska przytroczyła linę. Włosy ma zaplecione w sześć długich warkoczy, związanych postrzępionymi resztkami czegoś, co kiedyś było żółtą sukienką. Na tym drugim panelu – i każdym kolejnym, na którym Digby jest widziany oczami Violet – jego kroki pozostawiają ślad z liści, ptaków, myszy, małych wiewiórek i niezmutowanych królików. Jego brudna czerwona koszulka zdaje się świecić.

Violet myśli: „Człowiek. Prawdziwy człowiek, jak żywy promyk słońca w tym mrocznym i plugawym miejscu”.

Perspektywa staje się jeszcze szersza: Digby poluje, Violet mu się przygląda, a w drzwiach i oknach zniszczonych sklepów czają się ciemne kształty. Moje guzowate, obdarzone cienkimi kończynami ciała Lewy'ego przekształciły się w gang postapokaliptycznych kanibali, których Digby nazywa Eksami. Czyli Eksludźmi. Polują na niego, gdy on poluje na królika.

Pierwsza dostrzega ich Violet.

„Przyciągasz ich do siebie, jak każde światło w ciemności”, myśli. Eksowie nie są świadomi jej obecności. Jeśli go ostrzeże, zdradzi swoją kryjówkę.

– Hej, mały! – woła. Nie jest już ślicznotką w sukience na ramiączkach. Jest twardsza. Zgrzeszyła i teraz żałuje. – Mały. Za tobą.

Brawura Digby'ego zamienia się w strach. Patrzy to na nią, to na potwornych Eksów, a potem puszcza się biegiem w ich stronę. Jakby to oni byli mniejszym złem. Może rzeczywiście tak jest.

– O rany – mówi Violet, ale się nie waha.

Digby biegnie prosto na potwory, więc ona biegnie za nim. Chwyta go i odciąga w stronę cmentarza, czego nie ułatwia jego wierzganie. Zatrząskuje bramę, ale przez

drugą wchodzi jeszcze więcej Eksów. Wysypują się także z tylnych drzwi kościoła. Violet i Digby są otoczeni. Opierają się plecami o kryptę. Puszczają go. On odsuwa się o kilka centymetrów, ale nie ma dokąd pójść. Stoją obok siebie, przyciskając się do zimnej, kamiennej płyty. Digby wyjął procę. Jest gotowy do walki.

– Ona przyjdzie – mówi mu Violet.

– Nikt nie przyjdzie – upiera się Digby, mały pesymista. – Nikt nigdy nie przychodzi.

Eksowie przysuwają się jeszcze bardziej, wyciągają poszarpane palce. Wyczuwają Digby'ego swoimi wysoko osadzonymi wąskimi nozdrzami. Wyczuwają także Violet i się uśmiechają. Ich zęby, ociekające śliną, są kwadratowe i wielkie.

– Ona przyjdzie – powtarza Violet, a Digby odrywa wzrok od Eksów, by posłać jej sceptyczne spojrzenie.

Zbliżenie jego twarzy: oczy robią się wielkie, zdumione. Jeszcze bliżej – teraz widać białka wokół tęczówek. Zmiana Violet najpierw jest widziana właśnie w ten sposób: w jego niewinnym spojrzeniu.

– Witaj, mały – mówi Violence, a potem robi to, w czym jest najlepsza.

Jestem dumna ze sceny walki. To jedna z moich najlepszych prac: kinetyczne, nasiąknięte kolorami ciała na tle ciemnego, statycznego tła. Violence szaleje, a Digby ją wspiera, strzelając z procy do Eksów. Violence posyła mu czerwono-czarny uśmiech. Kiedy przepędza kilku Eksów, którzy przeżyli, jej odziane w kozaki stopy rozdeptują dwa zakurzone szkielety, leżące przytulone w zagłębieniu pomiędzy dwiema mniejszymi kryptami.

Ponownie odwraca się do Digby'ego, a on stoi na szeroko rozstawionych nogach, z procą wycelowaną w jej twarz.

– Och, mały, jaki cel – mówi do niego Violence.

Pozwala mu się wycofać. Pozwala mu biec. Za nim podąża Violet, trzymając się na dystans, aż udaje jej się zdobyć jego zaufanie na tyle, by się zbliżyć. To nie jest proste. Violet jest niebieskooką blondynką, a w tym zupełnie nowym świecie z ograniczonymi zasobami, tych niewielu ocalałych, którzy wciąż są ludźmi, połączyło się w małe plemiona. Cała grupa Digby'ego padła ofiarą ludobójstwa, kiedy on był na rybach. Wrócił i zrozumiał, że został sierotą; nie udało mu się znaleźć ciała siostry. Szuka jej teraz, a Violence-Violet się do niego przyłącza. Choć wydaje się twardy, jest za mały, żeby przeżyć w pojedynkę. Digby pokocha tę podwójną kobietę, na którą mówi Vi. Wie, że to piękna i bestia w jednym, tak jak większość z nas.

W Dark Horse oszaleli. Spodobał im się pomysł, że moja antybohaterka szuka odkupienia w zrujnowanej wersji Ameryki. Było tam pełno potworów i zagubionych dzieci, wojen rasowych i superbohaterów, a w zanadrzu miałam także zmutowanych ludzi. Czarne charaktery, które będą stanowić wyzwanie dla Vi i Digby'ego. Prequel zamieniliśmy na całą serię, a ja podpisałam dłuższy, bardziej rozbudowany kontrakt.

Jeśli pomysł dobrze się sprzeda, za jakiś czas zajmie się tym inny zespół. Możliwe, że napisze historię powstania Vi, a ja będę tego częścią, albo i nie. Na razie musiałam po prostu zacząć, pozwolić jej radzić sobie w świecie, który stanowi mroczną wersję Birchville.

Musiałam osadzić akcję właśnie tu. Birchville było miejscem, w którym w końcu dostrzegłam potwory niszczące moją ojczyznę. Oni wszyscy mieli swoje awatary w świecie Vi i Digby'ego. Artystka we mnie pragnęła dokonać szerszej eksploracji drugiego Południa, więc możliwe, że w pewnym momencie do życia powołałam postać Potwornej Mack. Oczywiście nadam jej inne imię, ale będzie miała takie same siwe, postrzępione włosy i wargi osła. Może dorzucę także Tackrey, choć nasze kontakty dobiegły końca po tym, jak Birchie przedstawiła długie i niemal w stu procentach szczere zeznania.

Tamtego dnia, kiedy wróciłyśmy do domu z biura Reginy Tackrey, zobaczyłyśmy, że na werandzie stoją już Franklinowie. Drzwi otworzył im Sam, syn Wattie. On, jego żona i jedna z córek przyjechali dwa dni wcześniej. Wattie w końcu rozmówiła się z synami.

Kiedy Sam zobaczył nasz samochód, wyszedł i poczekał na werandzie razem z nimi. Esme trzymała naczynie żaroodporne, w którym wiedziałam, że znajduje się jej słynny pudding kukurydziany. Nie miałam pojęcia, jak zdążyła go przygotować. Kiedy weszłyśmy po schodach, wcisnęła mi go, żeby móc przytulić Wattie. Okazało się, że naczynie jest zimne.

Wyjęła je z zamrażalnika, przygotowane zawczasu na tego typu okazję. Kłopoty i głód to coś, co zawsze mogło się wydarzyć, i większość mieszkańców Birchville trzymała w pogotowiu takie dania. Esme chwyciła swoje i przybiegła do nas, nie czekając, aż się rozmrozi. To było pogrzebowe jedzenie, bogate w masło i rozgrzewające, a Esme i Grady byli ubrani na czarno.

Podczas gdy Esme i Wattie nadal się przytulały, zajechała niebieska honda. Wysiadł z niej Grayle Peck, jeszcze jeden diakon z Odkupiciela, i zobaczyłam, że na fotelu pasażera siedzi kuzynka Wattie, Genia Price. Przywiózł ją z domu opieki, tak żeby Wattie miała przy sobie więcej członków rodziny. Stephenowi uda się przylecieć dopiero w przyszłym tygodniu.

Birchie otworzyła drzwi i wpuściła Esme i Grady'ego, żeby mogli nagrzać piekarnik. Reszta została na werandzie. Gdy Genia ruszyła powoli w naszą stronę, wsparta na ramieniu Grayle'a, zajechał następny samochód, a zaraz po nim jeszcze jeden. Na rynek wjechały dwa kolejne. Wszystkie były pełne ludzi, których znałam z kościoła Wattie. Byli ubrani na czarno i nieśli jedzenie.

Birchie i Wattie utworzyły u szczytu schodów improwizowany komitet powitalny i witały wiernych z kościoła Wattie. Odsunęłam się na bok i obserwowałam.

One stanowiły jedno ciało. Były punktem, w którym Południe spotykało samo siebie, i pomyślałam, że to dobrze, nawet jeśli odkrycie, iż są siostrami, stało się powodem tego żalobnego przyjęcia. Rosnące we mnie dziecko, którego nie nazwę Digby, wirowało niczym mała obietnica czegoś lepszego. Należał do mnie i do nich. Był przyszłością, dla której Birchie i Wattie ryzykowały wszystko.

Poszłam na koniec werandy, gdzie było znacznie ciszej. Usiadłam na huśtawce, wyjęłam telefon i zadzwoniłam do Polly Fincher.

– Och, kochanie – powiedziała zamiast powitania. Musiała zobaczyć mój numer na wyświetlaczu.

– Słyszałaś? – zapytałam, choć znałam odpowiedź. I nawet na nią nie czekałam. – Przyjedźcie. Proszę.

Wahanie.

– Nie byliśmy pewni, czy Birchie będzie chciała... Nie byliśmy pewni...

– Potrzebujemy was – powiedziałam z mocą. – Potrzebujemy także Alston, Partridge'ów i Franka Dariana. Każdego, kto ci przyjdzie do głowy. Birchie potrzebuje swojego Kościoła.

– Dobrze. Wykonam kilka telefonów, a potem od razu wsiadam do samochodu – odparła zdecydowanie, a ja się rozłączyłam.

Nie zjawia się wszyscy. Część członków Pierwszego Kościoła Baptistów zawróci na widok domu pełnego ludzi z Odkupiciela. I analogicznie, kiedy zaczną się zjawiać ci pierwsi, część wiernych z Odkupiciela po prostu wyjdzie. Ale nie każdy.

Na skrzyżowaniu dróg tych, którzy odejdą, i tych, którzy zostaną, stał kościół, który jeszcze nie istniał. Na razie. Ale wyobrażałam już sobie wiernych, którzy jedli ciasteczka imbirowe i pili lemoniadę na trawniku Martiny Mack. Zreformuję ich teraz, celowo. Razem zapewnimy pociechę Wattie. Razem udzielimy Birchie rozgrzeszenia. Czuję rosnącą obecność tego kościoła, który może rosnąć w Birchville, tak jak mój syn rośnie we mnie. To było coś jak najbardziej możliwego. Obietnica.

Pierwsza fala ludzi z Odkupiciela już została przywitana i zaproszona do środka, ale złapałam Birchie i Wattie, nim zdążyły wejść za swoimi gośćmi.

– Zostaję – oświadczyłam im jak najbardziej poważnie. Na pewno tak długo, jak będę potrzebna Birchie. Być może także dłużej, dla Wattie, bo czemu ona miałaby się przeprowadzać? Sel był na to otwarty, a jeśli okaże się tu szczęśliwy, to może zostanie nawet dłużej. W końcu jestem Birchem, mój syn także. A to jest nasze miasto. Stanie się takie, jakim je uczynimy. – Zostaję tu z wami, w Birchville.

– Wiem, dziecko – powiedziała Wattie, jakby to było oczywiste. I miała rację. Innej możliwości nie było. Nie, kiedy decyzję podjęły ona i jej siostra. – Dobre dziecko – rzuciła i przyciągnęła do siebie moją głowę, żeby mnie pocałować.

– Do werandy dobudujemy jednak podjazd. Te schody to śmiertelna pułapka – oświadczyłam surowo, a Birchie zacmokała.

– I zniszczymy bryłę tego domu? – zapytała. – Tak być nie może.

– Może, a wy przeniesiecie się na dół.

Wrócę do swojego dawnego pokoju, a ten z wieżyczką stanie się pokojem Digby'ego: będzie miał srebrno-niebieskie ściany i czerwoną pościel.

Na ulicy dostrzegłam błyszczący w słońcu jasny kucyk Polly Fincher, niosącej własną zamrożoną zapiekankę. Z domu wychodził właśnie Frank Darian z paczką sklepowych chipsów. Towarzyszyli mu Hugh i Jeffrey.

Zaczynało się. Zeszłam z drogi i pozwoliłam, aby się działo.

Birchie żyła na tyle długo, żeby go poznać: Jamesa Bircha Briggsa Martina. Urodził się dzień po Święcie Dziękczynienia w Alabamie. Wrzeszczący, śliski i zakrwawiony, trzy kilogramy dwieście, śliczny jak malowanie. Odebrał go Sel i położył mi na piersi.

Swoje ostatnie najlepsze godziny Birchie spędziła na kołysaniu mojego syna. Czasami nawet go poznawała.

– James, James – mówiła wtedy, choć coraz częściej myślała, że to jeden z dorosłych synów Wattie albo mój zmarły ojciec. Pod koniec go już nie poznawała, jednak ciągle brała na ręce.

– Witaj, witaj – powiedziała, kiedy złożyłam tego małego nieznajomego w jej ramionach. Jej oczy rozbliły i się uśmiechnęła. Mój syn od razu ją w sobie rozkochał: takie już prawo dzieci. Taka jest ich supermoc. Dotknęła maleńkiej dłoni, policzka, czarnego puszkę na głowie. – Witaj.

PODZIĘKOWANIA

Drodzy czytelnicy, przede wszystkim dziękuję Wam. Bez Was książki nie miałyby po co istnieć. Jesteście ważni i cenni, a ja jestem jedną z Was. Dziękuję za to, że kupujecie właśnie moje książki, i za to, że je sobie pożyczacie i opowiadacie o nich innym. Dziękuję księgarzom, zwłaszcza tym, którzy włożyli je w ręce odpowiednich czytelników ze słowami: „Będziecie zachwyceni”. Dzięki Wam mogę pracować.

Dziękuję Emily Krump, wydawcy, mistrzyni i kobiecie obdarzonej świętą cierpliwością. Dziękuję Ci, Jacques’u de Spoelberchu, za Twoje rady i pomoc. Tę powieść dedykuję właśnie Tobie. Jestem wdzięczna wszystkim w Morrow, którzy zapewniali mi wsparcie, a są to: Liate Stehlik, Lynn Grady, Jennifer Hart, Carolyn Marino, Tavia Kowalchuk, Kelly Rudolph, Kate Schafer, Libby Collins, Mary Beth Thomas, Carla Parker, Rachel Levenberg, Tobly McSmith, Ploy Siripant, Mary Ann Petyak, Madeline Jaffe, Shelby Peak i Maureen Sugden (czyli ta, która powstrzymuje mnie przed umieszczaniem w co drugim zdaniu słowa „trochę”).

Saro Gruen, Karen Abbott i Lydio Netzer, jesteście czymś więcej niż uwagami, notatkami i odpowiednim naciskiem. Jesteście moimi Prawie Siostrami.

Dzięki moim ukochanym lokalnym autorkom i autorom książka jest osadzona w realiach i (względnie) szczerą. A oto oni: Anna Schachner, Raid Jensen, Ginger Eager i wielebny doktor Jake Myers. Dziękuję Wam, Caryn Karmatz, Rudy i Jill James. Dzięki, Alison Law – bez Ciebie byłoby tu mnóstwo błędów merytorycznych i językowych.

Dziękuję wspaniałym i uzdolnionym nerdom, którzy pomogli mi ogarnąć temat powieści graficznej, a są to: Bobby Jackson, Ross Boone i jego alter ego Raw Spoon oraz Katie Cook. Wszystkie ewentualne błędy są moje. A skoro mowa o komiksach – uwielbiam Ciga Harveya, a okładka jest po prostu boska.

Dziękuję tym, którzy pomogli mi ogarnąć tematy medyczne i kryminalne: doktorowi D.P. Lyle’owi (autorowi *Medycyny sądowej dla opornych* i serii z Dubem Walkerem), doktorowi Stevenowi Rippentropowi oraz pisarzowi i prawnikowi Frankowi Turnerowi Hollonowi. Wszystkie ewentualne błędy biorę na siebie.

Kilka ostatnich lat nauczania zmieniło moje serce, moje historie i relacje z samym pisarstwem. Jestem wdzięczna moim uczennicom w więzieniu stanowym Lee Arrendale. Dziękuję za stworzenie miejsca, w którym mogą odnaleźć swój głos. I za to, że mogę brać w tym udział.

Scott, Sam, Maisy Jane, Bob, Betty, Bobby, Julie, Daniel, Erin, Virginia, Jane i Allison, Kocham Was. Kocham Was, ludzie ze Slanted Sidewalk, małej grupy STK i Nowej Poprawionej Wersji Fringe. Ciebie także Kocham, Pierwszy Kościele Baptistów w Decatur. Dziękuję, że staracie się być miejscem, w którym ludzie wszystkich ras czują się mile widziani. Nielatwa to droga, prawda? Ale, do licha, jakże satysfakcjonująca. Szalom!



© Gilbert King

Joshilyn Jackson – amerykańska pisarka, autorka siedmiu bestsellerowych powieści (m.in. *Bogowie Alabamy*, *Tajemnica wierzby*, *Inna niż wszystkie*), które ukazały się także w polskim przekładzie. Ich akcję umieszcza zazwyczaj w dusznej atmosferze Południa. Mieszka w Decatur w stanie Alabama z mężem i dwójką dzieci.

¹ Rodzaj fitnessu polegający na sprężystym, rytmicznym chodzeniu, które przypomina chód konia (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² *Lay* (ang.) – przelecieć.

³ Amerykańska organizacja dobroczynna, pozyskująca fundusze także ze sprzedaży używanych towarów.

⁴ System powiadamiania o sytuacji awaryjnej przeznaczony dla osób starszych.

⁵ Amerykańska sieć barów szybkiej obsługi.

⁶ Historyczna dla Stanów Zjednoczonych nazwa okresu odbudowy państwa w latach 1865–1877.

⁷ Związkowiec powiązany z mafią, którego ciała nie odnaleziono do dzisiaj.

⁸ Fikcyjne miasteczko, w którym dzieje się akcja sitcomu *The Andy Griffith Show*.

⁹ Lek nasenny.

¹⁰ Bohaterka z filmów o Supermanie.

¹¹ Afrykański Episkopalny Kościół Metodystyczny.

¹² Jeden z fikcyjnych potworów występujących w uniwersum *Gwiezdnych wojen*.

¹³ Tradycyjny smakołyk z ogniska, pochodzący ze Stanów Zjednoczonych i Kanady. Składa się z zapieczonej na ogniu pianki marshmallow, kostki czekolady i dwóch kawałków krakersów typu graham.

¹⁴ Skrót od Ku Klux Klan.

Życie w małym mieście na amerykańskim Południu bywa niezwykle trudne...

Superbohaterowie od zawsze byli słabością Lei. Pewnego zakrapianego tequilą wieczoru podczas zlotu fanów komiksów ta rozsądna rysownicza daje się uwieść przystojnemu Batmanowi. Pamięta, że był wysoki, czarnoskóry i doskonale całował – ale niewiele ponad to.

Wkrótce okazuje się, że ten odziany w pelerynę obrońca ludzkości zostawił po sobie coś więcej niż miłe, niewyraźne wspomnienie: Leia spodziewa się dziecka – co stanowi dla niej zaskoczenie, ale wcale nie nieprzyjemne. Od zawsze chciała się zakochać i mieć dziecko, tyle że jako młoda dziewczyna przekonała się, jak smakuje zdrada. Obecnie jest trzydziestoosmioletnią singielką, która odeszła – nie, uciekła – od każdego mężczyzny, by uniknąć kolejnej straty i bólu.

Jak na wiadomość o czekającym ją samotnym macierzyństwie zareaguje jej konwencjonalna rodzina z Południa? Jej przyrodnia siostra Rachel, z którą stosunki nigdy nie układały się idealnie, oraz ukochana dziewięćdziesięcioletnia babcia Birchie, która ukrywa demencję z pomocą najlepszej przyjaciółki, ale Leia wie doskonale, że babci w żadnym razie nie można teraz pozostawić bez opieki.

Kiedy wydaje jej się, że wszystko ma już pod kontrolą, przekonuje się, że choroba to nie jedyne, co ukrywa Birchie...

**Prawda o tym, kim naprawdę jesteśmy,
zawsze w końcu wychodzi na jaw.**

PATRONAT
MEDIALNY



lubimyczytać.pl

KOBIETA.pl

KSIĄŻKA DOSTĘPNA
TEŻ JAKO E-BOOK



Zamówienia
www.burdaksiążki.pl
tel. +48 22 360 37 77

[facebook.com/burdaksiążki](https://www.facebook.com/burdaksiążki)

Zeskanuj kod
i pobierz
darmową
próbę książki

